

[G. Zapolska]

JÓZEF MASKOFF.

ZASZUMI LAS.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

W 3 CZĘŚCIACH.

TOM PIERWSZY.



LWÓW.

NAKŁADEM „SŁOWA POLSKIEGO“.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

W PRYWIŚLAŃSKIM KRAJU.



67304

Z Drukarni „Słowa Polskiego” we Lwowie
pod zarządem Z. Hałacińskiego.

K-203/76/73655

I. Matwiej Iwanowicz Tagiejew.

Pan policmajster zaczął podskakiwać, przebie-
rać nogami, tupać, a ostrogi dzwoniły u jego butów,
jak dzwonki u szyi konia, wprzągniętego do telegi.

— Jej Bohu, nie wydierzu! — wołał rozpaczli-
wym głosem.

Stojąca przy drzwiach sługa, czternastoletnia
dziewczyna, rozczochrana, z twarzą zepsutego uli-
cznika, zachychotała, zatykając sobie usta kulakiem.

— Czego ty... dura?... paszła won! — za-
komenderował Matwiej Iwanowicz Tagiejew, poliema-
jster pogranicznego miasteczka N., pan życia i śmierci
kupy żydów i żydówek i miejscowej „inteligencji“,
stanowiącej ludność, zamieszkującą kilkaset domostw,
sterczących samotnie nad brzegami wiecznie wy-
schniętej rzeczulki.

Sługa, steroryzowana wzrokiem naczelnika gro-
du, wypadła za drzwi — lecz ku wielkiej ucieśze
maszynistów i strażaków, zapelniających kulisy teatru,
ocaliła honor owej ucieczki, pokazując za drzwiami
język Matwiejowi Iwanowiczowi Tagiejewowi.

Jeden z maszynistów, krępy, rosły mężczyzna,
z twarzą pokrajaną bliznami, zapytał, śmiejąc się
ironicznie:

— Cóż to? znów uhażywa?

Władka parsknęła śmiechem.

— O jej! Krzyczy: nie wydierżu!... Jak Boga kocham! — odparła szeptem.

— A pani?...

Władka wzruszyła ramionami.

— Cóż — pani!... Ot — pani, jak pani. Jak zła, to gna won — jak w dobrym humorze, to śmieje się i mówi: jaki pan głupi!...

Maszynista filozoficznie dorzucił:

— Bo też i głupi!...

Gorąco szło straszne od pieca, który aż huczał pod podłogą; blacha rozpalonej do czerwoności rury, przebiegającej ku górze przez klatkę sceny, wydawała swąd duszący i przykry.

Lecz już nieco dalej od owego „kaloryferu“, jak zwano szumnie ten rozwalony zardzewiały i przepalony kocioł do węgla, zimno dawało się czuć we znaki nie na żarty; zimno straszne, zgniłe, fatalne — ziejące tyfusami, zapaleniem płuc, właściwe tylko budom, w których gnieźdzą się w Królestwie tak zwane teatra prowincjonalne.

Władka usiadła na ziemi, wyciągnęła nogi w zniszczonych trzewikach i rozkoszowała się ciepłem, płynącym z pod podłogi.

Ze sceny dolatywały głosy artystów, grających pierwszy akt Żołnierza królowej Madagaskaru.

Jedna z aktorek miała fatalny akcent galicyjski.

Władka chichotała i powtarzała cicho: „Ta cóż, ta co“... licząc równocześnie dziury w trzewikach, przez które widać było zmoczone śniegiem pończochy.

Za kulisami, na które naciągnięto zniszczone płócienne plachty, z których farba dawno się wykruszyła, stała drobna figurka kobiety, odzianej w męski

garnitur i kędzierzawą perukę. Obok niej żyd rekwizytor, oparłszy się o drabinkę, słuchał z najwyższym zaciekawieniem słów aktorów. Wreszcie zwrócił się do aktorki, przebranej w męskie ubranie.

— Uni dobrze grają! — wyrzekł z powagą długoletniego znawcy i krytyka.

W tej chwili przez ciasne drzwiczki, prowadzące z sali na scenę, weszło dwóch niemłodych mężczyzn w porządnym futrach, kaloszach, z parasolami w rękach. Mieli miny złapanych na gorącym uczynku jakiegoś niedozwolonego grzechu.

Podeszli prosto do Władki, która na ich widok odgarnęła spadającą na czoło grzywę i zachychotała, jakby ją kto załaskotał.

— Czy Pani już ubrana? — zapytało starsze i wspanialsze z dwóch futer.

— Już! — odparła Władka — ale tam nie można.

— Czemu?

— Bo tam je pan policmajster!...

Mężczyźni ustąpili cokolwiek na bok.

— A... tak!... to my poczekamy!...

Lecz za drzwiami garderoby zawrzało nagle jak w ulu.

Władka porwała się z miejsca.

— Oho!... Pani go zaraz gnać będzie!... — zawołała z radością.

Maszyniści i strażak wyciągnęli szyję.

Mężczyźni w wspaniałych futrach skierowali się ku wyjściu.

— Chodźmy... niech lepiej nas nie widzi!... Chodź mecenas!

Mecenas ociągał się jeszcze.

— Przejdźmy lepiej do męskiej garderoby i zaczekajmy...

Lecz tamten nie dał się namówić.

— E!... Po co mu wlażyć w drogę... Będzie nam potem awantury wyrabiał. Mecenasa wie przecie, jaka to stupajka!

Mecenas wydał wargi.

— Ja się go nie boję!

— Ale ja się boję... a ja, miejski doktor, od niego zależę... może zrobić na mnie donos... ja idę!

Z garderoby tymczasem dolatywały podwyższone głosy.

— Jej Bogu, nie mogu!... — wołał Tagiejew — Czort znajet, czto wy wydumali!...

— To niech się pan wynosi! — dał się słyszeć gniewny kobiecy głosik.

— Gna! Jak Boga kocham, gna!... — szeptała Władka z uchem przyklejonem do przepierzenia z desek, które stanowiło ścianę garderoby.

— Mamzel Jabłońska... ja dla was wsio zdiełaju... no pomiłujcie, eto nie moje dzieło, eto prynadležyt żandarmskoj własti...

Za ścianą rozległo się tupanie nogami i uderzanie pięścią w stół; na którym zabrzęczały słoiki i buteleczki.

— Mnie nie do tego... ja się po żandarmach prosić nie będę...

— No to pust zajdiot wasz rodstwiennik sam...

Nastąpiła chwila pauzy i nagle rozległ się rozkaz.

— Przynieś mi pan cukierków!...

W tej samej chwili zagrzmiało, zaszumiało, zadzwoniło, jakby cały pułk kawalerii roznosił na szablach garderobę.

Władka odskoczyła i drzwi rozwarły się z impetem.

Z garderoby wypadł spocony, błyszczący, w wspinałych lakierowanych butach sam Matwiej Iwanowicz Tagiejew i rzucił się ku wyjściu, wołając:

— Konfektow!... radi Boga! konfektow!

Z brzękiem znikł we drzwiach, prowadzących na kurytarz — i natychmiast we drzwiach garderoby stanęło czarujące urodą i pięknnością kształtów kobiece zjawisko w baletowej różowej sukience.

— Władka!

Dziewczyna podbiegła trzymając się zdaleka, aby swemi przemokłemi od śniegu łachmanami nie zniszczyć świeżości tarlatanu.

— Słucham pani!

— Gdzie pan Leon?

— Jest w męskiej garderobie,

— Pobiegnij, tylko prędko... każ mu, niech natychmiast tu do mnie przyjdzie. Ty idź na kurytarz i skoro zobaczysz, że policmajster idzie z bufetu — przyleć tutaj i daj znać!...

— Dobrze, proszę pani!

Jak małe kocie, chude i zwinne, przemknęła Władka pomiędzy kulisami i znikła w drzwiach męskiej garderoby, z których buchnęło światło, gwar i dym papierosów i cygar.

Różowe zjawisko cofnęło się za drzwi i zaczęło systematycznie na pozór układać rozmaite drobiazgi, rozrzucone na haftowanej serwetce dokola ładnego dużego zwierciadła, oświetlonego mnóstwem świeczek w rozmaitego rodzaju lichtarzach.

W lustrze tem przejrzała się raz i drugi młoda aktorka. Jasna blond peruka elegancko uczesana,

nadawała dziwny wyraz jej oczom, które pomimo silnego, czarnego podkreślenia, łagodne były i pocziwe. Dolków na buzi było pełno, i na bródce i na policzkach lekko różem pociągniętych.

Dokoła tej szykownej, milej osóbkę unosiły się fale tarlatanu i zapach delikatnych perfum białej róży.

W ruchach młodej kobiety znać było wielkie zdenerwowanie i niepokój. Przekładała pudelecza i stożki, strzepywała puszek, lecz czyniła to machinalnie, bez widocznej potrzeby.

Nagle odwróciła się.

We drzwiach stał młody człowiek średniego wzrostu, jasny blondyn z dużymi szaremi oczyma.

Baletniczka uniosła się na paluszkach i pochyliwszy się ku niemu, szeptać zaczęła.

— Bądź pan dobrej myśli!... on mi da tę przepustkę!

Młody człowiek wyciągnął ku aktorce rękę.

— Jak ja pani podziękuję! — zaczął niskim, sympatycznym głosem.

— Nie dziękuj pan, nie ma za co, żebym tylko nie zapomniała, jak się pan nazywasz... Leon... Leon... Ach nie!... jak się pan ma sz nazywać: Stefan Popielawski... Dobrze?

— Dobrze!...

— Ja sobie zapiszę...

Porwała pudełko z pudrem i na denku ołówkiem do czernienia brwi zapisała nazwisko.

— Widzi pan — tłumaczyła się — ja uczę się tyłu ról, że mi się nazwiska mogą pomieszać!...

Młody człowiek patrzył na nią oczyma pełnymi smutku i zachwyty.

— Jaka pani dobra! i jaka pani dziś piękna, — wyszeptał, prawie chłonąc ją w swe źrenice.

Dziewczyna przechyliła się zręcznie, przybierając pozę kształtną, wabną, czystą w liniach i wyrazie.

— To kostium ładny, nie ja! — wyrzekła z uśmiechem.

— Kostium i pani... Wszystko takie harmonijne... nawet te ściany i to oświetlenie...

Aktorka śmiać się zaczęła.

— No... już nie ściany i nie oświetlenie! A!... dopiero odetchnę swobodnie, gdy panu już tę przepustkę wręczę...

Zastanowiła się chwilkę i dodała ciszej.

— Dlaczego pan musi uciekać?

On milczał, a milczenie to było mu bardzo ciężkie. Nie cnił, bał się powiedzieć jej całej prawdy, jej, która dobrowolnie, szlachetnie, podjęła się wyrobić mu przepustkę przez granicę i ocalić go w ten sposób od aresztowania, śledztwa, więzienia — kto wie może... posilenia!

A przecież lękał się powiedzieć jej wielkie słowo, odkryć ów powód, owe „przestępstwa“ i milczał przed tą białą, różową, pachnącą kobietą, w której drobnej rączce leżał los jego życia.

Lecz czuł, że milczeniem tem obraża ją, dotyka boleśnie duszę biednej, nieinteligentnej dziewczyny, idącej ku niemu z całym serdecznym poświęceniem siostry.

Była to krótka chwila, lecz tak wymowna, że kobieta stojąca i kształtną głowę pochyliła nagle, jakby pod uderzeniem niespodziewanej chłosty.

— A!... zaczęła zmienionym głosem — pan mi nie chce powiedzieć... pan się boi... pan mi nie...

Urwała i swe duże, ładne oczy utkwiała w ścianę z wyrazem smutnego upokorzenia.

Leon porwał się nerwowo.

— Nie! nie!.. co pani mówi! to nie dlatego... tylko... to długa historia... tu... ściany cienkie... a zresztą jeśli pani żąda...

Lecz ona wyciągnęła ręką na której zadzwonił tuzin tanich bransoletek.

— Cicho! cicho! nie mów pan nic! to twoja tajemnica... co mnie do tego.

Zamknęła na chwilę oczy i dodała:

— Ach! żeby się tylko udało!... żeby się udało!

Miała tak serdeczny ton w głosie, tak gorące pragnienie ocalenia tego człowieka, którego kilka dni temu prawie nie знаła, że sama dziwiła się tej gorączce, która kazała jej mieszać się w tę sprawę i żebrać prawie u policmajstra przepustkę dla „kuzyna, który miał jej z Krakowa przywieść aksamitu na suknię i pięć metrów koronki“. Sama wpadła na to kłamstwo prawdziwie naiwne i kobiece.

Lecz Matwiej Iwanowicz Tagiejew był w niej tak zakochany, tak „włublon“, jak powtarzał od rana do nocy, iż kłamstwo to przyjął za dobrą monetę i tylko bronił się od jej próśb wymówką, że to nie po jego „czasti“ i że to rzecz żandarmeryi a nie policyi.

W garderobie tej, kąciку małym, utworzonym ze starych płócien dekoracyjnych, cicho było jakoś i zacisznie. Nawet głosy ze sceny dolatywały tu niewyraźne i stłumione.

Aktorka i młody człowiek uczuli się przez jedną chwilę odosobnieni i złączeni jakimś wielkim węzłem gorącej, silnej sympatii.

Było to uczucie dziwne, serdeczne, gorące, pełne rozrzewnienia, a tak piękne i szlachetne, że równocześnie z niem wstąpiła w ich dusze wdzięczność za tę dobrą chwilę ich biednej egzystencji.

Aktorka wyciągnęła ku Leonowi rękę. Z ust jej wybiegł jeden wyraz:

— Biedaku!

I wielkie wspólne wzruszenie ogarnęło ich teraz i łączyło ze sobą. Ona — po kobiecemu miała serce śniśnięte myślą, iż ten chłopak krył się jak zwierz ścigany i osaczony przez tylu ludzi silnych, zbrojnych, dzwoniących szablami, ostrogami...

Rząd wydawał się jej zawsze, jak zbiorowisko olbrzymów, nasrożonych i gniewnych. Ci olbrzymi nosili wojskowe czapki i mieli szynele. W oddali migotała niepewna sylwetka, wydająca krótkie, straszne wyroki. Była to sylwetka cała jasna, jakby śniegiem przypryszona. Dokoła sterczały piki. Było to widmo nieuchwytnie i grozy pełne.

Jabłońska widziała kiedyś, dawno już, małym dzieckiem będąc, jak car przejeżdżał ulicami Warszawy...

Teraz przesunęło się to wszystko przez jej umysł z szybkością błyskawicy. Po za plecami Leona dojrzała całą chmurę szarych szyneli, rozjaśnionych błyskawicą guzików i szlif.

Ich było tylu! on był zaś sam jeden, szczupły drobny a w sercu miał niepokój postrzelonej sarny.

Szarpnęła się w niej struna tak wielkiej trwogi, jakby to ona sama ściganą być miała.

I wyciągnawszy rękę — powiedziała doń tylko jedno słowo:

— Biedaku!

On rękę tę wziął w swoje dłonie i utulił, lecz to on raczej tulił teraz swoją duszę w objęcia tej dziewczyny, której uczucia wrażliwością swoją odczuł i zrozumiał.

Zdawało mu się, że ona jest w tej chwili uosobieniem tej całej reszty, którą w tej chwili noc nad krajem zapadła do chwilowego spoczynku układa.

Jej szata lekka i taneczna kryła ciało prze-marzle od chłodu, jej usta pociągnięte farbą pragną posilku, jej oczy przed chwilą uśmiechały się do Matwieja Iwanowicza, aby dostać przepustkę ocalenia, dla niego — który jeszcze był nędzniejszym niż ona, niż oni wszyscy tam — w cieniu.

Do drzwi zakolatano gwałtownie.

— Idzie! — zawołała Władka.

— Uciekaj pan, — rzuciła Leonowi Jabłońska — i czekaj na mnie w męskiej garderobie.

Leon wyszedł powoli, nie spiesząc się.

Nie chciał sam przed sobą wstydić się swej ucieczki. Zdążył jednak wejść w cień, gdy Matwiej Iwanowicz ukazał się w świetle kinkietów przyczepionych do kulis teatru.

Matwiej Iwanowicz szedł szybko, stawiając nogi jak panna w tańcu.

Był to prawdziwy typ piechotnego oficera rosyjskiego, trochę kokieta i starającego się usilnie „uwlekać“ kobiety i robić konkiety. Twarz miał brzydką i wiecznie spoconą, tak, że nawet na mrozie świeciła się nadzwyczajnym blaskiem. Oczy nie duże, szare, bez wyrazu. Włosy zawsze jakby zmoczone i do wypukłego czoła przylegające.

Matwiej Iwanowicz wiedział, że jest brzydki, lecz zarazem wiedział, że jest zgrabny i foremnie złożony.

Krój jego mundurów, czystość guzików, słowem szyk owej formy, tak bardzo drogiej sercu każdego służącego w wojsku, a nawet w policyi Moskale, był bez zarzutu i o ile możności elegancki.

Gdy Matwiej Iwanowicz szedł na Rynek sprawdzić, czy rzeczywiście duża świnia pędzona na targ, rozsiadła się „nieprzylicznie“ na chodniku, zamianowanym bulwarem, po którym nadeptywała sobie na pięty, między czwartą a piątą, inteligencya miejscowa, ubranie policmajstra było tak czyste, eleganckie i piękne, jakby Matwiej Iwanowicz szedł na *jour-fixe* do samej pani gubernatorowej.

Na rękę nosił pan policmajster bransoletkę srebrną z dużą kulą, na palcu piątym u lewej ręki pierścioneł z turkusem, którym starał się intrygować damy swoich myśli.

A dam tych było dużo, ile gwiazd na niebie, przynajmniej tyle, ile aktorek przejeżdżało przez miasteczko N., lub ile żon urzędników spacerowało po bulwarze, pomiędzy czwartą a piątą godziną.

Zawsze i wszędzie był Matwiej Iwanowicz wлюбion.

I wлюбienie to objawiało się bzikami tak gwałtownymi, że na pewien czas żydzi nie terroryzowani przez pana Policmajstra, zajętego myślą gdzie indziej — oddychali i rozpoczynali mieć nadzieję na dziei, że kieszenie ich mniej będą suszone, a oni sami będą swobodniejsi przez czas jakiś.

I teraz miłość dla panny Jabłońskiej ogarnęła płomieniem całego Policmajstra.

Biegał z teatru do kancelaryi — z kancelaryi do teatru.

Pędzał „garadawych“ — z wachlarzami, dwoma funtami herbaty, funtem czekoladek, albumem grającym i setką papierosów.

Wszystko to były prezenta wzięte ze sklepów na kredyt i „od czystego serca“ złożone u stóp aktorki.

Ona śmiejąc się, prezenta odsyłała, a policmajster wydierał sobie włosy, wołał „nie wydierzu“ wylewał na siebie flakon zwietrzalnych perfum, wziętych na kredyt u Mordki Fiszbejna i biegł do teatru, gdzie starał się zwrócić uwagę publiczności skrzypieniem butów, brzękiem ostróg, teroryzowaniem stójkowego i lataniem za kulisy.

Jednem słowem był to „wziatocznik“ pierwszej rangi, czuły i sentymentalny, śmieszny i często glupotą swą szkodliwy. Starał się zająć pierwsze miejsce w miasteczku i czynił to brutalnie i bezwzględnie.

Wystarczyło spojrzeć tylko na twarz żyda rekwizytora, gdy Matwiej Iwanowicz przechodził мимо niego, trzymając w czapce pudelko cukierków. Twarz ta zmieniła się w jednej chwili, przedłużyła, wyciągnęła. Z drugiej strony kulisy, jedno z paradnych futer także starało się zginać, zmniejszyć, aby nie znaleźć się na drodze p. Policmajstra.

On szedł wprost do drzwi garderoby, uśmiechnięty, rozradowany.

Postawił pudelko cukierków na stole i natychmiast zaczął szeptać z uśmiechem.

— Wot konfekty... a czto kasajetsia legitimacjonawo bileta dla waszewo rodstwiennika wy budietie jewo imiet.

Aktorka zaledwie zdołała ukryć swą wielką radość.

— E... naprawdę? — spytała.

— Jej Bogu! — odparł Matwiej Iwanowicz — ja wot wstriedił w bufecie kapitana żandarmów i on mnie abieszczal eto zdielat'. — No... kak jewo familia, wy mnie nie skazali!

Jabłońska chwyciła pudeleczek z pudrem.

— Stefan Popielawski!... — wyrzekła szybko.

— Nu... prekrasno! — szeptał policmajter — a tolko pomnitie, czto eto na tri dnia. Czestnoje slowo... on wierniotsia czeres tri dnia?

Jabłońska śmiać się zaczęła.

— Ale czestnoje slowo! — zawołała — wróci, a jakże... wróci...

I nagle przypomniawszy sobie, dodała.

— I aksamit mi przywiezie... i aksamit!...

Orkiestra za kurtyną zagrzmiała nagle fałszywie mazura.

Matwiej Iwanowicz zadzwonił w ostrogi.

— Mazurka! — zawołał z animuszem — czudnaja mazurka...

I widząc, że Jabłońska śmieje się ciągle, patrząc na niego z pod rzęs silnie uczernionych, z galanterią wyciągnął swą rękę.

— Izwoltie pocielowat' waszu ruczku! — wyrzekł z namiętnem uwielbieniem.

Lecz ona, śmiejąc się ciągle, potrzasała rękami, które wzniosła do góry, niby broniąc je od natarczywości pana policmajstra.

— Będę miała aksamit! będę miała aksamit — powtarzała w takt mazura.

II. Propaganda i buntownicy.

Na ulicach było zupełnie ciemno i blado żółte punkta świateł latarnianych zaledwie przebijały mgłę ciężką i cuchnącą, smutną, która wśród domów się snuła. Leon wyszedł na ulicę, starając się zamykać cicho drzwi, prowadzące ze sceny.

Stróż gasił właśnie latarnię, zawieszoną u wejścia.

W oddali dzwoniły gdzieś sanki, mknące po grudach śnieżnych.

Naprzeciwko teatru, w mieszkaniu mirowego sędzicho świeciło się jeszcze w jednym z okien.

Bardzo daleko czerniał jakiś cień.

Był to stójkowy, ziębnący w śniegu, jak słup cmentarny, nieruchomy i milczący.

Leon postąpił kilka kroków, otulając się w swe podniszczone palto i kryjąc twarz w kołnierz barankowy.

Nisko na czoło nasunął czapkę z fałszywych karakułów i ręce schował w rękawy palta.

Ze drzwi, prowadzących za kulisy, wyszło kilku maszynistów, odzianych w palta i kurtki podszyte wiatrem.

Milcząc, gęsiego skierowali się w stronę Rynku.

Na ostatku szedł ów maszynista, poznaczony bliznami na twarzy.

— Pan na kolację? — zapytał Leona ochryplym głosem.

Leon drgnął nerwowo, tak niespodzianie głos ten odezwał się tuż koło niego.

— Tak... — odparł — pójdę... może...

Maszynista zatrzymał się i kołysząc się na szeroko rozstawionych nogach, dodał.

— Bo... pan wie. Jeżeli my pierwsi wrócimy, to my panu otworzymy, a jeżeli pan, to... już pan nam otworzy!

I schyliwszy się pod rodzaj pomostu, który prowadził do głównego wejścia, wyrzekł tajemniczo.

— Klucz bandzie tu, pod mostkiem.

I oddalając się już, rzucił jeszcze więcej tajemniczo.

— To bez te psia krewskie złodzieje, co mogą rekwizyta, a bo co po nocy ściągnąć.

Leon długo wpatrywał się w szereg tych ciemnych postaci, niknących w cieniu.

Zapomniał o zimnie, o ciemnicy wilgotnej, o przepustce — o jutrze...

Widział tylko, jak szereg ludzi czarnych, milczących, zgarbionych, zanurzał się w szarą, gęstą mgłę i nikł tajemniczo, jakby w otchłani.

Jeszcze chwila, jeszcze kilka plam i znikli, jak widzenie senne.

— Nie ma już ich! — wyrzekł półgłosem, jakby z żalem za tymi ludźmi, których nie znał i znać nie pragnął.

— Ich nie ma, ale ja jestem! — odezwał się głos stłumiony po za jego plecami.

Leon odwrócił się szybko.

— To ty!...

Pochwycił ramię wyciągnięte ku niemu szczerym, gorącym giestem.

— To ty!... — powtarzał w radosnem uniesieniu.

Lecz ten drugi wzruszył ramionami.

— Rozplacz się teraz, jak baba z radości, że mnie widzisz... — wyrzekł ironicznie, lecz i jemu młody głos drżał od wzruszenia.

Leon tłumaczyć się zaczął.

— Co chcesz... te dwa dni były dla mnie bardzo ciężkie... Sam jeden, niepewny, co się ze mną stanie, chowam się po kątach, jak pies wściekły... Widzisz — mimo wszystko, jest się człowiekiem, więc gdy cię zobaczyłem, ucieszyłem się bardzo. Nie gniewaj się, Jasiu!

Jaś znów wzruszył ramionami.

— Cóż począć z tobą, mazgaju. Widzę, że trudno ci przyjdzie nabrać hartu, a jakoś zaczyna się tak twoje życie składać, że ci dużo hartu będzie potrzeba. Zresztą... to już twoja rzecz... A teraz... chodź trochę dalej — w cień. Idąc, bezpiecznie rozmawiać... chodź!

Poszli, snując się pod murami domów ostrożnie i rozmawiając prawie szeptem.

Widoczne było, iż mieli wprawę w takim tańcu chodzeniu po ciemnych zaułkach, ścinając głos, gdy szli mimo nisko osadzonych parterowych okien lub bram.

Obaj mieli jednakowo wytarte ubrania, okrywające młode ciała, zgięte od długiego ślęczenia nad książką i tego jakiegoś, choć niewidzialnego ale moralnego ucisku, który kładzie swe niezatarte fizyczne piętno na wszystkim, co pod swoją potęgę

zagarnia. Coś — nie dozwalało tym młodym czołom wzniesć się swobodnie w górę, aby myśl, którą kryły, czytać się mogła w kryształowej jasności wolnego światła. Plecy pochylone zdawały się dźwigać ciągle jarzmo, pierś zapadła kryła serce ściśnięte goryczą i żalem.

Chód ich niepewny i wahający, to znów znudzony, był wlekącym się chodem stworzenia, przywykłego iść po ciasnej desce despotyzmem narzucanego programu życiowego. Fizycznie odbijały się jak w zwierciadle stany ich dusz, pochylonych, jak ich plecy, ściśniętych, jak ich serca, gnanych wśród wytoczonych punktów, jak ich kroki.

Leon zdawał się cieniem Jasia, Jaś cieniem Leona.

I w tej gluchej ciemnicy nadgranicznego miasteczka, nie zdawali się być już ludźmi żyjącymi, lecz znękanymi, młodymi cieniami tych, którzy już także tylko cieniami dla kraju byli.

Lecz na pozór tak podobni, różnili się subtelnie nadzwyczaj delikatnymi rysami.

Leon zdawał się ciągle tonąć w rozmarzeniu, głos jego był miękki i tylko chwilami, pod wpływem słów przyjaciela, nabierał chętnych do czynu dźwięków.

Jana rozmarzenie zdawało się rwać ku górze, nie ciągnąć wśród tumanów mgły i ospałości. Mówił prędzej, gesta jego były nerwowe. Widać było, iż ten spodziewał się, walczył, pragnął...

Uradowany nadzieją dostania dla Leona przepustki, zaczął iść rażniej, śmieiej.

— Dobra dziewczyna! — powtarzał o Jabłońskiej — dobra, ona dotrzyma słowa. Widzisz, jak dobrze się stało, że się do niej skierowałem!

— Gdzie ty się z nią poznałeś — zapytał Leon.

— O! w Częstochowie. Przyjechała z trupą Żołokńskiego. Kochałem się w niej... Byłem wtenczas w czwartej klasie...

— Nic mi o tem nie mówiłeś.

— Mój drogi! to głupstwo, nad którym się nie warto zastanawiać... Zresztą ty zawsze zdawałeś się planować w przestrzeni. Potem, gdy ona była drugi raz w Częstochowie, właśnie wtedy nastąpiła... katastrofa.

Zamilkli obaj.

— Tak... katastrofa! — dorzucił wreszcie Leon.

I była to rzeczywiście katastrofa w ich życiu to „wypędzenie“ z gimnazjum za utworzenie komitetu „oświaty ludowej“, który miał zająć się rozprzestrzenieniem książeczek, w gruncie rzeczy niezmiernie niewinnych, pomiędzy chłopami i robotnikami fabryk, osiadłych dokoła Częstochowy.

Komitet złożony z pięciu biednych chłopaków, których całym majątkiem były seyzoryki, piórniki, trochę książek i najpiękniejsze serca, jakie być mogły pod obszarpanym i zniszczonym mundurem — nie był niebezpiecznym dla olbrzyma-Rosyi.

Chłopcy nie mieli funduszków na drukowanie owych książeczek — nie mieli nawet na tyle pieniędzy, aby kupić sobie hektograf — lecz tak gorące było ich pragnienie „działania“, że postanowili pisać sami „drukowanymi literami“. I zabrali się do dzieła z radością, z chęcią, z zapalem.

Pracowali wreszcie „dla kraju“, wprowadzali w czyn marzenia, które każdy dzieciak nosi u nas w swej biednej piersi. Pochyleni nad kartkami, starali się doprowadzić do doskonałości naśladowanie

druku. Gdy pierwsza książeczka ukończoną została, uczuli wielką dumę. Tekst książeczki ułożył Leon z pomocą Jasia. Leon od dziecka zdradzał zdolności pisarskie. W klasach uchodził już za... literata. Traktowano go nawet jako romantyka. Profesorowie mówili o nim:

— Eto idealist...

On więc, nie kto inny, miał być autorem książki.

Lecz chłopcy czuli sami, iż należy nałożyć pęta niepoprawnej imaginacji Leona. Jaś zawyrokował, że nadto sentymentalizmu zostanie niezrozumianem przez chłopów.

— Należy mówić trzeźwo i rozumnie — zawyrokował, występując w roli chłodnego rozsądku — niech Leon napisze, a ja poprawię.

Leon napisał — Jaś poprawił.

Lecz to, co oba uczniowskie mundurki wymyśliły, było tak naiwnie czyste, piękne, gorące, że chłodny rozsądek nie miał z tem nic wspólnego.

Mimowoli i Jasia uniosła, porwała gorączka uczucia i książeczka mówiła chłopom o Polsce, która była, jest i będzie. Kazała im kochać ziemię nie dlatego tylko, że daje ziarno na chleb, rodzi kartofle i rzepę, ale dlatego, że to jest nasza ziemia, biedna ziemia, niewolna ziemia...

W dwa miesiące później pięćdziesiąt egzemplarzy gotowych leżało w piwnicy domu, w którym mieszkał Jasio, leżało w starym szafliku, napelnionym ziemią i gałganami.

Komitet naradzał się obecnie nad sposobami propagandy. Najbardziej romantyczne projekta były podsuwane. Wreszcie postanowiono przypuścić do tajemnicy kobiety, to jest pensyonarki, siostry Jasia,

ich przyjaciółkę pannę Kornblum, żydówkę, dziewczynę bardzo inteligentną, i za ich pomocą wejść w porozumienie z chłopami.

— Bez bab nie damy sobie rady — zakonkludował Jaś, stawiając swój wniosek.

Lecz nagle tejsze nocy zadźwięczały dokoła domu Jasia ostrogi i rozległ się krzyk przestachu matki i sióstr, gdy zabrano chłopaka i odstawiono do „Gubernij“.

Książeczki znaleziono łatwo, współników zaaresztowano tejsze samej nocy.

I po kilkumiesięcznem więzieniu Jaś, Leon i cały komitet wypuszczeni na wolność, ujrzeni się „wyrzuceni“ z gimnazjum z ostrym zakazem nieprzyjmowania ich więcej do żadnych naukowych zakładów w obrębie państwa rosyjskiego.

Bogatsi z członków komitetu wyjechali za granicę, biedniejsi jak Jaś i Leon pozostali w kraju, wykolejeni, bez przyszłości, starając się dopełniać swego wykształcenia, pomagając sobie wzajemnie. Rodziny ich ofiar dla nich ponosić nie mogły. Walczono z niedostatkiem. Ojciec Jasia był urzędnikiem biednym i mało płatnym. Wobec żandarmów, biorących syna, drżał nie tylko o Jasia lecz o przyszłość całej rodziny, groźba wypędzenia ze służby zawisa nad jego głową.

Protekcją został się na miejscu.

W głębi duszy musiał zataić swe uczucie dziwnego rozrzewnienia, jakie go ogarnęło, dowiedziawszy się o winie syna. Pułkownik żandarmeryi z łaskawą dobroduszością nakłaniał go do surowej nagany, skoro syn do domu powróci. Ojciec Jasia

przysiękł, znalazł nawet już w tej kancelaryi prowincjonalnego miasteczka słowa udanego oburzenia.

— Niech pan pułkownik będzie spokojny, ja mu natrę uszów... Odechce mu się zajmować czem innem, jak nauką.

Pułkownik ładnym, okrągłym gestem, starał się uspokoić tę porywczosć zbytęzną.

— Tylko nie za wiele — mówił uprzejmie — my go tu trochę potrzymamy, to już dobrze na niego wpłynie. Ja mam więcej takich wychowanców i staram się wpłynąć na nich w odpowiedni sposób.

Słońce zimowe iskrzyło się na szybach okna setkami brylantów.

W oddali dzwoniły sanki i słyhać było gwizd kolei. W kancelaryi było cicho, ciepło i elegancko. Krzywe podłogi założono dywanem, ciężkie firanki zakrywały małe i niezgrabne okna.

Pułkownik siedział w swym fotelu, zasunięty, jak kot.

Przed nim leżało dużo, bardzo dużo papierów, poprzeciskanych marmurowymi i szklanymi przyciskami. Ojciec Jasia wpatrzył się w te papiery, jakby magnetyczną ciągniony siłą.

Co w nich było? Ile tajemnic, ile rozkazów, ile dowodów...

Duży lachmaty pies leżał pod piecem, spokojny w tej atmosferze niepokoju i trwogi, która pozornie tak łatwą do zniesienia, a nawet przyjemną była.

Ojciec Jasia słuchał głosu pułkownika, miękiego, grzecznego głosu, dobrze wychowanego człowieka, a w duszy jego drżało jedno ciągle pytanie:

— Wyrzucą mnie z miejsca, czy nie wyrzucą?

Pytać nie śmiał, nie chciał, bał się wyczytać z gładko ogolonej twarzy Iwana Władimirowicza Illicza, wyrok, skazujący go na bezczynność i cale gniazdo na niedostatek i walkę.

Iwan Władimirowicz Illicz był to sprytny i obrotny w sprawach żandarmskich dyplomata.

On — bawiąc się teraz kościanym nożykiem do przycinania kartek, wiedział, na jakiej szpilce drży w tej chwili serce tego człowieka, który w wytartym surducie siedział naprzeciw niego na kraju, safianem wybitego krzesła.

— Tak... ot i pana syn stał się moim wychowancem! — dorzucił Illicz — no nie żelałby ja drugi raz się z nim spotkać...

Zawiesił głos i wreszcie dodał:

— A i dla pana to nie wyszłoby na dobre!

Serce ojca Jasia ścisnęło się szaloną trwogą. Przed oczyma zastąpiła mgła.

Illicz nie patrzył na niego. Teraz uważnie przecinał stronicę malej żółtej książeczki, wydanej w Genewie a noszącej tytuł:

„Paweł II. — jewo żyźn, lubownica i ubijstwo“.

— Tak! — ciągnął dalej, zdając się równocześnie czytać w kartkach książki — dalsze nieposłuszeństwo syna pociągnęłoby i dla pana dużo nieprzyjemności. Ot — ja pana ostrzegam i wypuściwszy chłopca, pana ręką go zdaję... Pan już niech go prowadzi i chłopocze, aby znów Jaś nie popadł do mnie na wychowanie. Pan teraz i nie winien, bo pan o niczem nie wiedział, co dzieci tam w szkołach uradziły, ale teraz pan już ostrzeżony i pan winien nad synem czuwać i....

Poprawił się na fotelu — zamknął „Żyźn Pawła“ i wziął w rękę drugą żółtą książeczkę.

Na okładce widniał napis:

„Ekaterina II., jej żyźn, lubowniki i ubijstwo“.

— I tak... Pan nam odpowiesz za jego przysze postęпки.

Słowa te zadźwięczały jak uderzenie suchej, grubej palki o czaszkę urzędnika, który pozornie nie zdawał się uczuwać trwogi i tylko uciskał wargi, aby Illicz nie widział ich nerwowego drżenia.

— Ja postaram się! — wyrzekł wreszcie i powstał, lękając się dowiedzieć coś więcej, domyśleć, spojrzawszy na twarz pułkownika.

Lecz twarz ta była uprzejma, grzeczna, rozjaśniona jakimś wewnętrznym zadowoleniem. Tylko oczy zapadły pod gęstemi, siwemi brwiami migotały jak ukryty ogień, mogący w każdej chwili rozniecić straszny pożar. Z oczów tych szła pożoga, niweczająca czyny, zamiary, myśli ludzkie. W oczach tych była przepaść ciemni więziennych i komnat śledczych. Długie franki rzęs przysłaniały te oczy przed wzrokiem ludzi, lecz przysłaniały niedostatecznie.

Ogień migotał i — groził.

Illicz powstał także z fotelu grzeczny i uprzejmy.

Obaj ci ludzie czuli, iż po tem, co zaszło, nie mają sobie nic więcej do powiedzenia.

Illicz mógł powrócić do „Żyźni i ubijstw“, które niebacznie chciała przewieźć przez granicę młoda żona miejscowego lekarza w kieszeni modnie skrojonego żakieta, a ojciec Jasia powinien był

udać się na swoją stację kolejową i tam przygotować system nowego wychowania syna.

Rezultatem tego systemu było, iż biedny urzędnik, zobaczywszy syna, wysiadającego z wagonu, porwał go w objęcia i powłókszy do stancyjki telegrafisty, całował długo i gorąco.

Wymówek mu robić nie mógł — nie śmiał, tak porwała go w gruncie rzeczy jasność, bijąca z czynów i pragnień chłopca.

Później już tylko, późnym wieczorem, siedząc na łóżku syna, opowiedział mu swą bytność w żandarmerji i rozmowę z pułkownikiem.

Nie dodał nic, mówił nieśmiało, powoli, jakby wstydząc się za siebie i za swoje słowa. Jaś nie odpowiedział nic — lecz silnie uściśnął gorącą dłoń ojca.

Ci dwaj — młody i stary, zrozumieli się. Młody ustąpił i od tej chwili nosił w piersiach grób pragnień i chęci.

Oczy mu pociemniały i twarz postarzała w tej walce z młodością i wielką, olbrzymią tkwiącą w niej siłą.

Leona nikt po wyjściu z cytadeli nie witał, w objęcia nie brał i... nie gromił.

Chłopak był sam — opiekował się nim tylko wuj, mający hotelik w Kielcach. Opieka ta ograniczała się do niewielkiej pieniężnej pomocy. Wezwany do gubernii, całą odpowiedzialność za postępowanie chłopca ze siebie zrzucił i co do jego przyszłości mieszać się nie chciał.

— A mnie co do tego! powtarzał uparcie — niech sobie robi co chce... jak sobie pościele, tak się wyśpi.

— Pan będziesz za niego odpowiadał!

Polkowicz wzruszył ramionami.

— A to co znowu! — odburknął zuchwale — ja odpowiadam za moich kelnerów i dziewczki, co myją talerze i za masło, na którym się smarzą moje sznyce. A ten smarkacz to ani mój syn, ani nie w moim hotelu. Nie odpowiadam za niego i koniec!

Polkowiczowi mundur fioletowy nie imponował.

Nie straszło go widmo cytadeli, którą nazywał „faramuszki“. Cały zajęty swym hotelem i ulepszeniami, jakie zaprowadzić w nim pragnął, niecierpliwił się, że mu tyle czasu zabierano.

Leon miał u niego pozostałe po rodzicach kilkaset rubli.

To był cały jego majątek, z którym miał wywalczać sobie „pozycę“.

Chłopak zaczął wywalczenie od pisywania korespondencyi do zagranicznych gazet.

Zatytułowane „z Królestwa“ — pisane z artystycznym zakrojem, były czytane cheiwi i zwróciły ogólną uwagę.

W piersi Leona serce biło, jak ptak spłoszony.

I lęk i radość przejmowały go równocześnie, lecz radość przeważała.

Widział swą myśl nieskrępowaną łańcuchem cenzury, swobodną, bijącą w górę silnym prądem. Po raz pierwszy doznał owego upojenia wolności myśli, nie obliczał słów, nie cofał pióra — pisał co chciał... jak chciał...

Był pijany po prostu tem szczęściem, tą swobodą. Rozwinał skrzydła, talent jego zajaśniał nagle, wydobyty z oków mileczenia. Myśl jego szła prosto z serca wolna, pełna uczucia i siły. Marzył o wiel-

kiej powieści, o szeregu nowel, złączonych ze sobą jak ogniwa kajdan, o dramatach, mogących być epeją wielką, nigdy nie gasnącą...

I rzeczywiście, w jednym z pism lwowskich pojawiły się dwie nowelki, jedna od drugiej piękniejsza, porywające wielką wiarą, bez trwogi omawiające stosunki w Królestwie, w pięknej, artystycznej formie.

Były to stosunki szkolne — kaganiec obcej mowy, włożony gwałtem na dziecięce usta, niewolniczy ubiór wolnych więźniów nieletnich, modlitwa przedlekcyjna, wygłaszana w formie urzędowej — pierś nierozwinięta jeszcze, a już spętana uciskiem i ciągłą obludą. Leon dzieckiem jeszcze prawie skarżył się w swoich nowelkach, spowiadał z wrażeń, jakie odnosił od chwili nauczania się pierwszych liter alfabetu, a czynił to prosto, naiwnie, prawie instynktem chwytając najpiękniejszą formę i styl nie przesycony wyrzeźbionymi zwrotami.

Dziecinny pseudonim, jaki obrał, podpisując się „Orliński“ — odkrywał chęć lotu, artyzm jeszcze w kolebce, coś, co się szarpie, rwie i szamocze w duszy pół dziecka, pół człowieka.

Jedna z nowelek opowiadała wrażenia z cytadeli odniesione.

Nie było tam mowy o torturach, o knutach, lecz zmęczona samotnością dusza dziecka, zamknięta w ciasnej klatce więzienia, skarżyła się tak boleśnie i szczerze, że każde słowo było tu poematem i oskarżeniem.

Przyzwyczajony od dziecka Leon zamykać w sobie myśli i ważyć słowa, nawet i teraz, gdy zrzucił ze siebie wiążące go pęta cenzury, nie umiał

deklować i upajać się czezą igraszką słów. Fakta mówiły same za siebie. Artystyczna jego natura nie pozwalała na sentymentalizm bezpłodny, raczej nerwowe czuć było w każdym słowie drganie młodego umysłu.

Nagle — dano mu znać, iż pseudonim jego odkryto i żandarmerya robi starania, aby wydostać jakim sposobem choć kilka wierszy manuskryptu nowel lub korespondencyj i w ten sposób mieć dowód, że on jest autorem potępionych utworów. Do Galiicy wysłano nawet kogoś, aby manuskrypt wy dostał, w razie potrzeby odfotografował.

Należało uciekać jak najspieszniej po za granice kraju.

O paszporcie i mowy być nie mogło.

Szło o przejście granicy pod obcym nazwiskiem. Jaś przypomniał sobie swą znajomość z Jabłońską i ku niej skierował przyjaciela.

Teraz — sam przybył do owego nadgranicznego miasteczka, gdzie już trzeci dzień wśród maszynistów teatralnych przebywa Leon, oczekując na dostanie przepustki.

I w nocy, w ciemni wilgotnej idą obaj uliczką miasteczka, a zdaleka sterczy sylwetka „gorodawago“ w swej długiej, niewolniczej szyneli.

— Byłeś u wuja? — zapytuje Leon.

— Byłem. Przywiozłem ci dwieście rubli. Hotelarz rzucił się i złościł...

— Powiedziałeś mu wszystko?

— Piąte przez dziesiąte. Co mam z nim gadać, on przecież nic nie rozumie... Krzyczał: a niech sobie jedzie! a niech już raz się pozbędzie tego kłopotu...

Jaś wy dostał z bocznej kieszeni nie dużą kopertę.

— Masz twoje pieniądze!

Leon pokiwał głową.

— Zdawało mi się, że miałem trochę więcej. Ale niech tam!... dobrze, że i to dał!

Schował pieniądze.

Jaś upomniał go natychmiast tonem starszego brata:

— A nie zgub, bo to cały twój majątek.

— Och! ja tam pracę znajdę.

Jaś przyświadczył z wielką pewnością siebie.

— Naturalnie... tam nasi ci dopomogą!

Wrócili się znów na dawną drogę, bo zdaleka migotały ognie jakiegoś jasno oświetlonego domu.

— Jak ja ci zazdroszczę... — zaczął Jaś, mimowoli podnosząc głos. — Boże! jak ja ci zazdroszczę... będziesz pomiędzy nimi, wolny, swobodny — będziesz z nimi razem pracował dla sprawy, pisał...

Leon pochwycił Jasia za ramię.

— Jedź ze mną!

Jaś zatrzymał się i zwrócił twarz swą w stronę Leona.

— Za co?

— Pieniądze, które mi przyniosłeś, dla nas dwóch na drogę wystarczą...

— Nie! nie! to twoje, tobie tam będzie potrzeba... ja później przyjadę!

Leon gorąco podchwycił:

— O tak! tak! przyjedź — ty nam tam będziesz potrzebny... konieczny nawet.

Mówił już nam, indentyfikując się poniekąd z ową „partią“, o której istnieniu wiedzieli oddawna i marzyli, nie znając dokładnie ani celów, ani środków owej partii.

Dla nich wystarczała ta myśl, iż w kraju wolności, równości i braterstwa żyła i działała pewna ilość Polaków, złączonych jedną ideą — miłości dla kraju.

Leon już się czuł ich, już był myślą z nimi i mówił Jasiowi: „ty nam będziesz koniecznie potrzebny“.

Do czego? na co? nie wiedział...

Nagle — umilkli.

Ostrogi zabrzęczały w oddaleniu.

Chłopcy podnieśli instynktownie kołnierze palt, zgarbili się, pochyłili czoła.

Równe, eleganckie kroki wydzwaniały ostrogami rodzaj marsza po obłożonych flizach miasteczka.

Jaś i Leon szli naprzód, jakby gnani niewidzialną siłą. Ostrogi były tuż za nimi — wreszcie zrównały się i chwileczkę zwolniły tempa, jakby zastanawiały się koło tych dwóch zgarbionych i milczących postaci, idących trwożliwie koło murów domostw.

Był to sam Matwiej Iwanowicz Tagiejew, który wypiszy riumkę smirnówki w restauracji i przekonawszy się, że wszystko w mieście jest w porządku, powracał do swego mieszkania, marząc o Jabłońskiej, jej zgrabnych rączkach i nóżkach i czerwonych, jak malina ustach.

Węchem policyanta przeczuł coś „nieczystego“ w tych dwóch chłopcach, którzy chcieli widocznie przejść mimo niego niespostrzeżeni.

Nie odwrócił jednak głowy, a tylko w ciemni ulicznej szukał stójkowego, któremu by powierzył opiekę nad spotkanymi.

Jaś i Leon instynktownie zwolnili kroku.

Policmajster szedł szybko, starając się być eleganckim i szykownym nawet w nocnej mgle.

Gdy oddalił się, Jaś odezwał się prawie szeptem:

— Trzeba się nam rozstać. Ja wracam na „banhof“. Za pół godziny odchodzi pociąg.

Leonowi ścisnęło się serce.

Ten Jaś — to była jego przeszłość, najpierwsze i najpiękniejsze porywy serca — to było to, czego się nie zapomina.

— Tak... musimy się rozstać! — powtórzył ze smutkiem.

— Tylko proszę cię... nie zaczynaj się mazać! — szeptał Jaś z udaną energią — i pamiętaj sobie to, co ci mówię: nie daj się zbyt sentymentom! Ty jesteś romantyk! Ciebie ten romantyzm zje i zgubi... Ja ci to w klasach zawsze mówiłem!...

Leon nie odpowiadał. Dławiły go łzy. Chętnie porwałby Jasia w objęcia i wypłakał się na jego szyi. Ale Jaś zdawał się być ze skały wykuty i gościem energicznym i prawie męskim podał Leonowi rękę.

— Jedź!... pisz pod wiadomym ci adresem... i stań się tam kimś, rozumiesz... kimś, z kogo nasza klasa będzie dumna.

Po chwili dodał:

— Wtedy ja także tam przyjadę!

Ostrogi, które jeszcze ciągle brzęczały w nocnej ciemni, nagle brzęczeć przestały.

Wprawne ucho Jasia pochwyciło ten szczegół.

— Bądź zdrow! — wyrzekł szybko i zanim Leon zdolał się opamiętać, Jaś rzucił mu się na szyję dziecinny, miłym ruchem i całować go począł.

— Bywaj zdrow... mazgaju! — wyszeptał mu nad uchem.

I szybko znikł w małym zaułku, prowadzącym do dworca kolei.

Leon powiódł po twarzy.

Była cała od łez.

Jego? Czy Jasia?

Już nawet rozróżnić nie mógł, tak były te łzy podobne, gorące i czyste.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew dopadł wreszcie przy wejściu do rynku Iwanowa Matwiejewicza Siemipudowa, stójkowego, dyżurującego tej nocy na ulicach miasteczka.

Jeszcze nie zdążył otworzyć ust i przykazać stójkowemu, aby dał baczenie na tych dwóch ludzi, idących chyłkiem pod ścianami domów, gdy Iwan Matwiejewicz Siemipudow, chłop rosły, baczysty i na kapuście wychowany — wyprężył się konwulsyjnie i salutując, zająwił.

— Imieniu czest' dolożył' Waszemu Wasokomu Blagorodju czto sobaka apotifera zbiesilaś i bie-gajet po gorodu.

Oczy policmajstra zaświeciły od radości.

Przed nim mignęły rozkoszne obrazy polowania na psy wściekle, strzelby, obnażone szaszki, tłum żydów, krzyczący, jakby go ze skór obdzierano, i między niemi on, Matwiej Iwanowicz Tagiejew, grający rolę zbawcy i pogromcy dzikiego zwierzęcia.

Matwiej Iwanowicz uprawiał ten sport z dziwnem zamiłowaniem. Skoro się pojawił pies podejrzany o wściekliznę, biegł, chwycił za strzelbę i upojony nadzieją zwycięstwa, pędził na czworonoga.

I teraz przechylił natychmiast głowę na bok z junacką odwagą i przechwałką.

— Zawtra utrom ustroim achotu! — wydał rozkaz krótko i dobitnie — sabrat' ludiej!

Stójkowy nieruchomy jak słup soli odparł:

— Słuszajus wasze Wysoko błagorodje!

I policmajster pomknął w stronę rynku, zapomniawszy o Leonie, o Jasiu — o dwóch podejrzanych indywiduach, snujących się w cieniu.

Wszedłszy do domu, do swej kancelaryi, zaczął oglądać strzelby i dobywać naboje. Spróbował nawet duży kordelas, który kiedyś służył jakiemuś obywatelowi — na dziki — a dziś nad otomanką w gabinecie policmajstra w towarzystwie szpicrut, pistoletów, floretów i jednej prawdziwej polskiej karabeli stał się postrachem dla dzieci Matwieja Iwanowicza.

Matwiej Iwanowicz był wdowcem i ojcem kilkorga drobnych dzieci. Chował je starannie i nawet zbyt kownie. Aby zdobyć dla nich środki egzystencyi, nie zawahałby się spełnić największą podłość, przywiązaną do swego urzędu.

Tymczasem Leon doszedł do drzwi teatru i cofnął się mimowoli, widząc jakąś postać ciemną jakby przylepioną do ściany domu.

Na odgłos jego kroków postać oderwała się od ściany i pobięła ku niemu.

— No... chwalić Boga! — wyrzekł głos kobiety — a bo myślałam, że pan już nie przyjdzie!

Leon zbliżył się. Poznał Władkę i mimowoli uśmiechnął się na widok dziewczyny.

— Niech no pan pójdzie na scenę, bo ja coś dla pana przyniosłam.

Leon zadziwił się tem objawieniem.

— Cóż takiego?

Lecz dziewczyna tajemniczo pokręciła głową.

— To pani przysła — tylko już pewnie do cna wystygło.

Leon schylił się pod mostek, wziął klucz i otworzył drzwi, prowadzące do wnętrza teatru. Zgnile, piwniczne powietrze buchnęło całym kłębem na zewnątrz.

Leon wszedł na schodki, prowadzące na scenę. Na desce stała mała latarka, w której paliła się świeca. Młody człowiek podniósł w górę latarkę oświetlając drogę, po której szła Władka. W słabem świetle dostrzegł, że dziewczyna cała sina od chłodu wydobywa z pod chustki talerze, związane serwetką i małą flaszczkę.

— Cóż to? — zapytał.

— To pani ze swojej kolacyi przysła panu kotlet i bułkę. A tu — w tej flaszcze jest trochę koniaku. Tylko pani przeprasza, że to taka flaszcza od wody kolońskiej — bo pani innej nie miała...

Zaśmiała się, postawiła talerze na teatralnym stole, stojącym na środku sceny i owinąwszy się w chustkę, dodała:

— A zresztą koniak, a woda kolońska to wszystko jedno... tylko jedno pachnie a drugie nie...

Obejrzała się dokoła z rodzajem przestrachu.

— Strasznie tu pusto po nocy w teatrze... pewnie nie długo maszynisty wrócą z zynku,

to będzie panu weselej... — Ja już pójdę. Niech pan zje i zdrów spi.

Nie odchodziła jednak i nagle wyciągnęła rękę z jakimś świstkiem papieru w palcach.

— Niech pan przeczyta! — wyrzekła — wtykając mu paperek w rękę.

Leon nachylił się nad latarką i czytał.

— Waleryanu za 20 kopijek!

Władka z ważnością palec do góry podniosła.

— To pani moja taka mądra! Pani mówi — o Władka, jakby cię garadowy spotkał, a spytał, gdzie cię dyabli po nocy niosą, to ty powiedz, że moja pani ma spazmy i ty lecisz do apteki po tego waleryana...

Zbliżyła się do Leona i tajemniczo dodała:

— Niby, żeby oni się nie dowiedzieli, że pan tu nocuje...

Mówiła słowo oni napół drwiąco, napół ze strachem.

W tym tonie malowało się to „nieuchwytnie“, które ma w sobie lud w Królestwie dla policji w ogóle.

Jest to lekceważenie, pogarda i zarazem bojaźń i szacunek słabszego dla wielkiej potęgi. Żyd plaszczy się, drży i chwyta za kieszeń. — Łyk małomiasteczkowy boi się, lecz zarazem szydzi. Choć w ten sposób wynagradza sobie swoją przymusową uległość.

— Ja tam z garadowym sobie dam radę! — zaczęła Władka, odbierając od Leona kartkę — tylko nie chciałabym się natknąć na tego wypędka, pana policmajstra. On mnie nie cierpi. A pan wie za co? On mówi, że ja mu u pani przeszkadzam. A co ja mam robić? Pani mówi: „żebyś mi Władka

zaraz do garderoby wpadła, jak posłyszysz, że ja kaszlę...” — Ja wpadam, a on na mnie „poszła won!” — Ja się śmieję w kulak i tylko na panią patrzę, a pani mruga — niby — zostań Władka...

Leon natychmiast ją ostrzegł.

— Ja widziałem teraz, jak policmajster szedł na rynek.

Władka klasnęła w ręce.

— A co!... Ja wiedziałam, że ta cholera gdzieś po mieście lazi. On tak całą noc czasem się włóczy. — Niechby on choć raz kłębek zobaczył.

— Jakto... kłębek?...

Władka zdziwiła się nie na żarty.

— To pan nie wie, że u nas w mieście koło kościoła, to jest zaczarowany kłębek?

— Nie wiem!..

— Aje!... to ja panu powiem!

Oczy dziewczyny rozszerzyły się i z siwych stały się prawie czarnymi. Owinięta w długi ciemny szal Jabłońskiej — cienka i chuda, tonąc cała w pół-cieniu, zdawała się tajemniczości pełną.

— Co noc, o dwunastej koło kościoła — można widzieć na śniegu kłębek czarnej bawełny. Nie duży kłębek... ot taki!

Jej chude cienkie ręce migotały teraz z fald szala.

Po za nią kulisy sterczały tajemniczo, jakiś gwóźdź świecił tylko, jak dyament zaklęty.

— Ten kłębek leży sobie na śniegu... ot niby nic. Jeżeli pan się do niego zbliży... ten kłębek się nagle z miejsca porywa i zaczyna toczyć... toczyć... toczyć... toczyć...

Jej oczy stawały się coraz większe i coraz ciemniejsze. Szpetota twarzy znikła pod wrażeniem

nerwowego naprężenia. Jedna ręka wyciągnięta wskazywała jakiś punkt daleki, zagadkowy, nieuchwytny.

— I wie pan! — ciągnęła dalej coraz ciszej — kto pójdzie za tym kłębkim i zechce go pochwycić, to... nigdy go nie schwyci. A taki, co go zdola pochwycić — umrze przed Nowym rokiem!

Zamilkła na chwilę i dodała uderzając pięścią o dłoń:

— Żeby ten psiakrew pan Policmajster chociaż ten kłębek złapał!

Po wschodach coś zaszeleściło.

Władka porwała się z miejsca, owinęła w chustkę i zwróciła ku wyjściu.

— Niech pan tu zje i talerze do garderoby mojej pani wstawi. Ja jutro przyjdę... Dobranoc!

I znikła w cieniu.

Leon stał długą chwilę nad rozstawionymi na stole talerzami.

Była to uboga, wystygła kolacja, która wzbudzała w nim dziwne uczucie smutku i tęsknoty. Mimowoli zaczął myśleć o tej ładnej aktorce, która tak po kobiecemu dała mu dowód myśli i troski.

Wiedziała, że on w restauracyi pokazać się nie może, przypuszczała, że kieszeń jego pusta.

Podzieliła się z nim swoją strawą codzienną, jak siostra dobra i troskliwa.

Buteleczka z koniakiem, zatkana błyszczącym koreczkiem z etykietą wody kolońskiej, była niejako uosobieniem tej napozór bezmyślnej i lekkiej istoty.

Pod pachnącą strojną etykietą — bił prąd gorącego uczciwego uczucia.

Leon zjadł kotlet i wypił koniak. Nie uczuł się na chwilę upokorzony tym rodzajem jałmużny. Podała mu ją miękka dłoń kobieca, jakoś nieśmiało i bardzo swojsko.

Zjadłszy i wypiwszy koniak, pachnący wodą kolońską, Leon wziął latarkę i poszedł pomiędzy kulisy odszukać swe legowisko.

W kącie, niedaleko pieca, stała mała kanapka, pokryta kwiecistym kretonem.

Na niej leżała poduszka, wyszyta na kanwie i dwa małe, złocone krzeselka.

Leon krzeselka zdjął, z poduszki ztrząsnął kurz i śmiecie i zwinąwszy się w kłębek na kanapce ułożył.

Latarkę postawił opodał.

Lękał się nerwowo ciemności. Drzwi nie zamknął na klucz, licząc, iż maszyniści niedługo powracać zaczną.

Trochę ciepła szło jeszcze od pieca. Leon rozkoszował się niem i kureczył się, chcąc całem swem ciałem chłonać to dobroczynne ciepło.

Leżąc, myślał, a raczej kręcił się w całej masie rozmaitych myśli, które dookoła niego fruwały. Przyszłość przedstawiała mu się chwilami jasną, piękną i niezwykłą.

Jechał do Paryża i tam na swobodzie mógł pracować, rozwijać się, wprowadzić wreszcie w czyn swe pragnienia, chęci i zamiary.

Właściwością jednak nerwowych natur wiedziony, przerzucał się z jednej ostateczności w drugą.

Uciekał, jak zwierzę ścigany, pod cudzem nazwiskiem, z okruszyną pieniędzy, nie znając tam nikogo, posiadając zaledwie kilka adresów...

I po jasności następowała ciemność i zwątpienie. Ciężkie kroki dały się słyszeć u wejścia. Ochryple głosy, coś naksztalt śmiechu.

Leon porwał się ze swej kanapki i machinalnie przycisnął ręką kieszeń, w której się znajdowały pieniądze.

Maszyniści wracali z szynków i szli po omacku wśród kulis, klnąc i plując mocą nalogu.

— Kto wzion ztąd latarkę? — dał się słyszeć głos przepojony wódką.

Leon powstał i poszedł w tę stronę, z której dawały się słyszeć głosy.

Wyciągnął rękę z latarką i podał ją pierwszemu z brzegu maszyniście.

Ten ją wziął w lekceważący sposób i zwrócił się do swych kolegów.

— Mata karty? — zapytał.

— A jakże — odparł długi, chudy chłopak w krótkiej kurtce — gdzieżby się podziali!

— No to chodźta, utniemy sobie partyjom!

Poszli po wschodkach pod scenę. Leon zwrócił się ku swej sofce. Dwóch maszynistów pozostało jeszcze na scenie. Jeden z nich rosły i barczysty chłop o chmurnem wejrzeniu, słał sobie rodzaj barlogu koło ściany, niedaleko kanapki.

Drugi, z twarzą pooraną bliznami wydobywał z po za cholewy zawiązane w lachman miedziaki.

— Wicek! — dało się słyszeć z pod sceny — Unjat, idziecie!...

Wicek tupnął nogą w podłogę.

— Cichaj! — zawołał — nie drzyjcie się, bo jeszcze jakiego policyjskiego ściągnięcie.

Pieniądze na dłoń wysypał, potem zwrócił się do drugiego maszynisty, który siedząc na swoim barlogu buty rozdziewał.

— Unjat — zapytał — idziesz do nas?

Nazwany „unjatem“ odpowiedział krótko.

— Nie!

Wicek usta wydał.

— To się wie ... ty zawsze po osobno! ja pójdę!...

Lecz nie szedł na dół, kręcąc się po scenie, zwijając sznury, kopiąc budkę suflera, meble i porzucane dywany.

Z pod oka patrzył na Leona i śledził „unjata“, który przyległ na barlogu i naciągał na siebie polatany dywanik.

Leon nie spał, patrząc mimowoli w ten kąt, gdzie przyległ maszynista unita, który miał swoją historię na kartach prześladowania. Przebyte ciężkie chwile nie złamały tego chłopca, który z właściciela stał się wyrobnikiem, numerowym w hotelu żydowskim a wreszcie teraz przygodnym maszynistą.

Wiecznie sam, odludek, robotnik doskonały i wierny, zamknięty w sobie, jakby miał ranę w zolałej duszy, zdawał się strzedz w sobie jakiś skarb wielki, święty i drogi.

Z pod z chłopska przyciętej grzywy świeciły oczy jak dwa ognie i nagle znikaly pod ciężkimi powiekami.

Ręce miał zawsze zaciśnięte na piersi, jakby dławil w niej jakieś słowa, krzyk, skargę.

Była to wielka, potężna postać.

Leon zapatrzył się w ten kąt ciemny, gdzie krył się „unjat“ wraz ze swą wiarą, i nie dostrzegł, jak ku niemu cicho podsunął się Wincenty.

Maszynista zaczął przewracać niby coś w dekoracjach i wreszcie wytaszczył z kąta duże płótno.

— Jak panu zimno — zaczął z pewnego rodzaju niedźwiedzią uprzejmością — to ja panu dam morze, albo ten kawałek lasu, to pan się niemi pokryje. I tak farba się do cna wykruszyła. Dyrektor nie będzie wiedział!

Rozciągnął nad Leonem szmat płócienny i pochylił się tak, że jego twarz brudami porwana i oświetlona latarką, którą trzymał w ręku, znalazła się prawie nad twarzą Leona.

— Po co panu przepustki? — zaczął szeptem — da mi pan pięć rubli, a ja pana bez granicę czyściutko i uczciwie przeprowadzę. Co? pan nie wierzy? Żeby mnie tak szlak trafił, jeżeli kłamię! Ile ja kontrabandy żydom prznosił, jakem był w Kaliszu. Niech się pan o mnie spyta. Pan może z Wincentym iść wszędzie, choćby prosto w łapy żandarmom, a Wincenty pana jeszcze wybawi.

Leon zdrętwiał, widząc tajemnicę swoją w rękach takiego Wincentego.

Maszynista chrypiał dalej.

— Dla mnie to nie pierwszyna. Mnie na wszystkich granicach znajom i jedni się mnie boją, a drugie ze mną jak z bratem rodzonym... Ja wiem, co z kim. Temu wódki postawię, temu niby trochę kopiejek, temu mówię „bratnie”... no i tak swoje zrobię...

Zatrzymał się na chwilę i pochylił jeszcze więcej.

— A wlezie nam kto w drogę uparty, to i z nim sobie dam radę...

Uśmiechnął się i wskazał na cholewę buta.

— O... tu za butem mam co potrzeba. Bez huków, bez strzałów... Tylko dźgnę i już po wszystkim. Cóż? niechce pan?

Oddech cuchnący wódką, paraliżował Leona, leżał bez ruchu, starając się nie oddychać, przymykając oczy.

Wincenty zrozumiał, iż nie powinien nawet nalegać.

Wzruszył ramionami i zabrał się do odejścia.

— Jak pan chce — wyrzekł — ze mną byłoby bezpieczniej, jak za jakim cudzym paszportem...

Odszedł kilka kroków i latarkę postawił na ziemi.

— Ja tu wam zostawię latarkę, bo może się pan po ciemku boi... A co do tego, żebym ja pana wydał, to niech się pan nie boi. Wincenty pijak, Wincenty awanturnik, ale Wincenty uciwy!

Uderzył się pięścią w piersi aż jęknęły...

— Ja sam we kryminale siedziałem, to wiem, co to, jak drugi chce się od takiego czegoś zbawić i...

I szurając nogami, zaczął schodzić pod scenę.

Leon pozostał sam oszołomiony, strwożony pomimo zapewnień maszynisty, niepewien teraz jutra.

Nagle, w kącie, gdzie spał unita, rozległ się cichy szmer. Leon wpatrzył się tam z pod brwi zsuniętych i dostrzegł, jak czarna postać maszynisty dzwigała się powoli i cicho z barłogu i przykłęka, zwracając się twarzą do ściany.

I w ciszy tej przerywanej tylko od czasu do czasu ochrypłymi głosami maszynistów, dobywającymi się z pod podłogi i znaczącymi karty — rozległ się szept chłopskiej gorącej modlitwy. Leon podniósł się na wpół i z zapartym oddechem w modlącego się unitę wpatrzył.

Światło latarenki zaledwie trochę oświetlało klęczącą tragiczną postać.

Ręce złożone i wyciągnięte ku górze, jakby w mistycznej ekstazie, całe ciało podane w tył w gorącej, rozpaczliwej prośbie.

I pierś ta wiecznie wobec ludzi zamknięta i pieczęcią rąk przyłożona, zdawała się w tej chwili wśród pustki nocnej roztwierać jak kwiat, i modlitwa szleszcząca skrzydłami strwożonego ptaka leciała w czerń, jak modlitwa męczonych Chrześcijan leciała z Katakumb za świetlaną postacią Chrysta.

Skarb, który miał Unita, zamknięty w swej duszy, krzepił go, karmił i sił dodawał.

Chłop uparcie szeptał swoją modlitwę i szeptał ten był potężnym protestem przeciw ukazom białego olbrzyma, który w łonie swem miał trzysta milionów chłopów, lecz nie mógł osiąść takiej jednej chłopskiej duszy.

Przed oczyma Leona zrobiło się nagle jasno, przestronno.

Pił oczyma postać Unity i wdrażał ją w swą duszę.

I on unosił w swej dziecięcej jeszcze piersi wiarę i religię swoją i uciekał z nią, krył się w takich samych cieniach, jak i ten chłop, modlący się w ekstazie.

Religia Leona — była to miłość swobody — wolności — pragnienie oddychania całą piersią, bez oków, bez więzów.

I obaj, w tej chwili — ten chłop i to dziecko modlili się, każdy po swojemu i każdy w buntowniczy sposób.

III. Pan policmajster poluje.

— Bieregis! Pałka dierży luczszsze szaszku... ach! ty duraczyszczs.... dierży gawarju tiebie!

To Matwiej Iwanowicz Tagiejew, strojny jak z pudełka, w lakierowanych bucikach, komenderuje na rynku polowaniem na wściekłego psa aptekarskiego — ku zdumieniu i radości całego miasteczka.

Od rana rozniosła się wieść o tem polowaniu. Na rynek wylęgła inteligencya i konsystujący w miasteczku oficerzy dragonsey. Wszysey urągając psu aptekarskiemu, który przechodził w legendę, oczekiwali pojawienia się policmajstra i jego batalionu.

Słońce świeciło jasno i zalewało rynek potokiem czystego, choć chłodnego światła.

Tu i owdzie leżały kupy śniegu, lecz wogóle było tu czysto i porządnie.

Całe bandy żydów czerniały na wylotach ulic.

Przezorne żydówki kryły się po sklepikach i bramach.

W oknach kamienie oparte o czerwone poduszki siedziały jak w łóżach damy i panny Polki i Rosyanki, okryte szalami. Niektóre miały lornetki w rękach i kłaniały się uprzejmie spacerującym po rynku mężczyznom.

Ci — wspaniali — przybierali miny pogromców dzikich zwierząt. Wysuwali się na pierwszy

plan, w pierwsze rzędy, dając tem poznać, że drwią sobie z niebezpieczeństwa i pies aptekarza jest dla nich niczem.

Damy machały rękami i zdawały się błagać junaków, aby ci odstąpili i strzegli swoje drogocenne zdrowie, lecz oni posyłali ku oknom najpiękniejsze uśmiechy i spojrzenia i dumnie stali na brzegu chodnika, który stanowił uprzywilejowany deptak inteligencji miasteczka.

Na środku rynku, świecący i upomadowany stał Matwiej Iwanowicz Tagiejew w króciuteńkiej szyneli i małej czapce.

W rękach trzymał strzelbę Dumoulin Frères à Liege czystą, lśniącą, jak sam policmajster.

Dokoła niego pusty plac, a tu i ówdzie po rynku uwijają się policyanci: Siemipudow na kapuście wychowany, Pałka suchy, mały w zbyt długiej szyneli, Diermo rudy z brodą i twarzą muzyka.

Biegają, latają, dobywają szabel, które błyszczą w powietrzu...

Przed drzwiami apteki stoi sam aptekarz, pan Ośmiakiewicz, strwożony, zmieszany, jakby czując się winowajcą wściekłego swego psa i owinięty w szal, spogląda nieśmiało w stronę policmajstra.

Lecz serce Matwieja Iwanowicza Tagiejewa drga teraz niecierpliwie.

Przedewszystkiem dojrzał on w tłumie Jabłońską, która idąc na próbę, zatrzymała się na brzegu trotuaru.

Zdaleka w słońcu widzi jej upudrowaną ładną twarzyczkę, ironiczny uśmieszek, trochę jasnych włosów, wysuwających się z pod granatowego kapelusza.

W mufce zawieszanej na łańcuszku, Jabłońska ma zwiniętą rolę i ta bieli się zdaleka na ciemnym tle żakietu.

Policmajster prostuje się, chwyta za strzelbę, jedną nogę wysunął naprzód w tanecznej pozycji, piskliwym głosem wydaje rozporządzenie:

— Diermo! Asadi nazad publiku!

Diermo pędzi w stronę publiczności, policmajster zwraca się ku żydom.

— Pałka! otgani jewrejow procz!

Pałka naciera z dobytą szaszka na żydów, ci uciekają z cichym, pełnym szacunku wrzaskiem.

Nagle twarz policmajstra rozjaśniona i szczęśliwa — pociemniała.

Przez szeregi publiczności z brzękiem i chrzęstem idą oficerowie dragońscy, rozmawiając i śmiejąc się głośno.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew jest przedmiotem ich ciągłych drwin i żartów.

Dumni z nazwy „kawalerzystów“ urągają piechocie, a policyę i żandarmów nie mają za boże poszycie.

I teraz, dowiedziawszy się na nauce w koszarach, iż policmajster urządził polowanie, porzucili w maneużu солдатów i pobiegli na rynek naigrawać się z nieszczęsnego Tagiejewa.

Umieścili się w pierwszym rzędzie niedaleko Jabłońskiej, napelniając powietrze brzękiem ostróg, rosyjską, specjalną oficerom, gwarą i tą butą, jaką roztańczają dokoła siebie ludzie, mający do czynienia z końmi.

— Smatri Kola, Szasza, Wania... — wołali na siebie wzajemnie — wot gieroj! wot ochotnik!...

Jeden z nich, troszkę od rana już cięty, krzyknął:

— Gdziez sobaka? radi Boga... gdziez eta sobaka?

I wszyscy zaczęli szukać po ziemi, wołając:

— Gdziez sobaka?

Publiczność zaczęła śmiać się i dzielić dobry humor dragonów, jakkolwiek wyraźnie usunęła się od nich i pozostawiła pomiędzy sobą i oficerami pewną pustą przestrzeń.

Patrzono jednak na nich, a oni czując ten wzrok publiczności — dokazywali, dzwonili w ostrogi, podrygiwali, sadzili konceptami — *du r a c z y l i ś*, jak sami nazywali swój sposób postępowania.

Na czoło policmajstra wystąpił pot.

Czuł się ośmieszonym w oczach miasta, powaga jego chwiała się fatalnie — w dodatku dostrzegł, jak Jabłońska zakryła usta ręką i śmiała się serdecznie.

Chciał sobie dodać jakiejś ważności i podskoczył do Palki, który, opuściwszy szablę, stał zagapiony w dragonów.

— Kak dierzysz szaszku, oluch! — zawołał głośnie.

Dragoni wybuchnęli gremialnym śmiechem.

— Prygajet! prygajet!... zaczął jeden z nich, naśladując piskliwy głos Tagiejewa.

Na szczęście Policmajstra rozległ się krzyk i z pośrodku żydów jak z procy wypadł stójkowy w długiej szyneli, wrzeszcząc:

— Bieży! bieży!...

— Gdzie?

— Ot tam... bieży! prjamo k nam!

Żydzi z wraskiem przeraźliwym rzucili się na środek rynku i w jednej chwili jak szarańcza rozlecieli się, przepadając, niewiadomo, gdzie i kiedy.

Dragoni zaczęli wołać.

— Bieży! bieży!... i tupać nogami z wielkiej uciechy.

Publiczność na razie ogłupiała. Aptekarz wpadł do apteki i zamknął za sobą drzwi na klucz. W oknach damy i panny pobladły, zapomniawszy pochwycić lornetki.

Ku publiczności rzucił się Policmajster.

— Gaspada! wrzeszczał rozpaczliwie — gaspada radi Boga pa dalsze... Ja atwieczaju za Waszu żyżn... pa dalsze!...

Publiczność cisnęła się do murów domów, ale nie uciekała.

Nagle z opustoszałej ulicy — wybiegła na rynek mała psina, czarna i kudłata.

Biegła prosto, a raczej wlokła się, tak była znużona i głodna.

Było to tak nędzne i małe stworzenie, iż Siemipudow mógł je śmiało rozgnieść uderzeniem swej potężnej buty.

Wybiegłszy na rynek — psina zatrzymała się zdziwiona i przerażona.

Cała czerń ludzi, obnażone szable, fuzya policmajstra, wszystko to przeciw niej jednej...

Pies stał, patrzył i nagle rzucił się w bok. Chciał znaleźć drogę do apteki i schronić się tam przed napaścią, którą instynktem przeczuł.

Tłum zaczął uciekać z drogi i pies zdumiony tem ustępstwem zwykle popychających go ludzi, do-

padł do apteki i... zatrzymał się przed zamkniętymi drzwiami.

Po za szybą widniała pobladła twarz pana aptekarza i fioletowa bluzka pani aptekarzowej.

Pies przed temi zamkniętymi drzwiami zrozumiał grozę śmierci, która w ślad za nim biegła.

Instynktem samozachowawczym rzucił się w tył, widząc, iż te drzwi zamknięte były dla niego wyrokiem śmierci. Wpadł pomiędzy dragonów, którzy widząc, iż pies nie ma najmniejszych oznak wścieklizny, postanowili go obronić.

Lecz pies widząc, iż dragoni pochyłili się nad nim, osądził ich chęci wbrew przeciwnie. Dobrowolnie rzucił się jak szalony na środek rynku i teraz zaczęła się śmiertelna gonitwa, trwająca długie chwile.

Pies dobywał ostatki sił i biegał w różnych kierunkach wśród słonecznego światła i śniegu. Z pyska dobyła mu się piana a tylne łapy chwilami kładły się na ziemi.

Lecz wszędzie, gdzie się zwrócił, znajdował przed sobą czarną szynel policyanta i błyszczącą do góry wzniesioną szablę. Oczy psa nabiegły krwią i w tej chwili walcząc tak o swe życie, zdawał się naprawdę wściekłym zwierzęciem.

Policmajster ciągle przykładał strzelbę, pragnąc wystrzelić, lecz pies z błyskawiczną szybkością biegał po placu, a Tagiejew bał się nietrafnym strzałem ośmieszyć w oczach publiczności.

Ograniczył się więc do wydawania rozkazów.

— Szaszkoj zarubit, — krzyczał, jakby go ze skóry obdzierano.

W tej samej chwili pies gnany przez Siemipudowa, rzucił się w nogi policmajstra.

Tagiejew, chcąc uniknąć zetknięcia się z niebezpiecznym zwierzęciem, wykonał skok tak pocieszny, iż dragoni nie śmieli się, ale formalnie ryczeli, trzymając się za boki.

— Prygaj Stiopka! prygaj!... — wołali bez przerwy.

Policmajster rozdrażniony do żywego, zwrócił się ku policyantom.

— Ach wy dubi !... — krzyknął — szaszkoj wam gawarju! szaszkoj!...

I Siemipudow ciął szablą z całym rozmachem nieszczęśliwe zwierzę, które nagle po wierzchu czarnych kudłów oblało się purpurową posoką. Pies zwinął się kilkakrotnie i zawył raz jeden. przeraźliwie, z nieokreśloną rozpaczą. Chciał jeszcze biedz, uciekać, ale nie mógł — krew zaczęła strugą lać się na bruk, pomiędzy kamienie.

Pies podniósł w górę mały, ładny łeb i jego oczy rozumne, łagodne, zmęczone, zaświeciły w słońcu, jak dwa czarne dyamenty.

Oczy te zaszyły najprzód łzami — potem bielmem. Pies upadł na bok i konać zaczął.

Siemipudow wzniosł w górę swą zakrwawioną szablę i ze spokojem olbrzyma-zwycięscy pokazał ją ludowi.

Matwiej Iwanowicz Tagiejew z dumą i pogardą spojrzal na śmiejących się ciągle dragonów i podszedł ku Jabłońskiej.

— Ja wam siejczas w restoran izwiestnuju wieszcz pryniesu!

Pokłonił się jak przed ikonem i wydał rozporządzenie, aby zdechłego psa czemp prędzej z rynku uprzatnąć.

IV. Kto u dragonów pije szampanskoje?

Próba miała się już ku końcowi.

Leon usiadł w jednej z łóż parterowych i patrzył, jak na scenie Jabłońska próbowała duetu z jednym z aktorów.

Zdziwił się, słysząc głos aktorki — przyjemny, rozległy i dźwięczny. Śpiewała widocznie nieuczenie, ale słuch miała dobry i instynktem się kierując, nie popełniała rażących błędów.

Orkiestra złożona z kilku żydów akompaniowała fatalnie. Dyrektor, łysy, okrągły mężczyzna zacierał ręce i mówił.

— Doskonale! doskonale!

Jabłońska skończywszy śpiewać, zaczęła się śmiać wesoło.

— A co? jaka ze mnie Patti... zobaczycie — na benefis Halkę sobie zaśpiewam!

Lecz aktorzy rozchodzili się już z próby, dążąc do restauracyi na obiad — zmęczeni, zmarznięci, w złych humorach z powodu zawieszanej wypłaty pensyi „do przyszłej niedzieli“.

Restauracya była połączona z teatrem i należała do jednego właściciela. — Duża sień, pełna śniegu i błota, oddzielała bufet od sali teatralnej.

Jabłońska zapiąwszy żakiet i podniósłszy kołnierz futrzany, weszła do łóży, w której siedział Leon.

— Idę do restauracyi — wyrzekła wesoło — tam przyjdzie policmajster i przyniesie mi przepustkę... Będziesz pan mógł jechać wieczorem.

I natychmiast skierowała się ku wyjściu.

— Czekaj pan tu na mnie!

Leon pozostał w łóży i oparłszy się o słup, siedział tak zdętwiały i zziębnięty.

Na scenie Wincenty zabierał się do malowania „przystawki“ potrzebnej na wieczór. Miała to być skała, a na niej rozpięty bluszcz. Drugi maszynista Klimek z podbitym okiem i rozdartą kurtką nabijał płótno na rodzaj szkieletu, skleconego z desek.

Tymczasem — w restauracyi koło bufetu, na którym gnily marynaty i rozmaitego rodzaju przekąski, zgromadzili się aktorzy, pijąc wódkę i jedząc przeróżne trucizny.

Za bufetem ufryzowany subjekt, pan Kazimierz, nalewał, doprawiał, przykrywał, a aktorzy narzekając na „bryndzę“, jedli i pili obficie, obstawiając barszczyki, kotleciki, zraziki, piwko i naleśniczki.

Za bufetem olbrzymia sala, w której wędło i schło kilka oleandrów, mieściła w tej chwili towarzystwo dragonów, którzy rozweseleni „polowaniem“ policmajstra, przyszli weselić się dalej w restauracyi i pić krymskie wino na przemian z wódką, nazwaną żubrówką. Zajęli duży stół środkowy i rozmawiali głośno, napieniając całą salę gwarem i krzykiem. Aktorzy wchodzili do sali i siadali przy mniejszych stolikach, rozmawiając cicho i starając się nie patrzeć w stronę oficerów.

Ci — spoglądali dość przychylnie ku artystom, widocznie w chęci poznamienia się z nimi, lecz

aktorzy trzymali się pomiędzy sobą, tworząc niejako klan, niedostępny dla ogółu.

Jabłońska, w towarzystwie dwóch innych skromnie ubranych aktorek, usiadła przy osobnym stole i piła alasz, zagryzając chlebem z solą. Dostawszy po talerzu zupy, aktorki natychmiast rozpoczęły jeść smacznie, nie zwracając uwagi ani na oficerów, ani na kolegów, którzy ze swej strony mało interesowali się swemi koleżankami.

Nagle drzwi od bufetu otworzyły się i stanął w nich Tagiejew z rozpiętą szykownie szynelą i ufryzowanemi włosami.

Szybko ogarnął wzrokiem całą salę, dostrzegł dragonów, zmarszczył brwi i tanecznym prawie krokiem posunął ku Jabłońskiej.

Ona podała mu lewą rękę i nie przestając jeść, zapytała:

— Jest?

Policmajster uśmiechnął się i siadając na bliskim krześle, odpowiedział:

— Możej byt' i jest'... no preźdie zdiełajtie mi czest' wypit' sa mnoj pokał szampanskawo.

Jabłońska parsknęła śmiechem.

— Za co mnie pan chce tak karać? — spytała, — ja znieść szampańskiego wina nie mogę. Niech pan lepiej da mi to, co pan wie, bo ja wcale czasu nie mam! Zaraz po obiedzie druga próba!

— No wsio taki adin pokał... — nalegał policmajster.

I odwróciwszy się ku przechodzącemu kelnerowi, wydał głośno rozkaz przyniesienia butelki „zamrożonego“.

Chichot dragonów przesunął się jak różga po jego plecach.

Oficerowie bawili się widocznie jego kosztem i tu w restauracyi.

Tagiejew wyjął z kieszeni mały świstek papieru i podał go Jabłońskiej.

— Wot wasz legitymacjonnyj bilet!

Ona aż zarumieniała się z radości.

Porwała ową upragnioną przepustkę i przypatrywała się jej długą chwilę.

„Stefan Popielawski“ — przeczytała półgłosem.

— Eto diejstwitielno wasz rodstwiennik? — spytał Tagiejew z ironią w głosie.

Ale ona szybko wyciągnęła do niego rękę.

— Dziękuję... dziękuję!...

A widząc, że obie jej towarzyszki zabierają się do odejścia, chciała powstać także.

Lecz Tagiejew zmusił ją do zajęcia miejsca.

— Wot — zaczął — ja wam chatieł czto to kazat'.

— Niech mi pan pozwoli odejść, ja iść muszę...

— Niet, niet! ot i szampanskoje...

Kelner postawił na stole butelkę w platerowanej wazie i kilka długich kieliszków.

Na ten widok dragoni wpadli w rodzaj szalu i zaczęli się znów nawoływać.

— Ej Szara, Waśka, Kola... pasmatri kak rozgulałsia Policmajster...

— Na cztos... Policja toże chozczet tonu zadat'.

Aktorzy zaczęli wstawiać, płacić za swoje jedzenie i piwo i wychodzić.

Jabłońska miała twarz zachmurzoną i co chwila zrywała się z krzesła.

— Astańties mamzel Jabłońska — prosił ją policmajster, starając się udawać wesołość i swobodę — napijties winca, zamarożennawo jej Bogu eto nie wredno!...

Po za plecami Policmajstra rozległ się tubalny głos jednego z dragonów.

— U mienja zamarożennoje pijet moja łoszaď.

Drugi dragon natychmiast zaprzeczył.

— Eto niewazmożna.

Zaczęła się sprzeczka, widocznie ułożona komedya. Policmajster jednak, pomimo pozornej swobody, aż drżał z tajonej złości.

Przez ten czas Jabłońska, wydobywszy zniszczoną portmonetkę, rozplacała się z kelnerem, odsunawszy od siebie nalany już kieliszek wina.

Nagle jeden z dragonów wstał i zawołał.

— Uwidisz!...

I poszedł do bufetu, gdzie wydał krótki, urwany rozkaz — poczem wyszedł na ulicę.

Policmajster zaczął tracić głowę.

Krew biła mu do skroni ze złości i wstydu. Chętnie byłby uciekł, lecz chciał pokazać Jabłońskiej, iż nie lęka się dragonów i nie ustąpi im miejsca. Przysunął się do aktorki, która niecierpliwie oczekiwała na resztę i nagle, cichym szeptem zaczął jej czynić wyznania miłosne w niezwykle i oryginalny sposób.

Według niego — dla niej, on gotów na wszystko. Porzuci służbę policmajstra i przeniesie się do Warszawy. Tam są cyrkuly, gdzie jak nie można zarobić po dwanaście tysięcy rubli w rok. Naprzykład cyrkul zamkowy... on te pieniądze odda jej, Jabłońskiej — a dla siebie zostawi tylko dwa tysiące rubli...

Była to kombinacya bardzo prosta. Lecz Jabłońska nie chciała się na nią zgodzić.

— Kiedyż ten kelner resztę z tego rubla przyniesie? — mówiła, gryząc wargi.

Nagle rozległ się straszny łoskot i drzwi, prowadzące z sieni do bufetu, roztwarły się na rozcierr.

Równocześnie kelner wniósł dwie wazy z butelkami szampańskiego wina.

Za nim szedł chłopak z porcelanową miską.

We drzwiach bufetu pojawił się dragon w szyneli zarzuconej na ramiona i prowadził za uzdę dużego rudego konia.

Koń wstrząsał głową i bił kopytami o podłogę. Dragon pociągnął silnie uzdę i powoli idąc naprzód, przeprowadził konia przez bufet do sali, gdzie wszyscy oficerowie powstali, wydając okrzyki zachwytu.

Jabłońska powstała także od stołu i przylepiwszy się plecami do ściany, stała tak, wpatrując się szeroko rozwartymi oczami w grupę oficerów.

Policmajster najeżony, nasrożony, szukał czapki i rękawiczek, powtarzając.

— Eto už czerezczur*)!...

Tymczasem kelner odkorkowawszy butelki, nalał wino do miski i miskę postawił na podłodze.

Dragon zdjął koniowi uzdę, który wstrząsnął łbem i potoczył ślicznymi, czarnymi oczami dokoła sali.

— Pij Gudał!... — prosił oficer.

Gudał cofnął się i oparł silnie na zadnich nogach.

Słońce wpadające do sali zapalało złote smugi na jego ślicznej rudej sierści. Rozszerzył nozdrza,

*) Tego już za dużo!

wciągnął kilkakrotnie woń wina i wreszcie chrząknawszy, opuścił głowę nad miską.

Powoli — jakby rozkoszując się, pić zaczął.

Wówczas oficerowie rozstąpili się jakby na komendę i dragon, patrząc wyzywająco w stronę policmajstra, zawołał.

— Wot kto u mienja pijet zamorożennoje!...

Jabłońska przebiegła szybko salę i wypadła do sieni.

Za nią rozległ się głos dragona.

— Czelawiek!... dla nas wodka, a dla żywo-
tnych szampanskawo!

Policmajster pobladł i posiniał — przestał się świecić na twarzy, tak był silnie wzburzony.

— Gaspada! — zaczął zdławionym, cienkim głosem — ja idu k gubernatoru!...

— Idi k samomu czortu!... — odpowiedział mu właściciel Gudala.

Tymczasem, Jabłońska wpadła do łoży, w której ciągle siedział Leon.

— Ma pan przepustkę... niech pan jedzie!...

On porwał ten zbawczy świstek papieru.

— Dziękuję, dziękuję!

Uczuł, iż ręka jej drżała.

— Co pani jest? Pani drży?...

Ona usiadła na krześle i oddychała ciężko.

— Nic mi nie jest... tylko oni tam, oni tam...

Nie dokończyła.

Zakryła twarz mufką, lzy ją dławily. Wreszcie wzięła rękę Leona i ukryła ją w swoich dłoniach.

— To pan dziś pojedzie? — spytała, jakby budząc się ze snu.

— Tak, tak... nie będę pani więcej przyczy-
niał kłopotu.

Ona spojrzała na niego z wymówką.

— Dlaczego pan tak mówi? Ja dla pana byłabym wszystko zrobiła.

Byli sami, w tej pustej ciemnej sali — oddzieleni jeszcze przegródką łóż i zasunięci w cień.

On przeczuwał raczej rysy tej twarzy, bo światło ze sceny nie dochodziło do miejsca, na którym ona siedziała.

Kobieta widocznie chciała się o coś spytać, bo palce jej nerwowo kilkakrotnie zacisnęły się dokoła rąk Leona.

Wreszcie wyrzekła nieśmiało.

— Ja... chciałam pana o coś zapytać?

— O co? Ja pani szczerze na wszystko odpowiem! Gdyby w tej chwili spytała go, jakie przestępstwo skłoniło go do ucieczki z kraju, byłby jej powiedział wszystko, nie ukrywając nic — tak była mu teraz bliska i swoja.

Lecz ona po chwili wahania ładnym giestem podniosła jego rękę zziębniętą i wsunęła ją w mufkę.

— Biedactwo! zmarzło — wymówiła żartobliwie i natychmiast dorzuciła, nie patrząc na niego, cicho — cichutko — szeptem:

— Może Panu pieniędzy na drogę potrzeba... ja nie mam dużo... ale tu jest... piętnaście rubli...

Chwileczkę zamilkła i zaraz tonem nieśmiało jej prośby dodała.

— Niech Pan weźmie...

A potem jeszcze ciszej

— Weź!.. Mój złoty!...

On przysunął się do niej tak blisko, iż twarz jego opierała się o rękaw jej żakietu.

— Nie! nie!... — mówił wzruszonym głosem —
Dziękuję, ja mam więcej, niż mi trzeba...

I pochyliwszy głowę ku jej rękom, dodał:

— Jakaś ty dobra!

I długo tak siedzieli nieruchomi, przytuleni do siebie, niewiadomo dlaczego, bo miłości dla siebie nie czuli zupełnie.

Lecz widocznie oboje drżeli przed widmem osamotnienia, a czuli, iż, wyszedłszy z tej łoży, pozostaną na świecie sami, wśród masy obcych dla nich istot.

I choć na chwilę starali się być... we dwoje!

V. Chwila zwątpienia.

Granica!

Pociąg z chrzęstem i łoskotem zatrzymał się przed niewielkimi budynkami niskimi i o biednym, prawie zaniedbanym wyglądzie. Kilka latarni słabo płonęło tu i ówdzie. Na platformie — snuły się sylwetki ludzi, ubranych w długą grubą odzież.

Leon wtulił się w kącik wagonu.

Był sam jeden w oddziale drugiej klasy, a znieszczony płócienny kufer postawił koło siebie na ławce.

Umyślnie jechał drugą klasą, chcąc wzbudzić zaufanie. O ile możności wyczyścił swe ubranie, aby nie mieć „podejrzanej“ miny. Gdy pociąg dojeżdżał do granicy, Leonowi serce ścisnęły kleszcze trwogi.

Może mają jego sygnalizację na stacyi, może go poznają, może go wprost z wagonu „ciupasem“ odstawiać do gubernii.

Pociąg stał już chwilę, lecz nikt nie wysiadał. Na kurytarzu wagonu zaroilo się od podróżnych. Każdy otwierał drzwi swego przedziału i stawał u wejścia z paszportem w ręku.

Jakieś dziecko rozbudzone ze snu płakało, podczas gdy matka ubierając je, powtarzała:

— Ach! Boże mój! Niuta, nie płacz!...

Leon podniósł się i starał się naśladować swych towarzyszy podróży. Włożył w jedną rękę kuferek, w drugą „przepustkę“ i stał we drzwiach, usiłując przybrać swobodną, a nawet wesołą postać.

Obok niego jakiś Niemiec, typowy, rosły, blondyn z twarzą purpurową i olbrzymim karkiem, sapał i stękał, taszcząc za sobą kilka dużych tłumoków. Drzwi otwarły się i wszedł oficer żandarmski wysoki, cienki, chudy mężczyzna, ładnie ułożony i posuwający nogi w dziwny sposób. Był bardzo przystojny, tak jasny blondyn, iż w świetle lamp wagonowych robił wrażenie albinosa.

Odziany był mimo chłodu tylko w surdut mundurowy i zdaleka pachniał wodą kolońską.

Wogóle robił wrażenie jednego z tych białych chartów cesarskich, które już zaczynają przechodzić w stan legendy, a ich hieratyczne pozy upiększają tylko przedpokoje Białego dworca, daleko ponad brzegami Newy lub strzyżone aleje Gałęzińskiego Parku.

Poza nim szło jeszcze dwóch żandarmów. Obaj silni, rośli, w swych długich szynelach, przeciętych wąską linią skór, na których zawieszono były szable. Kołpakami sięgali prawie sufitów wagonu. Szerokie ich bary, rozszerzone jeszcze grubymi fałdami sukna, z trudnością mieściły się w ciasnych kurytarzowych przejściach.

Powoli, spokojnie — nie spiesząc się, odbierali paszporty i wprawno okiem zaglądali do wnętrza przedziałów.

Oficer przesuwiał się zręcznym pomiędzy podróżnymi i co chwila dotykał ręką czapki.

Z ust jego wybijało stereotypowe słowo.

— Pardon!...

Gdy znalazł się przed Leonem, obrzucił go szklanem, nic nie znaczącem spojrzeniem.

Leon wyciągnął rękę z przepustką, żandarm papier wziął i poszedł dalej.

Teraz otworzyły się drzwi wagonu i wszyscy wyszli na platformę.

Obok Leona szedł Niemiec, ciągle sapiący, zły i gniewny. — Dowiedziawszy się, iż rewizya odbędzie się na granicy w Szczakowej, rozgniewał się jeszcze więcej.

Leon wsunął się do sali, gdzie stał bufet i usiadł w kącie na wyplatanej kanapie.

Brudno, nieporządkie i ciemno było na tym Bahnhofie granicznym, który miał cudzoziemcom dawać wyobrażenie o przepychu państwa rosyjskiego.

Stoły nakryte grubymi, nieczystymi obrusami, trochę sztucznych kwiatów, pustych butelek — w głębi bufet z masą ordynarnych szklanek — za niemi zaspana bufetowa, szpetna i ledwie odziana.

Leon siedział ukryty za piecem i widział, że bardzo mało podróżnych zajmuje miejsca w sali bufetowej. — Poczul na sobie pytający wzrok kelnera i jakby pod jego wpływem wstał i usiadł przy stole.

— Proszę o herbatę! — wyrzekł cichym, uprzejmym głosem.

Naprzeciw niego siedział czerwony Niemiec i pił piwo. Olbrzymi kufel stał przed nim już do połowy wypróżniony. Niemiec zapalał właśnie cuchnące cygaro.

— Pan chce herbatę czystą? — zapytał kelner, i nagle, bez widocznej dla Leona przyczyny, dodał głośno po rusku:

— Z limonom ili so sliwkami?

— Z limonom! — odparł mimowolnie po rosyjsku Leon.

Cicho, układnie zadzwoniły ostrogi.

Kelner widocznie zdaleka dostrzegł żandarmskiego oficera, który wszedł do sali i chwilę zatrzymał się na progu.

Leon mimowoli usunął się po za bukiet kwiatów i siedział tak nieruchomy, z wargami przygryzionymi do krwi.

Oficer przeszedł salę, zbliżył się do bufetu i z uprzejmym uśmiechem poprosił o herbatę. Potem, powoli, nie spiesząc się, podszedł do stołu, przy którym siedział Leon i usiadł opodal, przy samym rogu stołu.

Równocześnie kelner podał Leonowi herbatę.

Wzrok żandarma padł na twarz Leona, którego teraz bukiet kwiatów nie zasłaniał wcale.

Szare, stalowe oczy oficera, mocą nałogu zdawały się wśrubowywać w mózg Leona.

On ten wzrok znalazł dokładnie. Nieraz zasypiając w swej więziennej celi, budził się nagle wspomnieniem takich stalowych źrenic, które we dnie podczas indagacji zdawały się śrubami, hakami wydobywać z jego ust słowa, z jego mózgu myśli i notować je w protokole.

Gdyby Leon miał cokolwiek więcej odwagi, wstałby z miejsca i usiadł dalej, w cieniu, gdzie wzrok żandarma nie mógłby działać na niego w takim zbliżeniu.

Lecz Leon czuł się jak sparaliżowany. Niepewność, czy nie jest poznany, ogarnęła go całego.

Przed nim stygła herbata, on siedział nieruchomy i tylko ciszę panującą w sali przerywało

syczenie samowaru, stojącego na bufecie, pośród szklanek.

Nagle do sali wszedł podoficer żandarmski i oddawszy „cześć“ oficerowi, zawołał:

— Gaspadin Tintenmayer!

Niemiec posłyszawszy swoje nazwisko, postawił kufel i zajął:

— Ich bin's der Tintenmayer.

Żandarm zbliżył się ku niemu z pruskim paszportem w rękę i po rosyjsku krótko objaśnił, iż „Gaspadin Tintenmayer“ nie może przejechać granicy z powodu braku wizy pruskiego konsula na paszporcie.

— Wie? wie? — pytał Niemiec, wytrzeszczając oczy, gdyż naturalnie nie zrozumiał ani słowa.

Oficer powstał z miejsca i układnie zbliżył się ku rozmawiającym.

Zupełnie gładko, po niemiecku objaśnił pana Tintenmayer o braku koniecznej formalności.

Niemiec aż usiadł na krześle z przestrachu.

— Aber ich muss fahren! Ich muss nach Wien fahren! — wołał z nietajoną wściekłością.

Oficer wzruszył ramionami i odchodząc dodał, że ten pociąg nie ma połączenia z pociągiem austriackim i pan Tintenmayer musi tę noc przepędzić na Granicy.

Odchodząc, oficer spojrzał raz jeszcze w stronę Leona i źrenice ich spotkały się na krótką chwilę.

Leon uczył zimno w mózgu, tuż nad czołem i dech mu zamarł w piersiach.

Równocześnie wiadomość, iż musi przepędzić noc na Granicy, przeraziła go nad wyraz wszelki.

Rano nadchodził dopiero kurier z Warszawy. Należało więc czekać do świtu, lecz gdzie?

Co chwila teraz rozlegał się po kamiennych podłogach kurytarza brzęk ciężkich, dużych ostróg. Żandarmi snuli się tu i ówdzie w milczeniu — rysowali się szaremi bryłami na ciemnowym tle ścian i niknęli po za drzwiami jadalsi.

Leonowi brzęk tych ostróg, widok tych szyneli i kolpaków był nad wyraz przykrym i napelniał go trwogą.

— Gdyby mnie nawet nie poznali, — myślał — to zwrócę nareszcie ich uwagę, siedząc w tej sali. Najlepiej zrobię, wyszedłszy na platformę.

Zapłacił i wyszedł z bufetu, lecz natychmiast cofnął się na kurytarz.

Na platformie stał nie tylko znany mu oficer, lecz z nim razem znajdował się i kapitan żandarmski, siwy, stary człowiek o pochylonych cokolwiek ramionach.

Stojąc na środku platformy, tuż pod zapaloną latarnią, rozmawiali z dwoma tamoźnymi urzędnikami w płaszczach i czapkach z zieloną obwódką.

Przedmiotem ich rozmowy był brzydki, mały pies, siedzący opodal.

— Tak wasza sobaczka gawarł Wiktor Nikołajewicz? — pytał urzędnik komory.

— Da, Siergiej Pietrowicz — odparł stary kapitan.

I schyliwszy się, ścisnął najeżonemu psu szczęki.

— Nu... skaży... mama!

— Ma-ma — wycharezał pies.

— Nu... tepier tata!

Pies warknął, kudły mu się jeszcze więcej najeżyły.

— Ta... ta!... — wycharezał jak głuchoniemy, który skończył instytut z patentem.

— Maja sobaka imiała częst' pokazywať fokusy piered carskoj familioj — chwalił się z dumą kapitan, a urzędnicy kiwali głowami, podczas gdy młody porucznik wyprostowany w swym surducie, stał milcząc i z pewną ironią i wyższością spoglądał na zdziwionego kapitana.

Leon ujrzał otwarte drzwi, prowadzące na drugą stronę banhofu i wyszedł niemi na drugą platformę, gdzie pusto było i cicho.

Z daleka tylko czerniała jakaś postać. Tuż zaraz przy drzwiach, oparty o mur, stał siwy, wysoki żyd z długą brodą.

— Może pieniądze do zmienienia? — zapytał Leona.

Lecz Leon pokręcił głową.

Nie chciał się tu wdawać z nikim w rozmowy i wchodzić w jakieś interesa.

Szedł platformą uszczęśliwiony, iż nie widzi żandarmów.

W umyśle jego mignęła myśl — może to granica austriacka, może to już Austria... Pod murem siedział konduktor w kożuszkach i oparł się o ścianę w latarkę stojącą na jakiejś pace.

Leon z bijącym sercem zbliżał się ku niemu. Nie miał pojęcia, nie wyjeżdżając po za granicę kraju, w jaki sposób „Państwa“ znaczą swe granice. W jaki sposób jeden naród mówi do drugiego „to moje — to twoje“ było dla niego niezrozumiałem.

W ciemności wi dział jakiś czarny, wysoki gmach...

Kto wie — może to banhof austriacki.

Gdyby się tak przekraść wśród nocnej ciemni i pozostawić po za sobą przepustki, żandarmów, stalowe żrenice porucznika... wszystko!

Jeżeli jednak wpadnie w jaką pułapkę.

Może to forty rosyjskie, z których uzbrojone wojsko broni państwo od wtargnięcia nieprzyjaciół.

Lepiej zapytać się konduktora — zapytać umiejętnie i mądrze.

Zdaleka od oczów żandarmskich Leon odzyskiwał spokój i krew zimną.

Poszedł do konduktora i zapytał o ile możliwości swobodnym głosem.

— Co to za gmach? Czy może mi pan powiedzieć?

Konduktor spojrzał w kierunku wskazanym przez Leona.

— To tamożenny gmach. Tam mieszkają urzędnicy.

— To jeszcze rosyjskie?

— A czyjeż?

Leon stropił się ironją, jaka widocznie brzmiała w głosie konduktora.

— A tam dalej? — zapytał, wskazując na dalsze zabudowania.

Ostrogi zadzwoniły — we drzwiach ciemnych i w pół uchylonych stanął cień żandarma.

— Eto gostinnica — wyrzekł natychmiast po rosyjsku konduktor.

Leon uczył jakby go naprzód gnała jakaś szpicruta. Zszedł z platformy i zaczął iść w kierunku hotelu. Schroni się tam i doczeka do świtu.

Gdy zamknął za sobą drzwi małego pokoiku, uczył się na chwilę bezpiecznym.

Nikt go nie pytał o paszport. Numerowy zapalił świecę, dał mu wody i wyszedł, sennym, leniwym krokiem.

Leon rzucił się na łóżko ubrany, tembardziej, że zimno było w numerze i piec dawno wystygł. Dziwna cisza panowała na kurytarzach i dokoła całego hotelu.

Tylko, gdzieś pod podłogą skrobała się mysz cichym, lecz nieustającym szelestem.

Leon zgasił świecę i leżał przez pewien czas nieruchomy, starając się zasnąć, lecz nerwowo odpędzał sam sen od siebie, bijąc się z myślami i trwogą, która go dręczyła.

Porwał się wreszcie i usiadł na łóżku, ukrywając twarz w dłoniach.

Zdawało mu się, że jest znowu w więzieniu, w tym małym pokoiku i siedzi na żelaznym łóżku, na którym tyle nocy przesiedział.

Taki sam szmer dochodzi jego uszów, szmer, który go do szaleństwa doprowadził swoją monotonością i jakimś tajemniczym pochodzeniem, którego nigdy pewnym być nie mógł.

Może to była mysz, a może jaka nocna podziemna robota któregoś z uwięzionych, który okrwawionymi paznogciami rozrywał mury więzienne.

Złudzenie ogarnęło mózg Leona. Zdawało mu się, iż lada chwila posłyszycie ciężkie kroki dozorey i zadzwonią ostrogi żandarma.

— Pożałujcie za mną! — odezwie się głos znany.

I on — Leon, porwie się z łóżka i na wpół senny pójdzie przez szereg kurytarzy i izb na — nocne śledztwo.

Gdy tam, w więzieniu wychodził za progi swej celi, zdawało mu się zawsze, iż nigdy do niej nie wróci.

Tu — po za drzwiami może także oczekiwało go aresztowanie. Poznano go — wzrok oficera żandarmeryi mówił to jasno, przepustka o fałszywym nazwisku dopełni miary. W tej chwili zapewne pograniczna żandarmerya zamienia telegramy z żandarmeryą miasteczka N. i aresztowanie jego jest tylko dziełem chwili.

Może uciekać?... Ale gdzie, skoro noc tak ciemna i wszystko tu dookoła jest jeszcze „ruskie“ pomimo, że na stacyi świeci napis „Granica“.

Leon porwał się z łóżka, pobiegł do drzwi i porwał za klamkę.

Lecz natychmiast odwaga go opuściła i zdrętwiał cały, gdyż zdawało mu się, iż po za drzwiami słyszy czyjś oddech, że tam ktoś stoi, ktoś, co go szpieguje, pilnuje i pochwycei, gdy on drzwi otworzy.

Co go tam czeka za progiem? Areszt, nowe więzienie i prawdopodobnie zesłanie na Sybir.

Sybir!

Białe tumany śniegowe, plaszczyna mroźna, wygnanie, pustka, lód dookoła ciała i duszy!

Lecz czyż za jego przestępstwa zsyłają? Dlaczego dla niego wyrok miałby być łżejszy, łaskawszy?

I nagle rozpacz i zwątpienie ogarnęła duszę chłopca.

Oparty plecami o te drzwi, chroniące go przed niebezpieczeństwem, załamał ręce i nawpół przytomny wyszeptał.

— Po co ja to zrobiłem?...

Nagle — z po za stor spuszczonego na okno, zajaśniał słaby, wąziuchny pasek światła.

Był to świt, który wstawał nad naszą ziemią nie tryumfalny i dumny, lecz szary, zbiedzony, trwożliwy, jakby wahający.

I równocześnie z tym świtem, w duszy Leona robiło się jaśniej, promienniejsz, szlachetniejsz. Niepewność, rozpacz, lęk, trwoga, ustępowały i owo aresztowanie, więzienie — ów Sybir, zaczynał majaczyć i rysować się w promiennych liniach bohaterstwa.

Razem z jasnością dnia, jasność młodzieńczych marzeń wstępowała w duszę Leona, i gdy pierwsze promienie słońca przebiły się przez płótno stor, jak złote strzały — Leon odstał od drzwi, zrezygnowany i przygotowany na wszystko.

I w tej chwili był tak zgorączkowany i porwany nagle przemianą, jaka nastąpiła w jego duszy, iż byłby nie drgnął, gdyby za progiem zobaczył cały rząd szarych szyneli i żandarmskich kołpaków, a na ich czele porucznika o stalowych oczach i fioletowym mundurze.

.....

Lecz nie podobnego nie nastąpiło.

Gdy Leon wsiadł do wagonu, wszedł do jego oddziału żandarm i zapytał.

— Wasza familia?

Leon chwilę się zastanowił.

Przejścia dzisiejszej nocy wyczerpały jego umysł. Z trudem odpowiedział wreszcie.

— Stefan Popielawski..

Żandarm wręczył mu jego przepustkę i wyszedł z wagonu, drzwi za sobą zatrzasnął.

Leon cofnął się w głąb i ztamtąd patrzył, jak na peron wyszedł stary kapitan ze swoim psem, porucznik o stalowym spojrzeniu i kilku urzędników

z komory. Wszyscy stali, przypatrywali się znów psu, który najeżony i zły siedział skureczony opodal i wpatrywał się osowiałem okiem w koła pociągu.

Nagle — porucznik pożegnał się z kapitanem i urzędnikami i szybkim ruchem poskoczył ku drzwiczkom wagonu.

Otworzył je — i wszedł do środka, kierując się do przedziału, w którym siedział Leon.

W tej chwili pociąg ruszył z miejsca.

Leon widział jak we śnie oddalające się sylwetki tamoznych urzędników, starego pułkownika pochylonego nad psem, który miał „cześć diełat” fokusy“ przed carską familią.

Od okna wzrok Leona przeniósł się na siedzącego naprzeciw niego żandarma.

W tym wąskim przedziale kolejowym zamknięci obaj i pozostawieni sam na sam, ci dwaj ludzie zdawali się w tej chwili być wrogami istotami, zamkniętymi w ciasnej klatce.

Nienawiść rasowa mimowolnie wytwarzała dookoła nich jakąś gorączkową atmosferę.

W piersi Leona wrzały nieuchwytnie pragnienia dania folgi wezbranej masie żalu, buntu, gniewu, jaka nim od tak dawna szarpała.

W nerwowem swem rozdrażnieniu widział w tym żandarmie cały rząd, całą siłę, potęgę która jego — dziecko prawie, gnała na wygnanie i kazała mu przeżywać chwile trwogi i lęku, które go potem rumieńcem wstydu okrywały.

W tej chwili Leon nie czuł trwogi — lecz czuł szaloną nienawiść. Przed sobą miał w tej ciasnej przestrzeni liberyę goniącą go i prześladowającą sfory.

Po za liberyą nie widział człowieka — nie chciał widzieć — nie mógł...

Głowa mu płonęła, głód szarpał jego wnętrzności. Cierpienia fizyczne podniecały siłę moralnych. I za nie czynił odpowiedzialny rząd i jego przedstawicieli. Gdyby w tej chwili kazano mu sformułować swe cierpienia, powiedziałby bez wahania.

— Jestem głodny, zimno mi, wstydzę się za swoją trwogę i wieczorajsze tchórzostwo, boję się nieznanego, do którego jechać muszę, chcę być wolny, wygnano mnie ze szkół, książeczki, które pisałem sercem — zniszczono, moja przyszłość niepewna, jutro bez jutra... i za co? za co?

Żandarm powoli zapalił papierosa i dopiero teraz spokojnie zwrócił swój zwrok na Leona.

W chłopcu serce zakolatało — zagryzł wargi i prawie wyzywająco z całą nagromadzoną w swej piersi goryczą i pogardą, spojrzał w źrenice żandarma.

Przez krótką chwilę te dwie pary młodych oczów mierzyły się i przeszywały do głębi dusz.

Dusze te postarzały się nagle o cały wiek, o całe stulecie i była to niema rozmowa strasznej przeszłości, nigdy niezatartej, wiecznie świeżej, i wiecznie bolącej.

Dusza Leona miała w sobie cały wiek buntu, bólu, tajemnic właściwych ofiarom pogromu — dusza żandarma, wyćwiczona w uległości dla rządu i rozwijająca się pod technieniem presyi i ciągłej oblawy, migotała w stalowych źrenicach wojskowego urzędnika chęcią badania tych tajemnic buntów i bólów.

Pierwszy odwrócił głowę Leon.

Jak ostrze noża, przeszła jego mózg myśl, iż żandarm wszedł umyślnie do jego przedziału, aby go na najbliższej stacyi kazać aresztować.

Lecz myśl ta nie przejęła go trwogą. Nerwy jego tak były zbolale całonocną torturą, iż niemal pragnęły jakiegokolwiek rozwiązania, któreby zarazem było ukojeniem.

Niech go aresztują, dostawią do Warszawy, zamkną znów, ześlą...

Leon spojrział w okno.

Całe szmaty ziemi szarej — płaskiej, ubogiej — szarej ziemi polskiej, pociętej bruzdami, wśród których białł śnieg i skakały wrony — zdawały, się uciekać het — w dal — z chyżością widziadła.

Ziemia cała zdawała się być spowita w aresztanką odzież, szarą, bezbarwną, beznadziejną. I niebo było takie same katorżne, smutne — bez promienia, pomimo, że dzień wszedł jednakowo dla wszystkich krajów, dla wszystkich ludzi. I nad innemi myślami górować poczęła w umyśle Leona — myśl, iż nigdy, czy zostanie aresztowanym, czy pojedzie zagranicę, nie zobaczy więcej tej ziemi w aresztankiej siermiędze, nad którą kraczą — wrony.

Ogarnęło go wielkie uczucie tęsknoty i żalu. Zdawało mu się, że w tej chwili żegna się z kimś sobie najbliższym i najdroższym, którego od dziecka znał, kochał i dla którego przeszedł już dużo w swem życiu.

Teraz już był gotów na wszystko, z pewną niecierpliwością oczekiwał zatrzymania się pociągu.

Był pewien, iż w chwili, gdy pociąg stanie, porucznik żandarmeryi zwróci się ku niemu ze znaną mu już formułką aresztowania.

— Izwoltie... za mnój!

Czy nie byłoby lepiej, godniej i szlachetniej uprzedzić tę chwilę — rzucić mu ową przepustkę z fałszywem nazwiskiem i nie mieć przynajmniej przed tym oficerem miny zbiega...

Leon gorączkowo zacisnął w swej kieszeni kartkę, która kosztowała tyle zabiegów Jabłońska i Tagiejewa.

Instynkt jednak samozachowawczy nakazał mu być ostrożnym i nie dawać się unieść nerwom. Brakowało mu tchu, dusił się formalnie w ciasnym przedziale wagonu.

Przytem zdawało mu się, iż wzrok żandarma działa na niego sugestyjnie w kierunku wydobycia z niego tajemnicy.

Coś go rwało do rzucania całej prawdy pod nogi tego człowieka. Oczy żandarma wyciągały jego duszę na wierzch, analizowały, rozbierały do naga.

Leon porwał się z miejsca i wybiegł na kurytarz.

Zdobył się na ten krok z taką szybkością, iż sam nie mógł się dość zdziwić swojemu czynowi.

Na kurytarzu zaczął powoli powracać do równowagi. Nie miał przed sobą stalowych źrenic i czuł, że władza ich i urok słabnie.

Przeszedł na drugi koniec wagonu i tam stanął w kątku.

Oczy zamknął i tak stał, dysząc ciężko, jakby po wyjściu ze strasznego niebezpieczeństwa.

I teraz dopiero przypomniał sobie, że nieraz podczas swego pobytu w więzieniu gubernialnem, a potem w cytadeli, podlegał takiej chęci wyrzucenia

z siebie całej prawdy, odsłonięcia całej tajemnicy wszystkiego, co jego młodą duszę w kierunku uczucia dla kraju przepełniało.

Było to zawsze w obecności żandarmów, nie tych stupajek w siermięgach, którzy brzękiem ostróg biją o kamienne flisy i z ruchami serszeronów wypełniają machinalnie dawane im rozkazy, lecz tych gładkich, grzecznych — czysto odzianych oficerów wyższej rangi, którzy zdawali się zapuszczać mu w duszę obcegi i z niej wydobywać to, co najwięcej chronić zamierzał.

Mówili mu „pan zechce“ — grzecznie, czysto po polsku z lekkim rosyjskim akcentem, wdawali się z nim w rozmowy, chcieli naprowadzić dyskusję na jego pojęcia o systemie rządowym. Traktowali go — (dziecko prawie), jak dojrzałego człowieka, z którym się liczyć trzeba.

A mimo to Leon czuł, rozumiał, co było na dnie ich słów, ich spojrzeń, ich „Ach da! wot ja chatiał was sprosit“ — rzucanych nagle od niechcenia, przy oglądaniu błyszczących paznogi lub srebrnych ołówków zakończających sznurki akselbantów.

Inni — mówili mało — siedzieli najczęściej w cieniu — przysłaniali nawet swe oczy starannie pielęgnowaną ręką, lecz z pod owej ręki — patrzyli, patrzyli ciągle — prosto w źrenice Leona.

I ci byli najstraszej, a jednym z takich był niewątpliwie ten młody porucznik, siedzący tam, w pustem teraz coupé i palący spokojnie papierosa.

Nagle — poza plecami Leona rozległ się cichy szelest.

Leon drgnął nerwowo i odwróciwszy się dostrzegł jakąś postać męską, tulącą się do ściany wagonu.

Było to niewielkie, zupełnie ciemne zagłębienie założone paczkami, a pozostała widocznie po dawnym systemie ogrzewania wagonów piecami. W samym kącie, przylepiony do ściany tulił się ów czerwony Niemiec, któremu na granicy zatrzymano paszport z powodu braku wizy. Widocznie pomyslowy Niemiec potrafił przekraść się do wagonu z wiadomością, lub bez wiadomości podoficera żandarmeryi i teraz spocony, bliski apopleksyi, starał się uczynić jak najmniejszym, jak najbardziej płaskim, aby bądź co bądź przejechać granicę. Dojrawszy, iż Leon wpatruje się w kąt, gdzie on znalazł schronienie, Niemiec cichutko zaryczał:

— Gehen Sie weg!.. Gehen Sie weg!

Leon posunął się dalej i znalazł się przy samem wyjściu z wagonu, lecz przypomniał sobie, iż walizka jego pozostała w oddziale, w którym siedział żandarm.

Wszystko jedno! Jeśli go będą aresztować, zabiorą walizkę.

Pociąg zwolnił biegu i wreszcie kolysząc się jak pijany — stanął.

Leon niezdecydowany czekał na kurytarzu na zjawienie się żandarma.

Ten powstał szybko i przeszedł przez kurytarz, śpiesząc się widocznie.

Przechodząc, potrafił lekko Leona i natychmiast podniósł rękę do czapki, mówiąc grzecznie:

— Winowat’.

Poczem przeszedł mimo ukrytego Niemca i otworzywszy drzwi, zawołał do przechodzącego kelnera najczystsza polszczyzną.

— No i cóż? Moja kawa gotowa?

Kelner stanął i roześmiał się wesoło.

— Gotowa — jak zawsze, panie poruczniku

Z drzwi stacyjnych wyszedł młody, przystojny mężczyzna w długiej czarnej szyneli wojskowej i czapce austriackiej z gwiazdką.

— Dzień dobry! — wyrzekł, podając rękę żandarmowi.

— Dzień dobry! — odparł tenże. — Pan już pił kawę? Ja przyjechałem na swoją porcję... Napijemy się — dobrze?

I poszli razem, udając przyjaźń i przesadzając się w kurtuazyi.

O Leona nikt się nie zatroszczył.

Z kąta wyłaził teraz Niemiec i miał tryumfującą, rozpromienioną minę.

— Szczakowa!... zawołał radośnie — Wir sind in Österreich!... A! Gott sei Dank!

I wylazszy z wagonu, rozprostowywał pokurczone od długiego stania nogi.

Leon chwilę zastanowił się, tak niespodziewanie znalazł się w tej Austrii, w tej zagranicy, która go darzyła swobodą i uwalniała od niebezpieczeństwa.

W drzwiczkach wagonu pokazał się posługacz.

— Pan do Krakowa?

— Tak!... do Krakowa!

Głos Leona brzmiał radośnie, tryumfalnie prawie.

— Jeżeli pan ma rzeczy, to niech pan idzie do rewizyi i wysiada prędzej!

Leon wysiadł i z całą rozkoszą poddał się formalnościom rewizyjnym, które dopełniał w brudnej sali — podobnej do stajni — bardzo zaspany, bardzo zziębnięty i bardzo niegrzeczny urzędnik, pragnący koniecznie znaleźć coś naksztalt kontrabandy.

Tymczasem — w sali jadalnej oficer o stalowych oczach pił kawę w towarzystwie urzędnika austriackiego i opowiadał, że tylko w Austrii w Szczakowej — on — Walerij Walerjanowicz Troickoj pić może kawę, bo w Rosyi — na granicy kawa „gadost“ — i pić jej nie można.

Urzędnik austriacki milczał i rogaliki w kawie maczał.

— Nu za to pozwólcie! — dowodził dalej porucznik — czaj u was do niczego... a u nas na Granicy czaj wspaniały. To już my zawdzięczamy kapitanowi. To on nam sprowadził do bufetu Tuluski samowar i teraz czaj bez zarzutu!

— Kiedy pan przyjedziesz do nas na czaj? — trzeba przyjechać!...

Lecz urzędnik dyplomatycznie milczał i ciągle rogałek w kawie maczał.

CZĘŚĆ DRUGA.



ONI.

I. Uroczystość narodowa.

— Idźcie dalej... dalej... nie zatrzymujmy się tutaj.

— Dlaczego?

— To nie nasi...

— Jakto? nie Polacy? tu są cudzoziemcy?

Wimpfen ramionami wzruszył.

— Ależ nie... tylko nie nasza partya. Idźcie dalej.

I Wimpfen niecierpliwie prawie popchnął Leona.

Wśród zwartej masy mężczyzn, stojących w przejściach, Leon z trudnością torował sobie drogę.

Oszołomiony mnóstwem oczów, skierowanych na siebie, szedł prawie na oślep i pragnął schronić się w jakikolwiek kąt, lub przysiąść na pierwszym lepszym krześle.

Lecz próżne były jego żądania.

Po za nim nieubłagany Wimpfen zmuszał go iść dalej, powtarzając ciągle:

— Idźcie, idźcie dalej!

Wreszcie Leon wydostał się na wolniejsze miejsce i dostrzegł w kącie sali kilku młodych ludzi, siedzących na ławkach.

Ku nim podążał Wimpfen.

— To są nasi! — wyrzekł, ukazując Leonowi siedzące postacie.

Leon poszedł w ślad za Wimpfenem. Ten ujął go za rękę i przedstawił:

— Orlicki!

Użył jego pseudonimu po raz pierwszy, i Leon aż drgnął, posłyszawszy tak otwarcie wymówione swe skrywane nazwisko.

Kilka rąk wyciągnęło się ku niemu równocześnie.

— Na długo?

— Na zawsze — odparł Leon.

Wimpfen odwrócił się ku niemu szybko.

— Cóż to, wyrzekacie się myśli powrotu do kraju? — zapytał.

— Sądzę — odrzekł gorąco Leon — iż tu na swobodzie, można lepiej i skuteczniej pracować!

Wimpfen popatrzył na niego chwilę uważnie i ironiczny uśmiech przesunął się przez jego usta.

— Tak sądzicie? — wyrzekł i zaraz z kurtazą zwrócił się ku przesuwającym się pod ścianami kobietom.

— Panie z nami? — zapytał.

Młoda dziewczyna o dziwnie jasnych szarych oczach, odpowiedziała krótko.

— Nie, my do swoich!...

Wimpfen z widoczną lubością wpatrywał się w okrągłą młodą twarzyczkę dziewczyny.

— Dziś będziecie bardzo nieliczni! — wyrzekł jakby z przekorą — Grzegorzewski nie przyjdzie, Jaskólski się spóźni... nie będzie komu protestować.

Dziewczyna zmarszczyła brwi i wyprostowała się dumnie.

— A ja? — spytała.

— E... Pani byś nie śmiała.

— Ja? Może dla tego, że jestem kobietą?

Wzruszyła ramionami i roześmiała się weselo.

— Niech się pan nie boi... ja sobie z nimi poradzę, jeżeli nas w czem zadrasną!

I ciągle śmiejąc się, poszła dalej.

Leon mimowoli patrzył za nią, tak wydała mu się miłą, szczerą i sympatyczną w swej czarnej obcisłej sukience, białym kołnierzyku i mankietkach.

Twarzyczkę miała okrągłą, pełną i rumianą i całą figurkę kształtną, okrągłą i nadzwyczaj formennie złożoną.

— Kto to? — zapytał Wimpfena.

— To panna Mazia — odparł tenże — zago-rzała działaczka... kocha się w Grzegorzewskim.

— A ów Grzegorzewski?

— O! za wiele chcecie wiedzieć od razu. Najlepiej siadźcie w kącie i słuchajcie, bo oto zaczyna matadory wchodzić na estradę.

Leon usiadł na ławce i jednym rzutem oka objął niewielką lecz dziwnie jasną salę, w której odbywało się zgromadzenie Polaków, mieszkających w Paryżu.

Sala była półokrągła z zagłębieniem na jednej ze ścian. W zagłębieniu tem stała estrada, pokryta zielonem suknem. Dokoła stołu krzesła. Ściany były białe i widniały na nich tablice marmurowe blade-szare pokryte złotymi napisami.

Oślepiający blask bił z żyrandola i kilku ściennych kinkietów i zalewał jasnością kilkaset osób, siedzących rzędem w ławkach lub wtłoczonych w ciasne przejścia tuż pod ścianami.

Leon rozróżniał powoli twarze i starał się odgadnąć, kim są ci wszyscy ludzie.

Kobiety były bardzo skromnie, przeważnie czar-no ubrane.

Tylko w pierwszym rzędzie widniała jakaś jasno zielona suknia i czarna pomierzwiona głowa.

Tuż obok jasno-różowa bluzka i blond pomierzwiona głowa.

Mężczyźni odziani raczej, a nie ubrani, mieli po największej części twarze mizerne, co od razu uderzyło Leona. Nigdzie nie było widać junackiej, młodej postaci, rwącej za serce i wzniewiającej zaufanie w dobrze rozwiniętą siłę. Tylko w oddali pod ścianą Leon zauważył młodego człowieka, ro-słego, dużego, o szerokich plecach i zdrowej cerze twarzy, który założywszy ręce po napoleońsku, stał i spoglądał z góry na całe zgromadzenie.

W pierwszym rzędzie krzeseł siedziało kilku zupełnie starych i siwych ludzi.

Właśnie dwóch komitetowych wprowadzało pod rękę bardzo pochylonego i bardzo siwego staruszka. Na głowie miał fez i idąc, kręcił ciągle głową, jak-by się czemuś dziwił i zaprzeczał.

Wimpfen pochylił się ku Leonowi.

— To jeszcze z trzydziestego roku!

Leon otworzył szeroko oczy i czapkę do piersi przycisnął.

Widział teraz przed sobą jednego z tych, któ-rych sobie tylko w snach przedstawiał.

Byli dla niego już legendą. Teraz legenda ta ożyła, oblekła się w ciało.

Staruszek usiadł na jednym z foteli i natych-miast rozpoczął głośną rozmowę z jednym ze swych sąsiadów, także starym i wybladłym człowiekiem.

Wimpfen znów pochylił się ku Leonowi.

— Ten drugi — to z sześćdziesiąt trzeciego!...

Ten był jeszcze Leonowi bliższy i nie był w jego myślach nigdy legendą. Często porwany ima-ginacją chłopak, leżąc na swem ubogiem posłaniu, prowadził partyzantkę, staczał potyczki — żył tym „sześćdziesiątym trzecim“, który jak krwawa mara wśród serc i cmentarzy się błakał.

Na estradę weszło kilku ludzi i zaczęli powoli, nie spiesząc się, zajmować krzesła. Leona uderzyło to, iż wszyscy ci „komitetowi“ byli nadzwyczaj wy-sokiego wzrostu.

Wszyscy byli siwi i mieli miny dawnych woj-skowych. W swych czarnych surdutach trzymali się prosto, sztywnie, jakby w mundurach.

W środku, jako prezydujący, zabrał miejsce wysoki starzec z zupełnie białymi włosami. Miał twarz dziwnie łagodną i spokojną.

Obejrzał dzwonek, karafkę z wodą i usiadł wygodnie w swoim krześle.

Wimpfen rzucił znów ku Leonowi jedno słowo — Bogdanowicz!

Lecz przy wejściu zaszemrało — ludzie za-częli się rozstępować i Leon ujrzał dziwną postać, która od razu na niego głębokie wywarła wrażenie.

Był to mężczyzna średniego wzrostu — odzia-ny czarno, ubogo i prawie niemodnie.

Młoda jego twarz była bardzo blada; nadzwyczaj regularne rysy zdawały się być wyrzeźbione, tak były czyste, foremne i szlachetne. Czarne wło-sy, niezmiernie gęste, odrzucone były w tył; gęsta, równie czarna broda, ocieniała trochę zaciśnięte i wą-skie usta.

Na pozór był to człowiek jak wszyscy, silny brunet, o czarnych, zsuniętych pod brwi, żenicach, lecz Leon mimowoli zapominał na razie o legendowych postaciach emigrantów, o wielkim imieniu Bogdanowicza, otoczonem aureolą bohaterstwa — a całą duszą szedł naprzeciw nowoprzybyłemu człowiekowi.

I on wpatrzył się w Leona z pod brwi zsuniętych i zdawał się także nie widzieć nikogo innego, i iść tak wprost ku niemu, jakby wiedział, iż był przez Leona oczekiwany i pożądan.

Była to krótka, lecz wstrząsająca chwila.

Przed ciałami tych dwóch ludzi, wybiegły na spotkanie ich dusze.

Jedna — zagarniała w posiadanie drugą i chłonęła ją całą w swe gorące promienie.

Dokoła Leona zaszemrano:

— Grzegorzewski! Patrzcie, Grzegorzewski!

On przeszedł mimo — i niedbale, prawie z lekceważeniem, kiwnął głową gromadce, w której znajdował się Leon.

Wimpfen ramionami ruszył.

— Razwiewatiel! — zaczął szydęrczo.

Jeden z młodych ludzi trącił Wimpfena nieznacznie.

— Cicho!... — wyszeptał tajemniczo.

Lecz Wimpfen śmiać się zaczął.

— Dlaczego? Przecież on się z tem nie tai. Zdaje mi się, iż dość jawnie głosi swe przekonania i wszyscy mają go za lidera partyi.

— Cicho!... — szepnął raz jeszcze młody człowiek — nie wiesz, kto cię w tej chwili słucha... możesz wpaść w co niepotrzebne... Co nam do nich i ich rozwiewateli... Niech sobie bzikują!

Leon spojrzał uważnie na tego, który mówił i dopiero teraz uderzył go szczegół, którego przedtem nie zauważył.

Wszyscy ci młodzi ludzie, którzy go otaczali, byli czysto, elegancko, prawie wytwornie odziani. Maniery ich były układne i wiało od nich chłodem i szablonem.

Nawet sposób noszenia bród spieczasto przystrzyżonych i włosów „pod szczotką“, tak jak nosili brody i włosy Paryżanie, nadawał im wspólną cechę i czynił ich fizyognomie odrębne od niepielegnowanych zarostów innych mężczyzn, znajdujących się w sali. Ci „inni“ mieli nasze, zwyczajne wąsy, układające się jakkolwiek, włosy rosnące na wolę Bożą, a brody rosnące według własnej woli.

Leon spojrzał na Wimpfena i dostrzegł, że ten nadawał niejako ton całej tej gromadce, trzymającej się na uboczu i jakby odpornie. Wiedział, że Wimpfen jest malarzem, że pracuje w atelier Julien — a drogą łatwej kombinacji doszedł, iż Wimpfen, mówiąc o eleganckiej gromadce „nasi“, tak nazwał klan artystyczny i że on — Leon, znajdował się w tej sali wśród tego klanu.

Lecz Wimpfen podniósł się na swem krześle i znów śmiać się zaczął.

— Patrzcie! Patrzcie!... w pierwszym rzędzie hrabina de Różycky ze swoją świtą! Czego one tu chcą? Przecież tu nie atelier i tutaj chyba nikt im żadnego prezentu nie robi!

Nagle zaciemniło się przed oczyma Leona. Jakiś tęgi, przysadkowaty mężczyzna w palonych butach i czamarcie stanął, zasłaniając mu plecami estradę.

Wimpfen skrzywił się znacząco i nos zatknął.

— Gore!... — zawołał półgłosem — frytura pachnie.

Siedzący obok Wimpfena mężczyzna trącił go w bok.

— Cicho... nie zaczepiaj go — obrazi się i odmówi mi kredytu.

Wimpfen ramionami wzruszył.

— I tak ci odmówi kredytu. Piwnicki daje tylko na kredyt osobom, przedstawiającym gwarancję. A cóż ty jesteś? — *Artiste! C'est triste!*.. he? co? panie Piwnicki?

Zainterpelowany odwrócił się i ukazał nagle swoją twarz ogorzałą, upartą, twarz dziwną, bo wyraz jej był nieuchwytny i mienił się co chwila nerwowo, pomimo grubo wyciosanych rysów.

— A czego panu? — zapytał, patrząc z ukosa na Wimpfena.

— Mnie niezego... ale pan nie jesteś przeźroczysty i zasłaniasz nam estradę!

— A-no to siadę.

Piwnicki usiadł na rogu, tuż koło jakiegoś młodego chłopca, który prawie trwożliwie usunął się na bok.

— Władek, chodź tu do nas! — zawołał Wimpfen. Lecz chłopak nie wstał, tylko bojaźliwie spojrzawszy w stronę artystów, zasunął się jeszcze głębiej w krzesło.

— Nigdy nie odkryję tej zagadki! — zawołał Wimpfen.

— Jakiej?

— Nie dowiem się, czy to chłopak, czy dziewczyna...

— Oszalałeś!...

— Ale!... Spójrzcie tylko na tę delikatną szyję, na ten kark kobiecy, a raczej dziewczęcy, wysuwający się z kołnierzyka. A ręce, nogi, a biodra... a głos...

Lecz w tej chwili rozległ się dzwonek przydującego i siwy jak gołąb starzec powstał, otwierając uroczystość króciuchną mową.

Głos jego był wąty i nikły. — Natychmiast po nim podniósł się z miejsca wysoki mężczyzna i zaczął mówić długo i dość zajmująco. Leon nie przywykły do mowy wolnej, nie krępowanej, nie więzionej, słuchał z natężeniem i nerwową uwagą. To jednak, co z estrady płynęło, było zbiornikiem frazesów i komunałów. Widoczne było, że mowa ta ogladzona, oszlifowana, dość umiarkowana i letnia, była tylko dopełnieniem obowiązku, przyjętego przez grzeczność a może z obawy pozostania pod zarzutem obojętności dla sprawy publicznej.

Mowca był urzędnikiem w Towarzystwie aseku-racyjnem paryskim i cały jego porządek życia był już zatwierdzony i urządzony. — We Francji bawił od lat trzydziestu, cieszył się zaufaniem i szacunkiem umiarkowanej partii kolonii. Kraj był dla niego już dalekim snem. Wiązała go z nim przeszłość i przekonanie, iż każdy uczciwy człowiek winien swój kraj kochać i nie uchylać się od wszelkiej sposobności zademonstrowania owego przywiązania.

Corocznie więc pan Miedwiejski występował kilkakrotnie na estradach w sali Tow. Geograficznego, jeździł do Montmorency, należał do rozmaitych stowarzyszeń i związków, o ile te, ma się rozumieć, nie miały nic wspólnego z „rozwichrzeniem“ i zbyt czerwonymi zachciankami pewnego odłamu kolonii. Na

owych estradach, wśród posiedzeń owych stowarzyszeń i związków, p. Miedwiejski miał mowy duże, długie, umiarkowane, które nie obrażały niczyich uczuć i przekonania, lecz także i nie porywały serc, bo były głoszone mocą przyzwyczajenia nałogowego mówcy.

Jego silny głos, niezła wymowa, marsowa postawa, kilka silnych gości, podkreślających utarte frazesy, tworzyły teraz konieczną część programu każdej uroczystości. I nie on był jeden, było ich więcej tych mówców, należących do umiarkowanych stowarzyszeń i mówiących ciepłe mowy w jasno oświetlonej sali Towarzystwa Geograficznego.

Wszyscy oni byli wybierani zwykle pomiędzy ludźmi solidnymi; zasiedziały w Paryżu, mającymi stanowiska, czy to w handlu, czy to w urzędach. Siwe ich głowy wystygły dawno i nie plonęła w nich żadna iskra zapалу.

Brali udział w uroczystościach narodowych, bo tak należało — i dlatego te uroczystości były zimne, obojętne — tworzyły raczej rodzaj przyzwyczajenia inscenizowanego widowiska, z rolami naprzód powierzonymi rękami wytrawnych artystów.

Leon po raz pierwszy na takiej uroczystości beznerwową swoją naturą odczuł natychmiast ten chłód, ten brak zapалу, który jedynie podobna uroczystość usprawiedliwia i nawet koniecznymi dla podniecenia dusz młodych i gorących — czyni.

Leon pochylił się ku Wimpfenowi.

— Czy żaden z młodych nie będzie mówił? — zapytał.

Wimpfen spojrzał na niego zdziwiony.

— Młody? tu żadnego młodego do głosu nie dopuszczają... — wyrzekł ironicznie.

Lecz w tej chwili zrobił się ruch na estradzie.

Miedwiejski skończył swą mowę i usiadł, a prezes głosem natężonym obwieścił:

— Pułkownik Montalambert ma głos!

Z krzesła podniosła się powoli z gracyą i dystyngcyą wysoka, strojna figura starca, odzianego w doskonale skrojony frak, biały krawat i mającego nad czołem zafryzowany wysoko siwy czub à la Rochefort.

Był to typ dawnego wojskowego francuskiego, odzianego w cywilne suknie.

Tradycyjalna hiszpanka, tak droga Napoleonowi III, przedłużała mu twarz i czyniła jego pomięte i prawie tatarskie rysy cokolwiek szlachetniejszymi. Brwi siwe i sterczące, zdawały się być nalepione. Oczy siwe i skośne — usta ułożone w dość pretensjonalne linie.

Lecz najcharakterystyczniejszym w całej twarzy był nos — przetrącony i połamany — prawdziwy nos Pawła, który bez hiszpanki i czuba à la Rochefort, czyniłby twarz pułkownika podobną do pyska buldoga lub twarzy zabląkanego na bulwary tatarów.

W butonierce od fraka widniała wstążeczka legii honorowej.

Na palcach z daleka błyszczały brylanty.

Pomiędzy publicznością nastąpił szmer.

— Kto to? co to? — pytano dokoła.

Piwnicki, zdawało się, być najlepiej poinformowany, odwrócił się bowiem ku Wimpfenowi i pół głosem objaśnił:

— To jest taki jeden, co się z nami bił w sześćdziesiątym trzecim. To jest Francuz, ale on

bardzo dla Polaków przychylny i dlatego mu dali miejsce do mówienia w programie.

Pułkownik nalał sobie szklanę wody — postawił ją przed sobą i skłoniwszy się wdzięcznie, rozpoczął:

— Mesdames! Messieurs!

Mówił bardzo długo i bardzo patetycznie. Przedewszystkiem dziękował komitetowi, iż raczyli mu uczynić ten wysoki zaszczyt i dopuścili go do swego grona, potem — dziękował zebranych damom i panom, że raczą go słuchać — następnie dziękował losowi, iż pozwolił jemu — nad grobem już stojącemu, dożyć chwili, że znów tak, jak za czasów swej młodości, znajduje się wśród serc polskich, wśród dusz polskich, które jedne pojmują, co to jest Ojczyzna i jak wielkie i święte są względem niej obowiązki.

On — pułkownik Montalambert, w młodości swej porwany świętością sprawy i słusnością, jaka powstać kazała Polakom przeciw ciemnicy, pospieszył oddać swą krew i swe życie na usługi walczącym.

— I walczyłem, panowie!... — ciągnął dalej po francusku Montalambert, a głos jego brzmiał donośnie i nabierał akcentów szczerości — walczyłem, starając się ukryć swe nazwisko i pozostać jednym z nieznanym tam... gdzie każdy był bohaterem i każdy miał do laurów prawa!...

Zawiesił głos chwilowo i wyciągnąwszy rękę, zawołał:

— Bo byliście zawsze i jesteście plemieniem bohaterów panie i panowie! Każdy z was rodzi się z przeznaczeniem męczeństwa, a wy męstwem swoim,

odwagą, i miłością dla nieszczęśliwej waszej Ojczyzny zamieniacie tę koronę cierniową na laur bohaterów, przed którym nawet wrogowie wasi muszą chylić czoła!

— Dobrze gada!... — krzyknął Piwnicki, uderzając pięścią w ławkę.

— Francya! — ciągnął dalej pułkownik — była zawsze tą wielką przodowniczką w rozprzestrzenianiu idei wolności i swobody! Lecz wy wyprzedziliście nas od wieków i zrozumieliście, co znaczy swoboda człowieka...

— Swoboda... szlachcica! — odezwał się nagle silny głos wśród publiczności.

II. Banda Grzegorzewskiego.

• Wimpfen poruszył się na swem krześle z zadowoleniem.

— To banda Grzegorzewskiego zaczyna! — wyrekł, zwracając się do Leona.

Lecz to objaśnienie było zbyteczne. Nie słyszał nigdy głosu Grzegorzewskiego — a jednak, gdy te dwa słowa obily się o jego uszy, był pewien, że to nikt inny, tylko Grzegorzewski je wypowiedzieć musiał.

Wśród publiczności powstał szmer i rozległo się sykanie.

Pułkownik stropiony — pochylił się ku Prezydującemu, pytając o znaczenie wypowiedzianych przez Grzegorzewskiego słów.

Lecz prezydujący prawie z lekceważeniem i ojcowską dobroduszością objaśniał pułkownika, iż to młodzi zapaleńcy korzystają z każdej okazji, aby swoje ultra-anti-szlacheckie zapatrywania rozgłaszać.

Pułkownik natychmiast przybrał minę wojowniczą i zapragnął wejść z Grzegorzewskim w bliższą dyskusję — lecz cały komitet szeptem uprosił go by dalej swą mowę ciągnął i na tę przerwę nie zwracał uwagi.

Leon starał się pomiędzy masą kolyszących się głów dostrzedz Grzegorzewskiego.

Udało mu się to na chwilę.

Grzegorzewski stał oparty jedną ręką o ławkę drugą zasunął za surdut.

Stał — i patrzył z nieukrywaną ironją na estradę, na której szeptał i wzruszał ramionami komitet, na wyniosłą postać pułkownika, na tłum publiczności, z których połowa sykała, a połowa patrzyła na niego z ciekawością, z jaką się patrzy na lwa, gdy z klatki swej nagle łapę potężną, opatrzoną w pazury, wysunie.

W ironii tej, która migotała w czarnych źrenicach Grzegorzewskiego i dokoła jego ust gorączką spieczonych, dostrzegł Leon więcej smutku niż złośliwości. Jego czarne źrenice nie migotały iskrami, lecz zdawały się być przysłonięte jakimś kirem wielkiego żalu i żałoby.

Jeden z „artystów“, siedzących obok Leona, zatarł ręce z zadowoleniem.

— Będzie chryja... będą się żarli!

Leon doznał jakby uderzenia obuchem w głowę.

— Jakto? tu? klótnie — niezgody w samej kolonii na swobodzie... pomiędzy sobą?

Pułkownik Montalambert znów mówić zaczął.

Silnym głosem i giestem uciszył i uspokoił chwilowe wzburzenie.

Mówił teraz o Francji i o jej pięknej, szlachetnej przyjaźni, jaką zawsze czuła dla Polski, z którą wiązały ją obowiązki krwią Polaków pieczętowane.

Lecz obecnie — rząd zmienił taktykę. Depczą prawa logiki, republika łączy się z despotą i czapka frygijska skłania się nisko przed nahajką.

I on — pułkownik Montalambert cierpi nad tym stanem rzeczy i wstydzi się za zdradę i odstępstwo swego kraju. On nigdy nie zaaprobuje aljansu, który każe po Marsyliance grać republikańskiej orkiestrze tutaj hymn, opiewający potęgę tyra-
rana! Nie dlatego Francya sto lat temu pławiła się we krwi, aby dziś leżeć u stóp obcego despoty. Nie ją nie usprawiedliwia — ani żałoba po Alzacyi i Lotaryngii — ani obawa przed Niemcami!

Głos pułkownika grzmiał teraz i wyciągnięta prawica zdawała się rzucać wzgardę całemu rządowi, całej republice.

— Szczęściem, — zakończył — więcej jest Francuzów, którzy myślą tak jak ja, i z czystym sercem mogą zawołać „śmierć despotyzmowi — a życie uciśnionej Polsce!

Zaszumił huragan oklasków.

Publiczność była porwana tą lawiną frazesów, wygłoszonych z właściwą Francuzom swadą i energią.

Cały komitet z prezydującym na czele zwrócił się ku pułkownikowi z gorącą podzięką.

Montalambert wzruszony, ścisnął wyciągnięte ku sobie ręce — kłaniał się publiczności, uśmiechał się ku damom i równocześnie ocierał łzy z oczów.

Zielona suknia i rozwichrzona czarna głowa, oraz z różową bluzką i rozwichrzoną blond głową specjalnie odznaczały się w wyrazach uwielbienia.

Hrabina Różycki i jej siostra „mademoiselle Kazia“ wyciągały ręce i wołały radośnie.

— Bravo! bravo colonnel!...

Klan Grzegorzewskiego zachowywał się milcząco, gdyż sam Grzegorzewski stał ciągle w jednej pozycyi, nie zmieniając wyrazu twarzy. Wre-

szenie entuzjazm przyeichł i na estradzie powstał jeden z solidnych ludzi, pragnąc imieniem komitetu i zgromadzonych Polaków wyrazić serdeczne pułkownikowi podziękowanie.

Mowca — był drugim typem Miedwiejskiego, tak samo człowiek mający zapewniony byt i od dawna osiedlony we Francyi. Jego mowa była wiernym powtórzeniem mowy Miedwiejskiego, ale wprawne ucho mogło dostrzedz w niej niektóre odcienia.

I tak Szymborski więcej zaznaczał swoje zapatrywania, swoje przekonania i nie mówił ciągle „my“ — „nam“ — „nas“. — Było w tem już coś więcej indywidualnego, choć był to cień zaledwie — ostrożny i delikatny.

Lecz — widoczne było, iż ten człowiek nie może przenieść odezwania się Grzegorzewskiego, że pragnie wymóżyć na sobie przemilczenie zaszłego faktu, a resztką temperamentu, jaką ma w sobie, nie dozwala mu panować nad kierunkiem swych frazesów.

I Leon poczuł w powietrzu jakieś ściąganie się myśli przedtem, zanim te myśli w słowa obledz się zdołały.

Oczy, cała postać mówiącego, zwrócone były wprost ku publiczności — a przecież myśl jego biegła wciąż w kierunku postaci Grzegorzewskiego i spotykała w pół drogi drugą myśl, pełną gromu.

I nagle, niezręcznym zwrotem, Szymborski po-
folgował swym nerwom i pragnieniom dania nauczki tym młokosom, którzy chcieli gwałtem narzucić jednego ze swoich do komitetu i tem samem swój purpurowy łachman rozwiesić koniecznie tam, gdzie umiarkowanie i przyzwoitość były koniecznymi warunkami istnienia.

— I kraj nasz, wierzymy, wzrośnie i rozwinie się — ciągnął mowca — jedynie wtedy, gdy szanować będzie dawne tradycje, jakie mu po rycerskich jego przodkach pozostały. Są bowiem niestety i u nas nieliczne, na szczęście, indywidua — opętane nowoczesną manją plwania na wszystko, co stanowiło chlubę i dumę naszego narodu. Klejnoty szlacheckie, zdobyte orężem w rękę i nadawane często na polach walki — są dla tych ludzi przedmiotem szanderstwa... Pod płaszczykiem nowych, humanitarnych pojęć, bluzgają jadem i głoszą ciągle o męczeństwach uciśnionego jakoby przez szlachtę — ludu. Są to fałszywi apostołowie, są to ludzie, którzy nie kochają matki Ojczyzny, są to...

Nagle dał się słyszeć Grzegorzewski :

— Proszę o głos!...

— Są to szaleńcy — ciągnął dalej Szymborski — lecz powtórnie odezwał się Grzegorzewski :

— Ja proszę o głos!

Powstała niesłychana wrzawa.

Wszyscy zaczęli naraz mówić, kobiety, mężczyźni krzyczeli, podnosili się z ławek, niektórzy wchodzili nawet na ławki.

Leonowi serce biło jak młotem, pobladł, przycisnął się do ściany i siedział bez tchu, wpatrzony w tę krzyczącą i giestykulującą ciżbę.

Wszyscy zdawali się zwracać ku Grzegorzewskiemu i wszyscy prawie byli dla niego wrogo usposobieni.

— Cicho!... nie przeszkadzać... milczeć... za drzwiami!... — dawały się słyszeć głosy.

Lecz Wimpfen dał hasło gromadce artystów.

— Przeciwnie! dajmy mu mówić! Wspaniale wygląda, gdy mówi!

I jakby na komendę, porwali się artyści z miejsc i krzyczeć zaczęli.

— Niech mówi! niech mówi!

Głosy ich były silne — piersi zdrowe... Przekrzyczeli prędko całą salę.

I Leona ogarnął nagle rodzaj szału.

Niedozwolenie dopuszczenia do głosu Grzegorzewskiego wydało mu się wstrętą niesprawiedliwością. Niech mówią wszyscy — gdy uroczystość nosi miano „narodowej“ — cały naród! tak każe prawdziwa swoboda!

I Leon zgorączkowany zaczął tupać nogami i krzyczeć głośniejsze, niż inni :

— Niech mówi! niech mówi!

W zapale posunął się dalej o kilka ławek.

Zresztą zamieszanie było ogólne, wszyscy powstali z miejsc i cisnęli się w kierunku Grzegorzewskiego.

Nagle Leon uczuł się szarpnięty za rękaw.

Obok niego stał Władek. Oczy miał łez pełne i usta mu drżały.

W pierwszej chwili Leon, widząc tylko jego głowę, sądził, iż zbliżyła się ku niemu jakaś kobieta, tak delikatną i przejrzystą cerę miał ten chłopak.

Prędko jednak poznał swą pomyłkę, gdy Władek zawołał do niego z rozpaczliwą prośbą.

— Niech pan ich zmusi, żeby dopuścili Grzegorzewskiego do głosu, bo inaczej... ja im co złego zrobię!...

Leon przestraszył się tych rozpalonych, namiętnych żreń, tych ust purpurowych, skrzywionych nerwowym grymasem.

Lecz Władek popychał go i porywał.

— Krzycz pan!... — wołał — krzycz!... ja mam za słaby głos, mnie nie usłyszą!

I Leon krzyczał, dziwiąc się sam, że głos jego staje się tak burzliwy, tak donośny i namiętny.

Dokoła niego krzyczeli prawie wszyscy.

Byli tacy, którzy się śmiali, stukali obcasami o podłogę — słowem bawili się, jak rozpuszczone dzieci.

Inni giestykulowali z uporem zacieklých w swych zapatrywaniach wsteczników, którzy głosząc zasady szlachetne, sami nie umieją uszanować i bezstronnie ocenić zasady innych umysłów.

Byli znów tacy, którzy się gniewali i na Grzegorzewskiego i na jego oponentów. Wołali ciągle „cicho!“ — obojętni na to, kto mówić będzie, tylko — nie życząc sobie hałasu i krzyków. Niemniej wrzawa trwała ciągle — komitet powstał z miejsca — prezydujący dzwonił na estradzie, podbiegli rozmaici ludzie, a w pierwszej linii hotelarz Piwnicki, który wołał:

— A uspokóje się ludzie do diabła!

W tym zgiełku, hałasie, krzykach, śmiechu, syku, odbijały dziwnym spokojem postacie Grzegorzewskiego i jego nielicznych towarzyszy.

Grzegorzewski stał ciągle nieporuszony i z pod wół przysłoniętych powiek patrzył na krzyczącą publiczność.

Po za nim panna Mazia, z oczyma łez pełnemi, z ustami złożonemi w podkówkę, silnie ści-

skąła za rękę drugą kobietę, jasną blondynkę, delikatną, z oczyma jakby spłowiałemi od płaczu. Jeszcze kilka kobiet czarno odzianych i dwóch czy trzech mężczyzn młodych lecz z twarzami przedwcześnie postarzalemi — i to było wszystko, cała tak zwana... banda Grzegorzewskiego!

Wszyscy zbici w gromadkę, milczący, lecz pełni jakiejś egzaltacji, stali wśród rozkrzycanego tłumu i patrzyli prosto w oczy otaczającym ich ludziom.

Była w ich postawie jakaś karność, jakaś determinacja — gotowość na wszystko.

Wreszcie tłum wyczerpany, umilkł.

Wrzawa cichła stopniowo, rozpadała się na części, szumiała jeszcze u stóp estrady i nakoniec umilkła zwalczona — milczeniem.

I wtedy, po krótkiej naradzie, prezydujący odezwał się szablonowym, nie nie wyrażającym tonem:

— Pan Grzegorzewski ma głos!

Publiczność znów zaszemrała, ale, jakby przeleciał po niej wichur jesienny: umilkła.

I wśród wielkiej ciszy wzniósł się nagle głos Grzegorzewskiego.

— Przed chwilą — z tej estrady, z której zda się nie ziarno niezgody lecz ład i porządek, a razem szacunek dla wszystkich zasad i przekonani partyjnych spływać powinny — padło ciężkie oskarżenie bezimienne, a jednak ku nam skierowane. Mowca nie wymienił nas po nazwisku — jednak wszyscy uczyli i wszyscy poznali, że owa gangrena narodu polskiego, ów wrzód, toczący łono matki-Ojczyzny, owa partya wichrząca i wzniecająca niepo-

koje, nie szanująca tradycji... plująca na herby szlacheckie, na przywileje „panów braci“, toć nie kto inny, tylko my odosobnieni, my tak wyklęci i wydzielczieni, że nawet na zgromadzeniu narodowym mówić nie mamy prawa. Bronić się nam nie wolno i słuchać powinniśmy z pochyloną głową, jak zaspasy indyferentyzm współ z szablonową patryotyczną błagą, podają sobie wspólnie ręce, a nam obelgi w twarz rzucają!

I rzeczywiście zbrodnie nasze są wielkie, olbrzymie, nieprzebacalne. A główna? My nie idziemy z wygodną większością! My pracy około dobra kraju nie uważamy za obowiązek dodatkowy do burżoazyjnej kariery, ale dla nas jest ona celem życia — co mówię, jest ona życiem naszym!

Umilkł na chwilę i z wzrastającą goryczą i rozdrażnieniem mówić znowu zaczął, a zdania całe biegły z ust jego z nadzwyczajną szybkością, tak, iż siła gorąca i namiętna biła z nich i przebiegała po nad całym audytoryum.

— Czy mowca poprzedni zna nas, nasz program, naszą pracę, rezultaty tej pracy? Czy wy tu wszyscy zgromadzeni znacie nas i wiecie, kim my jesteśmy i do czego dążymy? Przedstawiają nas wam jako potwory bez serca, bez miłości dla kraju — pasące się ludzką pracą... słowem, grono rozczochranych pasożytów, które wytępić należy. I z tym sądem w sercu i na ustach rzucacie się na nas z krzykiem i złorzeczeniem i chcecie nam zamknąć usta i zmusić do milczenia! Bo wygodniej jest kogoś potępić i na jego grobie zbudować tron dla swej pychy i doskonałości, a rozsiadłszy się na nim w karmazynowych butach, które po przodkach zo-

stały i owinawszy ciało w ów pas, który to za Sasa popuszczany bywał codziennie, wołać: „Ja kocham kraj mój!... ja jestem wielki!... ja jestem patriota!...“

Lecz moja wielka i wygodna większości, to dobre z takimi — którzy — albo mając sumienie nieczyste, zleką się waszej buty i krzyku, albo sił im zabraknie w pół drogi, bo wzięli się do dzieła bez dostatecznej miłości w sercach, miłości nie dla siebie samych, lecz dla tych, którzy cierpią, którzy mrą w wyzysku, którzy giną w moralnej ciemności! Lecz my zjeść się nie damy! Patrzcie, nas jest zaledwie garstka, kilka osób, kilka kobiet — dzieci prawie, a my śmiało możemy wam stawić czoło i kazać szanować naszą pracę, nasze zasady, nasze cele!

Grzegorzewski w tej chwili był bardzo pięknym, porywająco pięknym.

Leon, który powstał ze swego miejsca i przyciskając do piersi barankową czapkę, nie spuszczał go z oka, uczuł dla niego egzaltowane uwielbienie i podziw.

Obok niego Władek, ukryty prawie poza jego plecami, powtarzał co chwila:

— Och, panie! Och, panie... niech on mówi!

Po ostatnich słowach Grzegorzewskiego, zaszemrała cała sala i głowy pochyliły się ku sobie, jak kłosa przed burzą.

Prezydujący zadzwonił.

— Prosimy o ciszę! — wyrzekł, usiłując mówić jak najgłośniejszym — a mowcę prosiłbym o cokolwiek umiarkowania...

Grzegorzewski roześmiał się ironicznie.

— A... nie!... — odparł żywo. — Umiarkowania mieliśmy przed chwilą poddostatkiem. Dla czego jednak nie proszono o umiarkowanie mego poprzednika, wtedy, gdy nam zarzucał zbrodnie i podniecał przeciw nam zgromadzonych? Ale dla nas jest inna miara! Myśmy jednak do niej przywykli i nas ona nie dziwi. A mimo to przecież my żyjemy, pracujemy i praca nasza wydaje owoce. Jeżeli kto odrodzi kraj, to nie mumie spowite w powijaki przesądów i niechęce słyszeć, że oprócz frazesów o miłości ojczyzny, trzeba jeszcze dać ludziom jeść w tej ojczyźnie — i zanim się powie robotnikowi: „Kochaj twój kraj“ — należy tak urządzić społeczeństwo i warunki bytu każdej jednostki, aby ten kraj mógł takiego robotnika wyżywić... i nie dozwolić jego dzieciom iść drogą kradzieży albo rozpusty! Wtedy panowie misya wasza będzie bardzo łatwą do spełnienia. Miłość ojczyzny rozwinie się w sercu każdego Polaka, bo ziemia ta, którą będzie kochał, będzie mu nie macocha, a matką... a matkę-karmicielkę każdy kochać i bronić od najeźdźców będzie!

Głos Grzegorzewskiego potężniał coraz więcej i rzec można, nabierał skrzydeł. Słowa nie pelzały po sali, lecz biegły wysoko w świetlaną przestrzeń i tam zawisały pełne potęgi i siły.

— I nie migajcie nam przed oczyma odwagę i bohaterstwem naszych przodków, którzy swe tarcze herbowe zdobywali na koniu zakutym w stal i żelazo, a sami cali zamknięci w pudełka także ze stali i żelaza zrobione, biegli pod Wiedeń lub na wolnych elekcjach zarzynali się wzajemnie! Są teraz bohaterstwa większe, wspanialsze, więcej uwielbienia godne! Nie dano jest nam walczyć z bronią w rękę,

ale często walka nie na oręż sroższa jest i cięższa, a wymagająca więcej poświęcenia i miłości. Oni tam biegli zwartą lawicą — szli tysiącami przeciw tysiącom, uzbrojeni i do wzajemnej rzezi sposobni! Dzisiejsi polscy rycerze są zupełnie bezbronni, a nieprzyjaciół, przeciw któremu walczą, ma jedną, straszną broń... klucze cytadeli...

Czy zastanowiliście się wy, którzy wygodnie zdobyliście i zdobywacie sobie stanowiska na obczyźnie, jakie gorące, jakie czyste serce bić musi w takim (według was) szaleńcu, który tam, wśród szpiegów i żandarmeryi idzie ślać słowa prawdy, krzpieć upadających, rozniecać wygasające iskry! Jeżeli wśród walki zostanie pojmany, nie czeka go tarcz herbowa i miano bohatera, lecz czeka go katorga, śledztwa i krata w cytadeli, a często i śniegi Sybiru!... Czy porównać można nawet to, co wy sławicie — z tem, co się tam krwią i kosztem młodych, w zaraniu będących istnień dokonywa! Czy wy macie o tem pojęcie — wy, pracujący jedynie dla pewnego odłamu społeczeństwa polskiego, a nie dla całego narodu? Wy wołacie tylko „niepodległość kraju“, ale nie troszczycie się, czy w tym „niepodległym kraju“ — ludzie z głodu znów ginąć nie będą? wy...

Nagle, z pierwszego rzędu krzesel podniosło się kilku siwych i dostatnio odzianych mężczyzn i z oznakami oburzenia i wzruszaniem ramion wyszli z sali. Na estradzie komitet zaczął nakłaniać prezydującego do odebrania głosu Grzegorzewskiemu, co widząc publiczność, także coraz głośniejszemu zaczęła. Grzegorzewski urwał swą mowę, wziął

w rękę czapkę i skierował się pośród ławek ku wyjściu.

— A... zresztą! — wyrzekł dobitnie — szkoda słów!... I bez was kraj zakwitnie wtedy, gdy słońce równości dla wszystkich jednakowo zaświeci.

I raz jeszcze powtórzył.

— Szkoda słów!...

Powstał znów hałas i wrzawa.

Za Grzegorzewskim postępowała cała jego partya.

Garstka ta przeszła mimo Leona i gdy się oddalali, chłopak czuł, iż go coś rwie za odchodzącymi. Oparł się jednak tej sile, lecz wyczerpany, upadł prawie na ławkę i jak przez mgłę widział tylko, jak za partyą Grzegorzewskiego poszedł i Włodek zgromadzony, ze śladami łez na policzkach.

Wzburzenie trwało ciągle w sali, niektórzy sy czeli i wołali za odchodzącymi:

— Za drzwi! Za drzwi!...

We drzwiach już odwrócił się Grzegorzewski i płomiennym spojrzeniem ogarnął całe zgromadzenie.

— O, tak!... — zawołał — Za drzwi! Na czy stą swobodną przestrzeń!... Tu zanadto cuchnie py chą i mogiłą!...

I zniknął we drzwiach, a za nim garstka jego towarzyszy.

Wszyscy powstali z miejsc i wymiana zdań wśród ogłuszającego gwaru stawała się niepodobieństwem.

Na estradzie napróżno komitet, przychodząc w pomoc zrozpaczonemu prezydującemu, nawoływał

do porządku. Najwięcej hałasu czynił hotelarz Piwnicki, który grubym basem wołał ciągle:

— A to ci Panie! a to ci Panie!

Hrabina Różycka silnie wymalowana brunetka, ze siostrą panną Kazią, silnie wymalowaną blondynką, przedostała się do klanu artystów i witała się z nimi po koleżeńsku, śmiejąc się jak szalona.

— Dieu!... que je m'amuse! — powtarzała, wykrzywiając niemiłym grymasem swoją twarz starzejącej się żydówki.

Leon zasłonił oczy, nie chcąc nic widzieć i słyszeć.

Zostawał ciągle pod wrażeniem słów Grzegorzewskiego. W uszach miał ten głos silny, potężny chwilami, cokolwiek ochrypły i szorstki, to znów pełen niekłamanego uczucia i szczerości.

Hałas, zapelniający salę, zlał się dla niego w jeden brzęk głosów, przerywanych wykrzyknikami lub łoskotem posuwanych krzesel.

I nagle — gdzieś, jakby z oddali — z samego kącika sali, rozległ się śpiew dziecięcy — cichy, drżący, jakby z początku onieśmielony:

Jeszcze Polska nie zginęła!...

To Batiniolczycy — garstka dzieci czarno odzianych, żałośnie, jakby należących do jednej okrytej kirem rodziny, śpiewa marsza Dąbrowskiego.

Prezydujący, nie widząc sposobu uciszenia publiczności, dał dzieciom znak śpiewania.

I te świeże, młodziuchne, niewinne — nie szarpane żadną zawiścią partyjną głosy, odezwały się wśród piekielnej wrzawy i tak wielką była potęga śpiewanej przez nich pieśni, że nagle wszyscy uci-

chli, powstał i w milezeniu słuchał śpiewu Batiaiolczyków.

Biały orzeł górą płynie
Z srebrnych piór obrany,
Za nim śpieszą polskie dzieci...

Leonowi łzy strugą napływały do oczów.

Pierwszy raz słyszał głośno, otwarcie, jawnie tę pieśń śpiewaną.

Przytem ta garstka tych żalobnych dzieci w oddali od kraju chowanych i śpiewających pieśń wojenną i pieśń nadziei — działała dziwnie smutno i ścisnęła serce wielkim bolem trwogi.

Dzieci umilkły i wszyscy powoli i w szlachetniejszym duchowym nastroju salę opuszczać poczęli.

Ostatni wyszedł Leon.

Idąc, chwał się jak pijany — tchu w piersi nabrać nie mógł. Łkanie ścisnęło mu gardło.

Na około niego bulwar St. Michel wrzał życiem i wesołością.

Studenci francuscy pili piwo, absynt i bawili się wesoło w towarzystwie swych kochanek, ubranych w berety.

Jakiś ochrypły głos śpiewał w oddali:

— Bon soir Ninon — c'est moi qui passe.

Z kawiarni lały się potoki elektrycznego światła. Tramwaje i omnibusy krzyżowały się po środku ulicy.

Szybko, jakby uciekając przed tą wrzawą i wesołością, biegł teraz Leon, szukając ciemni i ciszy.

Do piersi tulił ręce, jakby tam chronił jakiś skarb, który przed chwilą udało mu się znaleźć i posiąść.

I wreszcie, wydostawszy się na jakąś krętą i wąską ulicę, zwolnił kroku.

Pusto było — cicho, gaz tylko płonął gdzieś, nie rozjaśniając ciemności.

I tu mógł wreszcie Leon w ciszy i spokoju pomyśleć nad tem, co widział i nad tem, co w jego sercu światło zaczynało.

III. Jeden z „wielkich“.

Nazajutrz obudził się Leon z silnym bólem głowy.

Całą noc majaczył i słyszał głos Grzegorzewskiego — widział żałobne mundury dzieci ze szkoły Batiniolskiej...

To znów migaly przed nim płonące źrenice Władka i legia honorowa Pułkownika...

Świt rozwiał te tumany. Leon zaczął godzić się z rzeczywistością. Spojrzał dokoła małej izdebki hotelowej przy ulicy Victor Massé, w której się mieścił.

Okno wychodziło na dachy.

Na tych dachach był las wązkich kominów, a po nad nimi niewielki szmacik szarego, chmurnego nieba.

Leon ubierał się powoli.

Obliczył stan kasy i widząc, że podróż i pierwsze dni pobytu kosztowały go dużo, postanowił poszukać zajęcia.

Sięgnął do kieszeni i znalazł tam trzy listy, polecające go rodakom zamieszkałym w Paryżu. Wystarał się o nie Jaś i wręczył mu je z wielką uroczystością.

— Patrz! — mówił — to do P.

Nazwisko to mówiło samo za siebie.

Wielki pisarz, człowiek wielkich stosunków i wielki bogacz.

Nie szło tu o pomoc pieniężną, lecz o znalezienie zarobku.

Dwa inne były mniejszej wagi.

Jeden z nich do przemysłowca, drugi do literata, korespondenta wielu pism warszawskich.

Jeden już z listów do Wimpfena — zużył Leon prawie tego samego dnia, w którym stanął w Paryżu.

Leon od razu zmiarkował, iż na poparcie lub pomoc młodego malarza liczyć nie może.

Wimpfen urządził sobie życie wygodnie, egoistycznie. Miał porządne atelier i jako ładny chłopiec był „rozrywany“ przez damy.

Przy tem miał przyjaciółkę, pannę od Doucat'a — typ woskowej lalki kształtnej i eleganckiej, która służyła mu za model do jego cukrowych obrazków, mających dość łatwy zbyty w kraju.

Wimpfen przyjął Leona uprzejmie, ofiarował mu nawet „pójście“ na uroczystość do sali geograficznej, lecz na tem skończyła się jego uprzejmość. Leon uczuł, iż Wimpfen jest zanadto zajęty sobą i tem, co się jego dotyczy.

Postanowił od razu zacząć od „wielkich“ i pójść do P.

Zobaczę go — będę z nim mówił. Co on mi powie, czy potrafię go zainteresować? Gdybym się zdobył na odwagę i powiedział mu, że jego dzieła umiem na pamięć, że „Pamiętnik“ czytaliśmy w klasach po sto razy, że go kochaliśmy za jego „Rycerzy“. Tak myślał Leon, ubierając się wyjątkowo starannie.

Na chwilę zapomniał o Grzegorzewskim, o Batiniolczykach, o wczorajszym wieczorze.

— Będę go widział! — powtarzał sobie.

Gdy w godzinę później wchodził do wielkiej i wspaniałej kamienicy, zamieszkiwanej przez znakomitego pisarza, serce biło mu gwałtownie. Jaka szkoda myślał, że idę tu z prośbą o protekcję — jaka szkoda — wolalbym pójść tylko prosto — ze złożeniem hołdu.

Zadzwonił u drzwi, udrapowanych zewnątrz wschodnią portyerą.

To mu zaimponowało. Pierwszy raz w życiu widział podobną dekorację.

Za drzwiami dało się słyszeć szczekanie, potem szmer sukni, aż wreszcie drzwi uchyliły się powoli.

— Qui est là? — zapytał głos kobiety.

— Moi! — odparł zmieszany Leon.

— Que desirez vous? — brzmiała dalej indagacja.

— Voir monsieur P.

— Qui êtes vous?

Leon zawahał się, czy ma wyjawic swe nazwisko, naturalnie nieznane wielkiemu pisarzowi.

— Je suis... un Polonais! — odparł po chwili.

Nastąpiła pauza.

Za drzwiami zaszeleścili jedwabie i drzwi uchyliły się, ale — niegościnnie.

— Entrez! — wyrzekła kobieta.

Leon wszedł do przedpokoju i od razu otoczyły go ciemności. Tylko w oddali jaśniały drzwi otwarte i w nich czerniała sylwetka oddalającej się w głąb apartamentów tłustej i wysokiego wzrostu damy, ubranej strojnje, szeroko i dostatnio.

Dama zniknęła i Leon stojąc na środku przedpokoju z czapką w ręku, zaczął powoli przyzwyczajać się do panujących ciemności i rozróżniać

wśród nich niektóre przedmioty. Uderzył go przepych, do którego nie był w kraju przyzwyczajony. Ciężkie portyery wisiały dokoła ścian. Olbrzymie lustro wysuwało się z całego klombu kwiatów. U stropu wisiała delikatnej roboty wenecka latarnia.

Tak sobie wyobrażał mniej więcej mieszkanie potentanta literatury, biedny chłopak przybyły z nad Wisły.

— Powiem mu wszystko! Wszystko... wyspowiadam się, jak przed ojcem — myślał, gryząc bezwiednie baranek czapki — on mnie zrozumie!

Lecz czekał długo tak na środku przedpokoju tuż pod lampą wenecką i naprzeciw klombu z kwiatami. Z wewnątrz apartamentu dolatywały go szmery, głosy, kroki, lecz o nim zapomniano widocznie.

Nagle z bocznych drzwi wysunęła się pokojówka odziana czarno w czepku i fartuchu białym.

Podnosząc jedną ręką portyerę, wyrecytowała z silnym akcentem przedmieść paryskich.

— Si vous êtes encor un émigre du Bresil — monsieur ne peut pas vous recevoir!*)

— Bresil!... non! non! — zaprzeczył.

Sluga znikła i on pozostał sam wśród portyer, kwiatów i weneckich latarni.

Powiedzenie slugi zastanowiło go.

Więc „pan“ emigrantów brazylijskich widzieć u siebie nie chciał.

Musiał mieć ku temu ważne przyczyny.

Upłynęła znów długa chwila.

*) Jeżeli pan jesteś jeszcze jednym emigrantem brazylijskim, pan nie może pana przyjąć.

Sługa nie wracała. W sercu Leona jakiś chłód zaczął otaczać gorące porywy, które go do stóp znakomitego starca pędziły.

Nareszcie — pojawiła się służąca.

— Entrez au salon! — wyrzekła, wskazując Leonowi otwarte drzwi.

Leon wszedł i zaraz tuż koło progu usiadł na pierwszym lepszym krześle.

Salon był ogromny, — cztery okna przysłonięte blado-zielonemi jedwabnymi storami, oświeślały go jasnym i delikatnym światłem.

Zastawiony był mnóstwem mebli, a wszystkie te meble były to niezmiernej ceny i wartości antyki. Leon nie znał się na starożytnościach, a jednak i on został olśniony tymi empire'ami o bronzach delikatnych jak koronka, temi Ludwikami XVI, inkrustowanymi medaljonami, temi bonheur du jour o tak eleganckich i wykwintych formach, że zdaly się być prosto przeniesione z Petit Trianon, a nawet i z Wersalu.

W głębi — olbrzymi bahut bretoński — wspinała rzeźba zakrystyjna, na nim całe bogactwo bronzów i figurek z kości słoniowej.

Na ścianach cała kolekcja najcenniejszych płócien i zegar złocony Empire — olbrzymi orzeł, trzymający w dziobie draperyę.

Dokoła — zapach, właściwy pałacom i celom klasztornym.

Z poza otwartych drzwi — gabinet obity ciemnozielonym adamaszkiem, zasłany kobiercem.

Z miejsca, na którym siedział Leon, widać było pół szafy wysokiej — napełnionej książkami — a nad nią gobelin.

Co jednak rozjaśniało ten artystyczny i bogaty apartament, to tysiące drobiazgów wdzięcznych i miłych dla oka, porozrzucanych dokoła.

Nie były to ciężkie ordynarne roboty Niemki, lecz szykowne artystyczne robótki Paryżanki.

Te podarki, ozdobione falbanami, wálki pod głowę ze starych złoconych materyj, ramki pluszowe zdobne gniazdem kolibra, abażury wiązane wstążkami i powiewne, jak spodniczki tancerek nie psuły harmonii stuletnich sprzętów salonu.

Przeciwnie — był to jakiś uśmiech, promień pogody — ślad ręki kobiecej, dbalej i troskliwej o upiększenie gniazda.

W sercu Leona ożyło znowu cieplejsze uczucie. Jakkolwiek bogato tu było i dostatnio — to przecież rodzaj domowej atmosfery rozgrzewał zziębnięte serce chłopca.

I jakkolwiek nie tu nie przypominało — kraju, ani jeden sprzęcik, ani jeden obraz — nie, coby dawało do poznania nie francuskie pochodzenie pana domu, jednakowoż był to już „dom“ — schronisko familijne, czego tułającemu się od tak dawna po norach i wagonach kolejowych Leonowi, serdecznie brakowało.

Do gabinetu wszedł ktoś i Leon porwał się z miejsca.

I spojrzawszy w otwarte drzwi, dostrzegł, jak prosto ku niemu po ciemnym dywanie szedł wysoki starzec, trochę pochylony z krótką siwą brodą.

Starzec wszedłszy do salonu, zatrzymał się o kilka kroków przed Leonem.

Spojrzenie miał obojętne i jakby szklane. Oczy niewielkie, zielone, okolone czerwoną obwódka.

Ręce trzymał założone w tył, odziany był w ciepłą, domową, szarą marynarkę.

— Pan... Polak? — zapytał, przymrużając oczy.

W jednej chwili Leonowi zbiegła krew do serca. Ten głos, to spojrzenie pouczyły go o wszystkim.

— Tak, Polak! — wykrztusił wreszcie, widząc, iż P. czeka na odpowiedź.

— I czym ja panu mogę służyć? — zapytał wielki pisarz, stojąc ciągle z rękami w tył założonemi.

Leon wyjął z kieszeni list polecający i podał go P.

— Oto list!

— A... proszę poczekać.

P. poszedł do gabinetu i tam, włożywszy okulary, list odczytał. Poczem list złożył — przycisnął go wspaniałym psem brązowym i powrócił do salonu.

— Wszystko to bardzo pięknie... — wyrzekł stojąc — ale tam u was, w kraju, wyobrażają sobie, że tutaj, we Francyi, my istniejemy po to tylko, aby rozdawać wam miejsca, synekury, stypendya, zapomogi... Ten poczciwy Skiba bardzo zdolny i czciogodny człowiek, ale on zupełnie warunków tutejszego bytu nie zna i nie rozumie!

Wzruszył ramionami i podszedł do jednej z poduszek, na której przekrzywiła się kokarda.

— Gdybym nawet chciał, mój młody panie, zrobić co dla pana, to ja nie nie mogę — mówił dalej, rozglądając pukle wstążek — nie znam tu nikogo, ktoby mógł pana zatrudnić u siebie. Żyję

odosobniony, wycofałem się już z interesów... a potem, widzi pan, ile razy kogo zarekomendowałem, to później nie mogłem tego odżalować... tak, tak, nie mogłem odżalować!...

Z początku Leon patrzył z niepomierneńm zdziwieniem na postać owego „wielkiego“, który z tak usilnym egoizmem starał się zasłonić przed niesieniem pomocy bliźniemu. Graniem na giełdzie dorobił się znacznej fortuny, był sam jeden bez rodziny, bez dzieci, którym mógłby zostawić swe mienie, i nie, nie zrobić nie chciał, nie poświęcić, choćby chwilkę czasu dla wyszukania zajęcia rzuconemu na obcy bruk chłopcu.

— I wie pan co, młody panie — ciągnął dalej P. ułożywszy wstążkę w kształtny węzeł — takich, jak pan, to ja mam dziesięciu dziennie, daję słowo — dziesięciu! A co tych rozmaitych z Brazylii tu nachodzi... już konsierżce zakazałem wpuszczać!

Teraz zabrał się do oczyszczania pluszowego widposza i roztrzepywania wiszących u niego frendzli.

— Rotszyld-by nie wystarczył... — mruknął, jakby sam do siebie i ramionami wzruszył.

Twarz Leona pokryła się rumieńcem. Ten „wielki“ traktował go, jak żebraka.

— Zdaje mi się — wyrzekł — że zaszło tu małe nieporozumienie, szanowny pan sądzi, że ja tu przychodzę po jakiś datek, po jałmużnę?... Jestem za młody, za silny i za chętny do pracy, aby tworzyć sobie w podobny sposób źródło dochodu. Szanowny pan mnie nie zrozumiał!

Mówiąc te słowa, postanowił sobie Leon nie prosić o nic P. — i razem z tem postanowieniem wstąpiła w niego energia, poparta rozgoryczeniem

i dziwnym rodzajem ironii, z jaką zaczął się na swoją bytność w tym salonie zapatrywać.

— Ja przyszedłem do pana — zaczął znowu Leon, a głos jego nabral teraz pewnych ostrzejszych tonów — jako do naszej narodowej sławy i do człowieka serca... Chciałem prosić nie o pieniądze, ale o pracę!...

— Ja panu, panie młody, nie w tym względzie dopomódz nie mogę... — przerwał P., stawiając widposz i zbliżając się ku Leonowi.

Widocznie „sława narodu“ pogłaskała dumę starego egoisty, a zapewnienie Leona, iż nie sięga do jego kieszeni, wzbudziło w nim pewne ku chłopcu zaufanie.

— Ja słyszałem, że pan nic dla mnie nie może i dlatego nie myślę zabierać panu więcej drogiego czasu.

— Pan, panie młody, jesteś jakaś gorączka — zawołał P. — jakieś tam dziesięć, dwadzieścia franków może by się i znalazło...

— Proszę mnie nie obrażać! — przerwał mu Leon — ja tu przyszedłem nie po franki, ale po to aby pokrzepić duszę... pana widokiem.

Ja o panu marzyłem jeszcze dzieckiem i idąc tu, tak pragnąłem pana zobaczyć... Ja czytałem pana „Rycerzy“, ja dostawałem kawalkami, wycinankami pana „Pamiętniki“, które wychodziły w Krakowie... myśmy je po nocach z kolegami czytali... cała klasa czytała...

Stary słuchał, przekręciwszy głowę na bok i usta zacisnąwszy, wpatrywał się w Leona.

— A no!... To proszę panie młody do gabinetu... — wyrzekł wreszcie szerokim giestem, ukazując drzwi —

porozmawiamy sobie trochę, widzę, że z pana porządny młody człowiek...

„Dla niego — każdy porządny, kto go o nie nie prosi“, — pomyślał z goryczą Leon.

— Nie! — odparł — dziękuję panu za zaproszenie. Nie mam czasu. Muszę sobie szukać pracy.

— No, to zaczekaj chociaż!... Dam ci poprawną edycję moich „Rycerzy“!

I P. poszedł do gabinetu, gdzie zaczął przewracać na biurku, a równocześnie mówił bardzo głośno, starając się, aby Leon go słyszał.

— Bo czego wy tu przyjeżdżacie? Czego wy nie siedzicie w kraju? Co wy tu myślicie, że znajdziecie? Sądzicie, że tu pieniądze na bruku rosną i każdy się majątku dorobi?...

Leona zaczęło teraz ogarniać dziwne uczucie. Było to rozgoryczenie, lecz pomieszane z taką dozą nerwowej ironii, że mimowoli usta mu się układały do śmiechu i czuł, że łaskotanie wykrzywia mu muskuły twarzy.

Powstrzymywał się całą siłą woli, podczas gdy w umyśle jego przesuwaly się ciągle następujące myśli.

I to tu? w tym salonie chciałeś powiedzieć wszystko, chciałeś się wypowiadać, jak przed ojcem, chciałeś roztoczyć swoje ideały, pragnienia, chęci — chciałeś prosić o radę, o wskazanie kierunku! chciałeś opowiedzieć o przeszłych już cierpieniach, o cyta-deli, o swej ucieczce z kraju!...

I przed kim? Przed tym bogaczem, który zarobione na spekulacyach giełdowych pieniądze przejada najspokojniej i traktując cię jak żebraka, więcej

się troszczy o stan swych cacek salonowych, niż o stan twego umysłu, twej duszy i twojej kieszeni.

Dopiero, gdy dowiedział się o twem uwielbieniu dla niego, jako dla autora — wylazł jak ślimak ze skorupy i obdarza cię kilkoma tomami swych dzieł, których rozdawać nie ma komu, odciawszy się od wspólnego życia i wspólnych interesów swych rodaków.

I rzeczywiście — z drzwi gabinetu wyszedł P. trzymając w rękach kilka grubych książek w zielonych okładkach.

— Ja tu nawet panu napisałam kilka słów! — wyrzekł z zadowoleniem. — Weź pan... To ładnie, żeś pan o mnie nie zapomniał i moje książki czytał. Tylko, po co pan z kraju wyjechałeś, najlepiej zrobisz, jeżeli jak najspieszniej powrócisz!...

— Nie mogę wrócić do kraju! — wyrzekł Leon, biorąc książki i nakrywając je czapką.

— Dlaczego, dlaczego? Co wy tam w tym kraju znów teraz robicie?... Siedźcie cicho!

— My też siedzimy cicho... ale w cytadeli! — wyrzucił wreszcie ze siebie Leon to słowo, które go dławilo od pierwszej chwili i teraz z pewnego rodzaju wyższością patrzył na zdziwionego tym wykrzyknikiem starca.

— A!... a!... — wyrzekł tenże — tak! cytadela!... tak? ale, młody panie, przedewszystkiem trzeba się zająć nauką...

— Przedewszystkiem — odparł Leon — trzeba się zająć tem, do czego się dusza wrywa. I pan przecież w swej młodości zajmowałeś się tem, czem ja, czem my młodzi i siedziałeś długi czas w więzieniu. Przynajmniej tak pisałeś w swych Pamiętnikach...

Starzec potrząsł głową.

— Tak, tak!... — wyrzekł — ale to były inne czasy... a potem my byliśmy inni ludzie! Dziś — wy to czynicie więcej z dumy i dla przechwalek, aby potem szeroko rozpowiadać o swem poświęceniu i rozpisywać się o doznanych męczeństwach!...

Leon chwilę wpatrzył się w zielone oczy P. i został zdumiony, ile tam dobrodusznego fałszu mieściło się na dnie tych źrenic.

— Nie Panie! — wyrzekł, kłaniając się i dławiąc się od nerwowego śmiechu — my nie pisujemy... pamiętników, my co najwyżej wydrapujemy paznogciami nasze nazwiska na ścianie naszej celi i to zaraz zasmarować wapnem każą! Żegnam pana!...

P. za nim kilka kroków postąpił.

— Zajrzyj pan tu do mnie, młody Panie! — wyrzekł uprzejmie — pogadamy jeszcze o tem i o owem!

— Panie łaskawy! — odparł Leon już w przedpokoju — przepraszam, ale prawdopodobnie już więcej u pana nie będę... Muszę się czemś zająć! Ja niestety nie wycofałem się z interesów!

Wydostawszy się na schody, Leon wybuchnął nerwowym śmiechem.

Śmiech ten wzmógł się jeszcze, gdy na okładce książki chłopak przeczytał następującą dedykację:

„Młodemu człowiekowi
na drogę życia

Autor“.

— Niekosztowna pomoc! — śmiał się Leon, — a jaka ojcowska, jaka patryarchalna.

Gdy zeszedł na ulicę i zastanowił się nad swą bytnością u P., przestał śmiać się i ogarnęło go znów rozgoryczenie.

— Wielki myślał! — wielki... a jaki z bliska... nie, jaki mały!

Do uczucia rozgoryczenia przyłączyła się jednak pewna duma i zadowolenie ze siebie samego.

— Nie wiedziałem, że i ja mówić potrafię... — myślał Leon — wcale mu dobrze powiedziałem o Pamiętnikach i o cytadeli.

Przypomniał sobie wczorajszą mowę Grzegorzewskiego i potrząsnął głową.

— Grzegorzewski byłby mu jeszcze inaczej odpowiedział — za taki egoizm to wszystko za mało...

Mijał właśnie mieszkanie oddzwiernej, która siedziała w głębi naprzeciw wspaniałej, lustrzanej szafy i dawała jeść papudze.

— Po co ja wziąłem te książki? — to nie ma sensu.

Wszedł do łóża odzwiernej i położył książki na stole.

— Pour monsieur P. — wyrzekł i wyszedł szybko, podczas gdy papuga zaczęła krzyczeć w niebogłosy:

— Qui est la? qui est la?

IV. Jeden z „małych“.

Zamyślony i zmęczony szedł Leon bocznymi uliczkami ku swemu mieszkaniu.

Wybiła dwunasta i cały Paryż spożywał teraz śniadanie.

Jedli wszyscy — ci którzy jeść co mieli, zaczawszy od robotników, dorożkarzy, szwaczek aż do bogatych rentierów, siadających do stołu po za kolorowymi szybami swych jadalnych sal.

Gromady dziewcząt czarno odzianych zatrzymywały się dokoła piecyków, na których smarzyły się kartofle.

Dziewczyny jadły na ulicy, śmiejąc się, popychając i kokietując przechodzących mężczyzn. Były to szwaczki i robiły wrażenie srok, wypuszczonych z klatki.

Leon poczuł także dojmujący głód i zaczął oglądać się za tanią restauracją.

Przechodził właśnie mimo drzwi szklanych, na których złotymi literami widniał napis:

Restaurant tchèque.

— Wejść tu, — pomyślał Leon — przynajmniej mnie nie otruja.

Wszedł i zdziwił się, widząc, jak małe i ubogie było pomieszczenie tej czeskiej restauracji. Jedna niewielka salka przepelniona już gośćmi, po za salką

rodzaj niży, w której stał bufet i siedziała tłusta blondynka, podobna do świeżo oskubanej gęsi.

Leon z trudem znalazł miejsce w samym kącie, koło olbrzymiego żelaznego pieca, rozpalonego do czerwoności.

Usługująca dziewczyna zaproponowała mu knedle i gęś — na co Leon się zgodził. Zanim wydał rozporządzenie, już przed nim stał olbrzymi kufel piwa.

Leon rozglądał się po gościach, zapelniających restaurację i zauważył, że wszyscy byli jasnymi blondynami, silnie zbudowanymi, z ramionami oderwanymi od roli chłopów.

Jedli dużo, pili piwo, śmieli się i rozmawiali po czesku głośno, jak ludzie zadowoleni ze siebie i ze swej pracy i mający zapewnione jutro.

Zapach smalcu i pieczeni przepelniał całą salę. Ciemno było tak pomimo południowej pory, iż w głębi syczały dwa gazowe płomienie.

W tej chwili drzwi otworzyły się i wszedł przez nie młody człowiek wysmukły, dość zręczny, ubrany w grube palto. — Nie zdejmując cylindra, stał chwilę, szukając dla siebie wolnego miejsca. Wreszcie zbliżył się do stołu, przy którym siedział Leon.

— Vous permettez? — zapytał, ściągając grube rękawiczki.

I nie czekając na odpowiedź, wziął krzesło i usiadł naprzeciw Orlickiego.

Dziewczyna przyniosła dla Leona zupe i chleb i nakryła stół grubą lecz czystą serwetką.

Nowo przybyły przywitał dziewczynę wesółym uśmiechem i nakazawszy podać sobie zupe, knedle i gęsinę, zaczął zdejmować palto i przeglądać się w maluchnem lusterku, które dobył z kieszeni.

Wiek tego człowieka oznaczyć było niepodobniestwem. Był młody, może bardzo młody, a może przekroczył trzydziestkę. Silne zmarszczki czoła, pewne znużenie w rysach, cera jakby ołowiana, były cechami starszego wieku. Natomiast obfitość ciemno blond brody i czupryny, śmiejące się niebieskie poczciwe oczy i również uśmiechnięte, trochę grube usta, jaśniały urokiem młodości.

Usiadłszy naprzeciw Leona, pokręcił się na krześle kilkakrotnie, roześmiał się do tłustej blondynki, siedzącej za bufetem i zawołał:

— Bonjour patronne!

Poczem przelotnie ale bystro spojrzął na Leona i uśmiechnął się jakby do swojej myśli.

Leon uczuł się zirygowany.

Tak, jak każdy nerwowiec, lubił jeść sam i każdy sąsiad przy stole był mu nieznośnym. Lecz wesoly blondyn wyjął z kieszeni jakąś gazetę i czytać ją zaczął.

Leon dostrzegł, iż była to gazeta drukowana po polsku i serce mu bić zaczęło...

Na jednej ze szpalt dostrzegł tytuł:

Kurjer warszawski.

A więc to był Polak! Kto wie — może pozwoli Leonowi przeczytać ów numer *Kurjera*.

Dowie się wreszcie, co się dzieje w kraju, może są jakie nowe zmiany, rozporządzenia...

Dziewczyna przyniosła piwo i potrawy i uciekla do innych stołów, gdzie dzwoniono na nią niecierpliwie.

Blondyn — *Kuryera* złożył porządnie i ze złośliwym spojrzeniem na stole koło siebie położył.

Poczem z apetytem zaczął jeść zupe.

Gdy wypróżnił talerz, spojrział znów na Leona, który nie spuszczał oka z *Kuryera* i zapytał:

— Może panu pożyczyć *Kuryera* do przeczytania?...

Leon wybąknął:

— Proszę... jeżeli pan tak łaskaw!...

— Tylko uprzedzam pana! — odezwał się dalej blondyn — iż nie ma nic ciekawego. Chyba, że pana... karnawał obchodzi. A to tego jest podostatkiem. W sobotę odbyło się sześć bali, jeden kostiumowy, trzy wieczornice, dwa białe wieczorki, z których jeden bawelniany. A co zabaw w domach prywatnych... na Chmielnej, na Złotej, na Żelaznej... a ile staropolskiej gościnności... a na prowincyi... panie — cała prowincya tańczy, kuligiem z pod jednej strzechy pod drugą... Panie — a toż przeczytać taki numer, to można przyjsć do przekonania, iż jesteśmy najweselszym narodem na świecie!

Leon pismo na bok odłożył i z zajęciem na nieznajomego spojrział.

— Ja właśnie przyjeżdżam z kraju! — wyrzekł — i to z prowincyi... ale nie z tej, gdzie tańczą i kuligiem jeżdżą. Ja nawet zapomniałem, że to jest karnawał.

— Ja wiem, wiem! — odparł nieznajomy — u nas tak panie, jedni tańczą, a drudzy za nich i za siebie pokutują...

Zastukał nożem o stół i zawołał:

— Anna! encore... une oie!

A potem powstając dodał:

— Ja się panu przedstawię, bo to my Polacy ani rusz bez ceremonij. Nazywam się Julian Kręcki,

jestem z Warszawy i pracuję w domu komisowym Kwiatkowski et Comp. — przy ulicy Buffault nr. 7. — A pan?

Leon wymienił swoje nazwisko.

Kręcki pokręcił głową.

— Connais pas! w kolonii mi nie o panu nie mówili.

— Ja dopiero wczoraj po raz pierwszy kolonię zgromadzoną widziałem.

— A!.. może pan byłeś w sali geograficznej.

— Byłem — odparł Leon — ale pana tam nie widziałem.

Młody człowiek zaśmiał się, pokazując cały rząd młodych, zdrowych zębów.

— Bo ja tam już nie chodzę, mój drogi panie, wyrzekł — zabierając się do nowej porcyi gęsi.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ja ich już umiem na pamięć. Ja panu opowiem wszystko, co tam było.

Najprzód — estrada, a na niej cała kolekeya porządných i solidnych ludzi. Tam był także i mój pryncypał... Widziałem, jak wdziawał tużurek. Potem były mowy, mowy i jeszcze mowy. Nagle — banda Grzegorzewskiego zaczęła protestować, zaczęła się borba, starzy się bardzo gniewali, Grzegorzewski im powiedział prawdę i po wszystkim!

— Tak! prawda... tak było — odpowiedział Leon.

— A widzi pan... — ciągnął dalej Kręcki — ja jak przyjechałem do Paryża, chodziłem na te zebrańia, na fixy, na posiedzenia... ale potem czasu nie stało. Trzeba biegać za interesami z jednego końca Paryża na drugi, po rozmaitych przedmieściach do

spedytorów, dyabli wiedzą gdzie... Patron skąpy — skoro wezmę tramway, już się krzywi, więc Juleczek dyma *per pedes*. — Zmachany taki jestem wieczorem, że gdzie mi tam panie bawić się razem z nimi.

— Przecież oni się nie bawią... oni pracują! — zaprzeczył Leon.

— Dla mnie to się nazywa zabawą. Grzegorzewski jest niby studentem medycyny, ale on wcale nie uczęszcza na kursa. Wszyscy oni siedzą lata całe, niby coś robiąc, a właściwie zajmują się tylko robieniem polityki.

— Proszę pana! — odparł Leon — nie wszyscy mogą być komisantami, i są ludzie, którzy potrafią jedno połączyć z drugim!

— Niech pan temu nie wierzy, panie kochany! politykowanie jak ogarnie kogo, to przepadł. Gdyby Grzegorzewski miał tak, jak ja starego biednego ojca i dwie siostry, których ja jestem jedyną nadzieją, to nie mógłby całe dnie trawić nad swem wydawnictwem i chodzić tam, gdzie będzie mógł roztaczać swe idee!

Leona ogarnęło nagle zaciekawienie.

— A... więc Grzegorzewski pisze, wydaje...

— Tak! tak! — odparł Kręcki — pisze, ale za co wydaje, to prawdziwy sekret, bo cała ta partya jest skandalicznie biedna i nie ma ani centyma.

Urwał — popatrzył przez chwilę na Leona i zaczął znowu ciszej i prawie bez ironii.

— Więc oni pana tak interesują? — Hm! na mnie nie wywarli oni żadnego wrażenia. Zapewne, Grzegorzewski dobrze mówi, ale ja go słuchałem zupełnie chłodno i obojętnie. Może dlatego, że to ja

właśnie pochodzę z tego ludu, o którym on tyle mówi — a niewdzięczność leży już w naturze człowieka. Mój ojciec był ekonomem i ja boso latałem po polu a nawet gęsi zaganiałem... I dlatego mi się zdaje, że Grzegorzewski, choć niby chce być nam bliski, jest bardzo od nas jeszcze daleki.

— A może to pan jesteś już od swoich „daleki“ — wtrącił nieśmiało Leon.

— Może! Choć ja zachowałem z mego pochodzenia chłopski rozum i pewien instynkt. Ja na przykład — od razu panu powiem, kto pan jesteś. Ja poznałem, że pan jesteś Polakiem i to z prowincyi, po pana ubraniu, po pana wrogiem spojrzeniu, gdy się do stołu pana zbliżałem. Teraz powiem panu resztę. Pan jesteś idealista, bawienie się w politykę pana ciągnie, olśnił pana Grzegorzewski i jeżeli się pan do nich tam zbliżysz, to... kaput! Krzyżyk nad panem, bo oni pana zjedzą. Pan masz delikatną i nerwową naturę.

Zamilkł na chwilę, poczem dodał:

→ A Wilhelminę pan widział?

— Nie... któż to... Wilhelminka?

— A!... nie widział pan Wilhelminki? Musiała siedzieć przy wejściu i sprzedawać drukowane mowy. Ona się zawsze poświęca, droga dusza! Wilhelminę radzę panu zobaczyć... szyk panna — *numero un!* potem jest jeszcze Mania — okrągłe jabłuszko, ale to już nie Wilhelminka. Wszystkie zresztą zakochane w Grzegorzewskim!

Leona ubodły ciągle żarty Kręckiego, odparł więc cokolwiek niecierpliwie:

— Grzegorzewski wydał mi się człowiekiem zupełnie seryo i poważnym.

— Nie przeczę... — odrzekł Kręcki — Grzegorzewski jest człowiekiem poważnym, ale widzi pan, sprawy serca swoją drogą a powaga swoją.

Spojrzał na zegarek i porwał się za głowę.

— W pół do drugiej! zagadałem się z panem, a tam mój patron wyrwa sobie włosy z brody, tembardziej, że dzisiaj starszy pomocnik nie przyszedł do biura, ja zająłem jego miejsce, a na moje nie mamy jeszcze nikogo. Idę... albo wiesz pan co?... chodźmy razem, jeżeli pan nie masz co do roboty. Po drodze wpadniemy na bulwar Poissonière po szkiełka do binokli. Musimy je dziś wyeksperymentować koniecznie do Smoleńska... Cóż, pójdzie pan ze mną?

Leon bez wahania powstał — zapłacił i stanął gotów do wyjścia.

Kręcki śmiać się zaczął.

— A co? wziąłem pana? ja zawsze ludzi biorę swoim dobrym humorem. Lgną do mnie, żeby się trochę pośmiać i rozerwać. Pan mi się także podobają, bo twarz ma pan szczerą, ładną i młodą — nie taką, jak ja... Spójrz pan na nas obu w lustrze, a zadziwisz się po prostu, jak my przy sobie wyglądamy. Ja zjedzony życiem, stary cham, a pan jak lalka... No! jak się też panu zdaje, ile ja mam lat?

Stali obaj przed lustrem i rzeczywiście różnica była znaczna. Twarz Kręckiego jakby ciosana toporem z masą ciemnych włosów i silnymi zmarszczkami na czole odbijała dziwnie od idealnych niemal rysów Leona, jego długich marzących oczów i całego wyrazu — więcej kobiecego wdzięku, niż męskiej energii w sobie mającego.

— Ja nie wiem! — odparł Leon — mnie się zdaje, że pan masz około trzydziestu...

Mówił tylko przez grzeczność, sądząc, iż Kręcki ma przeszło trzydzieści lat.

Kręcki parsknął śmiechem i aż usiadł na krześle.

— Ja mam, panie złoty, dwadzieścia jeden lat... jak Boga kocham, dwadzieścia jeden! A jak ja wyglądam! Ha? co?

I powstawszy, skierował się ku wyjściu.

— Co Pan chcesz! — dodał, biorąc za klamkę, — cham prędko dojrzewa.

Wyszli obaj na ulicę i w Leona wstąpiła jakaś otucha.

Nie był sam, znał już teraz kogoś — kto pomimo różnicy przekonań był mu sympatyczniejszy, niż Wimpfen. Przytem ta myśl, iż Kręcki pochodził z chłopów, dodawała mu uroku w oczach Leona. I jak każdy, trochę nerwowo zblakany, czepiał się natur zdrowszych, choćby te nie licowały z jego subtelnością.

Tymczasem tłum wiecznie przepelniający Wielkie Bulwary spieszył się, dążył, biegł, jakby w pogoni za ubiegłą minutą. Chłodno było i wilgotno — mimo to ludzie latali odziani prawie po wiosennemu. I Leonowi zrobiło się gorąco, bo Kręcki biegł raczej a nie szedł, spiesząc się do swej pracy.

— Chodź pan! chodź! — wołał na Leona — to spieszyc się trzeba ciągle a zwłaszcza nie wahać się, ale iść śmiało i roztrącać drugich.

Urwał, a potem dodał śmiejąc się:

— Bo inaczej oni pana roztrącą!

Weszli do kilku sklepów i zawsze Kręcki wychodził obarczony pakunkami. Kilkakrotnie Leon chciał mu dopomóc, lecz Kręcki się wzbraniał, wołając.

— Nie! nie, to Juliś sam nieść musi. Tu są szkielka... a tu optyczne narzędzia... a tu czort wie co... jakby się potłukło, to Juliś zapłaci!

I obróciwszy się ku Leonowi, zapytał:

— Jak pan myśli — ile ja mam pensyi? co?

— Nie wiem.

— Ośmdziesiąt franków, a od jutra... sto! Ja z tego żyję, jem często dwie porce gęsi, mieszkam wspaniale... a jakże — mam łóżko z kotarą i na kominku dwa połamane kandelabry. A pan gdzie mieszka?

— Rue Victor Massé, dziewięć.

— Nie! nie!...

I Kręcki zaczął tak podskakiwać, że „szkielka“ znajdowały się w niebezpieczeństwie.

— Może pod nr. 32? — zapytał wreszcie.

— Tak!

— A moja kotara i moje kandelabry mieszczą się pod trzydziestym trzecim.

— Co pan mówi.

Ucieszyli się wzajemnie i z uśmiechem szli dalej, coraz weselsi, a nawet Leon bezwiednie nabierał pewnej buty i młodzieńczej werwy.

Kręcki pomimo pośpiechu, zatrzymywał się czasem przed szybami wspaniałych sklepów i wołał:

— Jak się Juliś ożeni, to musi mieć takie ciane mebelki w swoim salonie.

Albo:

— Jak się Juliś ożeni, to nigdy nie będzie chodził piechotą.

Mówił tak często o tem „ożenieniu“, iż Leon miał wielką ochotę zapytać go, czy nie jest narzeczonym. Lecz nie śmiał.

Doszli na ulicę Buffault, wąską i ciemną.

W bramie jednego z domów zatrzymał się Kręcki.

— Chodź pan ze mną do kantoru. Zobacz pan, jak się tutaj pracuje... nie tak, jak u nas w kraju.

W kantorze zastali rosłego, czerwonego mężczyznę, śpiącego wygodnie w dużym krześle. Kantor składał się z trzech malutkich pokoików, zastawionych paczkami i pakami. W jednym z nich stał niewielki żelazny piecyk.

W śpiącym mężczyźnie Leon poznał jednego z tych, którzy na estradzie wczoraj tworzyli komitet. Gdy weszli, Kręcki trącił Leona i pokazał mu na śpiącego.

— Patron!*)

Szmer ich kroków zbudził śpiącego, ten zerwał się na równe nogi i natychmiast krzyczeć zaczął.

— W pół do czwartej, ściemnia się... gdzie pan byłeś do tej pory! My nigdy nie zdążymy wysłać dziś towaru!...

I zaczął biegać po malutkich pokoikach, roztrącając paki i paczki.

Tymczasem Kręcki zdjął palto, surdut, mankiety i włożywszy starą, wiszącą na ścianie kurtkę, zabrał się do... palenia w piecu.

— Żeby też choć Pan był piec przypilnował — odezwał się, grzebiąc w piecu pogrzebaczem.

Kwiatkowski wzniosł ręce do góry.

*) We Francji tę nazwę dają podwładni swemu szefowi w bardziej familiarnym stosunku.

— Piec? mnie także piec w głowie. Ja miałem co innego do roboty. Ja musiałem na pana czekać!

— A, w takim razie!...

Kwiatkowski zatrzymał się przed Kręckim.

— Pan żarty sobie stroi, a robota czeka. Rzuć pan ten piec... trzeba pakować.

— Przepraszam patronie — jak mi palce od zimna zeszytywnieją, to i robota prędzej nie pójdzie.

Kwiatkowski znów po kantorze latać zaczął.

— Czego ja oddaliłem Lejenna a pana awansowałem!... — zaczął znów z lamentem.

— To pan odawansuj! — odparł spokojnie Kręcki, pakując węgiel i koks do pieca.

— Nie mogę! nie mogę! — jęczał w drugim pokoju Kwiatkowski — dziś podpisałem nominację pana... Tak w biurze przerabiać nie można... Pan chyba nie wie, co to jest biuro!... Ale ja tak zawsze... kieruję się dobrem sercem, a potem sam na tem cierpię!

Kręcki na Leona kiwnął.

— Wie pan! — zaczął mówić szeptem, dusząc się ze śmiechu — co się u niego nazywa dobrem sercem? Przedtem było nas trzech w kantorze. Lejenne, ja i mój pomocnik. Braliśmy razem dwieście sześćdziesiąt franków miesięcznie. Obecnie Kwiatkowski, widząc, jakie może korzyści wyciągnąć z moich zdolności i siły, oddał Lejenne'a i pomocnika, aby mnie awansować o dwadzieścia franków i przyjąć pomocnika na trzydzieści. W ten sposób pensya miesięczna będzie 130 franków, zamiast 260... a robota ta sama. Ha? jakie dobre serce?

— Ależ to jest po prostu wyzysk! — zawołał półgłosem Leon.

— Nie... to jest dobrze zrozumiany własny interes. Ja zaś dobrowolnie się godzę na tę kombinację, więc nie mam prawa narzekać...

— Dobrowolnie? — podchwycił Leon — prawda, że fizycznie nikt pana nie zmusza... choć i to...

— Być może! — odparł Kręcki — ale co począć, ja się za ofiarę ustroju społecznego podawać nie myślę!

Zapalił gaz i zabrał się do pakowania przyniesionych towarów.

Czynił to lekko, zwinnie, zręcznie, tak, że w dziesięć minut opakował szkiełka i zabrał się teraz do optycznych narzędzi.

— Potem siądę pisać korespondencye...

— Pan masz dużo pracy... Pan robi tu wszystko!

Kręcki zaśmiał się radośnie.

— Tem lepiej! tem lepiej! Nauczę się wszystkiego. Gdy wrócę do Warszawy, będą się o mnie dobijać. Czasem mi trochę ciężko. Zwłaszcza w zimie, gdy trzeba pakować na dziedzińcu.

— Na dziedzińcu?

— Naturalnie. Są towary, które można tylko w szopie, albo na dziedzińcu pakować. Z początku porozdzierałem sobie ręce o gwoździe, tkwiące w pakach i miałem wiecznie potłuczone młotkiem palce — ale teraz to fraszka!

I nagle pobiegł do drugiego pokoju i stanawszy na progu, zawołał:

— Niech pan nie rusza korespondencyi... Ja sobie wszystko tak ładnie poukładałem... Możeby pan na szachy poszedł, albo co!

Wrócił do Leona i znów się robotą zajął.

— A to piernik! — mruknał, dusząc się od śmiechu.

Nowa skrzynka była gotowa.

— Teraz pana wyproszę — wyrzekł Kręcki — ale równocześnie zapraszam pana do siebie na herbatę. Dziś mój awans! Będzie bał, herbata, dywan na ziemi, ogień na kominku i gawęda — chce pan?

Leon uściśnął podaną mu dłoń i wyszedł na ulicę.

Około dziewiątej wieczorem Leon usłyszał, jak Kręcki powracał do domu.

— Zaraz się wszystko przygotowuje na przyjęcie szanownych gości — zaanonsował przez drzwi basem.

I rzeczywiście Leon przez cienką ścianę słyszał, jak wesół chłopak porał się z owemi przygotowaniami dobrą godzinę.

Wreszcie posłyszał stukanie w ścianę i głos radośny:

— Wszystko gotowe! uprasza się wnijsć!

I Leon wszedł do maluchnego jasno oświetlonego lampą pokoiku, zupełnie podobnego do pokoiku, który on zajmował. Tylko u niego było zimno, ciemno, pusto, tu zaś ciepło biło z kominka, jaskrawy blask oświetlał dwa przysunięte do kominka krzesła i mały stoliczek, na którym stały dwie filiżanki i leżały w paczkach cukier, masło i winogrona.

Pudełko sardynek srebrzyło się tuż przy chlebie, trochę szynki rozłożono na małym spodeczku. Scyzoryk i nóż do przecinania kartek dopełniały serwisu.

Na kominku, na rozżarzonych węglach kipiał duży blaszany imbryk.

— Siadaj pan i pij herbatę — wyrzekł Kręcki.

— Dawno pan z pewnością ludzkiej herbaty nie piłeś. Ja mam jeszcze warszawską. A potem jedz pan bez ceremonii. Ja będę jadł, bo już dawno o głęsinie zapomniałem, a obiadu bez oszczędności nie jadam!

Leon usiadł i rozejrzał się po pokoiku.

Kilka fotografii wisiało na ścianach.

— To moje siostry! — objaśniał Kręcki, a to mój ojciec, a to jedna moja uczennica, w której się kochałem, a to druga moja uczennica, w której się kochałem.

— Jakto uczennice?

— A no tak, bo w kraju dawałem korepetycje chłopcom i lekye literatury polskiej paniom i z tego żywiłem siebie i moje siostry.

— Zupełnie tak, jak ja... tylko ja nie miałem siostr do wyżywienia.

— A widzi pan... jest w nas dużo podobieństwa. Zresztą, u nas w kraju jest cała taka bosa komenda, cały taki pulk, co żyje z korepetycyi i z lekyi...

I pijąc herbatę powoli, Kręcki z uniesieniem szczerości opowiadał Leonowi całe swe życie, pełne walk, niedostatku od samego dzieciństwa, od kolebki prawie.

On i dwie jego siostry zostawione w Warszawie na Bożą opiekę, podczas gdy ojciec pojechał za chlebem w głąb Rosyi i tam tułał się długi czas bez miejsca. I wtedy on, chłopak dwunastoletni, wystąpił jako opiekun i żywiciel tej gromadki. Postarzał przedwcześnie, nigdy dzieckiem nie był — lecz ten rodzaj

bohaterstwa zachował w nim świeżość duszy i pozwolił mu teraz cieszyć się, pragnąć, do czegoś dążyć i czegoś się od życia spodziewać.

Wprawdzie to „coś“ było bardzo materyjalne i pelzało po ziemi, jednak pozwalało mu śmiać się i brać życie z wesolej strony.

Gdy Kręcki umilkł, Leon czuł, iż teraz przyszła na niego kolej — odkrycia swych tajemnic Kręckiemu, a przecież coś mu zamykało usta i mówić nie mógł. Powiedział tylko, patrząc w ogień:

— Ja chciałbym się osiedlić także w Paryżu... i znaleźć jakieś zatrudnienie...

— Jakież? — zapytał Kręcki. — Do czego pan jesteś zdolny?

Leon milczał.

— Wiesz pan co — zawołał nagle Kręcki — wejdź pan do naszego kantoru, jako mój pomocnik. Dostaniesz pan z początku 30 fr. miesięcznie, a niedługo podwyższą panu i jeżeli pan będziesz zdolny, wkręcę pana na swoje miejsce, a dla siebie stworzę miejsce najwyższe i przyjmę panu pomocnika. Kwiatkowski się nie sprzeciwi, bo w gruncie rzeczy on zrobi powoli to, co ja zechcę. Żle panu nie będzie... pokrwawi sobie pan trochę ręce z początku, nogi pana będą boleć, ale się jakoś to przebijduje. No? cóż pan na moją propozycję?

Leon nie odpowiedział odrazu.

Nie przypuszczał nigdy, jadąc do Paryża, iż zostanie pomocnikiem komisanta i będzie załatwiał posyłki. W rozmarzeniu swoim widział się dającym lekcye literatury lub piszącym korespondencye, nowelle...

Po chwili namysłu odparł powoli.

— Pan jeszcze nie wie, kto ja jestem!

Kręcki porwał się z fotelu i usiadł na ziemi plecami do kominka, naprzeciw Leona.

— Słucham! — odparł ciekawie.

Leon półgłosem opowiedział swą historię. Pomimo chęci, aby być prostym, w szczegółach mimo-woli ubarwiał fakta poetycznym kolorytem.

Gdy skończył, Kręcki odparł z prostotą.

— Ja także siedziałem w cytadeli.

— Pan?...

— Ja! tylko ja nie pisałem książeczek, ale je roznosiłem po wsiach, w czym mi moja chamska powierzchowność dopomagała. Potem moje lekcye literatury miały pewien ton, który się tam, wysoko — nie podobał, no... i... tego!...

Wzruszył ramionami, jakby się otrząsał przed jakimiś przykreimi wspomnieniami.

— Ale to do rzeczy nie ma! — wyrzekł stanowczym głosem — spłaciliśmy obaj nasz dług i teraz należy pomyśleć o nas samych i zrobić sobie jakieś miejsce pod słońcem. Nie grymasz pan, nie marz o lekcjach literatury a zabierz się do pracy, która panu da chleb w przyszłości. — Możesz wieczorami i w niedziele pisać nowelle i korespondencye. To będzie dodatek na... masło do chleba, jeżeli tylko na owo masło wystarczy, bo ja wiem bardzo dobrze, co u nas literatura w początkach przynosi... A potem, jeżeli liczysz na jakieś protekcyje... jeżeli masz jakie listy polecające, to lepiej je spal! Szkoda butów, nikt panu nie dopomoże.

Urwał i śmiać się zaczął.

— Chyba taki biedak, jak ja! — dokończył, dokładając koks do ognia.

Leon przypomniał sobie wizytę u P. i opowiedział ją Kręckiemu z całymi szczegółami.

— A nie dał panu swoich „Rycerzy“? — zapytał Kręcki, i podnosząc się z dywana, pochwycił z pulki dwie zielone książki.

— Dał — odrzekł Leon — ale zostawiłem u odźwiernej.

— Po co? dlaczego? to się chowa, panie! to się chowa! to są dokumenty!... — wołał Kręcki, potrząsając książkami — tembardziej, że jest i dedykacja, którą i ja także otrzymałem od P. — I czytać zaczął:

„Młodemu człowiekowi“.

— Na drogę życia. Autor! — dokończył Leon. Młodzi ludzie zaczęli śmiać się serdecznie.

— Daleko można zejść z takim wijatykiem! — wołał Kręcki.

Lecz Leon pochylił się ku ziemi.

Z zielonych książek wypadło na ziemię kilka cieniuchnych malutkich broszurek. Podniósłszy je, Leon na jednej z nich przeczytał:

— Jak jest, a jak być powinno.

Kręcki ruch jego dojrzał.

— Wydawnictwo Grzegorzewskiego! — roześmiał się — jeszcze z początku wziąłem od niego tych kilka broszurek...

— Pożycz mi je pan na dziś! — prosił Leon.

Lecz Kręcki śpiesznie mu te książeczki wyrwał.

— Po co? zawróci się panu do reszty głowa! I tak nie masz jej pan bardzo solidną. Jeszcze gotów pan jesteś przystać do nich, bo Grzegorzewski rzuca pewien urok słowem i pismem. — Pan jutro

ze mną pójdzie do kantoru a ja te broszurki... spale!

I szybkim ruchem rzucił w ogień broszurki, które natychmiast zapłonęły jasno i skrzyły się później w czarne świstki, na których można było odróżnić jeszcze litery.

— Tak!... — mówił zadowolony Kręcki — należy nam być rozsądnymi ludźmi, a nie idealistycznymi dzieciakami. Powtarzam panu — to dobre dla próżniaków. I cóż? pójdzie pan jutro do kantoru?... W niedzielę, jak pan będzie grzeczny, to zaprowadzę pana do Luwru, pokażę takie Rubensy, że aż oczy panu na wierzch wyjdą, a wieczorem pójdziemy na Cafe concert zobaczyć Yvette Guilbert. Zobaczy pan!

Lecz Leon milczał i ciągle patrzył na ogień, gdzie czerniały i w popiół się rozpadały tajemnicze broszurki wydawnictwa Grzegorzewskiego.

V. Leon pracuje.

Leon poszedł do kantoru.

Wesołość na smutek ma wpływ magnetyczny. Działa jak chloroform na ból zębów. Leon uległ wpływowi chloroformu i poszedł za Kręckim.

Przyjęcie odbyło się łatwiej, niż obaj młodzi ludzie przypuszczali.

Kwiatkowski był w dobrym humorze i jakkolwiek skrzywił się, mówiąc: „jeszcze jeden Polak! tu trzeba energii francuskiej” — lecz zgodził się, widząc, iż Kręcki sobie życzy mieć Leona za pomocnika.

Nieomieszkał jednak przed „nominacją” dać Leonowi cały korzec moralnego obroku, rad, nauk i przestróg, z czego Leon wywnioskował, iż jego pryncypał sam nie wie dokładnie, co się w jego kantorze dzieje i prawdopodobnie nigdy tej zagadki nie rozplącze.

Gdy Kręcki i Leon pozostali sami, Kręcki zwrócił się do Leona i wyrzekł tonem dość obojętnym:

— Teraz, zapal pan w piecu, a potem zamieścisz te wióry i złożysz do paczki, która stoi w sieni!

Leon zdziwiony spojrzał na niego.

— Ja mam palić w piecu?

— Tak, do tej chwili ja spełniałem tę funkcję, gdy chłopak poszedł do klientów, dziś to do pana należy.

Leon stał nieporuszony. Jak każdy Polak trochę wykształcony, uważał ręczną, grubą robotę za coś poniżającego.

— I na cóż pan czekasz? — spytał go Kręcki — czy na swą dobrą wróżkę, która Kopciuszkowi pomagała szurować rondle? Nie przyjdzie! nie przyjdzie! Co najwyżej, wpadnie tu pani pryncypałowa — ordynarna Francuska i wyśmiej nas, że nieporządnie utrzymujemy kantor, co wprowadzi w zły humor pana pryncypała...

I widząc, że Leon jeszcze nie zabiera się do palenia w piecu — dodał:

— Może pan nie wiesz, jak się w piecu pali? Nie przypuszczam jednak, że pan w kraju miałeś lokaja, który to robił za pana. Wszakże nie raz musiałeś palić u siebie!

— Tak! — odparł Leon — ale to było u siebie! Kręcki roześmiał się serdecznie.

— Nie!.. te Polaki! te Polaki! — wyrzekł, zanosząc się od śmiechu.

Śmiech ten podziałał na Leona, jak uderzenie szpicerą.

Uczuł, że jest śmieszny i że odezwał się głupio i choć bez zapалу, ale zabrał się do napalenia w piecu.

W kwadrans później, zamiatając kantor, myślał mniej więcej w ten sposób:

— Miałem zamiar pisać dzisiaj wieczorem. Co ja mogę napisać, jeżeli dzień zaczynam od pracowa-

nia, jak pierwszy lepszy stróż w kraju. W ten sposób umysł mój się przecież nie rozwinie, fantazyja nie podniesie...

I ulgą dla niego było, gdy wysłany przez Leona na drugi koniec Paryża do składu wstążek *en gros*, jechał na dachu tramwayu i pogrążał się w pewne rozmarzające odrętwienie.

— To już wolę! — myślał, nie spiesząc się z załatwieniem komisu.

Lecz po powrocie usłyszał wymówkę z ust Kręckiego za marnowanie czasu i nie śpieszenie się z odpowiedzią fabrykanta.

— Tak nie można! — mówił Kręcki — list musi dziś jeszcze odejść wieczorną pocztą. W interesach we Francyi punktualność jest pierwszą zaletą. U nas — kpią sobie z interesantów i z punktualności. Niech pan zapomni o tych przyzwyczajeniach krajowych.

Leon nie odpowiedział nic, ale to ciągle wytykanie przez Kręckiego błędów krajowych zaczynało go drażnić, tak, jakby on był uosobieniem całego polskiego społeczeństwa.

Gdy wieczorem powrócili obaj na ulicę Victor Massé — Leon był tak znużony, iż ledwo dowlókl się na górę.

Kręcki, który pracował cały dzień jak dziesięciu tragarzy — pakował, przybijał, owijał — klócił się z ludźmi, należącymi do kantorów ekspedycyjnych kolejowych, przyjmował klientów, załatwiał korespondencyje — był przynajmniej piętnaście razy na ulicy i to bez palta, w swojej starej, odrapanej kurtce, ku wielkiemu zdziwieniu Leona — i pomimo to wszystko zachował swój doskonały humor i dra-

pał się na czwarte piętro hotelu, przeskakując po kilka schodów na raz.

Wieczorem przyniósł Leonowi herbaty i poradził mu położyć się do łóżka.

— Pierwsze dnie będziesz pan jak zbity! — mówił w rodzaju perswazyi — ale do wszystkiego można się przyzwyczaić.

— Trudno się przyzwyczaić do tego rodzaju pracy — odparł z pewną goryczą Leon.

— Tak! piórkiem machać to łatwiej, ale zanim piórko żywić zacznie.

Leon otworzył szafę i wyjął z niej paczkę gazet.

Skoro przyjechał do Paryża, napisał natychmiast, aby mu przysłano jego korespondencyje i noweli, drukowane poprzednio.

Teraz — chciał Kręckiemu dowieść swej wyższości — przekonać go, że on miał prawo żądać coś więcej od życia, jak zamiatanie kantoru i palecie w żelaznych piecykach.

Kręcki obojętnie spojrzał na gazety i zapytał:

— Cóż to jest?

— To... moje! — wyrzekł Leon, wskazując palcem na tytuły noweli.

— A!...

— Weź pan to — przeczytaj!

— Dobrze! i powiem, panu, czy pan masz talent, czy zdolność, czy... ani jedno ani drugie.

— Mam kilka bardzo pooblebnych krytyk.

— To jeszcze nie dowodzi. Dla mnie krytyki, to tylko indywidualne zapatrywanie się pewnej jednostki na to lub na owo... Co mnie obchodzi, jak pan X. albo Z. zapatruje się na pana prace. Może ja będę się zapatrywać zupełnie inaczej.

Złożył gazety i usiadł na krześle.

— Ile pan masz pieniędzy? — zapytał, a widząc wahanie się Leona, dodał:

— Nie bój się pan, ja pieniędzy od pana pożyczę nie myślę. Ja tylko chciałem tak panu życie urządzić, ażebyś w pierwszych przynajmniej miesiącach nie cierpiał zimna i głodu.

I systematycznie zabrał się do tej operacji. Pozostałe 280 franków rozdzielił na sześć miesięcy i włożył w sześć kopert. W ten sposób Leon miał zapewnione około 80 fr. miesięcznie, w co należało wliczać trzydzieści franków pensyi, które dostawać miał w kantorze.

Kręcki obejrzał buty Leona, palto, bieliznę — całą garderobę i zawyrokował, że na długo nie wystarczą, ale jeszcze „wytrzyma“. Za pozostałe dwadzieścia franków miał Leon kupić sobie koniecznie... cylinder.

— Musisz pan mieć cylinder, inaczej kupey, do których pana poszlę, nie będą mieli żadnego do pana zaufania. U nas, w Paryżu, każdy urzędnik i komisant musi mieć cylinder. Będiesz pan w cylindrze nosił pakunki i uprzątał wióry w szopie, albo pakował na dziedzińcu mydło i perfumy. Ale bez cylindra nie możesz pan być na seryo handlowcem.

Leon wzruszył ramionami. Zaczynał się poddawać wpływowi Kręckiego. Czynił to z jakąś desperacką uległością. Zdawało mu się, że czyni jakąś ofiarę z samego siebie, ze swych pragnień, ze swych dążeń.

— Dobrze mi tak! — powtarzał w duszy, silnie rozgoryczony sam na siebie.

Ale — za co? nie wiedział.

Gdy Kręcki wyszedł do swego numeru, Leon leżał długo na łóżku i zgasiwszy świecę, otwartemi szeroko oczami wpatrywał się w przestrzeń.

Nie tylko całe ciało miał zbolale i udręczone, ale czuł w tej chwili, że ma duszę chorą chyba jeszcze więcej, niż ciało.

Była w jego piersi, w jego mózgu, w jego sercu zdławiona, zmęczona, spętana ta biedna młoda dusza świeża jeszcze i chęci do życia pełna.

Leon przedstawiał sobie, z jakimi nadziejami jechał do Paryża, słyszał jeszcze słowa Jasia, słowa pełne zazdrości.

— Jaki ty szczęśliwy, będziesz z nimi razem pracował!

Pracuje teraz, pracuje i będzie pracował od jutra w cylindrze na dziedzińcu, pakując mydło i perfumy do wielkiej skrzyni, pełnej wiórów i skrawków bibuły!

Oni!

Widział ich — i teraz myślał o nich, jak o jakimś śnie dalekim, którego w formy konkretne ująć nie był w stanie.

Wydawali mu się dawniej jakimś jednym, wielkim posągami wykutym z jednej bryły. Był pewien, że trzymają się ściśle ze sobą złączeni interesami kraju, że pracują w wielkiej zgodzie i jedności.

Teraz — posąg ten rozpadł się na tysiące kawałków. Tyle było... partyi! Gdyby nawet Leon chciał do nich się zwrócić, to do jakiej partyi iść należało? do której się zwrócić?

A więc oni byli dla niego dalekiem znów i nieuchwytnem marzeniem. Należało iść samemu i pracować samemu. Ale jak?

Cisza wielka panowała dokoła.

Leon wyraźnie posłyszał, jak za ścianą Kręcki przewracał stronicę dziennika.

Czyta więc jego nowele!

Może teraz zmieni zdanie i przekona się, że on, Leon, nie ze złej chęci, lecz z niemożności, znajduje ciężką tę pracę mechaniczną, do której Kręcki włożył się z taką łatwością.

A potem, może przyzna mu talent.

I mimowoli Leon słowo po słowie prawie przypominał sobie dwie nowelki. — Tyle razy je czytał, że umiał je na pamięć. I nagle gorące łzy żalu za tem, co minęło, nabiegły mu do oczów.

Zdawało mu się, że go ktoś spętał i kajdany mu na ręce nałożył.

I ukrywając głowę w poduszkę, Leon gorąco, serdecznie — prawie po dziecięcemu płakać zaczął.

Na drugi dzień rano Kręcki wszedł do pokoju Leona i wyrzekł:

— Chodź pan! przed pójściem do kantoru kupimy cylinder!

Mówiąc to, położył na stoliku złożone gazety.

Leon zaniepokojony jego milczeniem co do krytycznej strony przeczytanych utworów, spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

Kręcki wzrok ten zrozumiał.

— Chciałbyś się pan dowiedzieć, czy masz talent? — zapytał.

— Według mnie — zaczął po chwili — pan masz... talent. O! ale nie tryumfuj. Obecny talent pana leży w naiwnej prostocie formy, którą pan bezwiednie zachowałeś. I dlatego pan nie dotrzymasz

tego, co pan w tych nowelkach obiecujesz. Temat pan wybrałeś szczęśliwy. Poruszyłeś to, co nas najwięcej boli, to jest narzucenie obcego języka i tem porwałeś czytelników. Ale skoro pan zechcesz być więcej artystą, wykończyć, rzeźbić... — to już będzie ciężko!

— A potem — dodał jeszcze — pana talent jest oparty na samoobserwacyi. Te nowelki są dlatego szczęśliwe, że są przez pana przeżyte. Jeżeli pan się puścisz w krainę fantazyi — to już będzie... kłapa! Teraz na przykład pan doskonale opiszesz, jak ciężką jest służba parobka, bo sam w piecu palisz i zamiatasz...

I u drzwi już dorzucił.

— I kantor się panu bardzo przyda!

Lecz Leon był jeszcze silnie zdenerwowany i wczorajszym płaczem podrażniony.

— Kantor mnie zabije! — zawołał podniesionym głosem.

Kręcki spojrzał na niego zdziwiony, poczem nagle posmutniał.

— Ja będę miał z panem ciężką biedę... zanim pana na człowieka wykieruję. Kantor pana nie zabije, bo i mnie nie zabił!

Leon zaczął być niesprawiedliwym.

— Pan co innego, a ja co innego! — odparł prawie wyniośle.

Kręcki popatrzył na niego długo i zbliżył się powoli tak, że Leon widział po raz pierwszy, jak błękitne, zawsze wesole źrenice „handlowca“ zasunęły się jakąś mgłą smutku i melancholii.

— Mój panie! — wyrzekł nareszcie Kręcki — Pan nie wiesz, co jest w mej duszy i prawdopodobnie

nigdy się nie dowiesz! I ja miałem inne aspiracje i drapałem się na wyżyny. Życie nauczyło mnie wiele i kazalo zwinąć skrzydła.

Zwinałem je i teraz nikomu niemi oczów nie wykluwam! Czasem je rozwijam, dla własnej satysfakcji i przekonałem się, że kantor mi tych skrzydeł nie połamał, ani nie uszkodził.

A teraz, jeżeli wola, pójdziemy kupić cylinder!

Odtąd życie Leona zaczęło płynąć monotonnie i jednostajnie.

Pracę w kantorze spełniał Leon dość akuratanie ale bez „zapalu“, jak twierdził Kwiatkowski.

Palił w piecu, zamiatał, pakował — i przeważnie chodził za posyłkami i spełniał rozmaitego rodzaju polecenia.

Wieczorami — odrabiał francuskie zadania, tłumaczył i przerabiał na francuską prozę bajki Lafontaine'a, podczas gdy Kręcki mordował się nad podręcznikami angielskimi, z których koniecznie chciał się nauczyć po angielsku.

— Zdechnę... a będę mówił po angielsku! — powtarzał z chłopskim uporem, bijąc się pięścią w swą dużą niekształtną głowę.

Wobec tej energii i chęci kształcenia się w swym fachu, Leon przez poczucie ambicji, uczył się po francusku, co przychodziło mu z trudnością.

Lecz Kręcki powtarzał mu ciągle.

— Musisz pan umieć języki, inaczej jaki z pana będzie handlowiec?

Prawdopodobnie bardzo nędzny, gdyż on niema w sobie ani jednej z tych „żyłek“, które składają się na wytworzenie postaci polskiego handlowca.

Widział on ich z bliska — tych potentatów warszawskich, którzy kilka razy do roku spadają do Paryża po to, aby kupić kilka sztuk nowości a cały stock wysortowanych przedmiotów i towarów.

Przychodzili do kantoru Kwiatkowskiego, z którym mieli ekspedycyjne interesa i rozmawiali zawsze bardzo głośno, bardzo szumnie i bardzo wesolo.

Poczem wszyscy razem z Kwiatkowskim, jako... Paryżaninem na czele udawali się do restauracji Peters'a na obiad lub śniadanie.

Obiady te i śniadanka trwały długo i gdy Kwiatkowski powracał po nich do kantoru, twarz jego była granatowa a oczy błyszczące.

W ogóle przez czas pobytu „tych panów z Warszawy“ weselość panowała w kantorze.

Gwaro było, szumno — ludzie ci byli doskonale odżywieni, rumiani, zdrowi i dostatnio odziani. Kręcki wodził rej — sadził się na koncepta i nazywał każdego „panem dobrodziejem“.

Leon zaś usuwał się w cień, czując ciągłą i mimowolną odrazę do tych patronów „zbogaconych, mówiących zbyt głośno i zadziwiających Paryż swymi „mikołajewskimi“ płaszczami.

Gdy wyszli, Kręcki zaczynał opowiadać historię każdego z nich i historie te były nadzwyczaj do siebie podobne.

Każdy z nich dorobił się majątku z „niczego“, każdy przeszedł nędzę — pracował i teraz posiada tyle i tyle tysięcy rubli.

— I dla pana to jest... ideał handlowca! — rzucił raz Leon ironicznie.

— Nie! odparł Kręcki, dla mnie to za mało, to za nędzne, skromne, żadne... Dla mnie ideałem handlowca jest fabrykant, właściciel fabryki...

— To przemysłowiec! — przerwał Leon.

— Nie! to także handlowiec! Otóż ja chciałbym mieć pod swymi rozkazami całe setki ludzi, całe wojsko, i obracać niemi, prowadzić...

— Ja zaś tegobym nie pragnął — odparł Leon, zbyt ciężka to odpowiedzialność!

— W tem właśnie cały szysk! wiedzieć że tylu ludzi cię słucha, że tylu ludzi od ciebie zależy.

— Być odpowiedzialnym za ich moralne i materialne warunki życia... — dorzucił Leon.

Kręcki urwał i popatrzył na niego przez chwilę.

— Pan Grzegorzewski się kłania? — zapytał ironicznie.

W Leonie serce załopotowało radośnie.

Więc coś łączyło go z tamtymi, o których starał się już nie myśleć, nie marzyć, pograżając się coraz więcej w swej karierze handlowca.

— Nie wiem, czy to Grzegorzewskiego jest także przekonanie — wyrzekł po chwili — ale że jest moje własne i głębokie, to więcej jak pewne!

— A jaki pan jesteś niesprawiedliwy! — zaczął znów Kręcki. — Pan sądzisz na przykład tych „Warszawskich Panów“ powierzchownie, nie mając żadnych danych na to, aby ich pod względem humanitarnym potępiać. Pomiedzy nimi jest jeden, który robi dużo dla swych pracowników. — Wysła panny ze swego magazynu na wieś w miesiącach letnich!

— Robi swój obowiązek! — odparł Leon obojętnym tonem — zresztą, dziewczęta te są tak wyćienione karnawałową albo wyścigową pracą, że ów

pan, z konieczności wysła je na trawę. Inaczej nie mogłyby znów orać cały następny sezon!

Kręcki ręce założył w tył i usta szeroko rozwinął.

— A!... a!... — wyrzekł nareszcie — pan powinieneś udać się pod sztandar Grzegorzewskiego. Pan tam będziesz bardzo pożyteczny.

Na Leona uderzyły ognie.

Szybko wyszedł do drugiego pokoju, pragnąc oswoić się z tą myślą, że on ma jakieś warunki i kwalifikacje, które uczyniłyby go „pożytecznym“ dla bandy Grzegorzewskiego.

W ostatnich czasach zwątpił o sobie.

Był to znów pierwszy jaśniejszy promyk, który mgłę, otaczającą go dokoła, przebijać zaczął.

W kilka dni po wyjeździe panów z Warszawy, Leon, powróciwszy do kantoru, zastał Kwiatkowskiego rozprawiającego z pułkownikiem Montalembert, którego postać dobrze utkwiała w pamięci Leona. Pułkownik ubrany w długie, eleganckie palto, w cylindrze, z wstążeczką legii honorowej, siedział tuż przy biurku i rozmawiał serdecznie i po przyjacielsku z Kwiatkowskim.

Słyszając, jak Kwiatkowski wydawał jakiś rozkaz Leonowi po polsku — zawołał z entuzjazmem po francusku:

— Sami Polacy! jak mi tu dobrze, jak mi tu miło wśród was!... tak się czuję wśród swoich!... Jaki pan zacny, szlachetny jesteś, że dajesz pracę swoim rodakom!...

Kwiatkowski skłonił głowę z wielką skromnością.

— To jest mój obywatelski obowiązek! — odparł, jakby uchylając się przed nienależnym mu holdem.

— A ci młodzi ludzie? — pytał dalej pułkownik, patrząc przyjaźnie na Kręckiego i na Leona, którzy zebrali się do sortowania całej masy maszynek benzynowych, przyniesionych im przed chwilą — może to biedni wygnańcy? może bez paszportów? może uciekać chcieli przed prześladowaniem?

Kwiatkowski zaprzeczył.

— Nie! nie!... u mnie sami solidni ludzie pracują.

— Tak! tak! zapewne... nie przeczę! — odparł pułkownik — jednak mój Boże! w tych ciężkich czasach, jakie wy tam w kraju przeżywacie, to zdarzyć się może nie jedno...

I zwracając się wprost do Leona, zapytał:

— *Jeune homme!* proszę, powiedz mi — czy to prawda, że was w szkołach uczą wszystkich przedmiotów w rosyjskim języku, a język polski jest tylko dodatkowym — jako język obcy. Czy to być może?

— Tak! — odparł Leon i mimowoli z maszynką w ręku zbliżył się ku pułkownikowi.

— Ależ to okropne!... — krzyknął pułkownik z oburzeniem — przecież to was musi strasznie udęczać? co? udęcza was? prawda młody człowieku?

— Naturalnie! — odparł cichym głosem Leon.

— I dlaczego wy się nie zbuntujecie? dlaczego wszyscy razem nie powiecie — my... nie chcemy! dlaczego wreszcie nie pouciekacie tutaj, zagranicę, gdzie są przecież ludzie, którzy was przyjmą, przytulą...

Zwrócił się zupełnie ku Leonowi i Kręckiemu.

— I gdyby który z was w zaufaniu przyszedł do mnie i powiedział — „pułkowniku! zrobiłem to i to — zbuntowałem się, uciekłem, jestem w potrzebie, moi także... wtedy ja ostatni grosz oddam, bo kocham taką młodzież, która ma krew i temperament!...

Leon patrzył na niego i zdziwił się, jak brzydka i niesympatyczna twarz Montalemberta stała się jasną i pociągającą. Oczy się zaiskrzyły, rysy wyszlachetniały.

Powstał i z bocznej kieszeni wyjął trzy wizytowe bilety.

Kolejno podał je Kwiatkowskiemu, Kręckiemu i Leonowi.

— Proszę — wyrzekł — weźcie, rozporządzajcie mną w każdej chwili!... Czem mogę — to jest mieniem mojem, nazwiskiem, sobą samym, pragnąłbym choć w części wynagrodzić wam krzywdę, jakiej się dopuszcza względem was i całego cywilizowanego świata moja ojczyzna, Francja, zawierając sojusz z waszym wrogiem i tyranem!

Uściśnął gorąco rękę Kwiatkowskiego i głównie serdecznie i długo żegnał się z Leonem, w którego oczach widocznie wyczytał zbudzoną dla siebie sympatię.

— A pamiętajcie młodzi ludzie — wyrzekł — iż działać, działać i jeszcze raz działać potrzeba. Nie wolno zasypiać, ale budzić siebie i drugih do walki.

I we drzwiach już dodał:

— A pamiętajcie... ja, choć stary, z wami!

I wyszedł marsowym krokiem, a pomimo to, zamykając drzwi cichym, miękkim ruchem, nie licującym z jego marsową postawą.

Po jego wyjściu zapanowało pewne milczenie. Kwiatkowski chrząkał i poprawiał się na krześle.

Leon schował do kieszeni kurtki bilet z adresem pułkownika.

Kręcki pierwszy przerwał milczenie.

— Nie podoba mi się ten Francuz! — wyrzekł, zapalając gaz, gdyż z powodu ciemnego podwórka, na które wychodziły okna kantoru, nieraz należało zapalać gaz o drugiej godzinie po południu.

Leon i Kwiatkowski spojrzeli na Kręckiego ze zdziwieniem.

— Dlaczego się panu pułkownik nie podoba? — spytał Kwiatkowski.

— Nie wiem... ale... tak... coś tego...

— Mój panie! — wygłosił właściciel kantoru — dla tak... coś... tego... nie potępia się człowieka!

— Ależ ja go nie potępiam, mówię tylko, że mi się nie podoba...

Końcem palca zadart swój nos do góry.

— Przy tem taki nos... br... Pawłowski pułk w Petersburgu mi się przypomina*).

Kwiatkowski pokiwał głową ze smutną ironią.

— Otóż to... — wyrzekł — otóż to zwykły powierchowny sąd o ludziach z powodu ich nosa albo łysiny. Pan widziałeś nos, a ja, mój panie, widziałem serce tego człowieka, który sam przyszedł do nas

*) Pułk rosyjski, w którym wszyscy żołnierze mieli przełamane nosy.

odszukał nas, odnalazł i teraz ofiarowuje swoje usługi i swój majątek na sprawy emigracyjne!...

Zawiesił głos i po chwili dodał.

— Panie Kręcki, pan za lekko zapatrujesz się na sprawy, mogące przynieść pomoc twoim rodakom na obczyźnie!

— Otóż to... — odparł Kręcki — ogłoś mnie pan zdrajcą i powieś na latarni, a ja tymczasem korespondencję załatwię.

Leon, zatrudniony w swym kacie, nie mieszał się do rozmowy lecz i on nie aprobował nagłego wystąpienia Kręckiego.

O ile pułkownik nie porwał go i nie rozentuzjzmował w Sali geograficznej — może dlatego, iż mówił do ogółu — o tyle tu, w bliskości, zwłaszcza gdy ścisnął jego rękę, prąd sympatii ogarnął go całego.

Naprawdę, Kręcki był niesprawiedliwy i Kwiatkowski, jakkolwiek niepotrzebnie mówił w tak nاپuszysty sposób, jednak miał rację.

Leon spojrział z pod oka na Kręckiego i zdziwił się, jak ten mu wydał się jakoś niesympatycznym. Jego grube rysy, odęte wargi, chłopskie ordynarne ręce — znamienne cechy „niskiego“ pochodzenia występowały w świetle gazu. — Leon, syn podupadłej „obywatelki“, mimo wszystko i bezwiednie Ignął tam, gdzie była „rasa“. Przytem Leon był świadkiem, jak Kręcki w ostry a nawet brutalny sposób odprawił jakiegoś Polaka — przychodzącego po raz piąty do kantoru w „ważnym interesie“.

— Pana Kwiatkowskiego nie ma i nie będzie! — mówił Kręcki zamykając proszącemu drzwi przed nosem.

— Przekłete próżniaki! — dodał — pracować nie chcą, tylko od domu do domu się włączają... Tylko wstyd Polsce w Paryżu robią...

Leon usta zaciął, gdyż miał ochotę powiedzieć kilka gorzkich słów Kręckiemu za jego bezwzględność,

Wprawdzie jegomość „proszący“ miał palto lepsze i cieplejsze, niż on i nowe buty — ale nie mniej mógł to być człowiek potrzebujący pomocy. I w sercu Leona zaczynało coś się gotować, burzyć przeciwko Kręckiemu, lecz całą siłą woli starał się uspokoić to wzburzenie.

— On jest dla mnie tak pocziwy! — myślał, siląc się na spokój.

I teraz z powodu pułkownika ta jakaś nerwowa antypatya, jeszcze bardzo słaba, targnęła Leonem.

Stał więc w kącie i dopełniając sortowania maszyny, patrzył z pod oka na Kręckiego.

Nagle, drzwi wchodowe otwarły się i z szumem weszła do kantoru młoda i bardzo strojna kobieta.

Wszedłszy, zatrzymała się u progu i z wielkim wdziękiem pochylając głowę, wyrzekła:

— Dzień dobry, a raczej dobry wieczór panom!

Głos jej był śliczny, miękki, melodyjny i miał *timbre* srebrnego dzwoneczka.

VI. Wilhelmina.

Zobaczywszy nowoprzybyłą, Kręcki porzucił korespondencję i radośnie zawołał:

— Panna Wilhelmina!

Z krzesła porwał się również Kwiatkowski, którego nieustanne syczenie gazu usypiać zaczęło.

— Proszę, proszę, niech pani usiedzie... — mówił, szastając się, rozbudzony i nagle ożywiony — cóż nam tu panią sprowadza?

— Chciałam przedewszystkiem złożyć wam wizytę!

— Nie wierzę! — zawołał Kręcki — ręczę, że już tam są jakieś bileciki w kieszeni.

Kobieta roześmiała się, ale rzeczywiście tak czarująco, iż za złe jej nie można było wziąć przeciągnięcie umysłne tego śmiechu.

— To... później! Teraz pozwólcie mi panowie ogrzać się trochę... Jestem całą zziębnięta!

Usiadła, szeleszcząc jedwabiem podszewek i zaczęła się rozglądać dokoła.

— Więc tak wygląda kantor? — zapytała z miną królowej, będącej w odwiedzinach u chłopca.

— To nasze prosektoryum! — odparł Kręcki

— Och!... prosektoryum! — śmiała się panna.

Kwiatkowski podsunął jej pudelko z papierosami.

— Pani nie pali? — zapytał.

— Ja? — zdziwiła się Wilhelmina — cóż znowu? czy uważa pan, że każda z nas musi koniecznie palić? To są już tak przestarzałe pojęcia, że dziwić się panu należy.

Wydobyła ze zgrabnej mufeczki ładną bombonierkę wenecką, oplecioną złotymi łańcuszkami.

— Natomiast, jeżeli mogę służyć... — wyrzekła, podając Kwiatkowskiemu bombonierkę — proszę... fiolki osmarzane w cukrze, moje ulubione cukierki... proszę!

Kwiatkowski dziękował, lecz Kręcki podsunął się z miną kłowna.

— Łapy mam brudne, bo pakowałem towar! — wyrzekł, kłękając tuż przed piękną panną — ale panna Wilhelmina włoży mi w usta jeden cukierek...

Na Leona, ciągle zajętego w kacie maszynkami, uderzyły ognie.

— Jak mógł Kręcki prosić tę panią o coś podobnego? co za wychowanie!

Lecz zdumienie jego wzrosło, gdy zobaczył, jak panna Wilhelmina zdjęła, śmiejąc się, białą rękawiczkę i długimi, cokolwiek zaróżowionymi na końcach palcami wzięła jeden cukierek i włożyła go w otwarte usta Kręckiego.

— Cacana panusia! — wyrzekł Kręcki i pocałował pannę w rękę.

Wzrok Wilhelminy prześliznął się po Leonie i bombonierka zniknęła w ładnej pluszowej mufce.

— A zawsze szyk panusia! — mówił Kręcki, gładząc poufale plusz mufki — żakiecik pluszowy, sukieneczka angielska, kapelusik także Old England... bućczki ślicznissime... bardzo, bardzo ładna panusia!..

Wilhelmina słuchała, widocznie rada tych komplementów, w pół dziecinnej wyrażanych formie.

W całej jej postawie, w sposobie siedzenia, patrzenia dokoła, było to coś z kobiety, która jest przyzwyczajona ciągnąć ku sobie spojrzenia mężczyzn i ich łaskawe słowa.

Leon nie patrzył nawet w jej stronę a jednak czuł, że musi gwałt zadawać sobie, aby nie skierować ku niej swych oczów. Nie rozumiał tylko, dla czego był tak głupio zmieszany.

Ręce mu drżały, krew biła do głowy. Miał ochotę wyjść z kantoru i posiedzieć w szopie, dopóki ta kobieta nie wyjdzie, ale zmieszanie jego było tak wielkie, że po prostu nie śmiał przejść przez kantor.

Tymczasem Kręcki ciągnął dalej swą banalną rozmowę i teraz wpadł na rodzaj indagacyi, co do osób, należących do tak zwanej „studenckiej kolonii“.

Wilhelmina na każde pytanie odpowiadała: „nie wiem! nie wiem, nie powiem!“

Wreszcie dodała:

— Dlaczego pan sam się do nas nie wybierze? Dowie się pan o wszystkim na miejscu!

— O! — zawołał Kręcki — to tak daleko ta wasza Glasiera... za morzem. Omnibusami pięć godzin, a piechotą, idzie się dwa dni i jedną noc!... Ja nie mam czasu!

— Ale do café koncertów ma pan czas chodzić!

— Bliżej... nie na Glasierze!

— Nie ma zły drogi... pan wie!...

— A toż właśnie w tem bieda, że ja nie mam na Glasierze swojej niebogi. Gdybym ją miał, to kto wie! możebym co dzień dwa dni i jedną noc szedł w wasze strony.

Umilkł na chwilę, porwał z rąk Wilhelminki mufkę i przyłożywszy ją do ust, wachać zaczął.

— Pachnie... śliczności... jakie to fiołki... nie Vera? nie Pinaud — nie San Remo?

Wilhelminka śmiejąc się, porwała mufkę i wyjęła z niej garść świeżych fiołków.

— Takie... bulwarowe fiołki! — odparła.

A potem jeszcze z kieszonek żakietu dobywała nawpół zwiędłe fiołki i rzucała je na Kręckiego, mówiąc:

— I tu jeszcze! i tu! i tu!...

A potem szybko zmieniając temat rozmowy, dodała, zwracając się do Kwiatkowskiego:

— Nigdy nie byłabym znalazła, gdzie jest kantor pana, ale spotkałam kogoś, kto mnie aż tu doprowadził. Właśnie ten, kto był także u Pana...

Kręcki zawołał:

— Ten ktoś ma nos tatarski!

Kwiatkowski spojrzał na swego jedynego i głównego urzędnika surowo i potem zwracając się ku Wilhelminie z przesadzoną etykietą, zapytał:

— Pani dobrodziejka zapewne mówi o szanownym pułkowniku Montalembert, który raczył odwieźć mnie przed chwilą.

— Tak! — odparła Wilhelminka — cóż to za miły człowiek! a jakie on ma pocziwe względem nas zamiary! Panowie nigdy nie zgadniecie, co on mi ofiarował...

— Swoją rękę!... — krzyknął Kręcki.

Wilhelmina roześmiała się.

— Wcale nie! nie wpadł na ten dobry projekt, ale proponował mi, aby...

Urwała — i po chwili dodała.

— Zresztą, nie wiem, czy powinnam!... Wprawdzie pułkownik nie zastrzegł sobie sekretu, ale bez jego upoważnienia nie powinnam zdradzać jego projektów.

I znów, z pewną afektacją zmieniając temat rozmowy, wyrzekła:

— Zimno dziś przejmujące... zmarzłam idąc do was!

Kwiatkowski odwrócił się szybko w stronę Leona.

— Dołóż pan węgla do pieca! — rozkazał krótko.

Leon pozostał, jak przykuty do miejsca.

Posłyszał szept Wilhelminki.

— To także Polak?

I poczuł jej spojrzenie ciekawe, przenikające go do głębi.

Zdawało mu się, że nie ma potęgi świata, która zmusiłaby go w tej chwili przejść przez kantor i ukłękawszy przy piecu spełniać funkcję stróża albo popychadla kantorowego.

Zniecierpliwiony Kwiatkowski powtórzył:

— Dołóż pan węgla! słyszysz pan!...

Lecz nagle Kręcki porwał się z miejsca i zawołał:

— Nie potrzeba!... niech pan Leon dalej pakuje a ja sam węgla dołożę. Zresztą ja wiem, że panna Wilhelminka lubi patrzeć, jak się pali antracyt... ja trafię do gustu.

I z wielkim ferworem począł dorzucać czarne grudki antracytu do ognia.

Leon nie uczuł żadnej wdzięczności dla Kręckiego za wybawienie go z kłopotu. Przeciwnie, żał w nim wezbrał straszny, że to za przyczyną Kręckiego on musi znajdować się w tej chwili w tak fatalnej pozycji.

Kręcki załatwił swą czynność z piecem, i z obcęgami w ręce zwrócił się ku Wilhelmince.

— A teraz muszę pani przedstawić naszego nowego współpracownika! Zadziwi się pani, gdy wymienię jego nazwisko — Orlicki!...

Wilhelminka widocznie czytała nowelle Leona.

— A!... — zawołała — to pan może, który...

Nie dokończyła, nie wiedząc, czy Kwiatkowski i Kręcki byli wtajemniczeni.

W Leonie serce zabiło wielką dumą i radością. Sam odpowiedzieć nie śmiał, ale dąby dużo za to, aby Kręcki potwierdził zapytanie Wilhelminki.

Lecz Kręcki z minami kłowna zbliżył się znowu i kucznąwszy na ziemi, zapytał:

— No? cóż tam dziś paniusia nam ze swego woreczka za niespodziankę wyciągnie? Bilecki na bal? na koncert? loterya? grób Słowackiego? Brazylijczycy? Stypendyum dla studentki? stypendyum dla studenta? towarzystwo Weteranów? Polska pomoc? Łączność?... a może tajemnicze cele Grzegorzewskiego?

Na to ostatnie nazwisko Wilhelminka otrzęsała się niecierpliwie.

Rzeczywiście, przychodzę tu z prośbą przyczynienia się do pewnej małej składki, ale zarazem muszę prosić, aby przy mnie nazwisko Grzegorzewskiego nigdy w formie żartobliwej nie było wymienione!

— Ta! ta! ta! — zawołał Kręcki — ma się rozumieć tacy wstrętnei burżuje*), jak my, nie mamy nawet prawa wymówić nazwiska waszego bohatera!...

— Być może!... — odparła sucho Wilhelminka.

Leon po raz pierwszy zdecydował się podnieść na nią oczy.

W oczach tych wyrażała się wdzięczność i uwielbienie.

Kwiatkowski, dowiedziawszy się, że strojna dama przyszła znów z jakimiś biletami, czy listą składek, wyprostował się, spoważniał i zaczął przewracać papiery.

Nie lubił otwierać kieszeni na „rozmaite cele“ i wogóle nie lubił bawić się w dobroczynność. Nie napróżno ożenił się z Francuzką, która dzieciom swym na Nowy Rok dawała w prezencie książeczki kasy oszczędności.

Lecz Wilhelminka z dziwną układnością rozjaśniła swą twarz najmielszym uśmiechem i wyjąwszy kilka biletów, napisanych ręcznie na świstkach papieru, położyła je przed Kwiatkowskim.

— Taniutkie bilety!... — zaczęła głosem Warszawianki, sprzedającej wysortowaną japońszczyznę na bazarze — tanie bilety i cel godzien poparcia!...

— Czy wolno wiedzieć, jaki cel? — zapytał poważnie Kwiatkowski.

Czuł, że się nie wymknie, więc chciał chociaż torturować swego kata przez chwilę.

*) Spolszczony przez kolonię wyraz *bourgeois*, używany w formie pogardliwej dla oznaczenia klasy wyzyskiwaczy, kapitalistów i pasożytów.

Lecz Wilhelmina zwinęła się jak pluszowy wąż i przechyliła ślicznie kształtną głowę.

— Może mnie pan uwolni od zdradzania cudzej tajemnicy! — wyrzekła prosząco.

Kwiatkowski skłonił się nisko i z szufladki wyjął — pięć franków.

— Służę Pani! — wyrzekł — przepraszam, że tak mało... ale...

— O! — odparła Wilhelmina, powstając — i to dużo... Sam P. nie dał więcej, pomimo, że to przecież milioner.

— Ale może dodał pani „Rycerzy“ z dedykacją — zapytał Kręcki.

— „Rycerzy“ posiadam już od dawna z dedykacją — młodej Polce — na drogę życia.

— Hm! piękna, wzniosła dedykacja — przemówił Kwiatkowski.

— Rzeczywiście! — grzecznie dorzuciła Wilhelmina i zwracając się do Kręckiego, dodała:

— A pan? — Pułkownik Montalembert wziął 30 biletów.

I wyciągnęła ku niemu rękę z biletami.

— Ja? — śmiał się Kręcki — cóż ja dać pani mogę, jeżeli P..., który krocie na giełdzie zarobił, dał pani sto su... Wreszcie... dla miłego spokoju — proszę o dwa bilety. Oto dwadzieścia susów.

Leon czekał, że i na niego przyjdzie kolej. W kieszeni miał dziesięć franków, które miały mu wystarczyć do końca miesiąca, ale był przygotowany oddać je, aby zawstydzić i upokorzyć swego pryncypała, postępek wielkiego autora-giełdźiarza i Kręckiego, do którego czuł teraz coraz wyraźniejszą antypatyę.

Lecz Wilhelmina po chwilowem wahanu resztę biletów wsunęła w woreczek, zamknęła portmonetkę i opuściwszy tulową, białą, haftowaną gęsto woalkę na twarz, zaczęła żegnać się z Kręckim i Kwiatkowskim.

— Do widzenia — mówiła, podając ślicznym, pełnym gracyi ruchem rękę — do widzenia, dziękuję, jeszcze raz dziękuję!

— Niech pani doda, Bóg wam zapłać! — zastosował Kręcki.

— Na pana gniewać się niepodobna! — odparła ze śmiechem młoda panna i z szelestem jedwabnych spódniczek kierowała się ku wyjściu.

Nagle Kwiatkowski porwał się z miejsca,

— Ja panią odprowadzę! — zawołał.

Ale ona wzbraniała się, po co? na có! na ulicy jeszcze dzień...

— Do omnibusu panią doprowadzę — i tak miałem wyjść za interesami.

Ubrał się pośpiesznie i dodał z przesadzoną galanterią.

— Służę pani!

Ona jeszcze u drzwi przekomarzała się z Kręckim, który mówił do niej z udaną skrucą:

— Niech mi już pani daruje tego Grzegorzewskiego... już nigdy o nim lekko mówić nie będę.

— Radzę panu! możemy się pogniewać na seryo!... Zresztą, gdybyśmy byli sami — ale... (zniżyła trochę głos) wobec... obcych!

— Pani za dobra i za ładna, aby się długo mogła na Julisia gniewać...

— No!... radzę Julisiowi, niech Julis nie nadużywa!

— Służę pani! — zawołał po raz drugi Kwiatkowski.

— A! przepraszam... pan już gotów! idziemy!...

I wyszła z szelestem i delikatnym, nieuchwytnym brzękiem portbonheurów, zawieszonych na złotym łańcuszku branzoletki.

Kręcki stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak zręcznie, unosząc suknię z szykiem czystej krwi Warszawianki, przechodziła dziedziniec zagracony masą pak, paczek i wiórów.

Za nią podążał Kwiatkowski z miną ważną starzejącego się Don Żuana.

Gdy znikli w bramie, Kręcki powrócił do kantoru i zamknawszy drzwi, wciągnął w siebie powietrze.

— Ta dziewczyna pozostawia po sobie zawsze zapach świeżych fiołków! Strasznie to lubię!...

I usiadłszy przy biurku, zabrał się do przeglądania korespondencji.

Leon skończył dawno sortować maszynki i stał teraz beczynnie, oparłszy się o ścianę, mimowoli wpatrzonego w to krzesło, na którym poprzednio znajdowała się Wilhelminka.

Czuł się upokorzony i dotknięty słowami tej kobiety.

Powiedziała „wobec... obcych!“

Więc on, który piórem i czynem dowiódł swych przekonań, był dla niej... obcym, a Kręcki prawdziwy burżua, karjerowiec, który drwi z Grzegorzewskiego i często z najpiękniejszych i najprawdziwszych porywów młodzieży — jest jej bliższy — jedynie dlatego, że zna go dawniej i był jej przedstawiony temu kilka miesięcy. Co za powierzchowny sąd i jaka oburzająca niesprawiedliwość.

Zestawiła go razem z Kwiatkowskim, z jednym z tych slimaków, którym sam Grzegorzewski tak gorzką prawdę cisnął w oczy przed trzema miesiącami.

Oto — czego się doczekał, siedząc w tym kantorze!

— Prawda! szykowna panna? — odezwał się nagle Kręcki, nie podnosząc głowy z nad papierów — podobała się panu, co?

Czy mu się podobała?

Leon nie wiedział nawet dokładnie, jak Wilhelminka wygląda, jakiego koloru ma włosy, jakie rysy...

Wiedział tylko, że to była jakaś niezwykła harmonia, coś rozkosznego i powabnego — pachnącego i odurzającego zarazem.

— A skoro się pan dowiesz — ciągnął dalej Kręcki — kto ona, to pan zgłupiejesz, że taka szyk dziewczyna może się zajmować taką wstrętną rzeczą.

— Któż ona? — machinalnie prawie zapytał Leon.

— Studentka medycyny! — brzmiała odpowiedź.

VII. Leon się buntuje. — Władek.

Gdy trzy miesiące służby Leona w kantorze minęło, Kwiatkowski zaanonsował mu uroczystym głosem:

— Podwyższam panu o dwadzieścia franków miesięcznie, choć czynię to jedynie dla zachęcenia pana, a nie dlatego, ażebym był z pana pracy zupełnie zadowolony. Nie masz pan energii, ani zapалу. Wszystko robisz jak z łaski. Mam jednak nadzieję, że ocenisz pan moje dobre serce i zabierzesz się ze zdwojoną gorliwością do pracy!

Powiedziawszy tę małą mowę, Kwiatkowski wziął palto i cylinder i poszedł do kawiarni na szachy.

— A widzi pan! a widzi pan! — zawołał radośnie Kręcki — ciesz się pan, już masz podwyżkę. Niedługo przyjmimy chłopca do grubszych robót, a pan będziesz tylko chodził do klientów... No i cóż? nie cieszysz się pan?

Nie, Leon nie cieszył się wcale.

Zmarszczka, którą miał od pewnego czasu na czole, pomiędzy brwiami, nie ustąpiła ani na chwilę. Widocznem było, iż chłopak dużo pracuje myślą i że myśl ta jest smutna i ciężka do przetrwania.

— Pan jesteś dziwak! — mówił znów Kręcki — przeszedłeś pan już najcięższe chwile, przyzwyczaiłeś

się do pracy, zdaje mi się nawet, że polubiłeś ją i tylko przez dziecinny upór nie chcesz się przyznać, że czujesz się zadowolniony.

I Kręcki ramionami z niecierpliwością wzruszył.

Ach! nie! on nie był zadowolniony i „włożony“ do pracy, ten mały marzyciel o sentymentalnych oczach i rozgorzałej jeszcze w kraju wyobraźni. On był tylko przybity, ogłuszony z początku znużeniem fizycznem, jakie wywoływała w nim nadludzka ilość pracy i ruchu, jakiej żądano od jego anemicznego ciała.

Leez teraz — gdy muszkuly się wzmocniły i przyzwyczały do tej pracy — myśl znów rozwijać się zaczynała i wrywać z więzów, jakie na nią włożono.

To, co zadowalniało potrzeby estetyczne Kręckiego, to jest chodzenie do Luwru i stawanie godzinami w niedzielę przed Rubensami lub słuchanie piosenek z XVIII. stulecia nuconych półgłosem przez Irmę Perrot na scenie Eldorada, nie było dostateczną strawą dla duszy Leona.

On miał inne ideały życiowe, jak kilka łokci namalowanego płótna, lub pewną ilość dźwięków, ujętych w harmonijną formę.

Coraz więcej pragnął walki, czynów, narażania się na niebezpieczeństwa, słowem szerokich horyzontów, wśród których widnieją w błyskawicach, gruzach, krwi i pożodze wielkie kataklizmy dziejowe.

Listy odbierane od Jasia, z kraju, przyczyniły się nie mało do podniesienia w nim tej burzy, która szumieć w nim zaczynała.

Jaś pytał, nacierał — chciał wiedzieć, w jaki sposób Leon rozpoczął za granicą swą pracę dla

kraju. Co mówią w kolonii? Jakie mają nadzieje? Czy on, Leon, zajął już jakieś stanowisko...

Leon umówionymi znakami, a właściwie alegorią słów odpowiadał, lecz zarazem kłamał, nie mając odwagi przyznać się przyjacielowi, jak nędzne i bezużyteczne dla sprawy było jego istnienie. Jaś jednak w listach tych zrozumiał i przeczuł, że Leon gnuśniej w beczynności i w ostatnim swym liście w silny i energiczny sposób pobudzał swego przyjaciela do innych i bardziej dodatnich rezultatów swego pobytu w Paryżu.

— Co ja mu odpowiem! — myślał z rozpaczą Leon, podczas gdy Kręcki kazał mu się cieszyć z podwyższenia pensji — wyznam mu całą prawdę, może on mię wyratuje z tej ślimaczej egzystencji, z której wyrwać się po prostu nie mam odwagi.

Chciał pisać i z przestrachem uczuł, że nie jest w stanie stworzyć nawet kilka wierszy korespondencji, które dawniej z taką łatwością i artystycznym zacięciem pisywał nocami całemi.

Brakowało mu tematu.

W Paryżu — żył mało Paryżem, miał za mało wykształcenia, aby ogarnąć duchowo artystyczny rozwój kraju, z kolonią nie miał nic wspólnego, o czym że więc mógł pisać? wszystko dla niego było — obce!

Co zaś do noweli, i te zdawały mu się być oddzielone od niego całą przepaścią. Nerwowy niesmak, jaki wzbudzały w nim jego codzienne zatrudnienia, gasiły w nim iskry zapału i młodzieńczego natchnienia.

— Jutro trzeba będzie w piecu palić i kantor zamieść — mówił do siebie z gorzką ironią, leżąc po ciemku na swym hotelowym łóżku.

I słysząc za ścianą, jak Kręcki chrapie, z szalonym rozżaleniem wyciągał ku niemu zaciśniętą pięść:

— Ach!... ty! ty!!! — mówił prawie półgłosem z niezwykle nienawiścią i żalem.

Teraz — Kręckiego winił i oskarżał o wszystko. Gdyby nie Kręcki — on byłby dawno już po tamtej stronie Sekwany, gdzie ludzie pracują, gdzie żyją, gdzie są wreszcie „ludźmi“.

Młoda jego imaginacja galopowała gorączkowo, przedstawiając sobie obrazy tej pracy, której nadawała potężne, olbrzymie znaczenie.

Skutki jej dla kraju rosły do gigantycznych rozmiarów i podkopywały gniotących Polskę olbrzymów. — Najszaleńsze zamiary obracały się w czyny i wybuchały nagle, potężne i groźne, dyktujące prawa i zmieniające doszczętnie obecny ciężki stan rzeczy.

I on! on, Leon, musiał patrzeć beczynnie, jak tam drudzy pracują i sam dobijać się handlowej kariery, która jak kłoda zwała mu się u nóg, tuż na progu życia.

Kontrola Kręckiego, przyjacielska, serdeczna ale mimo to... kontrola — dla Leona, pragnącego swobody i wolności przedewszystkiem, była strasznym ciężarem gniotącym go codziennie i najwięcej przyczyniającym się do podniecenia jego nerwów.

Kręcki przyzwyczajony od dziecka prawie do zajmowania się i opiekowania kimś, podlegającym jego wpływowi — roztaczał teraz swą opiekę nad Leonem, nie czując nawet, jak zbyteczną nieraz i nieznośną jest ta opieka.

Dawniej młodsze siostry, później... uczniowie byli dla niego przedmiotami nieustannego czuwania. I teraz, gdy mu zabrakło takiego „ucznia“, rzucił się na Leona, jak na zdobycz, prowadząc mu, kierując jego wykształceniem i broniąc go z dzikim uporem przed zetknięciem się z „kolonią“.

Z tego wynikało, iż Leon, nie mogąc swych czynów usunąć z pod ciągłej kontroli — usuwał przynajmniej myśli i rozkoszował się nadzieją tych marzeń, które go okrężały coraz silniejszą i więcej odurzającą siatką.

— Być tam! z nimi! — powtarzał, gryząc czasem do krwi wargi.

Przytem — jeszcze jeden fakt uszedł kontroli Kręckiego.

Nazajutrz, po bytności Wilhelminy w kantorze, Leon, zamiatając rano podłogę, znalazł porozrzucane, zwiędnięte, lecz nie zeschłe jeszcze fiołki.

Zebrał je z myślą wrzucenia do pieca.

Lecz pierwaj — machinalnie podniósł rękę ku twarzy i woń delikatna i nadzwyczaj subtelna owionęła go dokola.

Przez chwilę — Leon ujrzał przed sobą Wilhelminę, posłyszał jej głos, jej śmiech, przeżył tę chwilę, gdy spojrzała na niego, mówiąc:

— A więc to może pan, który...

I Leon, zamiast spalić fiołki, włożył je w kantorową kopertę i schował.

Lecz gdy do domu przyszedł, wyjął kwiatki z tej koperty, oznaczonej firmą i adresem kantoru i przełożył je do innej, różowej, którą kupił po drodze.

Tak wielką bowiem była jego nienawiść do owego kantoru, że nie chciał, aby Wilhelminka miała jakkolwiek styczność z handlowymi interesami.

— Ona szczęśliwa, swobodna — myślał — żyje, pracuje, działa, widuje Grzegorzewskiego — kto wie, może... kocha go! a ja!...

W takim nastroju ducha znajdował się Leon, gdy Kwiatkowski oznajmił mu, iż podnosi mu pensję o dwadzieścia franków.

Kręcki, nie mogąc się doczekać objawów radości ze strony Leona, wyszedł za interesami na miasto. Leon pozostał sam.

Zapalił gaz, jakkolwiek jeszcze widno było.

— Niech jak najwięcej gazu wychodzi! — mówił sobie z dziecinną pasją, niech wszystko się zrujnuje w tej przeklętej jaskini.

Z nienawiścią spojrzał dokola.

Te szare ściany, oklejone nudnym, głupim papierem, ten gaz wiecznie syczący, wióry i bibuła na podłodze, w kącie paka z węglami i piec, ten piec znienawidzony, maltretowany jego od gorączki drżącą ręką od rana do wieczora.

— Katorga! — wyszeptał. — Katorga duszy i ciała!

Usta jego wykrzywił gorzki uśmiech ironii.

— I po co ci było głupsze uciekać z kraju? — myślał — po co to wszystko? Czy nie lepiej było iść na Sybir i tam cierpieć duchową i cielesną męczarnię. Przynajmniej wiedziałbyś, dlaczego cierpieć i lżej byłoby ci znieść moskiewską, niż handlową niewolę.

Drzwi kantoru otworzyły się cicho i stanął w nich młody chłopak, odziany w zniszczone i zbyt duże na niego palto.

— Czy nie ma pana Kręckiego? — zapytał po francusku.

Leon, który w pierwszej chwili nie widział nowo przybyłego, tylko jego głos słyszał — był przekonany, że to weszła kobieta.

Podniósłszy głowę, poznał w przybyłym owego tajemniczego chłopca z sali geograficznej, który ciągnąc go za rękaw, prosił:

— Mój panie, niech Grzegorzewski mówi!

Serce zabiło w nim radośnie.

To był ktoś z kolonii, ktoś z tamtej strony Sekwany, z Glacjery!

— Proszę, niech pan wejdzie?... — wyrzekł po polsku trochę drżącym od wzruszenia głosem.

— A... to pan Polak!...

— Tak! Pan Kręcki wyszedł, ale zaraz wróci. Może pan na niego zaczeka! Niech pan usiądzie.

— Dziękuję panu. Chętnie usiądę, bo już dwa dni chodzę po Paryżu całymi dniami! Szukam sobie miejsca.

— A!...

— Tak! tak! i wszędzie mnie odprawiają z kwitkiem. Byłem nawet u P., ale — mnie nie wpuszczono.

Leon pomyślał, iż nie każdy może dostać „Rycerzy” na drogę życia.

— A jaki rodzaj zajęcia chciałby pan znaleźć? — zapytał, zbliżając się do Władka.

— Mój drogi panie! — wyrzekł chłopiec podnosząc na Leona wielkie, dziwne, roziskrzane źre-

nice — ja bym wszystko wziął — bo ja mniej więcej wszystko umiem, byleby tylko z Paryża nie wyjeżdżać.

— Jakto? Pan wszystko umie?

— No... tak... po trochu. Wojażowało się i tu i tam — tu z cyrkiem, tam z menażeryą, tu tak sobie... to i nauczyło się tego i owego.

W cieple kantoru zaczynała widocznie odżywać fantazyja Władka.

— A jakże!... — mówił dalej, mnąc czapeczkę w rękę — p. Grzegorzewski mnie zawsze łąje, gdy ja to opowiadam, ale słowo honoru, ja prawdę mówię. O! pan Grzegorzewski to będzie mnie miał na sumieniu.

Potrząsnął smutnie głową.

— Będzie mnie miał na sumieniu!

— Dlaczego?

— Bo ja mu służyłem wiernie, jak ten pies — a on mnie od siebie wczoraj odegnał i kazał się na oczy nie pokazywać. Ja też pomyślałem sobie — pójdę na drugą stronę Sekwany... to mnie karjerowiec i burżuje dopomogą i do nich przystanę!

Usta mu drżały i układały się w dziecinna podkówkę.

— Ale pan Grzegorzewski będzie miał na sumieniu moją zmianę frontu.

— A cóż pan robił przedtem? — zapytał Leon.

— Ja byłem przy panu Grzegorzewskim.

— Jakto?...

— A no tak... pomagałem. Ja nawet po to przyjechałem do Paryża...

I nagle pośpiesznie dodał:

— Bo ja byłem u introligatora i oprowałem książki dla pana Grzegorzewskiego.

— Jakie książki?

— Różne. Zresztą — zapomniałem!

Zaciął usta, jakby żalując, że powiedział za dużo i zasunawszy się głębiej w krzesło, siedział nadęty i oswiały.

Leon powrócił do swego zatrudnienia, bo uczuł, że Władek oddzielił się od niego moralnie jakąś tajemniczą przegrodą.

Niemniej jednak od czasu do czasu spoglądał na siedzącego chłopca i znów uderzyło go to, co Wimpfen w sali geograficznej powiedział.

Delikatność rysów, owal twarzy, kobieca przeźrystość cery, ręce małe, nogi drobne, pomimo zbyt dużych butów i to coś, nieokreślony jakiś, niezgrabny wdzięk młodej dziewczyny, pragnącej koniecznie przybrać męską postawę.

Patrząc tak na niego, Leon łamał sobie głowę w jaki sposób rozpocząć z nim znów rozmowę. Chciał koniecznie dowiedzieć się coś więcej o Grzegorzewskim, o nich wszystkich, tembardziej, iż widocznie Władek obracał się w tem kole.

— A gdzie pan mieszka? — zapytał wreszcie, nie mogąc znaleźć żadnego tematu, tak był zgorączkowany i podniecony.

— Na Glacierre — odparł Władek — to jest ja mieszkałem w kancelaryi u pana Grzegorzewskiego. Teraz już nigdzie nie mieszkam.

— A!.. to pan Grzegorzewski ma swoją kancelaryę na Glacierre?

— Tak! i mieszka w tym samym domu. Tam także mieszka panna Mazia i panna Wilhelmina tylko o piętro wyżej. Tam my wszyscy mieszkamy, choć

konsierżka z tego bardzo niekontentna i gniewa się, gdy są *zur fixy*.

— To są na Glacierre *zur fixy*?

— A jakże... codzień u kogo innego. Każda pani ma *zur fix* a i panowie dają także *zur fixy*.

— A u pana Grzegorzewskiego są *zur fixy*?

Władek spojrzał na Leona z pewnem oburzeniem.

— Pan Grzegorzewski to nie jest to, co wszyscy. On czasem chodzi na *fix*, ale on nie daje u siebie *fixów*. Pan Grzegorzewski jest co innego...

Fanatyczne uwielbienie brzmiało w tych ostatnich słowach.

— Pod którym numerem mieszka pan Grzegorzewski? — zapytał nagle Leon, a głos mu drżał i rumieniec wystąpił na twarz, jakby popełniał w tej chwili jakiś czyn karygodny.

— Pod dziewiędziesiątym, na czwartym piętrze.

— Dziękuję!..

Drzwi otworzyły się i wszedł Kręcki.

Zobaczywszy Władka, śmiać się zaczął.

— A cóż to? — zapytał — tutaj? za czem? co się stało!

Władek powstał i przestępując z miejsca na miejsce, wyrecytował:

— Ja przyszedłem prosić — może mi pan da jakie miejsce!

Kręcki szeroko oczy otworzył.

— Miejsce? jakie? ja o niczem odpowiedniem nie wiem!

Zatrzymał się prawie przed Władkiem i patrząc prosto w oczy chłopcu, dodał:

— A zresztą u nas tylko mężczyźni w kantorze pracują!

— Proszę pana!... przecież...

— No! no! już nie. Nie...

Kręcki przeszedł się po kantorze i zdjął palto, które zawiesił na haku.

Leon spojrział na Władka i dostrzegł, że na twarz chłopca wystąpiły dwie purpurowe plamy.

Kręcki zwrócił się znów w stronę Władka.

— A dlaczegoż się nie poprosi pana Grzegorzewskiego o wyszukanie miejsca? — zapytał.

— Ja się z panem Grzegorzewskim... pogniewałem! — odpowiedział prawie szeptem Władek.

Kręcki ręce szeroko rozłożył.

— A!.. to trzeba mi było zaraz powiedzieć! Naturalnie, skoro się takie dwie burzliwe natury, jak wasze, razem zejdą, to nie może być mowy o ustępstwach i zgodzie.

— O nie! — przerwał Władek — pan Grzegorzewski jest święty! jest anioł!.. jest... wszystko, ale to proszę pana jak zacząć b a b y się wtrącać, jak panna Mazia, panna Wilhelminka, pani Jaskólska zacznie gospodarować, to po prostu można głowę stracić!

Niepodobieństwem jest określić wzgardliwy ton, jakim Władek wymówił słowo „baby“.

Kręcki znów prosto mu w oczy spojrział.

— To się tak bardzo kobiet nie lubi! — zapytał z jakimś dwuznacznym uśmiechem.

— Bardzo! — wyrzekł z całem przekonaniem Władek — one mogą być bardzo mądre, mogą być dzie sięć razy na medycynie, ale w robocie zawsze przeszkadzają. Ja, na przykład panu Grzegorzewskiemu

wszystko przebaczę, bo to.... wielki człowiek, on może mnie nawet wylać, wypędzić na mróz — nawet zabić — dobrze! ja nie nie powiem, ale takie tam gęsi! a nie!... to za nadto!

— Więc pan Grzegorzewski pana wypędził? Władek podniósł dumnie czoło.

— Nie! tego on nie zrobił! To jest anioł p a n u mówię... ale ja sam, dla samego honoru nie mogłem tam zostać!...

I nagle Władek zakrył twarz rękami i wybuchnął płaczem.

— Już go więcej nie zobaczę! nie zobaczę!...

Łkał tak gwałtownie i serdecznie, że aż Leona w gardle dławić zaczęło.

Ze zgorzeniem jednak spostrzegł, że Kręcki dusi się od śmiechu.

— On mi powiedział!... łkał Władek — że bym mu się na oczy nie pokazywał... Jakże ja teraz mogę żyć bez niego?... jak ja mogę żyć!... co ja będę teraz robić?...

— Najlepiej do kraju powrócić! — rzekł prawie surowo Kręcki.

— Ja nie umiałbym już żyć w kraju — odparł, łkając Władek — ja wolę się zabić, niż stąd wyjechać!

Łkanie zaczynało przechodzić w spazmy.

Kręcki zbliżył się do Władka i znów uśmiech wykwił na jego ustach.

— Proszę tak nie płakać! — wyrzekł — to... ba by tak spazmują — nie mężczyźni.

Łkanie ucichło.

Władek z ukrytą twarzą, zwinięty w kłębek, siedział na krześle.

Przez palce rąk, któremi zasłaniał twarz, przeciekały i padały na ziemię grube łzy.

I nagle, schwyciwszy rękę Kręckiego, począł okrywać ją gorącymi pocałunkami.

— Panie!... panie drogi! panie święty! panie złoty! niech mi pan już miejsca w kantorze nie daje, ale niech mnie pan pogodzi z panem Grzegorzewskim! niech on mnie napowrót weźmie — niech on mnie znów pozwoli być przy sobie — bo ja bez niego nie mogę żyć! nie mogę żyć!...

Znów wiał się w konwulsyjnym płaczu.

— Nie mogę żyć! — krzyczał, podnosząc pięści do góry.

Kręcki okno na wpół otwarte zamknął.

— Cicho! nie krzycz pan! pomyśl jeszcze, że jaka zdradzona przezemnie albo przez pana Leona dama robi nam tu scenę...

I powróciwszy do Władka, podniósł go prawie siłą z krzesła.

— Proszę obetrzeć nos i oczy i iść ze mną.

— Gdzie?

— No gdzie? Na Glaciere — do Grzegorzewskiego. Zaprowadzę pana i wyproszę przebaczenie. Wolę to, niż żebyś pan tu siedział i szlochał...

Chodź... pan!...

Leon zdziwił się i równocześnie uczuł zazdrość na myśl, że Kręcki będzie niedługo pomiędzy nimi!

— Służę! — mówił ironicznie Kręcki — idziemy!

Władek ocierał łzy chustką i rękami. Gdy wstał i szedł ku drzwiom drobnym krokiem, znów zrobił na Leonie wrażenie przebranej kobiety.

Kręcki odział się w palto i już u drzwi, śmiejąc się, ku Leonowi się zwrócił.

— A co? chciałby pan być na mojem miejscu i pojechać na Glaciere! Aż się panu oczy iskrzą. Ale tymczasem — niech pan siedzi w kantorze i gdy patron z kawiarni powróci — niech pan powie, że ja pojechałem na Claude Bernard, reklamować towar.

I wyszedł razem z Władkiem, który w pośpiechu swoim nie pożegnał się nawet z Leonem.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Leon nagle i radośnie podniósł głowę.

— Mam siedzieć w kantorze?... nie pojedę na Glaciere? nie będę widział Grzegorzewskiego? nie poznam się z nimi? — zawołał półgłosem, a w tonie jego był tryumf, siła, ironia, przekora — słowem wszystkie uczucia umęczonej i udręczonej woli.

Oczy jego świeciły się jak oczy młodego wilka, pomiędzy wargami błysnęły dwa rzędy zębów.

— Zobaczmy! zobaczmy!

VIII. Jan Grzegorzewski.

Niewielkie dwa pokoiki.

A właściwie nie dwa pokójki, ale pokój i kuchenka.

W pokoiku duży stół, kilka krzeseł, rozwalony i zardzewiały piecyk, w którym dawno się nie paliło.

Na stole — foljały.

Kilka kałamarzy, pióra i ołówki — guma w szklanym naczyniu i kilkaset marek.

Na ziemi foljały.

Gazety z Królestwa, z Galicyi, z Poznańskiego. Wycinki z obcych dzienników. Masy broszur w rosyjskim i niemieckim przeważnie języku. W kątach, na drewnianych pulkach stosy książek, roczników, encyklopedyi. Na ścianach dwa afisze Cheret'a, dziwnie jaskrawością barw odbijające od całego nastroju, panującego dokoła.

Na środkowej ścianie wianek uwity z cierni i przywiązany purpurową wstążką.

Za nią zatknięty bukiet czerwonych nieśmiertelniczek.

Wszystko to przyprószone pyłem. a dokoła atmosfera gorączkowej pracy, nocy bezsennych, kołatania się i szamotania niewidzialnych skrzydeł, obijających się o ściany klatki powszedniej, zwykłej egzystencyi.

Drzwi od kuchenki uchylone.

Tam — piec zastawiony parawanem, piec, na którym całe masy starych broszur, listów, oderwanych kartek, korekt, pudełek od szuwaksu, kilka szczotek, nieśmiertelna maszynka do spirytusu, imbryk, trochę herbaty w papierku, stłuczona cukierniczka a w niej mialki cukier.

Niedaleko pieca łóżko żelazne, na nim prawdziwie żołnierska pościel, jakiś koczek szary i zniszczony i poduszka skórzana.

Nad łóżkiem dywanik, na nim rewolwer i znów powtórzenie jakiegoś symbolu.

Trochę cierni, czerwonych nieśmiertelniczek i kawałek purpurowej szarfy.

Wspomnienie jakieś pogrzebu, powrotu z cmentarza, od grobu, z którego chce się unieść ze sobą cokolwiek, czy po prostu synteza życia, zamkniętego w tych ścianach.

Okna obu izdebek wychodzą na dach, na ten dach paryski, zalesiony kominami, szary, ciężki, bezbarwny, wiecznie jakby deszczem zmoczony.

I w izdebkach, szare, ciemne, bezbarwne światło — nie rozjaśnione nigdy promieniem jaśniejszej pogody.

Przy stole siedzi Grzegorzewski i pisze.

Zdjął surdut i siedzi przy stole w kolorowej koszuli, dającej mu pozór rosyjskiego chłopca. Jego wielkie czarne włosy i broda podnoszą to złudzenie. Tylko rysy, delikatne, czyste, szlachetne, odbijają od prostej odzieży.

Koło niego szklanka wystygłej herbaty, którą sam sobie jeszcze rano przyrządził.

Teraz — dwunasta, zapomniał o herbacie, o świecie bożym — siedzi i pisze.

W oczach mu płoną jakieś ogniki.

Natomiast twarz jeszcze bardziej wychudła, po-
czerniała prawie, usta ma spieczone i ciagle, jakby
ze zbytniego pragnienia, rozwarte. Powstał nagle —
podszedł do pułek i szuka jakiegoś rocznika jednego
z pism polskich, wychodzących w Genewie. Gdy idzie
tak przez pokój, widać w nim straszne znużenie,
wyczerpanie sił fizycznych, trawionych ciągłą go-
rączką. Doszedłszy do pułek, staje i przeciąga się
tym gestem, właściwym jedynie osobom, cierpiącym
na płuca.

Jest to pochylenie w tył głowy, podniesienie ra-
mion, zamknięcie oczów — nieuchwytnie dla innych a
zdrowych. A potem nagły spadek ramion i wyraz bólu,
który mu wraz z oddechem przeszył na wskrós płuca.

Grzegorzewski stał tak chwilę z oczyma zam-
kniętymi, z twarzą zbolalą i wreszcie ciężkim gestem
podniósł rękę i zaczął pomiędzy książkami prze-
wracać.

Pracował noc całą i nie rozbierał się, nie kładł,
pisał pochylony nad zbyt niskim stołem.

Szło mu jednak, aby dać natychmiastową od-
prawę owemu pismu, które nie omieszka skorzystać
z każdej sposobności, aby go w jak najgorszym wy-
stawić świetle. Gdy się odezwie na jakimkolwiek
posiedzeniu lub zgromadzeniu, natychmiast wysta-
wiają go jako żywioł anarchistyczny, po to jedynie
głos zabierający, aby zasiać niezgodę i zgromadze-
nie, bardzo dla kraju użyteczne, w puch rozbić.

To jedno go gryzie, bo inne zarzuty, przeży-
wanie go Robespierrem, Marat'em (!) wreszcie, nie-

wiadomo dlaczego, Ravacho'lem, nie robi już na
niego wrażenia.

Gdy polemizująca strona okaże głupotę, nietakt
i nieuctwo, a zwłaszcza nieznajomość przedmiotu,
który traktuje, chybia celu. Lecz podsuvanie złej
woli zawsze szlachetniejszą naturę wyprowadzi
z cierpliwości.

I teraz Grzegorzewski stoi przy pułkach i ner-
wowo szuka jednego z roczników, gdzie chce zna-
leść w ich własnem piśmie broń przeciwko zarzutom,
które go przygniatają. — Lecz z pewnem zdziwie-
niem konstatuje, iż ręce mu mdleją i nogi drżą.

— To chwilowe! — mruczy — pracujmy!

Ktoś zastukał do drzwi.

— Proszę wejść! — mówi gospodarz i szuka
dalej febrycznie swego rocznika.

Drzwi się otwierają powoli i przez nie wsuwa
się — Leon.

Jest tak blady, że sam czuje swą bladość
i zmieszanie.

Grzegorzewski patrzy nań pytająco i zwrok
jego bystry, przenikliwy, powiększa jeszcze onieśmie-
lenie Leona.

Grzegorzewski milczy — Leon czuje, że on
sam powinien pierwszy przemówić.

I nie mogąc znaleźć nic, gdyż pod czaszką
czuje szaloną próżnię — pyta:

— Pan Grzegorzewski?

— To ja, czem mogę panu służyć?

O! to banalne pytanie z ust tego człowieka,
o! to banalne pytanie!...

— Ja przyszedłem z panem... pomówić! —
szepta wreszcie Leon.

Grzegorzewski zbliża się do stołu, wskazuje Leonowi jedno z krzeseł i szybko rozłożoną szeroko gazetą pokrywa leżące na stole manuskrypty.

Leon widzi ten giest i rozumie go dokładnie. Grzegorzewski nie ufa mu, boi się go — ukrywa przed nim swoją działalność.

Obelga ta dodaje mu sił. Leon z gorzkim uśmiechem wskazuje na rozpostarty dziennik.

— Niech się pan mnie nie boi, ja nie jestem szpiegiem.

Czeka jakiegoś protestu ze strony Grzegorzewskiego, lecz ten ma tylko w odpowiedzi nic nie mówiący giest wzruszenia ramion.

— Tak... — ciągnie dalej Leon, a na czoło występują mu krople potu. — Pan nie wie, kto ja jestem. Ja także już pracowałem dla kraju. Robiłem, co mogłem i jak umiałem... Potem wypędzili mnie ze szkół, przyjechałem tutaj i widziałem was w Sali geograficznej. Nie miałem spokojnego dnia i nocy... Musiałem tu przyjść... Zresztą, ja już pisałem i drukowano moje prace. Oto są, przyniosłem. Niech się pan przekona, kto ja jestem.

Wyjął z zanadru swe dwie nowelki i garstkę korespondencji i położył je na stole, na owej gazecie, która tak tajemniczo osłaniała prace innych, może pracę samego Grzegorzewskiego — kto wie!

Grzegorzewski wziął w rękę nowelki i zaczął je przeglądać. Nagle usiadł na krześle i pograżył się w czytaniu jednej z nich. — Leon śledził go z szalonym napięciem. Chciał krzyknąć — pozwól mi przeczytać, ja ci przeczytam serdecznym głosem, bo z serca to pisałem! — lecz nie śmiał.

Grzegorzewski przeczytał — popatrzył chwilę na Leona i zapytał:

— Pan to przeszedłeś w klasach, co opisujesz?

— Tak!

Grzegorzewski wycinki owe na stole położył, powstał i zaczął chodzić szybko po pokoju. Chodząc, zapadał w coraz głębszą zadumę. Zdawało się, że zapominał o Leonie, tylko myślą przenosił się tam, daleko — w „prywiślański kraj“, gdzie małe dzieci szczebioczą obcym językiem słowa obcej historii.

Leon nie śmiał przerywać milczenia. Siedział nieruchomy i dziwnie wzruszony tem lodowatym i chłodnym przyjęciem, lecz bynajmniej nie urażony w swej dumie.

Wiedział, idąc tutaj, że spotka go coś niezwykłego, że poznanie się z Grzegorzewskim różnić się będzie stanowczo od poznania z takim Kręckim.

Grzegorzewski wreszcie ocknął się — spojrzał na Leona i zatrzymawszy się na środku pokoju, zapytał:

— Więc pana wypędzili?

— Aresztowali mnie, siedziałem w cytadeli.

— Za co?

— Za propagandę pomiędzy ludem.

Grzegorzewski zatrzymał się tuż przed Leonem i oczy swe przenikliwe utkwilł prosto w źrenicach chłopca.

— Za propagandę — powtórzył wolno a ręką nerwowym ruchem targał rozwichrzoną brodę. — Jakaż ona była ta propaganda? — zapytał nareszcie.

Leona wzrok wyrażał zdziwienie,

— Jakaż mogła być! patriotyczna! narodowa!

— Tak! tak!... jednak czy wy...

Do drzwi ktoś zapukał lekko.

Grzegorzewski szybko się odwrócił.

— Kto tam?

Głos kobiecy delikatny, z jakąś dziwną nutą zaleknienia odpowiedział:

— To ja... Mazia!

Grzegorzewski rzucił się do leżącej na krześle kurtki i spiesźnie wdziewać ją począł.

— Proszę... proszę wejść!

Drzwi się otworzyły zwolna i wsunęła się przez nie ta sama okragła i rumiana dziewczynka, którą Leon dostrzegł w sali geograficznej. Wszedłszy, podała rękę Grzegorzewskiemu i otulając się w pled, który miała narzucony na plecy, ukłoniła się trochę niezgrabnie Leonowi. Mieszkała w tym samym domu, i przyszła bez kapelusza, z głową owiniętą dużymi, jasno-kasztanowatymi warkoczami, które tworzyły dokoła jej czoła jakby chłopską koronę. Oczy miała jasne, przeźroczyste, piwne, okragłe i cała pocziwa duszyczka tego dziewczęcia przeświecała przez te żrenice z całą szczerością.

Grzegorzewski wskazał nowoprzybyłej drzwi drugiego pokoju.

— Tam pani znajdzie, co potrzeba... Za chwilę przyniosę drugą część.

— Dobrze.

Zbliżyła się do stołu, skrzypiąc trochę nowymi bucikami i z pod pledu wydobyła cały arkusz pocztowych zielonych marek.

— Tu są pięciocentymowe! — wyrzekła.

— A!... to dobrze — to bardzo dobrze... ale nam jeszcze dużo brak.

Dziewczyna położyła marki na stole i z pewnem zawstydzeniem dodała:

— Zrobiłam, co mogłam!

Grzegorzewski porwał się na te słowa z pewną niecierpliwością.

— Ja wiem, ja wiem... dziękuję!...

Dziewczyna wsunęła się cicho do drugiego pokoju, nie przymykając drzwi za sobą.

Leon widział, jak cicho i delikatnie układała jakieś drukowane arkusze i rzucając prawie trwożliwe spojrzenia, równocześnie ściierała kurze i starała się zaprowadzić trochę ładu w mieszkaniu Grzegorzewskiego.

Za chwilę nawet — na rogu komódki migotał błękitny płomień. Mazia zapaliła spirytusową maszynkę i robiła herbatę.

Tymczasem Grzegorzewski zwrócił się znów do Leona.

— Tutaj nie chodzi o to — zaczął znów półgłosem — czy pan siedziałeś w cytadeli, ale jakim pan z tej cytadeli wyszedłeś. Różnie bowiem ta tortura na nas działa. Niejednego przerobiła na wygodnisia egoistę, karjerowicza, który opuścił ręce i zdaje mu się, iż spłacił dług Ojczyźnie przez to, że posiedział zamknięty czas jakiś.

Leon zarumienił się gwałtownie.

— Ja nie jestem takim! — zawołał pełnym głosem — ja nie chcę kariery i nie byłem nigdy samolubem. Dlatego mimo wszystko przychodzę do was i chcę być takim, jakimi wy jesteście...

Grzegorzewski pochylił się nad Leonem tak, iż ten czuł jego gorączkowy oddech na swej twarzy.

— A czy pan wiesz, jakimi my jesteśmy?

Lecz Leona ogarnęła jakaś rozpaczliwa egzaltacja.

— Ja nie wiem, jakimi jesteście, ale czuję, że musicie być dobrzy, piękni, szlachetni! Ja byłem w Sali geograficznej i gdy wyście wyszli z sali, to cała moja dusza za wami poszła. Ja zostałem z tamtymi, ale wy dla mnie tylko istnieliście...

We drzwiach pokoiku stanęła Mazia ze szklanką herbaty w ręku.

Po za nią słońce wpadające przez okno bez firanek, zapalało złote isierki jak aureolę w koronie jej warkocza.

Patrzyła na Leona swemi łagodnemi oczami i na ustach jej wpół otwartych zdawały się zatrzymywać jakieś słowa, które wymówić pragnęła.

Grzegorzewski nie mówił nic, tylko odsunawszy się i oparłszy o pułki z książkami, badał twarz Leona patrząc.

I Leon nie oburzał się na to powątpiewanie, na to badanie, na tę niewiarę, której Grzegorzewski ukrywać nawet nie usiłował.

Tak bardzo pragnął zbliżyć się do tych ludzi, taki czuł się u siebie w tym wystygłym pokoiku, zarzuconym książkami, iż wyjść stąd bez możliwości powrotu zdawało mu się wyrokiem śmierci.

Zastukano i równocześnie uchyliły się drzwi, a przez nie wsunął się Władek, odziany w zbyt długie zszarżane palto. Ukłonił się niezgrabnie i cicho podchodząc do stołu, rzucił ukośny wzrok na Leona. Poczem na stole położył znów arkusz marek i paczkę kopert, a wzięwszy ze stołu nożyczki i flaszeczkę z klejem, wysunął się do drugiego pokoju.

Tymczasem Mazia postawiła na stole szklankę herbaty i zwróciła się ku Grzegorzewskiemu.

— Niech pan się napije herbaty! — prosiła nieśmiało — tak tu zimno... pan jeszcze nic nie jadł...

— Zimno tu? — spytał Grzegorzewski — to dziwne... mnie się zdawało, że tu gorąco!

Leon powstał, lecz wyjść nie mógł, nie miał siły. Miałże wychodzić, nie przekonawszy tych ludzi o swych najlepszych chęciach. Na razie nie mógł myśli zebrać, odwaga go opuściła, czuł, że już nie więcej nie powie.

Mazia stała ciągle przy stole i z pewnym żalem patrzyła na Grzegorzewskiego. W postaci jej jednak, w całym zachowaniu się była pewna subordynacja podwładnego wobec wodza. Widocznem było jednak w jej wzroku, iż pragnęła, aby Grzegorzewski pozwolił Leonowi pozostać między nimi.

Nagle u drzwi zaszumiało, zaszeleściło i bez stukania we drzwi, w tę biedną izdebkę, weszło uroczyste zjawisko, odziane dostatnio, strojnie, z ładnym loczkiem na czarnych ufryzowanych włosach, z mufką bobrową, na której był przypięty bukietek fiołków.

— Dzień dobry, państwu!

Głos kobiety rozległ się donośnie, wesoło, szczerze. Rozjaśniło się, ocieplilo, zapachniało perfumami. Wilhelminka ścisnęła już ręce Grzegorzewskiego, wołając:

— Ach! jakie zimne ręce. Co panu? weź pan na chwilę moją mufkę. Nie zgnieć mi pan fiołków. Dobrydzień Maziu. Wracam ze szpitala, z Saint Amere... Ballet był dziś nadzwyczajny a ten Anglik, któremu przez grzeczność pozwolono mieć prelekcję, nic nowego nie powiedział...

Zniżyła cokolwiek głos i zbliżyła się do Grzegorzewskiego.

— Cóż? Kent przysłał? byłem wczoraj u niego wieczorem i mówiłam, żeby głupstw nie robił i nie odmawiał nam kredytu. Zapłacimy za dwie ostatnie broszury niedługo. — Urządzimy loteryę...

— Kent przysłał — wyszeptał Grzegorzewski — ale powiedział, że to ostatni raz... co będzie dalej, nie wiem:

— Wczoraj był w drukarni pułkownik Montalambert, proponuje pożyczkę...

Mazia szybko zbliżyła się ku rozmawiającym.

— Błagam was, nie bierzcie nic od tego człowieka!

Wilhelminka wzruszyła ramionami i śmiać się zaczęła.

— Dlaczego?

Mazia zarumieniona spuściła oczy ku ziemi. Wilhelminka parsknęła śmiechem.

— Ach! rozumiem!... — zawołała prawie głośno — widziałam, jak ci asystował na ulicy Claude Bernard. Ale, moja droga, on nam wszystkim *fait la cour*. Co innego jego galanteria a co innego dobro sprawy. Prawda?

Zwróciła się ku Grzegorzewskiemu.

Ten, od chwili kaszlał gwałtownie, trzymając się za lewy bok i opierając głowę o pulki.

— Co? co? przepraszam, nie słyszałem!...

Mazia szybko podała mu szklankę z ciepłą jeszcze herbatą. Wypił trochę i usiadł pobladły i osłabiony na krzeselku.

— Tak mi dziś jakoś... niewyraźnie! — wyrzekł.

O Leona nikt się już nie troszczył.

On stał, jak przykuty do miejsca, nie śmiejąc się ruszyć, zwłaszcza onieśmielony od wejścia Wilhelminki.

Ta kobieta imponowała mu, przyniatała jego imaginację wspaniałością swego stroju i pawim urokiem, jaki rozaczała dokoła.

— Odniosłam panu ową broszurkę — zaczęła Wilhelminka, wyjmując jakiś zeszytek z mufki. — Czy pan wie, że to jest tak naiwne a tak szczere i śliczne, że jestem oczarowana.

Grzegorzewski podniósł się z krzesła i zbliżył się do stołu.

— A!... ta broszurka, pisana drukiem — wyrzekł, biorąc zeszytek w rękę — tak! tak! bardzo zielone. To podobno młodzi chłopcy, nie mając na drukarnię, radzili sobie w ten sposób.

Spojrzał na zeszytek i przycisnął go do piersi.

— Drogie! kochane dzieci!... — wyrzekł z gorącą serdecznością w głosie.

Leon począł drżeć cały, jak w febrze.

Poznał swoją pracę, swoje dzieło, swój utwór zbrodniczy, który wtrącił go do cytadeli i nie dozwolił kończyć zaczętych nauk. — To był jego zeszytek, pisany w obawie i trwodze wśród nocy bezsennych — jeden z tych kilkunastu egzemplarzy, z takim trudem złożonych i „wydrukowanych“ piórem w gimnazjum, w małym miasteczku.

I teraz nagle, jak objawienie, w chwili dla niego tak ważnej, tak stanowczej, zjawia się znów ta książeczka po to, aby stać się najlepszym rzecznikiem jego uczuć, jego chęci, jego zapалу dla sprawy narodowej.

Powraca mu odwaga, czuje, iż mówić musi, iż powinien mówić, jeśli nie chce ominąć tej cudownej prawie sposobności przedstawienia swej duszy taką, jaką jest w istocie.

Powoli, drżącym giestem wyciąga rękę ku Grzegorzewskiemu.

— Ja znam tę książeczkę! — mówi i nie pozna swego głosu, tak jego dźwięk się zmienił, zniżył, spokorniał, a mimo to drży niecierpliwością i wielkiem szczęściem.

Grzegorzewski, Mazia, Wilhelmina, zwracają się ku niemu i spoglądają ze zdziwieniem na zmieszaną twarz chłopca.

— Pan znasz tę książeczkę? — pyta wreszcie Wilhelmina — czytałeś ją pan?

— Tak!...

— Gdzie? w kraju?

— Tak!

— Może pan znasz autora? — pyta Grzegorzewski, i twarz jego ożywia się nagle i pięknieje — powiedz nam, gdzie on? kto on? to piękne, czyste, śliczne serce. Takich nam właśnie potrzeba...

— Gdzie on, kto on? — nalegała Wilhelmina.

Zbliżyli się ku niemu, otoczyli go prawie, i jest mu teraz bardzo gorąco, krew mu bije do głowy, serce ściskają jakieś kleszcze.

— Kto on? — powtarza jeszcze Wilhelmina.

— To... ja!

Wyrzucił te słowa i równocześnie zdaje mu się, iż spadł mu jakiś ciężar z piersi. O jedno mu chodzi tylko — aby mu uwierzyli, aby nie przypuścili, iż chce wyzyskać szczęśliwą okoliczność i zyskać w ten sposób ich zaufanie.

— Tak! — mówi szybko i gorączkowo — to ja pisałem, ja i mój przyjaciel i kilku jeszcze kolegów... Ja napisałem tekst... nie mieliśmy pieniędzy... chłopci łatwiej czytają drukowane litery... trzeba było drukować. O! to nas dużo pracy kosztowało... Proszę zobaczyć... tam na ośm-nastej stronie słowo „tyran“ zamazało się, a nieco dalej, na dziewiętnastej jest duży kleks. Ale my byliśmy już bardzo zmęczeni, bo to były egzaminy... i ręce nam drżały. To co państwo mają, to moja robota... Ja poznałem po okładce. Ja wyrysowałem oria w kajdanach... To bardzo źle i niezgrabnie narysowane, ja wiem... koledzy się śmiali... ale ja nie umiem rysować, tylko pisać...

Podniósł oczy i teraz patrzył po nich wszystkich przez łzy, bo pomimo usiłowań, łzy mu zaszkliły źrenice.

— A potem... — zaczął znowu — tam jeszcze na ostatniej stronie ja dopisałem...

Lecz pierwsza przerwała mu Mazia i porwała go za rękę, wołając z entuzjazmem:

— Ależ my wierzymy! wierzymy!...

— Tak, wierzymy! — powtórzyła Wilhelmina — i jesteśmy bardzo szczęśliwi, że pana mamy pomiędzy nami.

Lecz Leon stał nieruchomy i wzrok pełen bojaźni podniósł na Grzegorzewskiego, który ciągle jeszcze książeczkę do piersi cisnął.

Czekał na jedno słowo z ust tego, któremu w tej chwili składał na usługi swą duszę i siebie całego na ofiarę.

Grzegorzewski powoli wskazał ręką dokoła, jakby pozwalając z tą chwilą wejść Leonowi we

wszelkie tajniki, jakie kryło w sobie jego mieszkankę.

— Jesteście u siebie! — wyrzekł — należycie do nas... będziemy pracować razem. Nauczymy was kraj kochać pożytecznie i prawdziwie. Cały kraj! rozumiecie? nie część, ale przedewszystkiem tych, którzy pracują i często na codzienną strawę im nie starczy. Będziecie z nami kochać wszystkich, lecz pracującą klasę najbardziej. — Ostrzegamy was, iż uważają nas za potwory, wyrzutki, Rabagasów i szaleńców. Zresztą... widzieliście już, jak nam płacą za nasze nie samolubne przekonania! Jeżeli nie macie dość siły znieść wycia flistrów, rozkoszujących się w egoizmie i niesprawiedliwej chęci samoużycia — opuście nas lepiej, lecz w zamian pamiętajcie, iż my sami znajdujemy tak wielką rozkosz w spełnianiu naszych obowiązków, w doprowadzeniu naszych idei do czynów, iż jest to nagroda najwyższa, jaka za taką pracę nas spotkać może!

Wyciągnął ku Leonowi rękę i dodał:

— Nie będziecie mieli uznania większości, pracować będziecie w cieniu i niedostatku, ofiary nieraz ponosić będziecie musieli wielkie, ale sumienie wasze będzie czyste, jak kryształ i ono zachęcać was i zagrzewać będzie!

Leon porwał podaną mu dłoń i pochylił się nad nią, jakby chcąc pocałować tę suchotniczą, zwaną atramentem rękę, którą trawiła gorączka i brak sił.

Lecz Grzegorzewski wyrwał mu swą rękę i starając się pokryć wzruszenie, które go ogarnęło, zerwał ze stołu gazety, pokrywające rękopisma i książki.

Leon go odczuł i zrozumiał.

Grzegorzewski tym jednym ruchem dał mu poznać, iż wierzy mu w zupełności i pozwala mu uważać się za należącego do partii.

— A teraz? może nam zechcecie w pracy pomagać... — zawołał Grzegorzewski, podając Leonowi marki i podłużne bandy papieru.

— Proszę te marki tu naklejać... o! panna...

Głos jego zawahał się, spojrzął na obie młode kobiety, tak jakby pomiędzy nimi wybierał jedną.

One wyprostowane, jak żołnierze słuchający komendy, czekały.

— Panna... Mazia wskaże wam, jak się to robi!

Mazia sztywnym, automatycznym ruchem zbliżyła się do Leona. Stała koło niego, jak opiekun czy duch, poważna i prawie surowa.

Po twarzy Wilhelminy przesunął się cień niezadowolenia. Widocznie ona miała ochotę być delegowaną do boku Leona. Lecz nie powiedziała ani słowa, tylko wyszedłszy do drugiego pokoju, przywitała się z pracującym tam Władkiem.

— Jak się masz! Dlaczego dziś do mnie nie przyszłaś, ty próżniaczko...

Leon nie słyszał tych słów, tak był cały zajęty i wzruszony przebytą chwilą.

Ręce mu drżały jak w febrze, gdy zaczął według wskazówek Mazi kleić marki.

Duma i szczęście rozsadzały mu czaszkę.

Miał ochotę rzucić się na kolana, płakać, śmiać się, całować ziemię, brzeg sukien kobiet, rozrzuconą manuskrypta...

Grzegorzewski kaszląc, herbatę wystygłą pić zaczął i równocześnie jakieś pismo socjalistyczne niemieckie przeglądał, robiąc uwagi na marginesie.

— Panno Wilhelmino! — zawołał — ten artykuł trzeba będzie streścić.

— Dobrze, proszę pana! — brzmiała z drugiego pokoju odpowiedź. — Ja to zaraz nawet tutaj zrobię!

Zaległa cisza, przerywana szelestem papieru band i składanych w drugim pokoju świeżo zadrukowanych arkuszy papieru.

„Partya“ pracowała.

IX. Fanatyczka.

Gdy po skończeniu „roboty“ Grzegorzewski pożegnał obie panny, Władka i Leona, powiedział gorączkowym tonem:

— Idę do sali Waagram, będzie mówił Jaurès, idę go posłuchać!

Leon miał ochotę powiedzieć:

— Ja pójdę z panem! — ale nie śmiał. Grzegorzewski pomimo serdeczności, jaką szczodrze teraz Leonowi okazywać zaczął, onieśmiał go.

Na kurytarzu, zatrzymali się teraz we czworo, na pozór niezdecydowani, jakby nagle opuściła ich rządząca nimi dusza.

— Ja idę dziś do opery komicznej — wyrzeka wreszcie Wilhelmina — muszę się śpieszyć na obiad! A pan w którą stronę? — dodała, zwracając się ku Leonowi.

— Ja... nie wiem, do domu.

Lecz Mazia z pewnem zakłopotaniem wsunęła się pomiędzy nich, rozrywając niejako prąd magnetyczny, który z czarnych oczu panny biegł w źrenice Leona.

— Chciałam prosić, ażeby pan do mnie zaszedł! — mówiła Mazia — Grzegorzewski prosił, aby dać panu kilka książek. One są u mnie...

Wilhelminka uśmiechnęła się ironicznie.

— Ha! Skoro mi pana zabierasz!...

Mazia podniosła głowę. W jej niebieskich łagodnych źrenicach błysnął gniew.

— Nie ja!... Grzegorzewski kazał!

— Tak! tak!... — wycedziła przez zęby Wilhelminka i zwróciwszy się ku Leonowi, dodała z bardzo ładnym uśmiechem i ukłonem ślicznie ułożonej panny.

— Więc innym razem zamawiam sobie towarzystwo pana... Dziś... takżebym nie ustąpiła, gdyby nie rozkaz Grzegorzewskiego!

Nagle Władek, który nie do tej chwili nie mówił, podsunął się ku niej.

— Ja odprowadzę...

Wilhelminka wzruszyła ramionami.

— Ty? — wyrzekła. — Nie trzeba, nie chcę. Proszę iść naprzód do mnie i poczekać w sieni. Zjemy razem obiad. No, idź!...

Władek z pod oka spojrzał na mówiącą i z grymasem zepsutej dziewczyny odparł:

— Nie trzeba! obejdzie się... ja pójdę tam, gdzie pan Grzegorzewski, do sali Waagram!

— Tak! tak! Włócz się pomiędzy ludzi, poznają i zaaresztują!

— Nie prawda. Nikt nie pozna, a gdyby chcieli mnie aresztować, to ja ich...

— Nie pleć!

Wilhelminka zwróciła się jeszcze ku Leonowi i podając mu rękę, oparła silnie palce na jego dłoni.

— Do widzenia panu! Ja także mieszkam na Glacierre, trzy domy dalej... W poniedziałek mój fix.

Skinęła głową Mazi.

— Do widzenia Maziu! Będiesz jutro w Maternité?

— Będę!

Widocznem było, iż rozstały się chłodno.

Gdy Wilhelminka zeszła ze wschodów i szelest jej jedwabnych podszewek przestał szumieć, Władek wykrzywił usta pogardliwie.

— Pozerka! karyerowiczka, burżuazka! — wyszeptał, plując na kamienną podłogę kurytarza.

Mazia spojrzała na niego surowo.

— Cicho! Nie mówić źle o nieobecnej... skoro takie jest wasze przekonanie, należało jej to powiedzieć w oczy, otwarcie, gdy jeszcze tu była.

— I zaraz. — odrzucił Władek — a czemu wy jej nie powiecie tego, co o niej myślicie? A że myślicie to samo, co ja, za to szyję daję.

— Nieprawda! — zaprzeczyła gorąco Mazia — Wilhelminka jest może trochę próżna, ale to wszystko. Po za tem serce złote, inteligentna i bardzo gorliwa dla sprawy.

Władek coraz więcej wydymał usta i krzywił się pogardliwie.

— O, taka koszlawą gorliwość! Wszystko z próżności i z kokieteryi... A tak! tak! aby skokietować pana Grzegorzewskiego!

— Milczcie! — zawołała Mazia, a okragłe jej policzki oblały się żywym rumieńcem — to niegodne, co mówicie i to jeszcze wobec pana, który nas po raz pierwszy widzi...

I z dziwną, wcale niedziewczęcą energią Mazia schwyciła Leona za rękę.

— Proszę pana za mną... niech pan nie słucha takich złych i dla partyi szkodliwych wyrazów!

Zgorączkowana, ciągnęła Leona za sobą w głąb kurytarza.

Władek schodził już ze schodów, zatrzymał się jednak i ku Mazi i Leonowi rzucił:

— Wy, koleżanko Maziu, jesteście fanatyczka nie więcej! dobrze mówią o was — fanatyczka! słyszycie?

Mazia otworzyła drzwi, znajdujące się w głębi kurytarza i wciągnęła Leona w głąb mieszkania.

— Niech pan nie słucha — wyrzekła szybko — to przewrócony umysł... nie można tego brać na seryo.

Malutki, ciemny przedpokoik prowadził do większego, prawie pustego pokoju.

W rogu stało żelazne łóżko. Na niem mały za krótki siennik bez materaca, pokryty ciemno-szafirową wataną kołderką. Poduszczyka nie duża, z szydełkowej roboty wstawką leżała na łóżku. Koło okna bez firanek duży biały stół założony papierami i książkami. Dwa krzesła małe, lustro na ścianie, dzbanek, miska, maszynka spirytusowa na oknie — oto całe umeblowanie.

Zimno tu było, pusto, smutno.

Nie nie rozjaśniło tych ścian, na które padał już mrok zimowego wieczoru.

W głębi czarna jama kominka zasłonięta blachą.

Przed kominkiem malutki żelazny piecyk, którego ruda i przepalona rura wchodziła przez otwór wycięty w blasze w głąb kominka.

Nieco opodał paka drewniana. W niej trochę węgla, koks i wiązka drzazg.

Na kominku książki, fiaska ze spirytusem, trochę cukru na spodku, zapalki, szklanki i biedny fajansowany imbryczek.

W przedpokoju stał kuferek i wisiało na gwoździach trochę sukienek.

Mazia wszedłszy do pokoju, stała przez chwilę na środku, jakby starając się odzyskać spokój i równowagę.

Wreszcie zwróciła się ku Leonowi:

— Niech pan nie zdejmuję palta, bo tu bardzo zimno. Jest to narożny pokój — przytem ja nie lubię ciepła... nie palę.

Lecz Leon chciał dać koniecznie dowód kurtuazji i zdjął w przedpokoju palto, co widząc Mazia zerwała swój szal z ramion i narzuciła mu go na plecy.

— Ja nie chcę, ażeby się pan zaziębił... my tu już przyzwyczajeni do tego chłodu... proszę pana.

Leon rozbawiony tą serdecznością i brakiem pozy dziewczęcia, owijał ją nawzajem szalem i przez chwilę dwoje tych młodych śmiało się szczerze, srebrzyście, tak jak tylko młodzi śmiać się umieją.

— W takim razie napalimy w piecu! — zawołała Mazia.

I szybko, zręcznie porwała smolne drzazgi i zapaliwszy je, wrzuciła do wnętrza małego piecyka. Zahuczało, zadudniło i po chwili maluchny ogień płonął, szarpiąc drzwiczkami, rurą, piecykiem, całym kominkiem.

— Teraz — niech pan siada — ja zrobię herbaty i będziemy rozmawiać.

Leon usiadł i uczuł się od razu spokojny i jakiś pewniejszy siebie wobec tej dziewczynki, tak prostej, serdecznej i szczerzej. Widocznem było, iż Mazia walczyła z nędzą, bo nędza i niedostatek wyglądały tu z każdego kąta. Lecz ona sama miała

w sobie tyle promieni serdecznego ciepła, iż w tej smutnej lodowej pustce, w jakiej żyła, jeszcze dla innych ciepła i światła starczyło.

I gdy tak krzątała się w swej czarnej bluzce, przystrojonej tylko welwetowym kołnierzykiem, Leonowi nagle przyszła na myśl ta druga, ta „studentka“, która z takim szelestem po wschodach schodziła. I nawet myślą o niej zaniepokojony, nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Czy panna Wilhelmina jest naprawdę studentką?

Mazia roześmiała się.

— Tak! a dlaczego to pana dziwi? Czy pan sobie nas wyobrażał jak potwory z postrzyżonymi głowami i w okularach na nosie?

— A... to i pani studentka?

— Tak i ja... a nawet starsza od Willi. Ja dawniej od niej przyjechałam do Paryża.

— O!...

— Ja miałam stypendyum! Ona ma bogatych rodziców. Ja już nie mam stypendyum. Odmówili mi. Później powiem panu dlaczego.

— Więc pani chce zostać lekarzem dla karyery?..

Mazia spojrzała w oczy Leona z pewnem zdziwieniem, które powoli zmieniło się w smutek.

— Ja nie nie robię dla karyery! — odparła z prostotą — ja pragnę zostać lekarzem, bo znajduję, że to jest zawód bardzo piękny i pożyteczny. Ja jestem na medycynie tak jak i inne moje koleżanki — z zamiłowaniem!

— A panna Wilhelmina?

Mazia zawahała się chwilę z odpowiedzią.

— Sądzę, że tak — wyrzekła. — Przeciwnie Wilhelminie mówią pozory. Ja nie lubię koleżanki — bo ona jest trochę... trochę...

Szukała wyrażenia i znaleźć nie mogąc, dodała:

— Trochę zanadto... Warszawianka. Przytem — ona jest bogata. — Pan wie, to wzbudza zazdrość... Willa nie umie, nie chce zastosować się w życiu do przekonania, jakie partya wygłasza, i wskutek tego widząc jej sposób życia, zarzucają nam fałsz i obłudę. Mówią — wymyślcie na burżuazyjów, a sami prowadzicie sybaryckie i burżuazyjne życie...

Leon obejrzał się dookoła.

— Chyba o pani tego nikt nie powie! — zawołał... i przeraził się sam swojej niedyskrecyi. Lecz szybko powrócił do równowagi, widząc z jakim spokojem Mazia przyjęła jego słowa.

— Rzeczywiście — odparła, uśmiechając się — tu raczej panuje spartańska prostota. U Grzegorzewskiego to samo. Gdy pan poznasz jeszcze innych członków naszej partyi, zobaczysz, jacy my wszyscy jesteśmy biedni i jak u nas zimno i brak wszystkiego. Ale widzi pan — przeciwnicy nasi to są ludzie złej woli i oni z jednej osoby biorą miarę ogółu. Zresztą to zawsze tak bywa!

Zastukano do drzwi.

— Ktoś z sąsiadów — wyrzekła Mazia — tu cała kamienica pełna naszych!

— Jakto? należących do partyi?

— O nie! nas jest bardzo nie wiele!

Poszła drzwi otworzyć i przez nie weszły dwie młode kobiety. Obie w kapeluszach i żakietach. Jedna chuda, cienka, blada, druga krępa, rumiana z pełnym gorsem i kręconymi włosami. Szczupła kobieta,

wchodząc odedrzwi, zawołała przeciągając litewskim akcentem.

— Cóż to? już się w piecyku pali?

I kończąc te słowa, potknęła się o próg, przewróciła i rozciągnęła się na ziemi tak dziwnie, tak płasko, że zdawała się przez chwilę z blachy wykrojoną figurą. Podniósłszy się z pomocą Mazi, usiadła na krzeselku koło pieca i stękając wyrzekła:

— Piąty raz dziś już padłam!... Niedawno wprost na ulicy, na gładkiej drodze.

— A chciałam ostrzedz panią, że próg wysoki, tylko nie zdążyłam — odparła Mazia.

Litwinka machnęła ręką.

— Ta i takby nie pomogło! To musi być choroba...

Zwróciła się ku swej towarzyszce, która stała z miną zafrasowaną na środku pokoju.

— Ta podejdź tu panno Kamillo! Ta co stoisz jak półtora nieszczęścia po średynie pokoju?

Panna Kamilla przesunęła się do piecyka.

— To panna Kamilla, która niedawno przyjechała do Paryża — śpiewała Litwinka — ja ją dziś wzięłam na spacer, bo to dzień niedzielny i pozwoliłam sobie przyprowadzić ją pani. My były aż na Montmartre u Juliusza Słowackiego, strasznie my zziębły i do pani prost aby się zagrzać.

— Proszę, proszę!... — wołała Mazia — ja zaraz do piecyka dosypię koksu.

— Pani pozwoli, ja wyręcę! — zaproponował Leon.

Lecz panny ze śmiechem zaprotestowały. Nie, one już same wolą zająć się piecykiem. Mężczyzna nie ma

dość cierpliwości. — Panowie rozsypują tylko węgle.

Litwinka, która przybyła po to do Paryża, aby czuwać nad moralnością swego brata — malarza, rosłego i barczystego chłopca, Ignasia — z nadzwyczajną powagą wygłosiła następujące zdanie:

— Ja... tak sobie poradziłam z moim ryżem piecykiem.

— Jak to... piecyk ryży? — zapytała Mazia.

— No tak, ryży... rudy. Tak się przepaliwszy, że zrudział ze wszystkim. Tak ja wybieram z niego popiół łyżką wazową. Ignas siedzi i rysuje, a ja wybieram popiół łyżką na gazetę. Czasem tak przesiedziawszy całe po obiedzie.

— A cóż Ignas?

Litwinka westchnęła.

— Ta co? po bulwarach lata! Mama pisze — czuwaj! Ta jakże? Będę po bulwarach za nim latała? Leon patrzył na nią z zajęciem.

Była ładna, młodzieńka i miała na swej drobnej twarzy pomieszany wyraz zaleknięcia z nadzwyczajną śmiałością. Widocznie jednak misya czuwania nad moralnością Ignasia była dla niej za ciężka i nad jej siły. Na samo bowiem wspomnienie głęboka bruzda przecięła jej ładne czoło.

— Och! ten Ignas!...

Mazia, widocznie ubawiona, zapytała:

— Czemu go pani do mnie nie przyprowadziła?

— Siostra Ignasia zaczęła mrugać oczyma i z zakłopotaniem patrzyła na koniec swego bucika.

— Nie mogę... — wyrzekła wreszcie — pani przez to, że taka rozumna, mówi nieraz tak... bez wiary... Pani zachwiała kiedyś wiarę w Ignasiu...

— Czem?

Lecz Litwinka odpowiedzieć nie chciała. Wi doczne było, iż w głębi jej duszy tkwiło jakieś zbyt dla niej śmiałe słowo Mazi i że ta dusza, żyjąca jedynie pięknoscią legendy, musiała czuć się zraniona słowami studentki.

Mazia, widząc, iż pytanie jej pozostaje bez skutku, zwróciła się ku pannie Kamilli, która, czerwona jak piwonia, w szczelnie zamkniętym żakiecie, siedziała na brzegu krzeselka i literalnie pożerała Mazię wypukłemi, siwemi oczami.

— Czy pani na studia? — spytała Mazia.

Panna Kamilla z purpurowej stała się po prostu siną. Uczucie wstydu i przygnębienia odmalowało się na jej okragłej i tłustej twarzy.

— Nie!... — wybelkotała — ja... tak...

— A! aby poznać Paryż?

— Nie... ja...

Urwała i widocznem było, że panna Kamilla przebywa w tej chwili moralną torturę.

Zabrała znów głos Litwinka.

— Pannę Kamillę przysłali tu rodzice, aby się uczyła...

Lecz Kamilla porwała się z miejsca i chwyciwszy Litwinkę za rękę, zaczęła wolać z egzaltacją:

— Na miłość Boską! niech pani nie mówi, zwłaszcza przed panią, która jest studentką! Ja spalę się ze wstydu!...

Mazia spojrzała na Leona, potem na obie panny szeroko otwartemi oczyma.

— Czegoż pani się ma uczyć w Paryżu? — spytała zdziwiona — żadna nauka chyba wstydu nie przynosi!

— Och!... nauka!... — zawołała tym samym egzaltowanym tonem panna Kamilla — co innego nauka, tak jak u pani, medycyna! filozofia!... ale ta nauka, którą ja muszę przechodzić, to nie wspólnego z wiedzą nie ma! To nie nauka... to robota!

— Wszystko jedno! — odparła Mazia — zawsze jest to praca... O cóż chodzi? czego się pani ma uczyć.

Panna Kamilla z minoderyą zakryła twarz rękami.

— Nie powiem! nie powiem! — wołała.

Mazia wzruszyła ramionami.

— Czego więc? może... akuszeryi?

— O!!!

Obie panny oblały się pasem i Litwinka, chcąc zatrzeć wrażenie tego „straszego“ słowa, krzyknęła.

— Panna Kamilla ma się uczyć robić... kapelusze!

Nastąpiło chwilowe milczenie.

I nagle rozległ się jak dzwonek srebrzysty śmiech Mazi.

— I tego się pani wstydziła?

Kamila uczuła się tym śmiechem studentki głęboko dotknięta.

— Proszę pani! — wyrzekła z dumą — u nas, w Warszawie, obywatelskie córki nie mają sobie za zaszczyt zostanie szwaczką albo magazynierką. Potrzeba zmusza mnie do tego poniżenia, a raczej upór mojego wuja, który chce łożyć na moje wykształcenie, ale tylko w kierunku rzemieślniczym. Mama żyje na łasce wuja i musieliśmy się zgodzić.

— Wuj pani ma rację! — odparła Mazia.

Tłuste wargi Kamilli wykrzywił ironiczny uśmiech.

— A dlaczegoż pani nie kieruje się na szwaczkę, tylko na doktora? — spytała.

Mazia, zaskoczona tem pytaniem, nie mogła się zdobyć przez chwilę na odpowiedź.

— Ja? — powtórzyła prawie machinalnie — ja!...

— Tak, pani!

— Gdyby wszystkie kobiety poszły na uniwersytet, niktby nie zajmował się handlem, ani przemysłem...

— A to niech się nie zajmuje! — upierała się Kamilla — ja także chciałabym chodzić na kursa, być doktorem i potem w karecie do chorych jeździć!

Mazia nagle odzyskała pewność siebie.

— A!... Pani głównie o tę karetę chodzi. Pani byłaby doktorem nie z zamiłowania, ale dla kariery.

— Spodziewam się. Przecież to nie przyjemnego ślęczyć i uczyć się. Tylko, jak to później przyniesie dobry dochód i korzyści, to nie żał przysiedzieć fałdów. A — kapelusze!...

Wzruszyła ramionami, wspaniała w swej pogardzie dla owych kapeluszy, które były po prostu zmorą jej życia.

Leon z pewnem uczuciem solidarności, ale zarazem i wstydu, patrzył na ten bunt „obywatelskiej córki“ przeciw ręcznej, fizycznej pracy. I on przecież codziennie buntował się tak w swym kantorze, pakując szkiełka, kwiaty, albo inne handlowe przedmioty.

— Więc pani leczylaby tylko bogatych ludzi? — spytała nagle Mazia.

— Spodziewać się! — odparła Kamilla — za konsylia same kazałabym sobie płacić setkami. Mają pieniądze... niech płacą.

— A ja, skoro skończę medycynę, będę się starała o najuboższą klientelę.

Kamilla spojrzała na studentkę zdziwionemi oczyma.

— W takim razie! — wyrzekła — rodzice pani źle lokują pieniądze, kiedy jej pozwolili chodzić na medycynę. Już ja nie zmarnowałabym darów Bożych i umiałabym się wybić na wierzch.

Litwinka wzruszyła także ramionami.

— Z panny Mazi zawsze... fanatyczka!

Leon spojrzał na Mazię z wielką ciekawością.

Już drugi raz dzisiaj słyszał, iż tę dziewczynkę nazywają w kolonii „fanatyczką“.

Czekał, że ona zaprotestuje, podniesie sama tę kwestyę — lecz Mazia widocznie oswojona z tą nazwą, przyjęła ją znów z obojętnością zupełną.

Tymczasem obie panny powstały i zaczęły się gotować do odejścia.

— Muszę już iść! — objaśniała Litwinka — Ignas powróci, trzeba mu w piecyku zapalić, obiad przygotować... strasznie grymaśny. Nie chce jeść nic, tylko mięso. A tu funt kosztuje franka!... Co zrobisz? Choć siadłszy — płacz!

— Niech pani kupuje koninę!... — radziła Mazia.

— O Jezu Nazareński! miałabym konia jeszcze w tym Paryżu spożywać! — zawołała siostra Ignasia — a toż grzech i brzydko... konie są pod wierzch i do zaprzęgu, a nie na talerze!...

— My wszyscy jemy koninę! lepsze mięso, tańsze, dają więcej...

— Ach nie! nie! niech pani nie mówi nawet... bo już mi słabo i czuję że padnę! Chodźmy panno Kamillo!

Kamilla zęgnęła się z Mazią i Leonem. Ciągłe nadęta, zła, czerwona, oglądała się z ciekawością po pustym pokoiku Mazi.

Ta ostatnia dostrzegła ten wzrok badawczy i ciekawy i z wielką swobodą wyrzekła:

Panią dziwi bieda panująca w mieszkaniu studentki?

— Nie! — odparła Kamilla — ale ja myślałam, że u pani będzie kościotrup albo jakie piszczele... tak mi opowiadali, że to u tych, co się uczą na doktorów, to pełno kości się wala!...

Leon zauważył w duchu, iż ta „obywatelska córka“ wyraża się bardzo trywialnie, a rozwój jej umysłu pozostawia wiele do życzenia.

— Nie! tłumaczyła jej Mazia — u mnie przynajmniej kości się nie walają. Jeżeli nawet wezmę jaką *pièce* ze sobą, to ją umiem schować i nie potrzebuję ludzi resztkami trupów od siebie odstraszać!

— O! ja się nie boję! — odparła Kamilla — przeciwnie, ja czuję, że mogłabym swobodnie krajać trupy. Ja mam bardzo silne nerwy!

— E! zdaje się pani — trupy to nie kapelusze!...

Głos Mazi, gdy mówiła te słowa, brzmiał pewną niecierpliwością.

— Ja wiem! upierała się Kamilla — ja byłabym bardzo zdolną studentką.

— A czy pani wie, co to jest *baccalaureat*? — rzuciła jej już prawie wyzywająco Mazia.

Kamilla zamilkła chwilę — ale szybko znów usta wzdęła i wyrzekła.

— Nie wiem — ale jeżeli pani wie, to i ja mogłabym się dowiedzieć...

— Wątpię!

— Dlaczego?

— Bo ja od dziecka starałam się być do niego przygotowaną!

— Mnie też na pensyi dużo uczyli!

— Może!...

Z dyalogiem tym doszły do samych drzwi.

Litwinka przebyła szczęśliwie próg. Potknęła się tylko i zaraz jęknęła.

— Najświętsza Panno! znów się przewrócę!...

Widząc jednak, iż przeczucie jej się nie sprawdziło — zaczęła od progu wolać na towarzyszkę:

— Ta chodźmy już... ciemno! chodźmy!...

Wyszły — i Mazia, zamknawszy drzwi, powróciła do pokoju.

Widocznie paplanina tych dwóch kobiet zmęczyła ją trochę.

Usiadła na krzeselku i opuściła ręce z wyrazem znużenia. Szał opadł jej z ramion i zwiśał dookoła jej bioder ku ziemi ciężkimi, miękkimi fałdami.

Ciemno już było prawie zupełnie, tylko purpurowy ogień z rozwartego piecyka oświecał kolana, stopy i jedną opuszczoną rękę dziewczyny. Tors, twarz ginęły w cieniu.

Leon patrzył na nią w milczeniu i nagle to biedne, pełne odosobnienia, nauki, prywatni życie młodzieńkiej dziewczyny, stanęło mu przed oczami.

Wśród tej ciszy, samotności chłodnej, lodowej, jaka z pustych ścian wiała — przed tym biednym ogniem, który płonął, nie gorejąc, zrozumiał, iż trzeba mieć w swej duszy wiele siły, hartu i prawdziwego zapалу, aby wytrwać, aby w pół drogi nie cofnąć się i nie upaść.

I w głębi swej duszy Leon pytał tej „milczącej“, która siedziała przed nim pogrążona w zadumie, skąd wzięła moc i siłę, skąd ciepła, które nie pozwoliło jej zlodowacieć na tej pustce i przyświecało jej jasno do pracy nad sobą i dla drugih?

Jakby w odpowiedzi na to pytanie, z piersi studentki wyrwało się ciche, stłumione westchnienie.

Oczy jej zwolna spoczęły chwilę na twarzy Leona i jakby ciągnąc za sobą jego źrenice, przeniosły się w kącik, nad łóżko, na ścianę, na której Leon dopiero teraz — z trudnością dojrzał wiszący jakiś przedmiot.

Zmrużywszy powieki, rozróżnił powoli wianek nie duży, uwity z cierni, poza który zatknięte czerwienily się małe bukieciki pąsowych nieśmiertelników. Kawalek czarnej, zniszczonej krepy owijał ciernie. — Za gałęziami wetknięte kilka broszurek bielaly zdaleka z po za fałdów krepy.

Ten sam znak, ten sam symbol, który widniał w mieszkaniu Grzegorzewskiego.

I tam było zimno, pusto i ubogo. I tam ciernie czepiały się ściany nagiej, wystygłej — ledwo schronienie dającej.

Było to źródło, z którego czerpali wiarę i siłę oni wszyscy, pracujący w ciszy i odepchnięci od „porządnego“ świata? Ta plecionka cierni, nieśmier-

telnej purpury krwawego potu wyzyskiwanych, żalobnej krepy niewoli i pomiędzy tem rzucony biały kwiat ich pracy, to było przypomnienie Polski, która nigdy tak bliską i drogą nie wydała się Leonowi jak w tej chwili, na tej Glacjerze w chłodnej izdebce czarno odzianej... fanatyczki.

X. W kraju swobody.

Leon wiódł teraz podwójne życie.

Powrócił do swego zajęcia i pracował dalej, lecz była to dziwna, mechaniczna praca, która niezem nie wiązała go duchowo, bo podczas gdy ręce pracowały, duch szybował wysoko — zgorączkowany i podniecony.

Leon nie powiedział Krękiemu o swej bytności na Glacierre. Bał się, że Kręcki jakimś ironicznym słowem, jakąś niewczesną uwagą lub przestrogą zniweczy mu urok i zepsuje wrażenie, jakie on wyniósł z owej niedzieli, która mu pozostała teraz jak wiatyk na pracę całotygodniową. — Grzegorzewski, Mazia, Wilhelminka, Władek — słowem wszyscy rośli w jego sercu i imaginacyi do potęgi bohaterów. Nie znał dokładnie ich działalności, czuł, że jakkolwiek na pozór zupełnie otwarcie przypuścili go do swego grona, jednak wyznaczając mu nie nie znaczącą robotę nalepiania marek pocztowych, ową powierzchowną pracę, oddzielili go od gruntu prawdziwej działalności, jaką się oni zajmowali. Nie miał im jednak tego za złe. Tak był szczęśliwy i dumny z tego, co się stało, że oprócz wielkiej, trochę egzaltowanej wdzięczności, nic dla nich innego nie czuł. Kręcki natychmiast dostrzegł, iż w życiu Leona zaszła jakaś zmiana. Gdy Leon powrócił do domu,

w ową pamiętną niedzielę, zamknął się w swym pokoiku i na propozycję Kręckiego, aby udał się z nim do jakiego Café-concert'u, pozostał głuchym. Leon bowiem położył się natychmiast do łóżka i czytać zaczął „Historię rewolucyi w Rosyi“ Herzena.

Książkę tę dała mu Mazia, mówiąc:

— Gdy pan tę książkę przeczytasz — zrozumiesz, że pomiędzy rządem rosyjskim i jego wykonawcami a ludem rosyjskim, istnieje cała przepaść, i że tyle tam jest krzywd, lez, bólu, niesprawiedliwości, co i na naszej polskiej szali.

Przypomniawszy sobie jednak, że dziewczyna natychmiast dodała:

— Tylko, nie sądź mnie pan internacjonalistką i nie przypuszczaj pan, że w tym celu daję ci tę książkę. Zobaczysz sam, jaki duch z niej wieje i powiesz mi swoje zdanie.

I ze ślicznym, kobiecym prawdziwie uśmiechem, dodała:

— Ręczę, iż będzie takie samo, jak nasze!

Czem więc dla Leona wobec tej zakazanej książki, wobec głosu Herzena, mogło być wewnątrz kawiarni paryskiej, gdzie Yvette Guilbert (ohydny typ ubielonego kłowna), wyla z giestami manekinu brukową piosenkę, powracającej z wesela pijaczki. Leon chciał pozostać sam i Kręcki znudzony próżnem pukaniem do drzwi, poszedł wreszcie szukać odpoczynku w ciasnym fotelu zadymionej, kawiarnianej sali.

Leon czytał do białego ranka. Gdy nafty zabrakło w lampie, spalił resztki świec, wreszcie, gdy świece zgasły, z radością powitał świt szary, wkładający się przez okno. Wyskoczył z łóżka, owinał

się koldrą i czytał, czytał dalej, widząc przed sobą rosnącą potęgę dwugłowego orla, dynastję Romanowych rozsiadającą się na tronie, którego stopnie tworzyły stopy trupów, a purpura carskich koronacyjnych płaszczów zabarwiała się krwią pomordowanych poprzedników. I czuł, jak ta Rosya rozciąga się powoli nad całą półkulą na wzór posrebrzonego lodem potwernego kraba — którego nogi złożone z całej armii czynowników zagarniają coraz większe obszary, sięgają po coraz większe zdobycze. I potwór ten, krab żarłoczny o tysiącach nóg i z głową jednego autokraty, był cały z wierzchu lśniący od pochwytej cywilizacji, a wewnątrz miał w sobie wiekową pleśń barbarzyń, mieszaną z gorzką poezją cierpiącego ludu. Nie doszedł drogą ewolucji jak inne narody do brylantów wiedzy i czarów arcyzmu. Teraz — kołysał się pijany od źle wyuczonej roli i chwilami nogi puszczały się w prysyudy wtedy, gdy głowa kiwała się w takt menueta.

Niemniej była to potęga olbrzymia, niezmierzona, nie do zgniecenia.

Leon czytając Herzena, czuł tę potęgę tak bliską, tak gniotącą go swoim ogromem, że lękał się spojrzeć poza siebie. Zgorączkowany nieprzespaną nocą, siedział na brzegu stołu z książką opadłą na kolana, a usta jego mimowoli szeptały:

— Rytieff! Boratyński! Bestudżef!...

To była cała litania orlich umysłów, skuwana łańcuchem niewoli. Herzen mu ją wskrzesił i z cieni wydobył.

I nagle z jego ust pobladłych wybiegły znów dwa nazwiska, jakby asocjacja tych myśli była nierozdzielna, jakby tamte wlokły za sobą tych dwoje

kołyszących się straszliwym widmem na drzewcu szubienicy.

— Żeljabow!... Perowska!...

Działo się z nim w tej chwili coś dziwnego. Zdawało mu się, że dusze tych moralnie i fizycznie pomordowanych weszły w niego i cierpią, szamocą się, rzucają, wracają do życia.

Krople potu spływały mu po czole. Świt wstawał niepewny, bez jasności słonecznej, a on powtarzał sobie.

— Zemścili się — jedni za drugich... jaki to łańcuch! jaki łańcuch!...

I cóż stąd, że on był tylko marnym, biednym uczniakiem z prowincjonalnego miasteczka? I on wy dobył ze swej duszy jak Puszkina, jak Czerniszewski to, co miał najlepszego, najpiękniejszego i nadał mu formę słów. I on za te słowa uciekać musiał przed Sybirem, rzucić swe książki, nauki — i tulać się teraz na obczyźnie, drzeć przed widmem głodowym i moralnie być sam! wiecznie sam!... Cóż stąd, że on nie był geniuszem, znakomitym poetą, historykiem! On, co mógł, na co się był w stanie zdobyć, dał ze siebie z całą wiarą gorącą, poświęceniem. Więc jego dar dla społeczeństwa był tem samem, czem dar tamtych... wielkich!

I on doznał prześladowania tego, jednogłowego a stunogiego kraba o lodowej roziskrzanej rubinami krwi i promieni zorzy północnej — koronie...

Och! Żeljabów... Perowska!...

Teraz zrozumiał, dlaczego Mazia mu dała te książki. Powiedziała doń:

— Należy poznać swych wrogów, poznać ich dokładnie... Wiedzieć, gdzie leży przyczyna i umieć

rozróżnić tych, co tak, jak my, cierpią, od tych, co nas i ich prześladują.

I pamiętał, że dziewczyna dodała.

— Umieć rozróżnić tylko... kochać ich nigdy! bo nawet my tych Rosyan, którzy cierpią rządowe prześladowania, kochać nigdy nie będziemy mogli. To silniejsze, niż nasza wola i dobre chęci. Prawda?

On potwierdził i dziś czuł to samo. Powoli teraz rozróżniał rząd od całego narodu, a jednak... jednak litości, współczucia dla nich nie czuł, czuć nie był w stanie.

Gdy Kręcki do drzwi zapukał, aby zabrać go ze sobą do kantoru, Leon zbudził się, jak z sennego marzenia. Rzeczywistość chwytala go w żelazne szpony. Przez drzwi krzyknął, że się ubiera i że na ulicy Kręckiego dogoni. Lecz nie spieszył się wcale. Ciągłe był pogrążony w rozmarzonej egzaltacji. Chciał czempredzyj zobaczyć Mazię, powiedzieć jej, co czuje, co myśli. Grzegorzewskiemu nie śmiałyby nigdy zwierzać się ze swych myśli. Lecz Mazia w ciągu jednego dnia zyskała w jego oczach całe zaufanie. Ona, pomimo swej pozornej rozwagi, widocznie uzyskanej przez wpływ Grzegorzewskiego, miała w sobie całą masę temperamentu i nerwowego fanatyzmu dla wiedzy i dla sprawy narodowej. To by punkt, na którym schodziły się i porozumiały nadzwyczaj szybko dusze tych dwojga młodych.

Gdy Leon schodził dnia tego ze wschodów, spotkała go madame Bauer, karmicielka i zarazem zarządczyni hoteliku.

— Czy pan już zrobił swoją deklarację w policji? — spytała go po francusku.

— Nie! A czy to konieczne?

— Jakto? Pan musi to zrobić i to bez zwłoki, nazajutrz. Pan mnie narazi na nieprzyjemności

— Ja myślałem, że we Francji każdy może mieszkać swobodnie...

Pani Bauer wykrzywiła usta.

— Każdy Francuz! — wyrzekła — ale nie cudzoziemiec.

Gdy Leon przyszedł do kantoru, sam pan Kwiatkowski spotkał go wymówką za opóźnienie się półgodzinne.

Leon popatrzył na swego „patrona“ jak senny i przeszedł do Kręckiego, który natychmiast dał mu kilka komisji do spełnienia. Spojrzawszy jednak na Leona, Kręcki zdziwił się, widząc zmianę w jego twarzy.

— A panu co? wyglądasz jak lunatyk!

Lecz Leon zabrał się do roboty i nie odpowiedział nic na dalsze pytania Kręckiego.

Pod wieczór dopiero, gdy zostali sami w kantorze, Leon zaczął się informować, w jaki sposób musi złożyć „deklarację“ w policji,

— A no... pójdzie pan z paszportem, a dziś tymczasem pana zfotografują.

— Zfotografują?

— A jakże... jak złodzieja, albo mordercę.

— Ale jeżeli ja nie zechcę?

— Nie będziesz pan o tem wiedział... oni pana wyfotografują w sekrecie przed panem.

— Po co?

— Aby fotografię pana złożyć rosyjskiej ambasadzie.

Leon aż drgnął, posłyszawszy te słowa.

— Po co?

Kręcki ręce szeroko rozłożył.

— To już ich i ambasady sprawa!

— Ależ... ja myślałem, że my tu jesteśmy bezpieczni.

— My? bezpieczni? we Francji? Wierz mi pan, że my tu jesteśmy sto razy więcej szpiegowani, niż w kraju. Tam nas jest dużo... tu na dwóch, trzech Polaków i Rosyan, jeden agent...

Leon przygryzł wargi a uczuł, że mu serce gwałtownie bije, gdy posłyszal Kręckiego, mówiącego następujące słowa.

— Dlatego od Glacjery radzę panu trzymać się z daleka... Skoro pan powrócisz do kraju, to panu może złego figla wypłatać.

— Ja nie myślę wracać do kraju — odrzucił Leon.

— Ho! ho! — zawołał Kręcki — jaki z pana patriota, ekspatrjujesz się pan? Ja zaś myślę wrócić do kraju i tam dla jego rozwoju przemysłowego pracować.

Teraz Leon uśmiechnął się ironicznie.

— Dla rozwoju kraju, czy dla rozwoju swojej kieszeni? — zapytał.

Lecz Kręcki bynajmniej się nie zmieszał.

— I dla jednego i dla drugiego... inaczej istnieć nie można.

— A ja będę inaczej istniał!

— Owszem... będę ciekawy, śledząc pańskie życie...

Leon coraz więcej się gorączkował.

— Wątpię... ścieżki nasze są różne!

— O tak!... moja nie prowadzi na Glacjere, tylko do fabryki.

Leon uderzył pięścią w stół.

— Nie sztydź pan ciągle z Glacjery. Pan nie jesteś wart rozwiązać rzemyska u obuwnia tych ludzi. Pan...

Zabrakło mu słów — drżał cały, oczy jegoiskały płomienie.

Kręcki obojętnie, zimno na niego spoglądał.

— Pan tam już byłeś! — wyrzekł, kiwając głową.

— To do pana nie należy.

— Owszem. Należy! Gdybym widział, że pan toniesz, musiałbym pana ratować. Inaczej byłbym nieuczciwym człowiekiem!

Wyciągnął przez stół rękę.

— Daj mi pan słowo, że pan tam już więcej nie pójdziesz...

Lecz Leon nie uściśnął podawanej mu ręki.

— Skoro zechcę... to pójde! Jestem pełnoletni i wiem, co mam robić!

Ręka Kręckiego opadła.

— Ha!... trudno!... — wyrzekł ze smutkiem — widzę, że pan jesteście bardziej chory niż przypuszczałem. Szkoda mi pana.

I już do końca dnia pracowali, nie mówiąc do siebie ani słowa.

Nazajutrz poszedł Leon do prefektury policyi.

Wiedział, że iść musi w tym kraju wolności. Wolał więc iść sam, niż czekać aż go *par force* zwołają, ściągną i w ten sposób baczniejszą na niego zwrócić uwagę.

Na szczęście Leon nie zniszczył owej przepustki, która w razie potrzeby mogła uchodzić za paszport.

Wszedłszy do gmachu policyi, błąkał się długo po korytarzach, brutalnie i błędnie informowany przez drabów o zbójckim wyglądzie w uniformach policyjnych francuskich agentów.

Wreszcie dostał się do podłużnej, jasno oświetlonej sali, w której kilkunastu urzędników siedziało po za biurkami, ustawionymi na środku sali. I tu panowała prawdziwa chamsko-republikańska niegrzeczność i grubiaństwo. Leon odsyłany od jednego biurka do drugiego, zwątpił już w możliwość złożenia swej deklaracji — gdy został zatrzymany przez jakiegoś urzędnika, czyszczącego sobie paznogie pilnikiem i zabierającego się do wykłuwania w zębach ostrzem tego samego pilnika.

— Vous désirez ?

Leon objaśnił cel swego przybycia.

— Ah! oui! — odpowiedział urzędnik — et vos documents?

Leon wyjął z kieszeni ową przepustkę i urzędnik zaczął oglądać na wszystkie strony ten kawałek papieru, kręcąc głową.

— Cóż to za język? — spytał wreszcie, wskazując Leonowi rosyjskie litery, któremi była zapisana przepustka.

— To po rosyjsku — odparł Leon.

— A... tak!

I znów przez dłuższy czas wpatrywał się w litery.

— Epatant! — zakonkludował i przycisnął niezauważalnie ukryty pomiędzy papierami dzwonek elektryczny.

Lecz Leon dobrze śledził każdy jego ruch i teraz był przekonany, że albo go w tej krainie swobody zaaresztują, albo... sfotografują.

— Nazwisko pana?

I zaczęła się mozolna praca dyktowania po literze pożyczanego nazwiska i komponowania na prędce miejsca urodzenia i nazwisk rodziców.

Po czole Leona perlily się krople potu.

Było mu tak, jak w cytadeli podczas indagacji. Ci republikańscy urzędnicy sprawiali na nim wrażenie rosyjskich żandarmów. I tu, i tam badali jego życie, opisywali, negując w ten sposób prawo istnienia człowieka swobodnego pod słońcem. I tu i tam musiał Leon trzymać na wodzy swe myśli i słowa, nie pozwolić się zdradzić i zmuszać się do kłamstwa.

Leon trzymał pochyloną nad biurkiem głowę, gdyż urzędnik, spisujący jego słowa, kazał sobie dyktować powoli litery, wykrzywiając się przytem pogardliwie, tak, jak każdy Francuz, słyszący cudzoziemskie nazwisko. Nagle — do Leona zbliżył się młody, wysoki człowiek — ubrany dość starannie i dotknąwszy lekko ramienia Leona, zapytał:

— Vous dites ?

Leon odwrócił się szybko i uczył zimne, stalowe żrenice, wpijające się w jego oczy. Urzędnik patrzył na Leona z taką mocą, że ten chwilę stał nieruchomy, zwrócony twarzą do światła, zahypnotyzowany prawie.

Przed sobą miał marę, cień, kopię rosyjskiego żandarmskiego oficera, ze śledczej kancelaryi, tylko ta mara zamiast fiolkowego munduru i czerwonych wypustek, odziana była w czarny surdut i jasno perłową krawatkę.

Lecz oczy były te same, stalowe, świdrujące mózg, ciągnące haczykami hipnozy tajemnice dusz. Oczy, przed którymi widać się trzeba z trwogi, aby nie zacząć krzyczeć, co się w sercu kryje, oczy — nie oczy, ale noże, ale stal, ale skalpel dysekcyjny.

I wtedy Leon zrozumiał, że czy w Rosyi, czy we Francyi, czy na jakiegokolwiek stronie świata, jest jedna wielka rodzina — policją nazwana. I wszyscy oni, ci bracia, mają jedne i te same oczy, które wciskają się w głąb duszy człowieka...

Tylko w Rosyi ci „bracia“ noszą mundur fiłkowy i brzęczące ostrogi.

A ludzkość, z której łona i oni wyszli, wije się z poddaniem i milczy pełna grozy pod spojrzeniem tych oczu, niepewna w swem istnieniu, śledzona — mająca to przekonanie, że nawet myśl jej nie należy do niej i jest tamtych własnością.

Kilkanaście sekund pozostawał Leon pod władzą francuskiego agenta i w tej chwili uczuł jakieś dziwne, niepojęte wrażenie. Zdawało mu się, że ktoś ściągnął z jego twarzy delikatną siatkę i cisnął nim samym o jakąś płaszczyznę. Równocześnie Leon spostrzegł, że opodal sformowała się grupa, złożona z trzech mężczyzn. Dwóch widocznie zastaniało trzeciego. I to wrażenie ściągnięcia maski z twarzy powtórzyło się raz jeszcze z migającą szybkością.

Leon w tej chwili uczuł, że go sfotografowano. Z wściekłością w duszy na samego siebie, odwrócił się od urzędnika i pochylił znów nad biurkiem. Lecz już było zapóźno. Ambasada nazajutrz miała jego rysy z podpisem na odwrotnej stronie:

Stefan Popielawski
né en Russie (Pologne) etc.

Klasyfikacya zwierzęcia na wystawie bydłowej, kartka wejścia złoźyńcy do kryminału, lub patent na przyszłego zbrodniarza przeciw spokojowi publicznemu.

O, straszna, bolesna nędzo ludzkiego istnienia, wielka, bezbrzeżna, upokarzająca nędzo!

Leon schodził po białych schodach prefektury policyjnej i w ręku miał *Extrait du Registre d'Immatriculation* według ustawy prawnej z 1893 r. Jedynym protestem na éwiartce tego papieru, opatrzonej pieczęcią prefektury, były te słowa „Russie-Pologne“. — Ta „Polska“ na wyraźne i uparte żądanie Leona, wpisana została, lecz kryło ją natychmiast siowo:

Nationalité — Russe,

I na uwagi Leona, urzędnik pozostał głuchy. Napisał, że Leon jest Rosyaninem i tak pozostać musiało.

Za ten patent na Moskala, Leon zapłacił 2 fr. 55 centymów. Oznajmiono mu jednak, że z powodu gościnności (z której się tak sławi Francya), musi jeszcze na dole uiścić cztery franki za prawo przebywania na francuskiej ziemi.

Leon zeszedł na dół i zaczął znów się błąkać pod kolumnadą. Deszcz padał lodowaty — na dziedzińcach czerniało ślizkie, lepkie błoto, właściwe tylko błotom większych miast. I znów za wskazówkami agentów, Leon doszedł wreszcie do jednego z dziedzińców, gdzie spostrzegł gromadkę ludzi, ustawionych wężowo w kierunku jakichś drzwi zamkniętych. Kilka osób znajdowało się w ten sposób pod

kolumnadą, lecz reszta mokła na deszczu, a nogi tonęły w błocie.

Był to elegancki sposób odbierania od cudzoziemców w pieniędzy za ich pobyt we Francji. Leon długo czekał, zanim go do owych drzwi dopuszczono. W rozmaitych językach (najwięcej we włoskim), słyszał przekleństwa i wymysły na sposób traktowania cudzoziemców, przychodzących składać swój haracz rządowi. Wielu z tych ludzi było w bluzach roboczych i śpieszyło się do swych zajęć. Trochę dalej, dostrzegł Leon upartą kudłatą głowę rosyjskiego studenta i duże oczy marzącego wichrzyciela. Wzrokiem spotkali się, ale nie porozumieli. Oczy ich rozbiegły się zaraz zobojętniale. Był to przecież widocznie także „zbuntowany“. Leon to odczuł instynktownie — przeczytał w oczach, które otworzyły się przed nim naksztalt księgi. Lecz nie ich nie złączyło, pomimo może wspólnego pragnienia wolności.

W ciasnej izdebce, gdzie huczał rozpalony piec, ściągnięto z Leona ów haracz, wydano mu pokwitowanie i wyprawiono czempredzej. Tu już była tylko czynność czysto skarbowa, widoczna chęć powiększenia, choćby kosztem godności państwa — rocznego budżetu.

I wyszedł z tej republikańskiej prefektury policyi — biedny student polski, opisany jak wąż, zziębnięty, przemokły, uboższy o dziesięć franków (na trzydziestu fr. miesięcznego dochodu), sklasyfikowany w księgach policyjnych, opatrzony pieczęcią jak wół na targ piątkowy i sfotografowany i wydany w ręce, jako możliwy zbrodniarz i zer Syberyi

ambasadzie, reprezentującej owego autokratę, przed którym on krył się, jak ścigane przez hordę psów zwierzę...

I wzrok zmęczonego fizycznie i moralnie chłopca padł na fronton gmachu, na którym, jak na urągawisko przez siatkę deszczu widniały złote litery:

Liberté! égalité, fraternité!

Wolność! równość! braterstwo!...

Smagająca duszę ironia! Wolność na gmachu policyi, złączonej nierozzerwalnym węzłem z białym domem ambasady — tam — na ulicy Grenelle! Równość, braterstwo... cześć słowa, równymi i braćmi tu są tylko silni, wielcy i potężni.

Słabi i uciemiężeni są tak samo zerem i pastwą — podwójną, bo Francji i swego naturalnego wroga.

I ta republika, spławiona we krwi królewskiej, z której powstała jasna zorza swobody, ta republika nie mogła pozostawić w spokoju biedne dziecko, tulące się pod płaszczy jej, utkany przed wiekiem z rozrzuconych popiołów monarchów w Saint Denis i smug krwawych, płynących z pod noża gilotyny.

W tej chwili fotograf utrwał twarz tego młodocianego rewolucjonisty, w którego piersi gorzała zbrodnicza miłość dla Ojczyzny, a nazajutrz republikański agent wręczy agentowi Autokraty ten dokument i zbuntowane a kochające dziecko będzie miało swego szpiega, lecz już nie będzie miało swoich czynów, swoich pragnień, swoich słów, swoich myśli. Vive la République!

XI. U Wilchelminki.

Wychodząc z pod kolumnady prefektury, Leon dostrzegł pułkownika Montalembert, który właśnie zabierał się wsiąść do czekającego nań powozu. Leon uklonił się grzecznie przyjacielowi Polaków a ten skwapliwie oddał mu ukłon i pomimo deszczu podbiegł do Leona i podał mu rękę.

— Bonjour jeune homme! — zawołał, wstrząsając silnie dłońią chłopca — bonjour!...

I z zajęciem zapytał, co robi w policyjnym gmachu.

Leon w odpowiedzi pokazał mu swój Extrait, co wywołało ze strony pułkownika wyrazy gorącego oburzenia na niegodziwość podobnego postępowania względem cudzoziemców.

— Ja także byłem dziś w policyi!... — wyrzekł po francusku — bo niestety każdy z nas, ma coś do czynienia z tymi... panami!

Nieopisana pogarda brzmiała w jego głosie, gdy mówił o „tych panach“.

— Lecz... — dorzucił dalej — ja przyszedłem tu w sprawie... mego zaginionego psa. Tak! tak! psa... prosiłem, aby mi go odszukano.

I z wielką melancholią dodał.

— Co chcesz młody człowieku, skoro się jest samym i starym — trzeba się do kogoś przywiązać, choćby do psa!

Leon poczuł litość dla tego opuszczonego i samotnego starca.

— Pan jesteś sam na świecie?

— Tak!... sam! sam!

Chwila milczenia, poczem pułkownik Montalembert dodał:

— Dlatego chcę sobie utworzyć rodzinę z was, z Polaków, których kocham, jakby to były moje rodzone, moje własne dzieci!

Położył rękę na ramieniu Leona i oczy jego zasłzy mglą.

— Takbym pragnął, ażebyście mnie pokochali i mieli do mnie zaufanie...

Leon chciał coś odpowiedzieć, lecz napróżno silił się znaleźć jakieś serdeczne słowo.

Na szczęście pułkownik, nie czekając na odpowiedź, zaproponował mu, aby wsiadł z nim do jego powozu i pojechał z nim na Glacière.

Leonowi serce zakolało gwałtownie. Pokusa była zbyt silna. Kantor mógł poczekać.

— Pojedziemy do panny Borman.

— Ja nie znam panny Borman.

— Jakto? Pan nie znasz czarującej panny Wilhelminy?...

— A... tak... Pannę Wilhelminę znam.

— No więc, pojedziemy do panny Wilhelminy Borman. Mam do niej interes, a ty młody człowieku będziesz miał szczęście zobaczyć tę czarującą młodą osobę!

Pułkownik wymawiał „czarująca młoda osoba“ z naciskiem galanta - konesera. Lecz zaraz w powo-

zie zmienił przedmiot rozmowy. Zaczął mówić o Glacierre, o Grzegorzewskim, z takim zapalem, że porwał nim Leona i zjednął sobie zupełnie jego serce.

— Poznałem tych ludzi — mówił gorąco — poznałem i uchyliłem przed nimi czoło! Co za energia, co za wiara, co za praca, a potem co za abnegacja! Oni wszystko co mają, poświęcają dla sprawy. To święci ludzie! Ten Grzegorzewski dostaje z domu jakieś osiemdziesiąt franków miesięcznie. On żyje suchym chlebem i herbata, nie pali, słowem... asceta! Wszystko poświęca, oddaje na owe wydawnictwo... Dowiedziałem się o tem... to nadzwyczajne, nadzwyczajne!...

I nagle zwrócił się ku Leonowi:

— Pan należysz także do nich... prawda?

Jedną chwilę, jakieś niepojęte dla Leona wahanie przebiegło jego mózg, lecz duma należenia do tej tak wysoko stawianej partii przeważała.

— Należę! — zawołał donośnym i szczerym głosem.

— A... a dawno?

— Dawno!

— Może jeszcze w kraju — bo oni przecież muszą mieć połączenie z krajem.

Nie ostrożność, lecz pewien wstyd przed kłamstwem, kazał powiedzieć Leonowi:

— Nie, ja ich tu w Paryżu poznałem!

Lecz pułkownik sądził, że Leon nie chce być przed nim zupełnie szczerym.

— Młody człowieku! — wyrzekł — młody człowieku, widzę z żalem, że mi nie dowierzasz i nie chcesz wszystkiego powiedzieć... Ale ja ci się

nie dziwię — Francya tyle ma win obecnie wobec was, że nie możecie zrozumieć, iż we mnie bije gorące serce i całe wam oddane!

Milczał przez chwilę, jakby walcząc ze wzruszeniem, które go ogarniało i znów zapytał, nie patrząc na Leona.

— Dużo was tu jest przynajmniej w tej partii?

Leon raz skłamał, że do „partii“ należy, czuł się zmuszony brnąć dalej.

— Nie dużo! — wyrzekł półgłosem.

— To źle... powinniście agitować, wciągać jak najwięcej Polaków, młodzieży — nawet rosyjskich rewolucjonistów. Ja sądziłem że wy macie szerokie aspiracje, godne sił młodości! A!... gdybym ja był wami, podkopałbym cały system rządowy, pociągnął za sobą lud, proletaryat... wszystkich!... Lecz wy jesteście niedołężni... nie umiecie się brać do rzeczy...

I nie zwracając się ku Leonowi, porwał go za rękę.

— Lecz może ja was oskarżam niesłusznie, może działanie wasze jest właśnie takie, jak ja myślę. Co?...

Lecz Leon, wprawiony w straszny kłopot, a nie chcąc się przyznać, że nie wie nic o działaniach partii, bąkał:

— Rzeczywiście... to jest... my chcemy, my robimy, co możemy...

W lusterku, zawieszonem na przedniej ścianie karetki pomiędzy szybami, odbijała się doskonale twarz Leona. Pułkownik wpatrywał się w to lustro bardzo bystro i śledził zakłopotanie chłopca.

I do samego domu, zamieszanego przez Wilhelminę, ciągnęła się ta rozmowa, a właściwie mo-

nolog pułkownika, z którego Leon wywnioskował, że pułkownik wie o partyi Grzegorzewskiego prawie tyle, co on sam, z tą różnicą, że pułkownik bywa w drukarni, w której się drukuje wydawnictwo Grzegorzewskiego i zajmuje się gorąco tem wydawnictwem.

— Bardzo piękna to i wzniosła praca! — mówił Montalembert — i radbym z duszy poznać współpracowników. Mam dla nich cześć i szacunek...

Karetka zatrzymała się i Montalembert, wysiadając, kazał na siebie czekać. Nie była to zwyczajna paryska dorożka, lecz dość elegancka, ciemna karetka. Stangret miał czarny płaszcz zwyczajny i twarz niefachowego — pańskiego stangreta.

Wilhelminka była w domu i usługująca jej kobieta nakrywała właśnie do śniadania na brzegu stołu w salonie.

Warszawianka zażenowała się, widząc wchodzących gości i kazała szybko sprzątnąć nie zbyt czystą serwetkę i talerze. Późem, wybiegła do kuchni, skąd powróciła owinięta białą, jedwabną, haftowaną chustką, którą owinęła cały biust i pokryła skromną flanelową domową sukienkę. Panna Borman upudrowała się widocznie świeżo, a na nogi wsunęła złotem haftowane, wschodnie pantofelki. Z wielką swobodą w obejściu, nie wykluczając pewnej dystynkcyi, przyjęła swoich gości. Ładnym giestem wskazała im miejsca i sama usiadła na bujającym fotelu, pokrytym pluszową, żółtą draperyą. Plusz był tani, draperya upięta szpilkami, widocznie przez niewprawną rękę, lecz gdy Wilhelminka usiadła na fotelu i przechyliwszy głowę, oparła ją na pluszu, czarne jej włosy

zarysowały się prześlicznie na tem złocistem tle. I twarz zdawała się bielsza, doskonalsza, jakby z ekscentrycznej polichromii zdjęta.

Leona ta swoboda obytej w świecie panny podbiła i zaimponowała mu nie mało. Przytem całe otoczenie, ten salonik, był dla niego czemś nowem i zastanawiającem.

Był to niewielki pokój, zastawiony mebelkami, przeważnie przeznaczonymi jedynie do figurowania, a nie do użytku. Były to stoliczki tak malutkie, że tanie japońskie figurki, stojące na nich, już je przytłaczały sobą, krzeselka tak delikatne i cieniuchne, że siadać na nich byłoby zuchwalstwem.

Jakaś wyrzeźbiona filigranowa szafeczka stała w rogu, to znów pułeczki trzcinowe dźwigały masę fotografii pozatykanych w wachlarze. Na ścianach przeważnie porozpinane były kawałki materyi, imitujących stare tkaniny. Na nich poprzyczepiane karneciki warszawskich balów, kilka dekoracyi kotyljonowych, afisze amatorskich teatrów i znowu fotografie, całe masy fotografii artystów, aktorów, aktorek, znakomości europejskich, kilka Sienkiewiczów, jeden Gawalewicz, Faure, Richepin i upiorny Ibsen. Po między oknami wspaniały Cheretowski afisz, płomienisty, przedstawiający Taniec ognia, przysłonięty był dyskretnie draperyami firanek, które spadały na okna, obite zewnątrz różową lekką materyą.

Ta różowa zasłona, przez którą przebijać się musiało światło, nadawała całemu pokojowi jakąś fantastyczną barwę. Firanki koronkowe upięte ukosnie, zdawały się być cieńsze i delikatniejsze, niż były rzeczywiście. Leon pożerający wzrokiem ten dziwaczny w swoim rodzaju pokój „studentki“ nie

dostrzegał, iż franki były zrobione z falban balowej sukni a zasłonki różowe z podszewki tejże sukni, posztukowane i pospinane umiejętnie. Łóżka w tym pokoju nie było ani śladu. Widocznie Wilhelminka pragnęła mieć „salon“ i wygoda musiała ustąpić przed elegancją.

Gdy zamykała drzwi od kuchenki, dojrzeć można było materace i pościel, złożona w kuchni na kufrze.

W salonie zaś był tylko „szezłag“ wysunięty ukośnie, z pewną pretensją buduarową na środek pokoju.

Na szezłagu leżało kilka poduszek, obciągniętych angielskim muślinem. Po za szezłagiem stał mały japoński parawanik, za który zatknięty był duży wachlarz jaskrawych kolorów.

Lecz najciekawszem z wszystkiego było biurko a raczej stół do pracy, który stał ukośnie na przeciwległej szezłagowi ścianie. Okryty jutą niebieską w kremowe pasy, zamiast klasycznego sukna, przedstawiał miły nieład, rzeczywiście artystycznie ułożony. Ciężkie książki ujęto w pluszowe przegródki i ustawiono kokieteryjnie po obu stronach. Na środku trupa głowa, ładna, gładka, ślicznie spreparowana, miała otwartą czaszkę, a wewnątrz pełno kwiatów, lewkonij i chryzantemów. Kilka statuetek z fałszywej saskiej porcelany rozpinano swe koronki i harcopfy — podczas, gdy porozrzucane notatki przycisnięto dość swawolną grupą z terracoty sprzedawaną w tanich, bulwarowych bazarach. Niewielka grupa oprawna w dość poważne dębowe ramki, przedstawiała kilku profesorów i kilka internów w fartuchach... i z czapeczkami, a pomiędzy niemi Wilhelminka

w aksamitnej sukni, w białym fartuchu, uśmiechała się obok siwej i genialnej głowy Charcot'a.

Lecz zaraz obok tej fotografii, przypominającej białą fartuchów zbyt świeże operacje, lampa służąca do oświetlenia nocnej pracy studentki, była strojna w tak kokieteryjny abażur, różowy, pokryty koronką, iż dziwić się należało, jak pod tem światłem, przywodzącem raczej na pamięć balowe toalety, mogła studjować ciężar skomplikowanej wiedzy pani tego domu.

Leon, który nigdy nie przebywał w podobnie urządzonej mieszkaniu, od razu uczuł się podbitym i zachwyconym. Patrząc na siedzącą przed nim Wilhelminkę, która zalotnie rozmawiała z Montalembertem, uczuł nagle przerażające go ściśnienie serca i pragnienie rzucenia się do stóp tej ślicznej „działaczce“, w złotem haftowanych pantofelkach.

Nigdy nie wydała mu się tak piękną, tak pończotną, tak kobietą, jak tu, u siebie — w tym saloniku pełnym bazarowych cacek.

Wilhelminka tymczasem cały swój wdzięk i czar zwracała ku pułkownikowi. Leona przywitała bardzo życzliwie, jako znajomego, ale z pewnym odzieniem wyższości. On, przypisał to poprzedniemu zająsci na wschodach, gdy wzywany przez Wilhelminkę do towarzyszenia jej, poszedł za Mazią.

Gniewa się na mnie — pomyślał — ale ja ją prześlągam!

Nie mógł zrozumieć, że skoro jest dwóch mężczyzn, z których jeden przedstawia jednostkę, a drugi zero, takie panny, jak Wilhelminka, będą zawsze oddawały pierwszeństwo... jednostce.

A jednostką tą był bezwarunkowo pułkownik. Z czułem spojrzeniem rozkochanego starca proponował właśnie Wilhelmince przejażdżkę w swej karetce na Pola Elizejskie.

— Deszcz przestał padać... pojedziemy do lasu, pani trochę odetchnie świeżym powietrzem — to konieczne, konieczne. Niepodobna oddawać się nauce i tylko nauce. Piękne oczy mogą blask stracić, a to większa byłaby szkoda dla społeczeństwa, niż niezdany egzamin...

I usiadłszy blisko fotelu Wilhelminki ścisnął jej ręce, całował paluszki z galanterią nadzwyczajną — ona zaś broniła się ze śmiechem, widocznym jednak było, że powóz pułkownika dobre zrobił na niej wrażenie.

— Pan ma własne konie? — zapytała, kłyszając się na fotelu.

— Tak...

— Szczęśliwy! chodzić po błocie to tak nieprzyjemnie. Prawda panie Leonie?

Zapytany z nienacka, zarumienił się i nie znajdując na razie nic mądrzejszego, odpowiedział:

— Są... tramwaje, omnibusy!...

— O!

Pułkownik porwał się zgorzonym.

— Oto jest młodzieź! — zawołał z ogniem — oto jest nieszanowanie i nieocenianie kobiecej piękności. Jaki nieszczęsny? ty chciałbyś skazywać te drobniuchne stopy na pieszą wędrówkę, na stykanie się z obłożonemi kamieniami? — Och! niegodziwy!

Leon aczuł się rzeczywiście bardzo winnym. Dostrzegł we wzroku Wilhelminki pogardę dla niego, a uwielbienie dla rycerskiego Montalemberta.

— Mówią, że Polacy są narodem rycerskim! ciągnął dalej pułkownik — chcę temu wierzyć i wierzę. Lecz — strzeż się młody człowieku zatracić tę galanterię i rycerskość, jaką ci twoi wielcy przodkowie w spadku pozostawili. My Francuzi, mamy ją jeszcze i umiemy okazywać naszą cześć i szacunek piękności i wdziękowi.

Leon zauważył, że ów rycerski Francuz siedział w palcie wilgotnym w saloniku i parasol swój postawił na dywanie.

Lecz pułkownik w zapale zwrócił się ku Wilhelmince.

— Gdyby odemnie zależało rozporządzać losem tego arcydzieła, jakim pani jesteś — nie chodziłabyś nigdy piechotą — ani jeździła tramwajami! — Gdybym był mężem lub narzeczonym pani, nosiłbym panią na ręku lub wozził w *coupé*, jak drogocenny klejnot...

Wilhelminka huśtała się ciągle na fotelu i teraz z pod przysłoniętych źrenic spoglądała na pułkownika.

— Dlaczego się pan nie żenisz? — spytała nareszcie dziwnym, przeciągłym tonem.

Leon uznał znów za stosowne wmięszać się do rozmowy.

— Pan pułkownik nie ożeni się nigdy. Powiedział mi to przed chwilą. Pan pułkownik sobie u nas, Polaków, chce stworzyć rodzinę...

Wilhelminka zagryzła usta.

— To bardzo pięknie! — wyrzekła, zwracając się do pułkownika. — Czy rzeczywiście takie są pana projekta na przyszłość?...

Montalembert westchnął.

— Tak myślałem! — odparł — ale... każda chwila przynosi zmianę...

Długo patrzył w oczy Wilhelminki, która wzrok ten bohatersko wytrzymała.

— A!... a propos — spytał wreszcie pułkownik — cóż słyhać z naszym projektem?

— Owe schronisko dla młodzieży emigrującej z Rosyi?

— Tak! wszakże nie powinniście odrzucać mej oferty. — Ja będęłożył na wszystko. Chodzi mi tylko o to, aby pani i pan Grzegorzewski dali swoją firmę. Ręczę, że ściągać będzie ta firma wszystkich zbuntowanych i spiskujących z całej Polski i Rosyi. Damy im opiekę, przytulimy... znajdziemy pracę. Czy mówiła pani już o tem panu Grzegorzewskiemu?

— Mówiłam... ale...

Wilhelminka się widocznie zakłopotwała.

— Ale... co?... — nalegał pułkownik.

— Ale... Grzegorzewski zwłóczy z odpowiedzią... chciałby... sam!...

Pułkownik zerwał się z miejsca i zaczął chodzić po pokoju.

— Sam! sam! — powtórzył. — Pan Grzegorzewski, który chce zwalczyć autokratyzm, bardzo mi coś na autokratę wygląda. Pan Grzegorzewski nie znosi, aby ktoś także pracował z nim wspólnie i dlatego moją pomoc odrzuca. Czy nie mam racyi?

Wilhelminka zaprzeczyła żywo.

— Nie! Grzegorzewski jest człowiekiem doskonałym, niezdolnym do uczuć poziomych i niskich... Tylko Grzegorzewski ma swoje przyczyny... a nie moją rolę jest, badać jego myśli.

Leon patrzył na studentkę i dostrzegł, jak twarz jej rozjaśniła się, skoro była mowa o Grzegorzewskim. Sliczne jej czarne oczy zabłysnęły jak gwiazdy, rumieniec pokrył delikatną cerę.

Leon instynktem uczuł, ile miejsca w sercu, czy wyobraźni Wilhelminki zabierał Grzegorzewski.

— O! gdyby ona tak o mnie kiedykolwiek mówiła — pomyślał, wpatrując się w nią jak w tęczę.

Pułkownik zatrzymał się przed fotelem Wilhelminki.

— Czy niepodobna ominąć pana Grzegorzewskiego? — zapytał. — Pani, ja... może panna Mazia...

Wilhelminka skrzywiła się lekko.

— O! Mazia...

— Tak! tak... — ma pani rację — panna Mazia jest jeszcze więcej zakochana w Grzegorzewskim, niż pani!

Wilhelminka wyprostowała się, jak struna.

— Pan się myli, panie Montalembert — wyrzekła z godnością — żadna z nas nie jest zakochana w Grzegorzewskim. My go kochamy — to jest różnica.

— Ta, ta, ta, — przekamarzał się pułkownik — nie wierzę. Młode panny, młody, piękny człowiek...

— Och! czyż tylko młodość ma nieprzyzwyczajony urok? — rzuciła Wilhelminka.

Pułkownik porwał ją za rękę i ucałował.

Powrócił jednak do dawnej rozmowy z uporem dziwaka.

— Ja ciągle wracam do owego schroniska... Więc jeśli panna Mazia ma za mało samodzielności...

— To pewna, — wycedziła przez zęby Wilhelmina — Mazia nie ma ani siły, ani wytrwałości...

Leonowi przed oczami przesunęła się zimna, pusta izdebka Mazi, w której dziewczyna o chłodzie i głodzie uczyła się i tak silnie, tak wytrwale przebojem szła do celu.

— Ani wytrwałości... — ciągnęła Wilhelmina. — To dobre dziecko... ale...

Machnęła ręką i wyraz niewysłowionego lekceważenia osiadł na jej ustach.

Leon zrozumiał, jaki antagonizm dzielił te dwie studentki, pomimo całej szlachetności, z jaką Mazia starała się mówić o Wilhelmince.

— A więc — wyrzekł pułkownik — skoro panna Mazia nam odpada, pozostaje pani, tylko pani. Może pani weźmie jeszcze kogoś do pomocy z waszej partii... Nie znam was, pani mi wymieni kilka nazwisk... może coś wybierzemy.

Lecz Wilhelmina milczała.

Leon uczył i rozumiał, że ona nazwisk nie powie. Było to już urodzone w duszy każdego działacza, iż nazwisk nie wymawia się nigdy.

Pułkownik usiadł tuż obok studentki i przymilająco wpatrywał się w jej oczy. Leon na chwilę doznał olśnienia. Zdawało mu się, że w źrenicach pułkownika coś błyszczało... jakiś refleks stalowy, coś na kształt żandarmskiej wzrokowej sondy.

— Więc... kogoż tam jeszcze mamy? — pytał Montalembert.

— Och... to także nie są ludzie czynu... — odparła wymijająco Wilhelmina.

Pułkownik zagryzł wargi i przestał nalegać.

Szybko zwrócił się do Leona.

— To... może pan... jak pan sądzi?

Po ustach Wilhelminy przesunął się uśmiech lekceważący.

— Pan? Pan Orlicki? — zaśmiała się lekko — cóż znowu?

Leona uśmiech ten zranił do głębi.

— Ja, jestem na pańskie rozkazy — wyrzekł, zwracając się do pułkownika — jeżeli tylko mogę być pożytecznym...

— Ależ pan jesteś za młody! — zawołała Wilhelmina — przytem.... niech pan daruje, ale... pan nie jest jeszcze żadną... firmą, więc...

Na twarz Leona wystąpiły płomienie.

— Nie jestem jeszcze firmą — tu, w Paryżu, — wyrzekł prawie dumnie i szorstko — ale w kraju, nazwisko moje wśród młodzieży jest znane i ma pewne znaczenie. Pani widocznie zapomniała...

Dziwił się sam sobie, że głos jego brzmiał tak brutalnie, ale czuł, że inaczej mówić nie mógł.

— Brawo! o to nam chodzi — zawołał Montalembert — potrzeba nam właśnie kogoś, ktoby się porozumiewał ciągle z krajem i informował tamtejszą młodzież, że działać może śmiało, mając w razie ucieczki zapewnioną tutaj opiekę i pomoc... Brawo, młody człowieku!...

Leona chwilowa odwaga opuściła.

Nie śmiał teraz spojrzeć na Wilhelminę. Sądził, że studentka gniewa się za jego szorstkie wystąpienie. To też z prawdziwym uczuciem ulgi posłyszał jej śmiech wesoly, dźwięczny, choć trochę na sztuczną naciągnięty nutę.

— Pulkownik jesteś prawdziwy czarodziej, wszystkich dla siebie umiesz pozyskać! Prosiłabym jeszcze o czas do namysłu.

Wstała jak królowa, która skończyła dawanie audyencyi. Pulkownik i Leon powstali także i żegnać się zaczęli. Wilhelmina z wielkim wdziękiem i uprzejmością ścisnęła dłoń pulkownika. Dla Leona miała tylko konwencyonalne, grzeczne i eleganckie podanie ręki. Rozmawiając, wyszli do przedpokoju, ciasnego, jak wszystkie przedpokoje paryskie. Nagle rozległ się dzwonek. Leon, najbliższy będąc drzwi wchodowych, otworzył je i wszedł przez nie Grzegorzewski, mając pomimo zimna narzucone na ramiona palto.

Pulkownik rzucił się ku nowoprzybytemu z taką radością i serdecznością, jakby spotkał rodzonego brata po kilkuletniem niewidzeniu się.

— Drogi! drogi nasz leader! — wołał.

— Leader? — spytał z roztargnieniem Grzegorzewski, witając się z Leonem i Wilhelminą.

— Naturalnie, nasz leader, naszej partii! — miodowym tonem wołał Montalembert.

Lecz Grzegorzewski wzruszył ramionami i powiesił swoje palto na hakach.

— Żadnej partii nie ma, więc i leaderów być nie może — odparł krótko i zwrócił się ku Wilhelmince.

— Mam z panią pomówić! — wyrzekł gorączkowo.

Z chwilą pojawienia się Grzegorzewskiego, oczy Wilhelminy zapłonęły tym samym blaskiem, jaki błysnął w nich przed chwilą, gdy studentka broniła Grzegorzewskiego przed zarzutem samowładztwa.

— Służę panu! — wskazując drzwi, prowadzące do saloniku.

Teraz już zdawała się nie zwracać uwagi na pulkownika, który wchodzącego do saloniku Grzegorzewskiego za rękaw przytrzymał.

— I cóż — wyrzekł — salon mój na was czeka.

Grzegorzewski się odwrócił i pytając na Montalemberta spojrział.

— Salon mój — powtórzył pulkownik — salon mój w Passy. Duży, widny, ciepły. Sto razy tam przyjemniej będzie urządzać wasze zebrania...

— Nie ma żadnych zebrań! — odparł Grzegorzewski.

— Nie prawda! — nastawał pulkownik — musicie mieć tajne zgromadzenia. A przecież lepiej u mnie, w domu, gdzie niema konsierżki...

Zniżył głos i dodał tajemniczo.

— Strzeżcie się w Paryżu konsierżek... Wszystkie są zaprzędane policyi. Ja wiem coś o tem. No cóż? Kiedyż skorzystacie z mojego salonu?...

— My nie skorzystamy — przeciął Grzegorzewski.

— Ha, trudno, może później... — wyrzekł pulkownik i zwrócił się ku Leonowi.

— Chodźmy, młody człowieku!

I wyciągnął rękę ujmując Leona za ramię.

Lecz Grzegorzewski wyciągnął równocześnie rękę i położył ją na ramieniu Leona.

— Zostańcie z nami! — rzucił prawie rozkazujuco — i z wami mam do pomówienia!

Leon uczuł się tak szczęśliwym, że o mało nie ucałował tej suchej, zgorączkowanej ręki, którą czuł blisko swej twarzy.

I prawie brutalnie odsunął się od pułkownika. Ten ostatni przymrużył swe siwe oczy i prawie złośliwie spojrział na Grzegorzewskiego.

— Panie Grzegorzewski! — zaczął, kłaniając się nisko i kurtuazyjnie — z panem walczyć nie można. Czarujesz pan wszystkich i rządysz nimi niepodzielnie. Jesteś pan rodzajem... c a r a na Głacierze...

Oczy Grzegorzewskiego zagrały nagle snopem promieni.

Nigdy Leon nie widział podobnej siły w oczach, jaką miał w tej chwili Grzegorzewski.

Pułkownik cofnął się szybko i znikł po za drzwiami. Wilhelmina zaś pociągnęła Grzegorzewskiego do salonu.

— Uspokój się pan, to stary głupiec! — wyrzekła niedbale.

Ujęła ręce Grzegorzewskiego i z nadzwyczajną troskliwością przysunęła fotel bujający do kominka, na którym tliło się trochę koksu.

— Pan zziął... jak można wychodzić w narzuconem palcie... Pan ma gorączkę...

Szukała pulsu i sięgała do stolika po złoty zegareczek, zawieszony na postumencie, lecz Grzegorzewski wyrwał jej prawie rękę i zaczął wołać radosnym głosem:

— Przyszły... pani wie, przyszły!...

— Dużo?

— O!... dużo!... trzysta rubli... brat przysłał... Zapłacimy długi w drukarni.

— Nie — przerwała Wilhelmina — przede wszystkim pan wyjedzie.

— Gdzie?

— Na południe!

— Po co?

— Dla nabrania sił, dla płuc!...

Grzegorzewski włosy w tył odrzucił. Śliczny uśmiech rozpromienił jego zniszczone i zmęczone pracą rysy.

— Moje siły? — zawołał — moje siły powrócą, gdy wydawnictwo moje będzie silniejsze i powiększone. Marzyłem o drugiej edycji... dla chłopów. Jedna, dla miejskiego proletariatu, druga dla chłopów! Teraz mamy pieniądze, możemy odbijać więcej egzemplarzy, wyślemy emisariusza, połączymy się z Londynem z „Wolnymi Robotnikami“ jakkolwiek zawsze zachowamy swoją niezależność!...

Zaczął chodzić po pokoju, trawiony potrzebą ruchu, cały w ekstazie, nieprzytomny prawie.

— My nie możemy pozwolić, ażeby pan pieniądze przysłane dla ratowania pańskiego zdrowia oddawał dla sprawy... — zaczęła Wilhelmina — pan musi się leczyć! Pan musi wyjechać! Ja to panu mówię, ja... l e k a r z!

Stała naprzeciwko niego i porwała za rękę.

Leon ze wzruszeniem patrzył na nich. Oboje byli bardzo piękni i młodzi. W jej oczach przebijała się egzaltowana miłość, on zaś miał w źrenicach gorączkowy obłęd fanatyzmu.

— Nie! nie! — mówił Grzegorzewski — sprawa pierwsza, ja — potem! Teraz właśnie gorąca chwila. Miałem wiadomości... szumią liście boru... zobaczcie!

Po twarzy Wilhelminy przemknęło jakieś rozpaczliwe postanowienie.

— Ja muszę panu powiedzieć prawdę... — zawołała, a głos jej miał straszną determinację zmuszonej do odkrycia śmiertelnej grozy istoty — z panem jest źle... jeśli pan nie wyjedziesz... ta zima w Paryżu... zabije... pana!...

Zbladła, powiedziawszy te słowa i Leon czuł także, że błędnie, jakby usłyszał tony pogrzebowego dzwonu.

Grzegorzewski podniósł swe błyszczące oczy na Wilhelminę i milczał przez chwilę, jakby piorunem rażony.

— Czy tak? — zapytał ochryplym głosem — czy tak? więc ja jestem tak bardzo chory?

Przymknął powieki i przez tę jedną chwilę zdawał się kazać swej duszy badać zniszczenie i rozkład swego ciała.

— Tak! tak! — wyrzekł prawie szeptem.

Lecz nagle podniósł szybko głowę i znów gorączkowe ożywienie zajaśniało na jego twarzy.

— Właśnie też dlatego — dlatego, że jestem tak chory, śpieszyć się muszę! Należy nam teraz pracować z zdwojoną siłą i gorliwością. Rozrzucajmy wszędzie, po całym kraju myśli płonące, jak iskry... budzące do walki, do czynu! Ja nie dożyję owoców mej pracy, ja nie zobaczę, jak nad Polską zaświeci łuna pożaru, która się w świt zamieni... lecz wy będziecie wiedzieć, że ta purpura, to mój siew! to moja krew! to ja cały! i gdy tam wszyscy będą wolni, równi, i gdy nie będzie niesprawiedliwej nędzy — powiecie tym, którzy szczęśliwi będą, że to szczęście wyrosło na mojej mogile, wykwitło z mojego ofiarnego trupa!

Kaszel przerwał mu i rozdzierał piersi, lecz on mimo to rzucał coraz bardziej gorączkowe zdania.

— Wydam wszystkie... wszystkie moje myśli... Niech lecą do kraju, jak ptaki! niech kołaczą do umysłów gnuśnych... i serc zatwardziałych... Niech zbudzą chłopą... robotnika... Niech ż y d o m powiedzą, że i oni mają obowiązki dla ziemi, która ich żywi... niech dzieciom każą mówić po polsku nawet pod grozą kar w szkole... niech przelecą ponad miastami i wioskami, dotrą do ziem zabranych, do Wilna! do Brześcia! do Łucka! do Ukrainy, skąd ja jestem rodem!... Niech lecą razem z mojem życiem i ostatniem technieniem mojem.

Zasłonił rękami oczy i dodał:

— Bo umysł polski, to młody bór, nikt nie wycinał nieużytków w niem i te rozrosły się tak, że głuszą w tym lesie szum wichru i tamują promienie słoneczne... Lecz powoli — padną nieużytki, liście martwe i śpiące poruszają się pod wpływem społecznej wichury i... zobaczycie: z a s z u m i l a s!...

A Leon posłyszał w swem sercu jak echo.

Zaszumi las!...

XII. Zwątpienie.

Grzegorzewski wyciągnął rękę ku Leonowi.

— Dla chłopów wydamy... waszą książeczkę, uzupełnimy ją, przejrzymy, i wydamy... Czy zgadzacie się na to?

Leon uszom swoim wierzyć nie chciał. Jego praca miała wejść w skład wydawnictwa Grzegorzewskiego! Było to szczęście, o jakim marzyć nigdy nie śmiał.

— Tylko! — mówił dalej Grzegorzewski — pomieszaście towarzyszu kwestyę socyalną, zajmując się przeważnie ideą patryotyczną. Musicie związać jedno z drugim. Trochę dobrej woli i wiary w słuszność naszych przekonań, które krzepią razem ciało i duszę, a rękę, iż praca wasza będzie doskonała. Pomóżemy wam! Panna Mazia da wam wskazówki i pokieruje a raczej dopomoże rozwinąć się waszej myśli. Idźcie do niej i zajmijcie się, jak najśpieszniej poprawieniem waszej broszurki.

Mówiąc te słowa, trzymał rękę Leona w swej dłoni i patrzył mu prosto w oczy swemi wielkimi, bystremi, płonącymi źrenicami. Leon doznawał prawdziwie olśnienia, tak gorący był ten wzrok, strzelający z pod brwi czarnych, ściągniętych i przeciętych głęboką bruzdą. Lecz — dusza Grzegorzewskiego nie koncentrowała się cała w tych oczach. Rozlana

była raczej w każdym calu, w każdym muskule jego pięknej twarzy, spieczonej gorączką, płonącej od wewnętrznego żaru, jak pochodnia i drgającej nerwowo pod wpływem nurtujących mózg myśli.

Gdy Leon oszołomiony, upojony szczęściem, żegnał się z Wilhelminką i Grzegorzewskim, zdawało mu się, że i ona z większą uprzejmością podała mu rękę.

— Jestem już kimś w jej oczach, zaczynam być... — pomyślał sobie, wychodząc do przedpokoju.

Gdy się ubierał w palto, posłyszał, jak Grzegorzewski, który także żegnał się z panną, pytał półgłosem:

— Więc... jutro?

— Jutro — odparła Wilhelminka, ale nie tam, gdzie zawsze, tylko u mnie... Jestem zmęczona... tutaj bezpieczniejsze... Miałam właśnie zawiadomienie...

Leon wyszedł i schodząc ze schodów, myślał ciągle o posłyszanych wyrazach. Tych dwoje — naznaczyło sobie widzenie się. Cóż go to mogło obchodzić? Musieli widywać się często, codziennie... Co jemu do tego?

Przed domem, w którym mieszkała Mazia, Leon zatrzymał się chwilę. Grzegorzewski kazał mu się zobaczyć zaraz z Mazią. Wprawdzie kantor czekał, lecz coś znaczyły teraz rozkazy patrona wobec woli Grzegorzewskiego. Mimo to Leon stał niezdecydowany i nagle przed nogami swymi ujrzał czarny cień, rozpościerający się na asfalcie. Cień ten padł z migawkową szybkością i z równą szybkością powstał.

Leon poznał w nim siostrę Ignasia, Litwinkę, którą widział zeszłej niedzieli u Mazi, opowiadającą dzieje ryżego piecyka.

Ona poznała go również.

— A co, jak się rozciągnąwszy! — zawołała prawie tryumfalnie, strzepując swoją biedną, wytartą czarną sukienkę — to dziś czwarty raz padam... Nie widział pan gdzie Ignasia?...

— Nie mam przyjemności znać pana Ignacego... Litwinka westchnęła.

— Och panie! — wyrzekła — to żadna przyjemność!... Mnie mama wysłała, żeby nad nim czuwać... Jakże czuwać? Ta panie, on dziś wcale do domu nie wrócił! Może go zaaresztowawszy, wzięli do ciupy... Bóg raczy wiedzieć...

— A może wyjechał w okolice Paryża!

— A może! Ja biegam od rana, bo to mój obowiązek. Chodzę wciąż koło kawiarni, bo on tam często siedzi, myślę, może zobaczy i wyjdzie... Teraz wracam do domu pogrzebać trochę w piecyku, bo pewnie niecnota wygaś!... A pan do Mazi?

— Tak!

— I ja do niej wpadnę, może ona widziała Ignasia.

Lecz w bramie zatrzymała ich konsierżka.

Mademoiselle, według jej relacji wyszła, bo przysłała po nią rzeźniczka do swego nowonarodzonego synka. Mademoiselle bowiem była zgodzona do całego przebiegu choroby i do dziecka przez sześć tygodni. Więc panna Mazia poszła i pewnie niedługo powróci.

— A może można pójść po panienkę? — spytała łamaną francuzczyzną siostra Ignasia.

Lecz konsierżka obraziła się i z wielką dumą objaśniła Litwinkę, że ona jest konsierżką, a nie żadnym komisionerem, przytem — jeżeli panna Mazia zgodziła się do rzeźniczki na całą chorobę, to nie można odrywać ją od jej zajęcia.

Co powiedziawszy, strażniczka miotły i honoru kamienicy weszła do swej łoży, zatrzasnawszy drzwi za sobą.

Leon i Litwinka wyszli na ulicę. Siostra Ignasia była widocznie oburzona hidalgowskim zachowaniem się konsierżki.

— Harda, jak prosię w deszcz! — wymówiła wreszcie, potykając się na gładkiej flizie.

Leon pochwycił ją za rękaw, bojąc się, aby znów nie upadła i nie dosłyszawszy, zapytał:

— Harda jak co?

— Jak prosię — powtórzyła panna i nagle wyrwawszy się Leonowi, popędziła jak kula na przód.

Leon zdziwiony wpatrzył się w ulicę i dostrzegł idącą ku nim Mazię.

Studentka szła szybko, bez kapelusza, pomimo chłodu, z zakiecikiem narzuconym na ramiona. Twarz miała silnie zarumienioną.

Siostra Ignasia powitała ją swoim stereotypowym pytaniem:

— Nie widziała pani gdzie Ignasia?

— Nie! — odrzuciła Mazia i nie zatrzymując się, szła w stronę swego domu.

— Zapodział mi się gdzieś... nie nocował w domu, może jakie nieszczęście...

Mazia wzruszyła ramionami.

— Powróci, niech się pani nie boi. Lepiej niech pani mu cytryny do herbaty przygotowuje...

Nadszedł Leon. Mazia podała mu rękę.

— Był pan u mnie, czy u Grzegorzewskiego?

— Widziałam pana Grzegorzewskiego przed chwilą. Dai mi zlecenie do pani.

Głos Leona brzmiał nieokreśloną dumą i oczy promieniały.

— W takim razie, niech pan pójdzie ze mną na górę. Mogę tylko chwileczkę czasu panu poświęcić. Muszę wracać do mego pacyenta.

Lecz nieszczęsna siostra Ignasia złapała Mazię za poję żakieta.

— Ja muszę panią poprosić — zaczęła — żeby pani zajęła się panną Kamillą.

— Jaką panną Kamillą?

— Tą, z którą ja byłam u pani w niedzielę. Pani wie, ta co się miała uczyć kapeluszy. Ona stanowczo rzuciwszy kapelusze i wziąć się chciawszy do medycyny. Nie można jej przeszkadzać, to powołanie, ona mówi, że będzie kareta jeździła.

Głos Litwinki zgrubiał na wyrazie kareta. Okrągła jej twarzyczka przybrała minę wielkiej powagi. Zdawało się, że to ona ma sobie w życiu wywalczyć ową kareta i dyplom doktorski.

— Ta panna jest śmieszna ze swojemi pretensjami — wyrzekła Mazia — z kilku słów zamienionych z nią, widzę, że jest nie wykształcona i nieinteligentna.

— Ona! — zawołała Litwinka — ależ ona *parle france* lepiej, niż my wszyscy. A jeśli duszko ona aspiruje ku wysokości, to trudno i grzeszno jej przeszkadzać. Tak mówił Ignas i...

— Więc niech chodzi na medycynę, na prawo, na przyrodę — na co chce! — zawołała prawie zrozpaczona Mazia — żegnam panią...

— A wskazówki? jak się ma zabrać do tej medycyny? — nalegała jeszcze Litwinka.

— Ja... ja nie mam czasu... — tłumaczyła się Mazia — zresztą niech mi ją pani przyszle. Chodźmy panie Leonie.

Weszli na wschody i Mazia jakby znużona oparła się o poręcz.

— Pani zmęczona? — spytał Leon.

— Trochę, mam pacjentkę bardzo wymagającą... przygotowuję się do egzaminu... Ale to nie! to przejdzie...

Weszli do zimnego i pustego pokoju. W dzień pustka ta jeszcze była straszniejsza. Piecyk wystygły, na stole chleb czerstwy i trochę sera w papierze.

Mazia podbiegła do stołu i wzięła w rękę grubą książkę, którą szybko przewracać zaczęła.

— Więc Grzegorzewski dał panu zlecenie? — spytała.

— Tak — odparł Leon — i stojąc przy stole, wzruszonym głosem opowiedział Mazi radosne dla niego postanowienie Grzegorzewskiego wydania jego książeczki i kolportowania jej w kraju.

— Pani ma mi dopomódz, aby książeczke tej dać zarazem podkład socyalny.

— Chętnie! z całej duszy! — zawołała studentka, to łatwo przyjdzie. Pan bezwiednie ciągnąłeś już w naszą stronę. Tam, idea sprawiedliwości i chleba dla wszystkich przebija się pomiędzy wierszami...

I wyciągając rękę ku Leonowi dodała:

— Tak się cieszę, tak się gorąco cieszę, że pan do nas jeszcze więcej należeć będzie.

Leon rękę dziewczyny uściśnął gorąco.

— Ja cały do was należę duszą, sercem — całą moją istotą... — wyrzekł wzruszony i szczęśliwy, że może tak łatwo wywnętrzyć się z uczucia, przepelniającego mu piersi wobec tej dobrej i szczerzej dziewczynki.

— Możecie mną rozporządzać... moją krwią, moją myślą, życiem mojem!

Mazia podniosła na niego swe szlachetne, czyste źrenice.

— Przyjmujemy! — wyrzekła z dziwnym nastrojem w głosie — bo może i życie wasze będzie nam potrzebne!

I potem zapanowała cisza pomiędzy tym dworgiem młodych — zamkniętych w ciasnej przestrzeni zimnego pokoiku. Zdawało się, że jakieś wielkie ofiarne słowa zadźwięczały i mocą swoją usunęły wszystkie małostkowe i egoistyczne wrażenia. Nie był to chłopak i dziewczyna w rozkwicie sił i młodości, lecz dwoje wielkich ofiarników, składających swe żalobne dusze u stóp niewidzialnego ołtarza, na którym płonął wieczysty ogień miłości Ojczyzny.

Pierwsza ocknęła się Mazia. Czy jej utkwione w przestrzeń z wyrazem nieokreślonego smutku i bolesnego przecucia — przeniosły się powoli na trzymaną w ręku książkę.

— Pozwól pan, że zajmę się moim małym pacjentem! — wyrzekła z uśmiechem.

— Może ja pani przeszkadzam?

— Nie! zostań pan, ja nie mam dla pana tajemnic.

Usiadła przy stole i zaczęła szukać w lekarskim podręczniku recepty na chorobę dziecka rzeźniczeki. Szukała długo i pracowicie. Leon patrzył na nią z zajęciem. Dziecinna jej twarzyczka miała się co chwila innym wyrazem. Widoczne było, iż myśl pracuje, przypomina sobie z napięciem.

Wreszcie Mazia zagięła kartkę w książce i szukając na stole ołówka, wyrzekła.

— Gdyby pan wiedział — jak ja się boję cokolwiek choremu zaordynować... Po prostu kompres zimny lub ciepły jest dla mnie źródłem najwyższego niepokoju. Tak zazdroszczę mężczyznom lekarzom ich zimnej krwi i braku nerwów! Ja dzisiaj przez ten ciepły kompres nie będę spała całą noc! — A potem — gdybyś pan wiedział, co to jest taka rzeźniczka paryska... jakie to pretensye... jakie wymagania!...

Wysunęła biały mankiet z pod lewego rękawa sukienki, i najspokojniej zaczęła przepisywać jakąś receptę z książki na płótnie mankietu.

— Tak jestem spokojniejsza, że się nie pomyłę! — wyrzekła z uśmiechem.

— Pani nie jest jeszcze lekarzem. Pani recepty pisać nie wolno...

— E! tu nie tak srogo we Francji — u znanych aptekarzy i nie podpisując się... Całe nasze szczęście... Inaczej — z głodu-by umrzeć przyszło.

Zapukano do drzwi.

— Ktoś idzie! — uciekajmy!...

Porwała się z miejsca i szybkim skokiem posunęła się do drzwi. Otworzyła je. W sieni, stała

młoda dziewczynka w kolecie barankowym i kapeluszu z pękiem fiołków.

— Przepraszam... — wyrzekła nowo przybyła — czy koleżanka wychodzi?

— Tak! — odparła Mazia — idę do pacjentki!

— A... to nie przeszkadza. Dwa słowa tylko... nie — nie — nie wejdę nawet. Powiem tak na progu.

Panienka w kolecie była przeciętnym typem panienki - warszawianki zgrabnej, z grzywką ładnie ufryzowaną, w rękawiczkach porządnie zapiętych na cztery guziki. Garbaty nos, kędzierzawe włosy i pewne skrzywienie ust, dawały do poznania semickie pochodzenie. Ciekawe oczka obrzuciły Leona szybkim spojrzeniem.

— O cóż więc chodzi? — spytała Mazia.

— O... sąd honorowy! — wyrecytowała panienka. — Koleżanka Rosenheim powiedziała na koleżankę Wilkowicz, że koleżanka Wilkowicz jest zarozumiała. Koleżanka Wilkowicz się uniosła i powiedziała na koleżankę Rosenheim, że koleżanka Rosenheim jest... idiotka. Naturalnie jest to obraza, której puścić płazem nie należy i nie dziwnego, że koleżanka Rosenheim zażądała sądu honorowego. Ja jestem arbitrem ze strony koleżanki Rosenheim, ze strony koleżanki Wilkowicz jest koleżanka Dep-tuch, chodzi nam o superarbitra...

— Więc chciałbyście mnie prosić? — zapytała Mazia.

— Tak...

Mazia załamała ręce.

— Bójże się Boga! panno Goldenkranz, przed egzaminami! A toż nam taki sąd przynajmniej dwa dni zabierze...

— O! pięć dni najmniej — zaprzeczyła panna Goldenkranz — musimy wniknąć w przyczynę sprawy — wysłuchać świadków, których zacytowano, siedmnaście osób. Przytem koleżanka Wilkowicz będzie się starała przeprowadzić dowód prawdy i dowieść, że koleżanka Rosenheim jest idiotką. Chodzi więc o obronienie koleżanki Rosenheim i o wydobycie od osób kompetentnych i profesorów świadectwa, że koleżanka Rosenheim jest nawet wyjątkowo inteligentną...

— Ależ — jęknęła Mazia — ja nie mam czasu, ja jestem bardzo zajęta — przytem chodzi o taką drobnostkę...

Żydóweczce zapłonęły oczy.

— Wcale nie o drobnostkę! — zawołała — koleżanka Wilkowicz jest antysemitką i cała ta sprawa wynika stąd, że Rosenheimówna jest żydówką... Pani — panno Mazia, która głosi zasady równości, powinnaś nie odmawiać przyjęcia roli superarbitra w tej sprawie...

— Dobrze! ja jeszcze pomyślę... nie odmawiam, tylko — chodzi mi o zmarnowanie czasu...

Obie panny zaczęły schodzić ze schodów, za nimi szedł powoli Leon i przyglądał się z zacięciem tej jeszcze jednej studentce, opadłej na bruk paryski.

Gdy rozstawszy się z Mazią, znalazł się na bulwarze Saint Michel — otoczył go gwar, wir, hałas życia paryskiego. I zdawało mu się, że z jakiegoś prowincjonalnego polskiego miasteczka, prze-

niósł się nagle w samo centrum cywilizacji europejskiej. Owa Głaciera była rzeczywiście „odeięta od Paryża“, jak mówił Kręcki. Lecz Leon już tylko żył i oddychał Głaciera. Z pewnym wstrętem zaczął ocierać się o Francuzów, zalegających bulwary i zasiadających w kawiarniach do przedśniadaniowego absyntu. Twarze tych Francuzów były bardzo brzydkie i dziwnie do siebie podobne. Przeważali tu studenci i kupczyki i rozróżnić ich nie można było, gdyż tak jedni, jak drudzy, mieli jednakowy wyraz twarzy i trywialność całej postaci. Pomiedzy nimi kręciły się kobiety — przeważnie młode i niektóre bardzo ładne, lecz w ruchach, w pozach, w barwie koletów i kapeluszy nie harmonijne, bez cienia kobiecości.

Leon, błędząc wzrokiem po nich, powracał myślą do Grzegorzewskiego, Wilhelminki, Mazi...

Wydali mu się jak duchy, jak zjawiska wobec tej tłuszczy pijącej przed stolikami brudne płyny w dużych szklankach. Kobiety nawoływały się ochryplymi głosami i w każdym zbliżeniu się do mężczyzny czuć było skryte żądanie wyłudzenia jakiejś kwoty pieniężnej, lub choćby kieliszka absyntu lub amerpikonu.

I nagle, Leon dostrzegł idącą wzdłuż tarasów kawiarnianych czarną postać kobiecą, nieśmiałą, spłoszoną, a mimo to snującą się z uporem istoty, spełniającej włożony na jej barki obowiązek.

Była to siostra Ignasia — szukająca brata. Błądą jej twarzyczka zdawała się być wykrojona z opłatka a wypłowiałe i bezsenne oczy trwożliwie przebiegały rozpustne bandy zalegające kawiarniane stoliki.

Natknawszy się na Leona, kiwnęła mu głową i spytała:

— Nie widział pan Ignasia?

— Nie! zresztą nie wiem, jak pan Ignacy wygląda.

— Dwa razy taki duży jak ja... bardzo czerwony i włosy ma kuderlawe jak...

Urwała — Leon dostrzegł, jak oczy jej szeroko się rozwarły i skierowały w kierunku werandy pod markizą, w której siedziała cała banda młodych mężczyzn i kobiet. Krzyczano i hałasowano tam bardzo. Kobięce głosy górowały. Akompaniował im stuk szklanek, kieliszków i spodków. Twarze tej bandy miały cerę dziwną, przysypaną popiołem, właściwą ludziom, którzy stawili noc całą na rozpuście lub na których śmierć czyha.

Leon uczył, jak Litwinka schwyciła go kurczo-wo za rękę i wyszeptwała.

— Ignaś!...

— Gdzie?

Lecz w tej chwili siostra Ignasia odwróciła oczy, gdyż źrenice jej spotkały się z ciekawymi, wyzywającymi spojrzeniami kobiet, otaczających rozpustnem kołem pijących mężczyzn.

I cała fala prześlicznego rumieńca nabiegła na błądą twarzyczkę dziewczyny. Znużone jej powieki zasłoniły wstydliwie oczy, ręka puściła dłoń Leona i siostra Ignasia cicho, bez słowa, odeszła — znikła.

Powróciwszy do kantoru, Leon spodziewał się srogich wymówek od Kręckiego. Lecz pomylił się. Kręcki pogroził mu palcem i rzucił wesoło.

— Ja tu już za pana robotę odrobiłem!...

Leon miał ochotę wszczać sprzeczkę.

— Wypadło mi zabawić trochę dłużej na mieście! — odparł prawie szorstko.

Kręcki śmiać się zaczął.

— Ho! ho! — Paryżanki nęcą i wabią... co?

Leon uczuł się gwałtownie dotknięty posądzeniem Kręckiego.

— Dla mnie Paryżanki nie są niebezpieczne — odparł — mam za dobry gust na to.

Kręcki ukłonił mu się aż do ziemi.

— A... jeśli tak, to proszę siadać. Widzę, że masz pan ochotę wszczać ze mną batalię, ale Julis dziś taki kontent! taki wesół, że nie będzie się z panem kłócił!

Leon uśmiechnął się szyderczo.

— Jakiż powód do radości? czy wolno wiedzieć? czy podwyższono pensję Julisiowi? — zapytał.

Lecz Kręcki rzeczywiście tak był rozpromieniony, iż nie zwracał uwagi na ironiczne usposobienie Leona.

— Nie! — odparł — ale moja dziewczyna pisała dziś do mnie — i — patrz pan, co przysłała!

Wyciągnął z szuflady biurka nie dużą książeczkę w szarej okładce i podał ją Leonowi.

— Pańska dziewczyna? — zapytał — nie rozumiem!

— No tak, moja narzeczona.

— Pan masz narzeczoną!

— Naturalnie. Każdy młody Polak, który wyjeżdża do Paryża, ma w kraju narzeczoną. Tylko

na dziesięciu jeden do owej narzeczonej wraca. Ale ja będę tym jednym!

Leon przeczytał tytuł książeczki:

P R Z E Z Ł Z Y

zbiór nowel.

A na ukos pod spodem nazwisko i imię:

Marya Orion.

— To ona, to jej nowelle! — zawołał Kręcki — moje maleństwo pisze, i wcale nie źle pisze. Zobaczysz pan. Przeczytaj. Dużo ma wdzięku i poezji. To — przez łzy — to tytuł pierwszej nowelki. Wieczorami pisze, gdy wróci z kantoru. Siedzi w jednej redakcyi za kratkami, przyjmuje prenumeratę.

Twarz Kręckiego odmłodziła, rozjaśniła się cała, oczy pokryła mgła, przez którą myśl handlowca biegła, daleko — do Warszawy — za owe kratki, po za którymi tęskniła i czekała drobna dziewczynka z jasno płowemi włosami, splecionemi w dwie długie kosy.

Leon spojrział na Kręckiego zdziwiony.

— Narzeczona pana biedna dziewczyna?

— Ho! ho! ma ze cztery koszule i dwie sukienki mocno podniszczone.

— A ja myślałem, że pan ożeni się tylko z posażną panną.

— Ja?

Kręcki śmiać się począł długo i serdecznie.

— Widzi pan, niby to z pana autor a nie umiesz czytać w duszach ludzkich. Jeżeli ja męczę się, pracuję, pragnę dojść do pieniędzy i znaczenia, to dlatego, aby po nędzy i niedoli być wreszcie

szczęśliwym. Prawda? — A jakże można być szczęśliwym, jeżeli się nie kocha swej żony? Co?

Leon przerzucił książeczkę z zaciekawieniem pewnem.

— Pożycz mi pan do przeczytania? — zapytał?

— Ja panu dam ten jeden egzemplarz. Maryś przysłała mi trzy egzemplarze. Kochane dziecko.

I nagle „handlowiec“ wziął górę nad rozkochanym narzeczonym.

— Zapłacili jej sto rubli za tysiąc egzemplarzy. Drukowała przedtem w fejtetonach i to już jej przyniosło do trzystu rubli. W ten sposób ten tomik dał jej czterysta rubli. Na początek, to wcale ładny zarobek. Później, gdy ja powrócę, to zabierzemy się inaczej do panów wydawców...

Zatarł ręce i zwrócił się do Leona.

— Jeżeli Maryś zarobi pisaniem osiemset rubli na rok, to już zawsze jest cztery procent od dwudziestu tysięcy rubli...

Leon spojrział na ostatnią stronicę książeczki i przeczytał datę, rok i nazwę jakiejś nieznanej mu miejscowości:

SZAROCIE

— Co to znaczy Szarocie? — zapytał.

— To fabryka cukru, gdzie brat Maryi jest buchalterem — odpowiedział Kręcki. — Ona do nich czasem jeździ i w tym Szarociu, podczas wakacyj letnich napisała te nowelki. Tam są nawet dwie z robotniczego życia... Dziewczyna ma troszkę przewrócone w głowie... To socyalistka, nie wiedząc o tem!

Potrząsnął głową i dodał:

— Socyalizm w Królestwie i w gubernii Warszawskiej!... Szaleństwo! Już ja jej to z głowy wybiję, skoro tylko powrócę do kraju!

Leon uczuł znów przekorę w swej głębi.

— Dlaczego to pan jest tak przeciwny socyalistycznym ideom.

— Bo mącą spokój ludziom, którzy chcą dojść do czegoś!

Leon popatrzył chwilę z nieokreśloną pogardą na Kręckiego.

— Ludziom, którzy chcą dojść do samolubnego spokoju i dobrobytu kosztem produkcji innych... — wyrzekł głośno i dobitnie.

Kręcki podniósł głowę i popatrzył wprost w oczy Leona.

— Dawno pan byłeś na Glacierzach? — zapytał.

— Wracam stamtąd? — odparł wyzywająco Leon.

— A!..

Milczeli chwilę i wreszcie Kręcki, widocznie sądząc, że obracaniem w żarty ważności Glacierskich mieszkańców, osłabi korzystne wrażenie, jakie mogli uczynić na Leonie — śmiać się zaczął.

— I cóż... bardzo panny kochają się w Grzegorzewskim? A ten sultan rzucił już swą chustkę innej... czy ciągle jest wierny pannie Wilhelminie?

Leon uczuł, że mu krew nabiega do skroni.

— Pan jesteś szalonym! — krzyknął — pomiędzy panną Wilhelminą a panem Grzegorzewskim nie ma, na to przysięgnę!

Kręcki podniósł w górę rękę, gięstem uspokajającym.

— Cicho!.. — wyrzekł — nie krzycz pan i porozumiejmy się. O kogo panu chodzi — o Grzegorzewskiego czy o Wilhelminkę?

— O oboje! ja jestem ich przyjacielem, ja nie pozwolę, ażebyś ich pan znieważał bezkarnie... ja...

— Jakaż to zniewaga? O co panu idzie? Jeżeli tylko uczucie przyjaźni przez pana przemawia, to powinien się pan cieszyć, że tych dwoje ludzi młodych i bardzo a bardzo ładnych kochają się. Przecież to bardzo naturalne. Wszystko ich łączy... wiek, uroda, inteligencja — przytem partyjne przekonania...

Te ostatnie słowa wymówił z przekąsem i usiadłszy przy biurku, zatopił się w przeglądaniu korespondencji.

Leon wyszedł na dziedziniec i doglądał przybijania pak, które emballeurzy w niebieskich bluzach ładowali. Wśród huków młotów — stojąc pod szopą, pełną wiórów i skrawków papieru, Leon myślał ciągle o słowach Kręckiego. Ta myśl, że pomiędzy Grzegorzewskim a Wilhelminką może być coś naksztaltu romansu, przepełniała jego serce straszną goryczą i gniewem. Chodziło mu prawie tak o czyste wyobrażenie, jakie miał o Grzegorzewskim — jak i o Wilhelminkę. Lecz — gdyby Leon był szczerzym i umiał analizować swą duszę, dostrzegłby wielką różnicę pomiędzy temi dwoma uczuciami. Gdy myślał o Grzegorzewskim, zdawało mu się, że ktoś błotem bryzgnął na samą ideę narodową, na nadzieję odrodzenia, na uosobienie miłości dla kraju. Wyobrażenie jednak Wilhelminki, mogącej być kochanką choćby Grzegorzewskiego, przejmowało go uczuciem tak strasznego bólu, że chciał płakać, krzyczeć głośno... skarżyć się, jak dziecko do krwi zranione. Oba je-

dnak te uczucia mieszały się z tak wielką szybkością, że Leon czuł cierpienie straszne, a rozróżnić go nie mógł.

— Te godziny, które przestał do zmroku na dziedzińcu, zdawały mu się nieskończoną wiecznością. Pragnął pozostać sam i skryć się ze swym cierpieniem. Gdy Kręcki po ukończeniu roboty zaproponował mu pójście do restauracyi czeskiej na obiad, Leon szarpnął się na tę propozycję.

— Nie! nie! głowa mnie boli... muszę pójść do domu!

I poszedł sam jeden do swego hotelu. Zamknął się w swym pokoiku i tam zaczął przetrwać swą boleść. Zwinięty w kłębek, jak zbolale zwierzę, przeleżał na swym łóżku do rana, nie śpiąc zupełnie. Lecz gorycz jego tylko się zwiększyła, bo przypomniał sobie słowa, wyszeptane pomiędzy Wilhelminą i Grzegorzewskim w chwili, gdy on ubierał się w przedpokoju.

— Więc jutro?

— Jutro!

— Nie tam, gdzie zawsze... — lepiej u mnie — a nie daj pan na siebie czekać!...

Tak mówili do siebie, cicho, cichutko, jak dwoje kochanków.

— Kto wie? może Kręcki miał słusność.

I Leon zaśmiał się szyderczo.

On ich miał za świętość!... a oni romansowali między sobą i naznaczali sobie schadzki wten czas, kiedy on drżał cały jeszcze od świętego wzruszenia i wznieśłego uczucia!

Schadzka!

Tak, niewątpliwie była to schadzka. Grzegorzewski miał przyjść wieczorem — ukradkiem. Bo gdyby tak nie było, dlaczego zniżali głos? Wszakże przed nim nie mieli sekretów. Mówili głośno o wydawnictwie, przypuszczali go do ogólnej pracy. — Tak, tak, zejdą się — tam u niej, w tym słicznym saloniku i on będzie całował jej stopy, obute w pantofelki, wyszywane złotem...

Leon usiadł na łóżku, blady — zmęczony — siny prawie w świetle zimowego ranka. Zwątpienie zagarnęło go w swe szpony.

— Przekonam się! — wyrzekł głośno — przekonam się, czy to nie fałszowane bogi!

Gdy Kręcki zobaczył Leona w kantorze, aż cofnął się na widok bladości i zmęczenia, widocznego w rysach chłopca.

— W imię Ojca i Syna! — zawołał — jak pan wyglądasz!.. z grobu pan wstałeś?

I po chwili dodał, kiwając głową

— Ha!... to skutki... Glaciers!

XIII. Anioł Stróż paryski.

Trotuar pokryty cały czarnem, oślizgłem błotem.

W powietrzu zapach właściwy Glaciersze, zapach skór garbowanych w pobliskich garbarniach, zmieszany z jakąś nieuchwytną wonią, właściwą wiejskim cmentarzom.

Ciemno już i tylko zdaleka majaczą żółtawo-zgnięłe światła gazu.

Pusto na ulicy zupełnie.

Tylko naprzeciw domu Wilhelminki, na trotuarze czernieją dwie męskie postacie. Leona trudno poznać. Zmienił swój handlowy cylinder na czapkę barankową, tę, w której przekradał się przez rosyjską granicę, podniósł kołnierz od palta, przeczesał włosy.

Stoi w cieniu, stoi — to znów odchodzi daleko, lecz ciągle wykręca głowę w stronę domu, w którym świecą się, jak dwa czerwone rubiny, okna mieszkania ładnej studentki. Dziwne jest to światło o krwawych refleksach, nieznanym Leonowi. Na firankach widać od czasu do czasu cień, okolony czerwoną linijką.

— To ona!

W serce Leona wślizgnęło się jakieś uczucie rozrzuśnięcia na widok tej sylwetki. Coś radosnego szarpnęło się w nim na myśl, że ten cień, to ona —

tak blisko, a zarazem niewysłowny smutek ogarnął jego serce. Dlaczego on ją śledzi? jakim prawem? Dlaczego on jej czyni krzywdę szpiegowania jej kroków? W tej chwili zaczynał kochać ją tak wielką i potężną miłością, że sam siebie nienawidził za urojoną krzywdę, jaką jej wyrządził. W egzaltacji modlił się do tych okien, w których objawiła mu się na krwawym tle smukła sylwetka strojnej panny. Złożył ręce i wpatrzywszy się dobrze w krwawe widziadło, postanowił odejść do domu, unosząc ze sobą to mroczne wspomnienie.

Lecz nagle — posłyszał za sobą ciche a szybkie stąpanie. Było coś fałszywego i kociego w tych krokach, a jednak Leon nie wyczuł dźwięku tego chodu i w głębi duszy zawołał:

— To Grzegorzewski!

Cofnął się w cień domów i na chwilę przymknął oczy, taki ból przeszył mu serce.

Ołtarz purpurowy ze smukłą sylwetką, dziewczą przysłonił welon zwyczajnego, pospolitego romansu. Z kamienia zda się wykuta postać Grzegorzewskiego, ślaniała się i padała w gruzy u stóp, obutych w złote pantofelki.

I dla Leona wszystko się waliło w gruzy!...

Lecz kroki zbliżyły się ku niemu i ktoś delikatnie potrafił tulącego się do muru Leona.

— Excusez! — wyrzekł głos nieznany.

Leon radośnie otworzył oczy i spotkał się w ciemności z dużymi plamami jakichś oczu, wpatrzonych w niego bystro z pod daszka robotniczej czapki.

— Excusez! — powtórzył robotnik i obrzucawszy Leona bacznie wejrzeniem, poszedł dalej.

Leon uszczęśliwiony spojrzał znów w okna mieszkania Wilhelminki. Lecz dziewczyna znikła i tylko tnił firanek dwoma smugami znaczył się na szybach.

Leon spojrzał w stronę, w którą się oddalił robotnik i dojrzał, że ten zatrzymał się na trotuarze i zdawał się chcieć zapalić cygaro. Trwało to zapalanie jednak długą chwilę. Widocznie był to robotnik, który z roboty do domu się nie spieszył.

Zapaliwszy cygaro, robotnik zawrócił się i znów przeszedł obok Leona, nie patrząc jednak na niego. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, stanął i rozpoczął zapalanie cygara, które palić się widocznie nie chciało. Rzucił zapalki na trotuar, przyczem odwracał głowę to w jedną, to w drugą stronę ulicy. Niedaleko była wąska przecznica, prawie ciemna. Robotnik powoli wsunął się w tę głębię i zniknął z oczu Leona.

Lecz ktoś nadchodził szybko i teraz Leon poznał najdokładniej Grzegorzewskiego. Szedł w palcie, narzuconem na ramiona według swego zwyczaju i kaszlał głośno. Leonowi zdawało się, że Grzegorzewski musi go dostrzedz i poznać. Płomienie wstydu uderzyły mu na twarz. Lecz Grzegorzewski szybko wbiegł do sieni domu, w którym mieszkała Wilhelminka.

Leon machinalnie iść zaczął. Chciał teraz uciec z tego trotuaru i nie widzieć więcej purpurowych okien. Lecz uszedłszy kilka kroków, zatrzymał się, jak przykuty. Coś go więziło i przytrzymywało na bruku tej Glacjery, będącej dla niego teraz całym światem. Żelazne szpony rwały mu serce.

W oddali zajęczała nagle przeciągle jakaś maszyna. Jęczała długo i przeraźliwie. Leon przycisnął

rękę do serca, bo zdawało mu się, że ten jęk wbija mu się w piersi ostrzem noża.

Cieężko mu było rozstać się z wyśnionymi ideałami.

Stojąc tak na rogu ulicy i przecznicy posłyszał pod murem oddech ciężki i dojrzał czerwonawy punkcik zapalonego cygara. I w ciemności — dojrzał, choć z trudnością, tego samego robotnika, który go potrafił przed chwilą. Robotnik ów oparty o mur, zdawał się z całą rezygnacją na kogoś, lub na coś czekać...

Leon cofnął się i znów znalazł się naprzeciw okien Wilhelminki. Światło gorzało zawsze krwawo i sylwetek ciemnych na tem tle nie było.

Leon potarł zgorączkowane czoło i zdjął z głowy czapkę. Czuł, że powinien iść do domu i pozostawić tam na górze tych dwoje rozkochanych i zatopionych prawdopodobnie w gorączce pieszczot zmysłowych.

O! jak oni mu każdym pocałunkiem plamili duszę — jakim waleń błota otaczali piedestał, na którym on ich ustawił. Miał ochotę wyciągnąć ręce tam, w górę ku tym oknom i krzyknąć:

— Nie zabierajcie mi wszystkiego, zostawcie dokoła siebie choć trochę jasności, choćby kłamliwej, choćby ułudnej...

Lecz rzeczywistość była przed nim brutalna i nieubłagana.

Kręcki prawdę powiedział. Ci ludzie ze spiżu, ci „działacze“, romansowali pomiędzy sobą banalnie, jak garstka szwaczek i subiektów po zamknięciu sklepu...

Przez mózg Leona przebiegło ostrze stali.

Czyżby i praca Grzegorzewskiego i jego bandy praca promienna patryotyzmem i humanitarnymi zasadami była tylko... sklepem, handlem, rzemiosłem?...

Leon gwałtownie, bezwiednie uderzył się pięściami w pierś i zajęczał głucho.

Na ten jęk — robotnik wysunął się z poza węgła domu i bystro w Leona wpatrywać się zaczął.

Lecz Leon nie zwracał na niego uwagi. Cały wpił się w purpurowe okna wzrokiem i pobladał cały jak opłatek a usta mu zsiniały. Robił wrażenie gracza, który przegrywa w tej chwili wszystko i czuje, jak pada karta, stanowiąca o jego zgubie.

Karta padnie, i pozostaje graczowi rozpacz i nędza dalszego istnienia.

Zaszemrały jakieś drobne kroki i ciemna sylwetka mknąć zaczęła wzdłuż kamienicy, zamieszkaney przez Wilhelminkę.

Postać zatrzymała się chwileczkę, obejrzała dokoła i weszła szybko do sieni, jasno oświetlonej zwyczajem paryskim.

I w tej krótkiej chwili Leon poznał w czarnej postaci... Mazię.

Dziewczyna wbiegła na wschody a z nią poszło w ślady i serce Leona.

Więc nie sam Grzegorzewski miał prawo znajdować się u Wilhelminki, więc to nie była schadzka...

Ale jeśli oni drzwi nie otworzą — przeciwnie, jeżeli Mazia zadzwoni i czekając napróżno wpuszczenia — zejdzie...

Kilka minut oczekiwania wydały się Leonowi wiekiem.

Lecz Mazia nie zeszła, pozostała na górze. Co więcej, niedługo Leon dostrzegł cienie obu panien na tiulu firanek.

I Mazia wydała mu się w tej chwili aniołem, który mu wrócił całą wiarę w Grzegorzewskiego, w Wilhelminkę, w sprawę, w ideały... Znów dwóch mężczyzn weszło do sieni i zniknęli w drabinie wschodniej. Byli pochyleni, mieli długie watowane palta, czapki barankowe, słowem przysiadz było można, że są to Polacy. Po nich nadeszła jeszcze smukła i niknąca literalnie w cieniu kobieta, w której Leon poznał, widzianą w Geograficznej Sali, Jaskółską.

Teraz Leon zrozumiał znaczenie wczorajszych słów Grzegorzewskiego i Wilhelminki.

Było to naznaczenie — nie schadzki miłosnej, ale posiedzenia partii.

I Leon uczuł straszny wstyd, ściskający mu serce.

Gdyby mógł, rzuciłby się na kolana przed tym domem i błagał o przebaczenie tych ludzi, którzy jak cienie wsuwali się w jasną przestrzeń i niknęli tajemniczo, pnąc się ku purpurze światła, która teraz Leonowi jutrznią pełną nadziei zdawać się zaczęła.

Lecz równocześnie z tem uczuciem zaczęło w sercu Leona budzić się i inne.

Oni tam, zeszli się razem i pracują dla dobra kraju, wymieniają promienne myśli, przedkładają wzajem projekta — działają wreszcie.

On zaś, odosobniony, stoi tu na dole i może tylko patrzeć na zamknięte okna, może tylko czuć w swej wyobraźni obraz tego posiedzenia, ich za-

miary. Wstyd go ogarnął, wstyd i uczucie straszego poniżenia.

Więc on mimo wszystko nie był godnym zasiąść tam między nimi? Czyż on tak, jak oni Polski nie umiłował? Czyż on w zaraniu swojego życia nie poświęcił się dla kraju tak, jak mógł i umiał?

A oni nie wierzą mu, odosobnili się, odgradzili, wywyższyli nad niego i każą mu cierpieć, pożądać i pragnąć.

I zdali mu się oni, tam w górze, tak bardzo wywyższeni w purpurze światła, że wzbili się po nad chmury, gęstą lawą zwisłe nad Paryżem.

I dusza jego poszybowwała za nimi, lecz wstrzymała się u progu butna i rozgoryczona.

Hardości w niej było tyle, że on sam się jej uląkł.

Lecz nie ulękła się jego wola i usta jego wyszeptaly:

— Ja z wami tam muszę być, i będę!

Jak długo przestał tak na trotuarze Leon, o tem on sam nie wiedział.

Nie mógł odejść — patrzył wciąż w okna, w sieni, na wschody. Biegł po nich fantazją, myślą, sercem całem.

Godziny jęczały w oddali.

Na rogu ulicy, przysunięty do muru, stał ciągle robotnik i żuł cygaro.

Wreszcie Leon go dostrzegł i fakt tej uporczywej obserwacji — zdziwił go poniekąd.

Zaczął chodzić tam i z powrotem i kilkakrotnie przeszedł koło robotnika. Zauważył, że człowiek ten miał twarz bladą i dość delikatną. Przytem bluza

robotnicza włożona była na czystą, krochmalną koszulę, podwiązaną pod szyją porządnym krawatem.

Robotnik, widząc się obserwowanym przez Leona, cofnął się z trójkąta światła, jakie padało z niedalekiej latarni. Cofnął się w głąb przecznicy, lecz natychmiast z niej wyrzwał.

Jeszcze ktoś nadchodził, lecz — po żwawym, nerwowym chodzie — lekkim palcie jasnym i cylindrze, łatwo można było poznać w nadchodzącym Francuza.

Niemniej jednak człowiek ten, dochodząc do okien Wilhelmini, zwolnił kroku i widocznem było, że wpatrywał się uparcie w te oświetlone okna. Stał nawet i wtedy Leon w smudze światła mógł dostrzedz twarz sympatyczną i energiczną, młodą, okoloną ciemną, przystrzyżoną szpiczasto brodą. Francuz z pewną niecierpliwością obejrzał się dokoła. Leon mimowoli zaczął iść dalej. Robotnik cofnął się znów w cień.

Wówczas Francuz bardzo ładnym i sympatycznym barytonem zaczął śpiewać znaną starą, francuską piosenkę.

— *Bonsoir Ninon, c'est moi qui passe!*

Był to śpiew od niechcenia, ot, jakby ktoś zabawiał się, przechodząc ulicą Glacjery. Lecz — jedno z okien purpurowych otworzyło się jakby magicznie i smukła, ciemna sylwetka strojnej panny pojawiła się nagle na tle płomiennem z taką gwałtownością, że Leon, który w tej chwili patrzył także w okna, doznał olśnienia.

Francuz, śpiewając ciągle

Ninon, la belle Ninon,

C'est l'amour, ouvre la fenêtre...

oddalił się powoli, jakby z żalem pozostawiając po sobie smugę śpiewanej piosenki. I niewiadomo było, czy to głos jego umyślnie wywabił do okna ładną studentkę, czy przypadek tak zrządził, że Wilhelminka otworzyła okno właśnie w chwili, gdy śpiewano:

Ninon, belle Ninon!

Cale to zdarzenie pozostawiło w sercu Leona niepokój i pomieszanie.

Instynktem odczuł, że tędy przeszła — miłość.

I to dziwna miłość romantyczna, śpiewająca poezję i muzykę XVIII stulecia. W Paryżu, na Glacjerce pod oknem studentki polskiej śpiewał szynkowny Francuz w jasnym palcie wezwanie do Ninon...

Czy to był wypadek?

Lecz okno Wilhelmini pozostało już tak otwarte, choć ona sama znikła w głębi pokoju. Noc była ciepła i pomimo wilgoci, dość łagodna. Widocznie w niewielkim pokoju zebranych było duszno i dlatego nie zamykano raz otwartego okna.

Cisza dokoła była wielka i turkot i hałas miasta ucihl zupełnie.

Leon posłyszał nagle kilka głosów zmieszanych ze sobą, potem pojedynczy głos Grzegorzewskiego, wyraźny i donośny. Rozróżnił słowa, treść, zdania. Odpowiedziała mu Mazia i jej głosik słychać było na ulicy dokładnie, czysto.

Leon zrozumiał, że mówiono o wyborze emigranszysza do kraju i sprzeczano się nie żartem na tym punkcie.

Teraz, z zaułka wysunął się raptem ów robotnik i podszedł prawie na środek ulicy. Widocznem było, iż chciał także słuchać głosów, które z taką

naiwną nieostrożnością wydobywały się z uwięzi pokoju. Robotnik stanął i zdawało się Leonowi, że nawet rękę w trąbkę zwiniętą do ucha przyłożył.

I w tej chwili Leon poznał w przebranym robotniku — policyjnego agenta.

Nie ulegało wątpliwości, to był prosty, francuski, rządowy — szpieg.

Lecz co on słuchał? co chciał zrozumieć w tej lawinie polskich słów, które płynęły z taką siłą z góry w ciszę uliczną?

Jeżeli słuchał — musiał przecież rozumieć. A więc ten szpieg, ten agent... rozumiał mowę polską, był... Polakiem!

Dojmujący ból przeszył serce Leona na tę myśl. Miał ochotę rzucić się ku stojącemu na środku ulicy agentowi i wołać:

— Dlaczego ty to robisz? za pieniądze? — jeśli tak — weź wszystko, co mam przy sobie, weź to, co zarabiam w kantorze... tylko nie rób tego! nie szpieguj swych braci!...

Egzaltacja porywała go. Jak obłąkany zwrócił się ku agentowi. Lecz gdy doszedł do niego, gorączka go opuściła. Nie wiedział, co ma mówić, a mimo to nie zmienił swej groźnej i wyzywającej postaci.

I agent z szybkością kocia rękę w zanadrze wsunął. Obrączki kasteta zajaśniały na jego palcach. Przybrał postawę obronną, lękając się widocznie napaści.

I tak uzbrojony — czekał.

Ten kastet — ta broń w ręku szpiega, oprzymiotniła Leona. Szybko, gorączkowo zapytał:

— Pan — Polak?

— Je ne comprends pas! — odmruknął agent.

— Pan — Polak, ja widzę... ja - k a ż ę panu iść precz z tej ulicy, inaczej ja panu głowę roztlukę.

Ironiczny uśmiech przewiął się po ustach agenta.

— Fichez moi la paix! — wyrzekł trywialnie, odwracając się tyłem do Leona.

Lecz Leon pociągnął go gwałtownie za rękaw bluzy, wołając:

— Idź ztąd precz! idź ztąd precz... rozumiesz?

Agent odepchnął od siebie Leona i zaczął wołać na agentów policyjnych.

— He!... les agents!

Lecz nikt nie pojawiał się na ulicy i to jeszcze więcej ośmieliło Leona.

— Idź precz! idź precz!... — powtarzał przez zaciśnięte zęby, podsuwając ściśniętą pięść pod twarz agenta.

Ten ostatni zawahał się chwilę. Zrobił ręką uzbrojoną w kastet ruch, jakby zabierał się do uderzenia, lecz wpędce się opamiętał.

Wzruszył ramionami i oddalił się w przecznicę, rzucając Leonowi na pożegnanie!

— Nous nous rencontrerons encor!... — w formie groźby.

Leon pozostał teraz sam i zaczął chodzić tam i napowrót naprzeciw domu, w którym odbywało się posiedzenie, jakby na straży. Radość przepelniła mu piersi.

On — ochronił ich od podsłuchania ich planów przez agenta.

Długo jeszcze odbywało się posiedzenie i dopiero koło trzeciej nad ranem Leon dostrzegł, jak drzwi sieni otwarły się i wyszła z nich cała „partya“ z Grzegorzewskim i Mazią na czele. Wychodzili, rozmawiając głośno i gorąco. W oknie, pojawiła się Wilhelmina i przechyliwszy się ładnie przez balustradę, rzuciła z góry.

— Dobranoc!

— Dobranoc — odpowiadano jej z dołu — spokojnej nocy...

A jeden z mężczyzn dodał:

— Spokojnych marzeń!

Leon cofnął się na ich widok w przecznicę. Taki wstyd i lęk ogarnął go w tej chwili.

Lecz Mazia dostrzegła tę postać męską, znikającą w cieniu, bo zawołała, śmiejąc się wesoło.

— Patrzenie!... nasz Anioł Stróż dziś jeszcze inaczej ubrany!

I rozeszli się wszyscy, żegnając z hałasem, po polsku — ot jakby byli w Warszawie, albo w Lublinie.

Gdy kroki ich ucichły, wysunął się Leon ze swej ciemnej kryjówki i odważył się iść pod domami ku bulwarowi Arago z głową silnie wsuniętą pomiędzy ramiona. Wilhelmina bowiem jeszcze stała w oknie i on czuł teraz, jak jej wzrok musiał pogardliwie śledzić jego kroki — z jaką nienawiścią patrzyła w ślad za nim, biorąc go za agenta, za Anioła Stróża, którego republika francuska wysyła śladami tych, którzy złudzeni jej pozorną „wolnością“ pod jej skrzydła się chronią.

XIV. W czym odrodzenie?

W kilka dni później Grzegorzewski wezwał do siebie Leona telegramem pneumatycznym.

Przedstawił mu poniekąd cały plan swego wydawnictwa i mówił z nim szeroko o zmianach w kierunku socjalistyczno-narodowym w jego broszurze. Leon każde słowa lidera chwycił w lot i zapisywał je ognistymi zgłoskami w swej duszy. Grzegorzewski miał porywający dar wymowy i słowo jego każde było płomieniem. Leon z powodu swej młodości i wielkiej egzaltacji płomień ten rozżarzał do potęgi i teraz purpura ognia zalewała jego umysł i duszę. Grzegorzewski, poznawszy tę duszę, grał na niej, jak mistrz na strunach harfy. Odczuł wprawą i rutyną działacza artystyczną naturę chłopca. I pokazał mu socjalizm nie ze strony suchych cyfr i nienawiści do klas posiadających — lecz ze strony humanitarnej, budząc w Leonie wszechludzką miłość i poczucie sprawiedliwości. Oświecił tę stronę wielką dozą artystyzmu, czując, że Leon jest przede wszystkim artystą i porwał chłopca, rzuciwszy go, jak swoją własność, w wir swych idei i przekonań.

Przedstawił mu w niedługiej przyszłości całą Europę socjalistyczną i pytał go:

— Czyż wtedy jedna Polska ma być tym narodem zacofania w środku wszystkich socjalnie

urządzonych państw i krajów? Czyż, jeśli nie pójdziemy za ogólnym prądem, nie staniemy się tą martwą naroślą, którą po prostu wyciąć i wypalić będzie należało raczej, aniżeli wydobyć z cienia i obdarzyć dla równowagi wolnością?

Siedzieli tak we dwóch, późną nocą w mieszkaniu Grzegorzewskiego, w paltach narzuconych na plecy, pochyleni nad stołem, na którym leżały broszury i korekty wydawnictwa Grzegorzewskiego.

Za oknami, o szyby łopotał wiatr jesienny, prawdziwy wiatr paryski, który hula, jęcząc wśród lasu kominów, wysoko po nad całem miastem.

Pierwszy raz Leon znajdował się tak długo sam na sam z Grzegorzewskim i pierwszy raz leader partii mówił doń tak jasno, otwarcie i serdecznie. Grzegorzewski bowiem czuł, iż potrzebuje tylko kilkunastu zdań gorętszych a Leon, który był już prawie jego własnością, stanie się nią cały, niepodzielnie i bez zastrzeżeń.

A przytem i Grzegorzewski uległ nawzajem urokowi, jaki Leon roztaczał także dokoła siebie. Jego wielka piękność fizyczna, podniesiona egzaltowanym, marzycielskim wyrazem twarzy, ciągnęła wzrok, jak arcydzieła prymitywów. I dusza jego czysta, dziecięca promieniała na zewnątrz i biegła naprzeciw drugim dusz, słodka i poświęceń pełna. Leon mówił mało, nie miał napozór daru wymowy, lecz tak silnie myślał, iż wrażliwsze natury odczuwały i czytały myśli jego. — Bardzo często zdawało się, że ktoś nagle spytał milczącego chłopca:

— Pan mówisz, że...

Leon zdziwiony spoglądał na pytającego, a zdziwienie jego rosło jeszcze więcej, gdy posłyszał dalej

odповідź na swą myśl, którą on jeden tylko znał i nie wyraził w formie słów.

I teraz zdarzyło mu się to kilkakrotnie z Grzegorzewskim i po raz pierwszy baczniej zastanowiło jego uwagę. Grzegorzewski czytał w jego mózgu, jak w otwartej księdze i na wątpliwości jego znajdował argumenta, może nie zbyt logiczne, ale tak gorąco wypowiedziane, tak pięknie sformowane, że Leon przyjmował je jak katechizm i w pamięci swej ognistemi zgłoskami wypalał.

Wieczór ten zbliżył ich bardzo i zbierał ich dusze. Nawzajem odkrywali w sobie jasne strony i romantyzm Leona zachwycał gorączkową energią Grzegorzewskiego. Obaj dążyli do jednego celu, kochali jedno i pragnęli jednego. Kraj nieobecny, ta Polska tak daleka — granicami państw obcych przezielona, zdawała się im być całą obecną i utulając ich, jakby niewidzianemi skrzydły. Skrzydła te były czarne, żałobne — lecz oni słowami swemi, czynami, pragnieniem rzucali na nie snopy iskier, które miały zagrać całą tęczę wyswobodzenia.

Grzegorzewski ręce łamał.

— Ludzi! nie mam ludzi, którzyby za mną szli ręką w rękę — mówił z rozpaczą — kilka kobiet, wprawdzie wielkie, ofiarne dusze, ale to mi za mało...

— Czy w partii nie ma więcej mężczyzn?

— Tu w Paryżu mam jeszcze dwóch, trzech, ale oni walczą z niedostatkami, chcą sobie wyrobić sytuację — lękają się chwilami, drżą — pragną powracać do kraju... dławią się tęsknotą.

Wstał, zaczął chodzić, wreszcie zbliżył się do okna i oparł płonące czoło o szyby, w które bił teraz deszcz.

— Ja ich rozumiem... — wyrzekł wreszcie, jakby do siebie — ja także czasem... tęsknię do kraju, za krajem...

I potem milczał długo, jakby cały uleciał het, daleko, na Ukrainę, skąd był rodem.

Leon powstał także i cicho podszedł ku Grzegorzewskiemu.

— Jeśli ja mogę być panu na co przydatny, weź mnie pan, rozporządzaj i mną i życiem mojem.

Po raz drugi, już na Glacierre, składał partyi swe życie w ofierze.

Grzegorzewski odwrócił się szybko i położył rękę na ramieniu Leona.

— Tak! — wyrzekł — tak! biorę pana, bo wiem, bo czuję, że będziesz bardzo naszym, bardzo moim, że to, co w tobie dla sprawy, dla kraju płonie, to nie iskra przelotna, ale już sama istota twojej duszy i twego życia. — Kto wie, co ze mną będzie, kto wie, jak długo ja żyć będę... i dlatego bądź ze mną, bądź przy mnie... bądź drugim mną, jeżeli istotnie oddajesz swe życie, nie mnie, lecz — sprawie, której służyć będziesz.

Postąpił na środek pokoju i ukazał Leonowi ów wianek cierniowy, opleciony kirem żalobnej krepy.

— Oto godło naszej partyi — wyrzekł z gorczycą — oto musi być godło i twojego życia. Ciernie, pogarda świata — błoto, którem nas obrzucają nieprzyjaciele partyjni, ciernie, które nam wciskają w dusze podłością swych insynuacji i zarzutami braku miłości dla Ojczyzny. A kir ten, krepą — to przysłonięcie żalobą rozkoszy życiowych, to wyrzucenie ze swego istnienia wszystkiego, co daje mi-

łość zmysłowa, rozkosz życia burżuazyjnych radości, wśród których stępia się energia i chęć działania odbiega.

Zbliżył się do owego cierniowego wienca i przyglądał się długo z oczyma smutku pełnemi.

— Oto wszystko, co ci da praca w naszej partyi... Wszystko! A... zapomniałem jeszcze. Wróciwszy do kraju, bo możesz wrócić jako emisariusz — turma, kajdany — potem w najlepszym razie Sybir... posilenie!

Potał ręką czoło i roześmiał się gorzko, ironicznie, przeciągle...

— A jak tam pójdziesz pomiędzy kolonję, pomiędzy tych porządných, tych umiarkowanych, co to pięciofrankówkę dziesięć razy obejrzą, zanim ją dadzą na cel patryotyczny i na żadne turmy się nie narażają, to oni ci powiedzą, że my to wszystko robimy dla pychy, dla dumy, dla ambicji, że my jesteśmy Robespierri, Rabagasy... że my zdradzamy ojczyznę... że my plujemy na patryotyzm... że my nie kraj kochamy, lecz siebie... słyszysz pan, siebie...

Gorączkowo teraz zaczął bić się w piersi i widocznie gorycz, jaką dławił w sobie od tak dawna, wezbrała w nim teraz ze zdwojoną siłą.

Co więcej, oni panu powiedzą, że my żyjemy z partyjnych pieniędzy, że my kradniemy to, co nam składają z kraju na sprawę...

Leon czuł, że aż pobladł od tych słów.

— Nie! zawołał — nie oni tego nie powiedzą, nie ośmiela się...

— Oni na wszystko się ośmiela! — krzyknął Grzegorzewski — oni nas, mnie — Mazię — którzy od ust sobie każdy centym odejmujemy, aby mieć

na drukarnię, na marki, na ekspedycję, zrobilią pasożytami, złodziejami.

Urwał i po chwili dodał z nieopisanym bolem:

— Oni to już nawet nieraz powiedzieli!

Leon porwał się gorączkowo.

— A wy cóż na to? — zapytał.

— My!... Mazia, Wilhelmina — kobiety, płakały, chorowały... Ja? — ot! biłem się dwa razy. I cóż mi z tego przyszło? — Raz — skończony szubrawiec skaleczył mnie dotkliwie, drugi raz — wymieniliśmy kule... „bez rezultatu“. Przytem, to nic nie zmieniło w opinii ogółu, powiedziano w kolonii, że biłem się z pychy i chęci reklamy...

Umilkł, usiadł znów koło biurka i dodał.

— Teraz już... co do pojedynków mam inne przekonanie. — Życie nas, Polaków — to codzienny pojedynek z wrogami naszego narodu. Na tę walkę powinniśmy schować wszystkie nasze siły a bratobójczą broń od siebie precz odrzucić...

— Więc obelgę zbyć milczeniem?

— Obelgę pokonać czynem! To, co my dla kraju zrobimy, wyda kiedyś tak piękne, tak czyste kwiaty, że one pomszczą, jeśli nie nas... to pamięć naszą, to nasze cienie!

Sam był podobny do cienia w tem półświecie zielonego klosza lampy. Oczy jego olbrzymie, czarne, płonące pomimo mgły smutku i żalu jak dwie gwiazdy, czyniły jeszcze bledszą jego śliczną, niezwykłą twarz, okoloną falą ciemnych włosów.

I był już jak zjawisko, nie należące do ludzi i świata, tak był pobladły i wynędzniały, ten dobrowolny męczennik, zziębnięty i zgłodniały, żyjący pry-

wacjami i wielką ofiarną miłością dla kraju, który tylko we snach swych widzieć był w stanie.

— I gdy pomyśle... że razem ze mną, z moją śmiercią, miałyby się skończyć praca moja, zmilknąć ta pobudka, którą dzwonię od lat tylu kosztem ludzkich wysiłków, budząc uśpione i zamierające serca Polaków — ogarnia mnie szal, rozpacz i za lat dzie sięć życia zaprzagnąłbym się do pług, aby jak bydlę rwać się w krwawej pracy, byle tylko żyć! żyć! i dalej wołać, dalej budzić... dalej siał ziarno, które wejdzie zorzą kłosów w chwili ogólnego ludzkiego spokoju i panowania prawdziwej wreszcie sprawiedliwości!...

Z ramion jego zesunęło się palto i w rozchyłonej na piersiach koszuli błądł trupio — prawie nieprzytomny — wyciągnął ręce przed siebie.

— O! widzieć taką chwilę, widzieć, jak i my w równości najwyższej zajmiemy przynależne nam miejsce i staniemy do walki z egoizmem, z samolubstwem, zaprzęgającem całe masy ludzkich istnień dla wytwarzania możności rozkoszy i użycia uprzywilejowanych klas — widzieć, jak pot robotników będzie miał tę wartość, co perły na szyi magnatki, jak każdy będzie mógł po pracy zjeść tyle, ile jeść ma prawo — widzieć swe dzieci, przyszłych robotników rosnące zdrowo, odziane ciepło — oddechające czystym powietrzem, a nie więdnące w ciemnicy suteryn... Za swą pracę, za swój pot — do tegoż chyba każdy ma prawo. I tego ja pragnę, tego się domagam w moich pismach, za to życie swoje kładę dla wszystkich!

Powstał — wyciągnął się jak struna, oczy zamknął i cofnął w tył głowę.

— Chleba, chleba, słońca. pracy dla wszystkich! — wołał glucho — czyż to tak wiele! z piwnicznych głębi, gdzie po kilkanaście ludzi kona, chciałbym wydostać te masy i tym, którzy sami jedni w kilkunastu pokojach bezczynny żywot pędzą, zabrać... och! czwartą część (nie więcej), aby i tamci istnieć mogli z tego, co ci marnują. Ja mówię pod przenośnią... ja nie wiem, czy wy mnie rozumiecie... Mieszkanie to wszystko, co do życia potrzebne... Rozumiecie?

— Tak! tak! — wyszeptał Leon.

— I pomyślcie... gdyby ta przemiana stała się już u nas, u nas wolnych, swobodnych, bez jarzma — bez kajdan naszych najeźdźców. Jeżeli słońce swobody i równości zabłyśnie dla wszystkich, toż nie marcy, ażeby nas Polaków pozostawiono w niewoli? Prawda? Muszą i nam powrócić nasze prawa polityczne, choćby dla równowagi. Nie będzie tyranów, a więc i dla nas tyranów nie będzie. Jarzmo zrzucone! jarzmo materialne i moralne, a więc i nasze jarzmo i nasze kajdany...

Trzymał ciągle oczy zamknięte, jakby mówiąc o tem, co będzie, nie chciał psuć sobie wrażenia nędzą rzeczywistości.

— Och! dożyć takiej chwili, dożyć!... — wyszeptał.

Nagle oczy otworzył — zdawały się jeszcze czarniejszemi, jeszcze większemi, wydostając się tak nagle z pod zsiniałych powiek.

— Rozumiecie teraz, dlaczego my jesteśmy socyalistami narodowymi? — zapytał.

— Rozumiem!

— Rozumiecie teraz, że jedyna nasza nadzieja — nadzieja naszego odrodzenia, w odrodzeniu sprawiedliwości wszechświatowej?

— Tak!...

Wiatr jęczał ciągle, bijąc gradem deszczu o szyby okien. Światło lampy pociemniało, snąć zabrakło nafty w rezerwoarze. Cały pokój tonąć zaczynał w zielonawym zmroku. I nagle Grzegorzewski upadł na krzesło i zaczął tarzać się głową wśród porozrzucanej masy papierów i książek.

— Nie zobaczę ja tej chwili! nie zobaczę! — powtarzał jęcząc.

Leon zbliżył się, ujął jego dłoń zimną, chłodną — robiącą wrażenie dłoni trupa.

— Panie!... panie! — mówił cicho.

— Nie starajcie się wmówić we mnie, że jeszcze żyć będę... a gdyby nawet — to ten świt, ta zorza nie wejdzie za rok, ani za dwa — kto wie — kto wie, ani może za lat dziesiątki... ale wejdzie! wejść musi... wejść musi, choćby po takich, jak mój, trupach!...

I rękę wyciągnął, a zimnym jak lód palcem czoła Leona się dotykając — dodał:

— I po twoim trupie także!...

Zimno przenikające przeszło mózg Leona.

Zimno to, jak stygmat pozostało dlań duchowem, widmowem uczuciem i towarzyszyło mu już przez resztę życia — nie opuszczając ani na chwilę.

I Leon stał teraz nieruchomy, przyjmując z ekstazą ten stygmat, tę odznakę przyszłego męczeństwa, zabierając je w swoją duszę, jak cenny klej-

not, jak płomień, który miał, paląc jego czoło, rozjaśnić mu zarazem ciernistą ścieżkę obowiązku i prowadzić ku zorzy oswobodzenia kraju w chwili świtu potęgi sprawiedliwości a zaniku przemocy, wyzysku, tyraństwa i samolubnego użycia.

XV. Dziwna noc.

— Szkoda, że mieszkacie w hotelu! — powiedział raz do Leona Grzegorzewski. — Nieraz Mazia, albo która z kobiet partyi mogłaby zajść do was w jakimś interesie... a do hotelu trudno mi posyłać młode dziewczęta. One pójdą bez szemrania — bo nie mają żadnych przesądów, ale ja sam czuję, że jako studentkom należą się pewne względy...

— Ja wyprowadzę się z hotelu! — odparł Leon.

— Dobrze! Teraz będę musiał częściej porozumiewać się z wami. Czasu wiele nie mam chodzić tak daleko, przytem jakoś mi sił brak...

— Ja się przeniosę na Glacierzę!...

— Nie! nie! — zawołał żywo Grzegorzewski — nie trzeba. Dla nas to nawet pożyteczne mieć kogoś, mieszkającego z tamtej strony Sekwany. My jesteśmy nawskróś otoczeni szpiegami. Na Glacierzę nie ma chyba kamienia, któryby nie słuchał, co mówimy i nie śledził naszych kroków. Czasem trzeba coś z domu wynieść, ukryć — u was będzie lepiej i bezpieczniej.

— Dlaczego więc mieszkacie na Glacierzę?

— Jeżeli wszyscy się przeniesiemy — szpiegi pójdą za nami. Tak — rozstrzeleni będąc tu i ówdzie, możemy ich zderutować. Oni — uważają Gła-

cierę za *siège central* naszych działań. Niechże więc już tak pozostanie.

Leon powrócił do kantoru ze stałym postanowieniem szukania sobie mieszkania. Lecz długo nie mógł zdecydować się na podzielenie się z swym postanowieniem z Krękim. — Leon ciągle jeszcze pozostawał pod wpływem Julisia. Bał się jego szyderstw, drwin i przycinków. — Chował w swym sereu kult dla Glacierey, tak wielki, tak niezwykły, że każde szydercze słowo sprawiało mu ból fizyczny.

Wreszcie zdecydował się na wymówienie wielkiego słowa.

— Ja się wyprowadzam z hotelu!

Kręki uśmiechnął się ironicznie.

— A... spodziewałem się tego.

Jechali obydwa na dachu omnibusa „Batignolle Clichy-Odeon“. Wielkie żółte pudło, zaprzężone w trzy białe konie, dudniło po bruku paryskim z hukiem i podskakiwaniem, nie mającym nic wspólnego z paryską kulturą.

W ciasnych uliczkach pasażerowie, siedzący na dachu, zagłądali do wnętrza antresoli i bardzo często dowcipne komplimenta wpadały w otwarte okna, jak bukiety kwiatów, zwłaszcza, gdy dojrzano w głębi pokoju jakąś sylwetkę kobiecą.

Ciepło było i jasno dnia tego. Prawie wiosna już śmiała się w powietrzu. Po ulicach szły tłumy. Wystawy sklepów połyskiwały w słońcu. W ogrodzie Tuilleryjskim bawiły się dzieci. Jedno z nich miało jaskrawy, aksamitny, purpurowy płaszczyk. Na złocie piasku, którym były wysypane aleje, wyglądało to, jak olbrzymi mak na łanie zboża.

Daleko — majaczył, luk tryumfalny, ściągając ku sobie czarne linie powozów, płynących ku Buloi-skemu laskowi tryumfalnym pochodem niczem nie powstrzymanej próżności.

Kręki widząc, że Leon milczy — podjął znowu swoje słowa.

— Nie pytam się, gdzie się pan wyprowadza, zapewne na Glaciere. Ostrzegam pana, że jeśli pan zechce pozostać w kantorze, to będzie pan musiał wstawać o szóstej z rana, aby na czas stawić się u Kwiatkowskiego.

— Nie wyprowadzam się na Glaciere! — odparł sucho Leon.

— A!... więc dlaczego się pan wynosi? Czy może sąsiedztwo moje panu nie mile?

Leon nie odpowiedział nic, zadowolony, iż może choć w ten sposób sprawić przykrość Krękiemu. Lecz Juliś był nieprzebrane dobrym chłopakiem. Widocznem było, iż wyprowadzenie się Leona jest mu bardzo przykrem.

— Jaki pan niedobry, ucieka pan odemnie wtedy, gdy ja się o pana najwięcej troszczę! — zawołał, udając dobry humor — ja namówilem Kwiatkowskiego, aby kazał swe dzieci uczyć po polsku. I pan wie, kogo ja mu na nauczyciela poradziłem? Pana!

Leona, zajętego myślą o polityce, nie wzruszyła bardzo ta wiadomość.

— Dziękuję panu! — wyrzekł chłodno — ale prawdopodobnie praca ta będzie bardzo uciążliwa, jakąż mi korzyść przyniesie?

Kręki popatrzył na niego z ukosa.

— Gdybym był złośliwy, odpowiedziałbym panu — wyrzekł powoli — że prawdziwy patriotyzm pana powinien znaleźć korzyść w moralnem zadowoleniu nauczania polskiego języka dzieci, zrodzone na obczyźnie. Lecz... Juliś nie jest złośliwy i powie panu po prostu, Kwiatkowski płacić panu będzie 40 franków miesięcznie i wspaniałomyślnie dodaje... obiad. Za to będzie pan uczył dzieci trzy razy tygodniowo po godzinie, a w Niedzielę trzy godziny po południu. *Ça va?*

— Kiedyż czas na to znajdę?

— W dni powszednie zwolnię pana trochę wcześniej z kantoru. Robotę za pana ja sam odrobie, W święta chyba masz pan dość czasu...

— Ja święta chciałem zarezerwować dla siebie...

— E!... pójdzie pan rano albo wieczorem na Glacière. I tak jeszcze za długo tam będzie pan siedział.

— Tu nie chodzi o Glacière... — odparł Leon, ale już miększym głosem, bo dobroć i serdeczność Kręckiego zaczęła go wzruszać — ale moje własne prace. Mam tyle do roboty...

— A! pan znów pisze nowelle?

— Nie!

Urwał i dodał z dziecinną prawie dumą w głosie:

— Ja mam teraz coś poważniejszego na warsztacie.

Użył tego słowa, bo kiedyś w jego obecności, Grzegorzewski, mówiąc o jakiejś literackiej swej robocie, powiedział: „mam teraz ten artykuł na warsztacie!”

— Fiu! fiu!... — zawołał Kręcki — jakie pan teraz fachowe masz wyrażenia. Zdaje mi się, że

Glaciera więcej będzie miała z pana pociechy, niż kantor Kwiatkowskiego. Strasznie pan jesteś roztargniony. Naprzykład wczoraj — gdzie pan poszedł z tem pokwitowaniem firmy Durand i Martin?

I Kręcki zaczął strofować Leona w handlowych sprawach, które rzeczywiście bardzo cierpieć zaczynały w skutek Glacière. Leon wykonywał swą kantorową pracę z taką odrazą i wstrętem, że przypuszczałyby należało, iż umyślnie nieraz popełnia omyłki, aby sprowadzić zamieszanie w zniechęcającym przez siebie kantorze.

— Pan czasem na mnie robisz wrażenie Konrada Wallenroda! — mawiał Kręcki — chcesz pan zdeorganizować kantor i zniszczyć w ten sposób... zakon, to jest, handel!

Leon ramionami wzruszał i doglądając pakowania pudeł z kwiatami układał zdania swej broszury, która gorzała ciągle w jego duszy, płonęła i trawiła go wciąż podsycanym ogniem.

Lekeye u Kwiatkowskiego Leon po namyśle przyjął, gdyż w ten sposób mógł uzyskać większą kwotę, która mogłaby mu pozwolić przyczynić się do powiększenia wydawnictwa Grzegorzewskiego.

Ambicyą jego było teraz wydać swą broszurę za swe własne pieniądze a nie obciążać nią budżetu partyjnego a właściwie zabierać pieniądze Grzegorzewskiego.

Chodząc tu i ówdzie, wynalazł na ulicy Damoemont na Montmartrze pokój z rodzajem przedpokoju większego i z oknem. Mieszkanie to mieściło się na czwartym piętrze a okna wychodziły na monmartrowski cmentarz. Cały dom był widocznie zamieszany przez ubogich ludzi i konsierż miał minę hipokryty.

Lecz sam zaproponował Leonowi „umeblować“ to mieszkanie za pewną niewielką kwotę miesięcznie. Leon zgodził się, kładąc za warunek, aby w mieszkaniu znajdował się duży stół i pulki. Wprawdzie ani na stole ani na pulkach nie miał co położyć, lecz chciał, aby jego mieszkanie stanowiło było urządzone na wzór glaciarskich mieszkań.

Radość znalezienia się u siebie psuła mu wprawdzie trochę zasmucona twarz Kręckiego. Juliś widział, że razem z tem wyprowadzeniem się z hotelu, Leon wymyka się z pod jego władzy. A Kręcki nagle zaczął przechodzić teraz okres sentymentalny i uczuwał konieczną potrzebę „wygadania się“ o swej narzeczonej. Przystane przez nią nowelki podnieciły spokojną miłość, unormowaną w sercu handlarza, i Juliś zaczynał być gadatliwym a rozkosznym chłopcem.

— To minie! — mawiał, śmiejąc się ze swego usposobienia. — Juliś to wszystko poklasyfikuje i pięknie znów do kasy pozamyka, ale aż mnie dusi, jak babę, aby się wygadać!

I Leon słuchał tego „wygadywania się“, słuchał z poczucia wdzięczności dla Kręckiego a przytem i on był — zakochany, choć jeszcze sobie z tego sprawy nie zdawał, więc sympatya dla „zakochanego Julisia“ kielkować w nim zaczynała.

Na prośbę Kręckiego przeczytał ów tomik nowelek „Przez lzy“ i nie zastanawiając się bardzo nad erotycznymi wypracowaniami pensyonarki, połknął jednym tchem dwie nowelle z życia robotników, pracujących w fabryce cukru.

Z nowel tych było tak wiele poczucia niesprawiedliwości i krzywd, wyrządzanych klasie pracują-

cej — tak w gorących słowach młoda autorka brała stronę wyzyskiwanych i o złe ich strony moralne winiła tych, których los obdarzył nad zasługi i miarę, że Leon uderzony został niebanalnością myśli, jakie w tej dziewczęcej głowie wirować musiały.

— To musi być niepospolita dziewczyna! — wyrzekł z całą szczerością nazajutrz, gdy Kręcki niecierpliwie czekał na jego zdanie.

Pocziwa twarz Kręckiego, twarz spracowanego chłopca, rozjaśniła się, jakby padły na nią promienie słoneczne.

— Prawda?... trochę przewrócona głowa, ale serce złote...

— To, co pan nazywasz przewróceniem głowy, stanowi właśnie dodatnią stronę jej talentu.

— No! no! niech i tak będzie. Nie będę się z panem dziś sprzeczał, bo pogłaskałeś pan moje narzeczeńskie serce.

Zaczął chodzić po kantorze, pogwizdywać, poklepał dobrodusznie piec, w którym dziś z powodu ciepła, panującego na dworze, nie palono i jakby od niechcenia odezwał się wreszcie:

— A... jak pan tam będziesz, na..., pan wiesz, tam na... Glacierre, to pokaż im pan te nowe...

— Pokażę!... duch w nich dominujący, spodoba się im niezawodnie!

Kręcki zaczął przerzucać towary, widocznie chciał coś jeszcze dodać, ale ogarnęła go nagle niezwykła u niego nieśmiałość.

— I niech pan doda... że to pisała... Julisia narzeczone!

Leon spojrział na niego zdziwiony.

— Dlaczego panu o to chodzi? Wszak pan całej Glacjery nie masz za Boże poszycie.

— Tak!... ale widzi pan... oni tu wiecznie siedzieć nie będą. Nabierają rozumu, wyzdrowieją i powrócą do kraju, tak, jak każdy uczciwy Polak zrobić powinien. Więc chodzi mi o to, aby przyjechali do kraju już z przekonaniem, że Julisiowa żona nie jest „byleco“ i umie impoże w lepszym gatunku!

— Krótko mówiąc, pan robisz to przez próżność?

Kręcki śmiało już teraz spojrzał w oczy Leonowi:

— Spodziewam się. Przez próżność i przez dobrze zrozumiany własny interes. Im więcej głosów oznajmiać będzie o talencie Maryni, tem więcej jej wydawcy płacić będą.

— A!...

— Tak! a my będziemy mogli żyć dostatniej, mieć lepiej urządzone gniazdko, meble stylowe, a Maryś będzie pisać na biurku cacanym Louis XVI. z bronzami i figurkami na puleczkach, w które każę powprawiać lusterka.

I rozgadał się Juliś, opowiadając, że Maryś jest bardzo szykowna i frontowa dziewczyna, że biedactwo złata sobie często sukienkę z „byleczego“, a on, Juliś, ściągnął gdzie jaki paryski żurnal, przyniósł jej, sam kokardki porobił, przypinał i tak Maryś wysztafirował, że u Wioślarzy, albo u Cykliстів, albo u Handlowców, albo czasem u Wyznania Mojżeszowego — Maryś była najszykowniejsza, najcacańsza i najładniej ubrana.

— Fotografie to nie dadzą panu wyobrażenia, bo rysów tam nie ma, a nosek jak kartofelek

i oczęta japońskie. Ale za to cera, włosy, zęby, figurka — pierwszy sort! Nie ausszusu, wszystko udane. Wilhelmina by przy niej zgasała.

Leon chciał zaprotestować, powiedzieć „wątpię“, ale nie mógł, bo czuł, że płomień wystąpił mu na twarz, jak u pensjonarki i zawstydzony, pochylił się, starając ukryć swą twarz przed wzrokiem Kręckiego.

I tak — przekonania polityczne rozdzielały ich i w sercu Leona wytwarzały całą moc ku Kręckiemu pogardy i nienawiści.

Natomiast, miłość dla kobiet połączyła ich i wytworzyła atmosferę sympatii dokoła tych młodych i niezsutych dusz ludzkich.

Niemniej jednak Leon przeniósł się na swoją nową siedzibę obrany co do ostatniego centyma przez usłużnego konsierża. Zaledwie pozostało mu parę centymów na kupienie sobie porannych bułek. Obywać się zaczął bez herbaty, którą mu poprzednio gotował Kręcki i przynosił prawie do łóżka. Całym jego pożywieniem był obiad u Kwiatkowskich w zamian za owe lekcje polskiego języka, które stały się dla Leona źródłem najwyższej udręki.

Kwiatkowski żonaty z jakąś eks-pokojówką francuską, miał z nią kilkoro dzieci, brzydkich fizycznie, trywialnych moralnie, rozpuszczonych, jak wszystkie wogóle dzieci paryskie. Pomimo „solidnego patriotyzmu“ ojca — dzieci te nie mówiły prawie wcale po polsku, lecz za to charczały ordynaryjnym paryskim argotem, który u nas w kraju zwykł nosić miano „paryskiego akcentu“ i w wielkiej cenie bywa w domach galicyjskiej arystokracji.

Leon, który początkowo marzył o jakichś lekcjach idealnych, w których rozwijałby w młodych, dziecięcych duszach przywiązanie do nieznanej im Ojczyzny, ujrzał, że pragnienia te były złudzeniem, z którym co prędzej pożegnać się należy. Skurczony więc nad stołem w małym pokoiku, w którym były skrzynie z brudną bielizną rodziny Kwiatkowskich, masa odzieży porozwieszanej na ścianach, i cała armia bucików na podłodze — starał się wmówić w aroganckich pół-francuzików, spowitych w cuchnące flanele i czarne, żałobne fartuchy, że table nazywa się po polsku „stół“.

Wybuchy śmiechu przyjęły jego słowa.

— „Stół“ — powtarzali chłopcy, którzy, charcząc gardłowo *r*, nie umieli wymówić *l*.

— Il est plus simple de dire table!*) — zakłócał wreszcie Jeannot, najstarszy i najinteligentniejszy z synów pana Kwiatkowskiego.

Leon jednak nie dał za wygraną. Podtrzymywała jego energię Mazia, która wmawiała w niego szczytną misję, przypadającą mu w udziale. Najwięcej denerwowała Leona sama pani Kwiatkowska, bardzo rosła Francuzka, silna brunetka z zadartym nosem, włócząca się cały dzień po domu w czerwonym, flanelowym penioarze i z włosami zawiniętymi w papiloty. Szelest jej pantofli działał na Leona w fatalny sposób. Wpijał sobie paznogie w dłonie, aby przetrzymać przejście przez pokój tej kobiety, której z całej duszy nerwowo nienawidził. Czuł w niej pogardę, jaką każdy Francuz żywi dla cudzoziemców — nawet wtedy, gdy z nich żyje.

*) Daleko prościej powiedzieć table!

Przytem pani Kwiatkowska, mająca o Polakach bardzo niejasne pojęcie, uważała nas za naród wymarły i myśl Kwiatkowskiego, aby dzieci uczyły się po polsku, nazywała une fantaisie couteuse (kosztowną fantazją).

Powoli — Leon urządzał się w swoim mieszkaniu. Maszynka spirytusowa, imbryk, dwie szklanki, tanie łyżeczki zjawily się na oknie. Lecz Leon miał teraz podwójny cel w oszczędzaniu pieniędzy. Przedewszystkiem chciał zebrać na owo wydawnictwo swej broszury i po obliczeniu oszczędności zebranych w przeciągu miesiąca doszedł do przekonania, że nie zdoła własnym nakładem wydać broszury nawet za rok. Porwała go straszna rozpacz. Zapowiedział bowiem na Glacierre, że bierze sam na siebie kosztą swej broszury dla chłopów. Zrobiło to najkorzystniejsze wrażenie i Wilhelminka znalazła nawet dla niego kilka najpiękniejszych uśmiechów, które on, jak relikwie uniósł ze sobą nad ów montmartrowski cmentarz.

Lecz teraz — czas naglił. Broszury dla proletariatu miejskiego, fabrycznego, robotniczego, ba... nawet dla żydów składały się powoli — jedynie brakowało tylko książeczki Leona, którą on z umysłu przerabiał powoli, motywując swoje opóźnienie brakiem czasu.

Nagle Grzegorzewski pewnego dnia odezwał się do Leona.

— Drukarz mówił, że możecie mu dać zaliczki 50 franków. Na resztę wydacie weksel!

Leonowi zabiło serce radośnie.

— Ale trzeba się śpieszyć, koniecznie. Dłużej na was czekać nie będziemy mogli.

Ktokolwiek inny z partyi broszurę napisze, a my wydamy.

— Jutro manuskrypt i pieniądze przyniosę! — oparł trochę wyniośle Leon.

Powróciwszy do domu późną nocą — gdyż tylko wieczorami jeździł teraz omnibusem lub szedł na Glaciere — usiadł Leon przy otwartem oknie i zaczął dręczyć się najszaleńszymi myślami, jakie przez mózg jego się przesuwac zaczęły. Obliczył swe oszczędności.

Miał zaledwie w szufladce trzydzieści franków. Brakowało mu dwadzieścia i te zdobyć musiał jutro za jaką bądź cenę.

Ambicya jego była podrażniona do najwyższego stopnia. Przytem zdawało mu się, że partya straci całą do niego wiarę i odsunie go od siebie. Cały Paryż, na tę myśl, wydał mu się lodową pustynią.

Stracić ich, Glaciere, Wilhelminę, Grzegorzewskiego, równało się dla niego śmierci.

Wstał i oparł się o balustradę okna.

Przed nim — w oddali, w ładnem, spokojnem księżycowem świetle stało się całe morze białych cmentarnych krzyży i nagrobków. — Gdzie niegdzie bezlistne drzewo rzucało koronkowy cień, delikatny jak koronka.

I dokoła wznosiły się domy ciche, spokojne także, jak te nagrobki o ciemnych oknach i szczerlnie zawartych bramach.

I tu i tam spali ludzie. Ci lżej — ci mocniej. Lecz tu i tam, był to tylko sen...

— Sen — życie, sen — śmierć!

Spokój, panujący dokoła, nie wpłynął dodatnio na nerwy Leona. On w tej chwili trawił się cały myślą dostania owych dwudziestu franków.

Zaniosę co do zastawu — myślał.

— Lecz gdzie jest zakład zastawniczy? — dam stróżowi, wstydzę się... nie chcę, aby wiedział, że jestem bez centa... poproszę Kwiatkowskiego, żeby mi dał naprzód... O! nie przejdzie mi to przez gardło... Pożyczę... ale od kogo...

— Kręcki!

Leon cofnął się, jakby już dojrzał ironiczny uśmiech na twarzy Julisia.

— Dwadzieścia franków... to dużo. Kręcki odmówi. Połowę wezmę u stróża, połowę u Kręckiego. Niech się dzieje co chce! Dla sprawy nie będę miał pychy...

— Dla sprawy?

Nie była to raczej wygórowana ambicya i chęć zaimponowania innym? Leon nie badał już wnętrza swej duszy. Pozostawał już zimnym na spokoj czarowny, rozlany malowniczo dokoła. Dawniej — ta srebrna biel z tem morzem krzyży porwałaby go i rozmarzyła. Teraz — już szybował myślą gdzieindziej, inne miał cele i inne pragnienia.

Gdy rano zbudził się i spojrział w lustro wmurowane nad kominkiem, przeraził się, tak był blady, tak zmienione miał rysy twarzy.

Postarzał się, siatka zmarszczek zarysowała się dokoła jego ocz. Usta zwykle świeże i dziecięce ścisnęły się bolesną blizną.

Zeszedłszy ze wschodów, udał się do łoży konsierża i tam bez tchu wyrecytował z góry ułożone zdanie. Konsierz, spojrzawszy na Leona z miną hipoc-

kryty, sięgnął do swej szafy i z pod bielizny wyjął dziesięcio-frankówkę. Leon, poczuwszy pieniądze w dłoni, dopiero doznał prawdziwego uczucia upokorzenia. Konsierż nie wymówił ani słowa i to milczenie zrobiło na Leona większe wrażenie, niż cała serya targów lub zapytań.

Niemniej — pierwszy krok został na tej drodze zrobiony. Gdy Leon poprosił Kręckiego o pożyczkę, miał już pewniejszy siebie głos i spojrzenie.

Kręcki roześmiał się filuternie i pogroził Leonowi na nosie.

— Ja wiem, co pan z temi pieniędzmi zrobi... wyda pan bał dla socyalistycznych narodowców.

— Nie! — zaprzeczył gorączkowo Leon — to nie dla nich... to na pościel, na mieszkanie.

Już idąc, wymyślił sobie ową „pościel“ w razie, gdyby Kręcki pytał go, na co mu pieniądze potrzebne.

— To źle! — wyrzekł Kręcki — wolałbym, ażebyś pan wydał fix — zaprosił Wilhelminkę, Mażię, Grzegorzewskiego, jeszcze tam kogo, no... i mnie. Kupiłbyś ptifurów, magdalenek, jabłek, mandarynek i zabawilibyśmy się trochę.

— Ja nie dla zabawy pieniędzy w tej chwili potrzebuje.

Kręcki wyjął z portmonetki dziesięć franków i podał je Leonowi.

— Ja panu coś opowiem, tylko niech pan przedtem pieniądze weźmie.

Leon pieniądz wziął i zdawało mu się, że z jakiejś topieli wypłynął nagle na brzeg.

— Jeżeli pan chcesz dawać pieniądze partyi na cele wydawnictwa — zaczął Kręcki — to staraj się

pan zwalczyć tę chęć w samym początku. Później nie będziesz miał siły. Gdy cię to ogarnie, to już przejdzie po prostu w nałóg, jak pijaństwo, albo gra w karty. Ja przez dwa miesiące, jeszcze w kraju, byłem takim nałogowcem. Byłbym duszę sprzedął, aby tylko mieć pieniądze dla... sprawy. Ale się opamiętałem! I pan się opamiętaj, póki czas, inaczej będziesz ot... tak jak Grzegorzewski — zgubiony!

— O! tak być zgubionym, jak Grzegorzewski — tego pragnę z całej duszy — zawołał Leon z zapamiętaniem, ściskając w ręku dziesięciofrankówkę. Taka zguba to... życie!

— Piękne mi życie... on lada chwila z anemii umrze.

— Ale jego czyny żyć będą!

Kręcki ramionami wzruszył i palcem po czole postukał.

— Pańskie tymczasem czyny nie przeżyją podróży z Paryża do Moskwy, jeśli pan tak będziesz pilnował pakowania lornetek, jak wczoraj miało miejsce. Musiałem wszystko dziś rano przepakować i to w sekrecie przed Kwiatkowskim, aby na pana nie gderał.

Leon nie mógł się doczekać wieczora.

Od obiadu u Kwiatkowskich wymówił się i zgorączkowany z zupełnie pustym żołądkiem, pobiegł jak szalony w kierunku Glacjery. Nie miał nawet na omnibus trzech susów. Zaledwie dwa *su* plątały się w jego kieszeni. Biegł tak szybko, że roztrącał przechodniów i cały obłany potem, zaczął wspinać się po schodach, prowadzących do mieszkania Grzegorzewskiego.

Zastał u Grzegorzewskiego Mazię, Wilhelminkę i Barumzwajga, studenta medycyny, który zdawał już ostatnie egzamina i czekał na dyplom doktorski. Był to wysoki, suchy mężczyzna, mówiący prędko i cicho, brodaty o zarosłem nisko czole. Mówiąc, miał przyzwyczajenie szarpać gwałtownie brodę i targać ją niemiłosiernie, przyczem doznawszy bólu, szeptał przez zęby:

— O! psia krew!

I regularnie dodawał:

— Przepraszam.

Należał od dawna do partyi, choć przysług wielkich nie oddawał sprawie. Wiedziano o nim, że był uparty, odważny i imponował szczekaczom ogromem swojej postaci. Barumzwajg potrząsł silnie dłonią Leona i powiedział bardzo szybko, jakby go kto bił pięścią po karku:

— Jak się macie kolego!

Leon otarł pot z czoła i przybliżył się ku Grzegorzewskiemu, który nadzwyczaj zaafierowany, rozgorączkowany, jakieś pismo angielskie przeglądał.

— Proszę! — wyrzekł Leon półgłosem — oto manuskrypt i pieniądze.

— Co? jak? — zapytał Grzegorzewski nie odwracając głowy.

— Pieniądze na wydanie mej broszury!

— A! dobrze... połóżcie to wszystko tu pod przyciskiem.

Leon uczynił to, co mu kazano i widząc, że Grzegorzewski pograżył się znów w czytanie gazety, usunął się powoli w kąt pokoju. Mazia i Wilhelminka rozmawiały, stojąc przy pulkach i wybierając z nich jakieś książki.

Braumzwajg skręcał papierosa i niezwracał uwagi na nikogo z obecnych.

Leon, przywitawszy się z pannami, stał pod ścianą, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Inaczej zupełnie wyobrażał sobie tę chwilę, kiedy on zapowiedziane pieniądze na koszt wydawnictwa złoży. Przeszło to cicho, bez wrażenia. Leżały teraz te franki, tak mozolnie zbierane razem z dziesięciofrankówkami stróża i Kręckiego pod kawałkiem brukowego kamienia, służącego Grzegorzewskiemu za przycisk. Nikt o ofercie Leona nie wiedział, nawet Wilhelminka.

W Leonie wezbrał gniew i bunt. Postanowił pochwalić się. Zbliżył się do panien i wyrzekł półgłosem:

— Przyniosłem pieniądze na wydawnictwo!

— A! — wyrzekła Mazia.

Wilhelminka milczała, tylko dalej przewracała na pulkach książki.

— Trzeba oddać pieniądze Grzegorzewskiemu!

— Oddałem!

Mazia spojrzała na niego zdziwiona.

We wzroku jej wyraźnie czytać można było: — Jeżeli oddałeś pieniądze, komu należy, dlaczego nam o tem mówisz?

Leon nie mógł pogodzić poprzedniego uznania, z jakim się spotkał w chwili, gdy oznajmiał, że bierze na siebie druk swej broszurki, i zupełny brak entuzjazmu, z jakim powitano jego pieniądze.

Późniejsze dni mu tę zagadkę odkryły.

W tydzień później Leon otrzymał pensję w kantorze i nie mając jeszcze w swej duszy dostatecznego

hartu, pozwalającego mu wytrwać długo w życiu, złożonem z prywatności i odmawiania sobie koniecznych potrzeb, kazał stróżowi przynieść węgla, koksu i kupił sobie herbaty, cukru i spirytusu, postanawiając napić się herbaty. Dziwnym bowiem kaprysem natury, nagle ciepło, panujące we Francji, zmieniło się na zimno dojmujące a wieczorem zaczął padać śnieg dość gęsty — gość we Francji nieznany i budzący w Paryżu ogólne zdziwienie. Na ulicach zaroilo się od przechodniów, którzy wybiegli zobaczyć *comme il neige*. Leon, widząc śnieg, doznał dziwnego uczucia. Porwała go szalona tęsknota za krajem i za tym polskim małomiasteczkowym śniegiem, brudnym i rozplywającym się w kałuże. Potem mignęły mu przed oczyma szerokie płaszczyzny, całe białe, po których skaczą czarne wrony. I tylko w oddali ciemny wał lasu — a słupy telegraficzne sterczą, i tu i tam krzyż drewniany wyciąga swe ramiona. Co pod niem, pod tym krzyżem, na którym nie ma ani daty, ani napisu? Czyje szkielety śpią w mogilnej pobitkowej jamie? Kto się w proch rozsypie?

Moskale? Polacy?

Może i jedni i drudzy złączeni w majestacie śmierci?

Ach! ani Moskale ani Polacy. To już tylko popiół po ludziach, którzy wzajemnie wpychali sobie w pierś bagnety,

Tylko jedne bagnety były najeżdźcze a inne były obronne...

I wszystko ucichło, zastygło i znikło w mogilnej jamie.

Ziemię pokrył śnieg. Na wiosnę wyrośnie trawa, gdzieś tam polny kwiatek — krzyż będzie

wciąż wyciągał swe wielkie, miłosierne ramiona, niosące wspomnienie Chrystusa, a w oddali cicho tajemnie... zaszumią drzewa lasu.

Leon powrócił do swej izdebki i usiadł przy rozpalonym na kominku piecu. — Kupił sobie chleba, masła — kawałek sera. — I dopuścił się wielkiego zbytku. W kieszeni palta przyniósł sobie kilka jabłek, które dziecinne zdjęty pragnieniem zapragnął upiec przy kominkowym ogniu. — Nalał w maszynkę spirytusu i zaczął gotować wodę. — Jabłka wbił na patyczki i ustawił niedaleko ognia. Poczem przysunął krzesło i usiadł obok kominka.

Mieszkanie Leona, dzięki manii naśladowania Grzegorzewskiego, przybrało prawie identyczny wygląd z mieszkaniem lidera partii. Tak samo stał po środku — bliżej okien, duży stół zawalony gazetami i papierami. Leon kupował stare francuskie dzienniki, wiązał sznurkami i rozrzucał te paczki na stole i po kątach pokoju. Przytem książki, które mu nadesłano z Galicyi — gazety pożyczone przez Mazię — broszury zalegały pulki.

Kalamarz — pióra — słowem to wszystko, co się znajdowało na Glacierz w wielkiej ilości, tu w miniaturowym formacie zalegało kąty.

W drugim pokoiku — łóżko żelazne pokryte ubogim kocikiem — poduszka, stolik, zamiast komody — krzesło, umywalnia blaszana i na pace maszynka spirytusowa, szczotki do butów — szuwaks i znów gazety... gazety...

Leon z pewnego rodzaju zadowoleniem obejmował się dokoła: był u siebie, nie w hotelu, ciepło

miłe płynęło z kominka — i to uczucie zaczęło neutralizować trochę tęsknotę za polskim śniegiem.

Napiję się herbaty, zjem pieczone jabłka! — myślał z dziecięcą radością.

Nagle uczucie pustki przejęło go całego.

— Lepiej było pojechać na Glacière do Mazi albo Grzegorzewskiego. — Nie był u nich od czasu owego wieczora, w którym złożył na biurku Grzegorzewskiego pieniądze. — Coś go krępowało. Miał do nich trochę żalu i bał się, sam nie wiedział dlaczego spojrzeć im w oczy. — Lecz moc nałogu, przytem rozkochanie się w oczach Wilhelminy ciągnęły go znów na Glacière. — I zaczął myśleć głównie o niej i przyznał sam, że ona jest ideałem jego wyobraźni.

— Kocham ją! — szeptał szczerze, patrząc w ogień z wielką egzaltacją.

— Taka... cała w purpurze! — dodawał, kręcąc z zachwytem głową.

Odkrył bowiem przyczynę owego czerwonego światła, które biło taką łuną z jej okien. Purpurowy abażur pokrywał lampę. Ażur był jedwabny, koronką przystrojony. Leon kupił sobie także czerwony abażur, ale z taniej gniecionej bibułki.

— Niech będzie tak jak u niej! — wyrzekł z radością, zapalając lampę.

I dziś czerwony blask zalewa jego pokoik. Jest to odstępstwo od naśladowania Grzegorzewskiego, u którego jest zielona zasłona, ale tu romantyzm bierze górę nad polityką. Leona oczy bołą od czerwonego światła, znosi jednak mężnie ten ból, aby choć w części, choć barwą blasku mieć wspomnienie

tej, która mu jest droższą nad światy całe i nieodłączną od patryotycznej idei.

— Ach!... gdyby ona tu w tej chwili była!... — wzdycha biedny samotnik, obracając melancholijnie na patyczku jabłko.

Puk, puk — do drzwi — „puk“ delikatne, dyskretne, eleganckie.

Leonowi zdaje się, że to halucynacya.

Lecz pukanie powtarza się, drzwi się otwierają i w nich, ubrylantowana cała śniegiem, stoi Wilhelmina.

— Czy wolno?

Ma na sobie ten sam pluszowy żakiecik, kapelusik, woalkę i mufeczkę na łańcuszku, którą miała podczas pierwszej swej wizyty w kantorze Kwiatkowskiego.

Na mufce, na włosach, na rzęsach ma wszędzie gwiazdeczki śniegu. Stoi w progu, pochyliła ładnie główkę i pyta:

— Czy wolno?

Czerwone światło słało się jej pod stopy i świeciło dwoma ognikami na noskach lakierowanych bucików, które widać było z pod uniesionej sukienki.

Była wdziękiem, czarem, poezią, miłością, stojącą na progu mieszkania tęskniącego samotnika.

Leon wreszcie opamiętał się i porwał się z miejsca.

— To pani? pani?...

— Tak, ja. Cóż w tem dziwnego. Mazia przyjsć nie może, jest przy chorej, Grzegorzewski zajęty. Prosił mnie, abym poszła do pana w sprawie pana broszury... Czy mogę wejść dalej?...

— Proszę!... może pani usiedzie przy ogniu?

Drżąc cały, jak w febrze, zmieszany, prawie nieprzytomny, podsuwał krzesło tak blisko ognia, że zdawało się, iż lada chwila nogi się zapalą.

— Dziękuję panu, usiądę, choć ja tu przyjechałam tylko na chwilę.

— Dlaczego Grzegorzewski nie napisał, ażeby sam przyszedł. Taka straszna pora!

— Co pan mówi? Śnieg! To mój żywioł. Paśkami lubię śnieg. Przypomina mi Warszawę, karnawał. Ach! karnawał!...

Usiadła na krześle przy ogniu i jednym rzutem nogi strąciła mozolne rusztowanie, na którym piekły się jabłka.

Leon zarumienił się z obawy, aby strojna panna nie dostrzegła owych patyczków i jabłek, lecz Wilhelmina była cała zajęta strzepywaniem śniegu z mufki, z woalki, z obramowania sukni i nie spojrzała nawet na zniszczone dzieło rąk Leona.

— Nie pisaliśmy do pana, bo trzeba tę rzecz ustnie załatwić. Przedewszystkiem należy panu wytłumaczyć, o co chodzi, a powierzać to listom lub telegramom jest niebezpiecznie. Nie mogliśmy pana wzywać dopiero na Glacière, bo zależy głównie na pospiechu. Jutro rano musisz pan tę sprawę załatwić. Inaczej nigdy z tem wydawnictwem na czas nie zdążymy.

Zdjęła rękawiczki i rozciągnawszy delikatnie tiul woalki, suszyła go przed ogniem, zajęta cała fatalaszkami swego stroju.

Leon stał opodal, jak oniemiały, jak chłop, do którego chaty weszła w noc zimową cudna królewna z baśni.

Wilhelminka podniosła oczy i spotkała się z jego wzrokiem, w którym wyczytała to oglupiające uwielbienie. Otworzyła na wpół usta, jakby jakieś słowa zatrzymywała na uwieży i nawet pytająco patrzyła wprost w twarz Leona.

Poczem powoli znów zwróciła swój wzrok na tiul woalki i Leonowi zdawało się, że wyczytał w wyrazie jej twarzy niesmak i znudzenie.

— Czy pan jesteś sam? — spytała wreszcie studentka — czy tam nie ma nikogo?

— Nikogo!

— Tak!... ale ja także tego, co powiem, krzyżować nie mogę, aby mnie na kurytarzu słyszano. Niech pan weźmie krzesło i usiedzie blisko mnie.

Leon wyszedł do drugiej izdebki, przyniósł zepsute krzesło ze zdezelowaną jedną nogą i ostrożnie postawiwszy je, jeszcze ostrożniej usiadł na niem, starając się utrzymać równowagę.

Radość z przybycia Wilhelminy zatręła mu teraz dwie myśli: ser i masło prozaicznie rozłożone na papierze, na rogu stołu i owo krzesło, które lada chwila groziło wywróceniem się i rozciągnięciem go na ziemi na wzór siostry Ignasia.

Nagle... zastukano gwałtownie do drzwi.

Leon porwał się i zanim zdążył dojść do drzwi, już konsierż był w pokoju. W ręku trzymał jakiś list i z miną hipokryty szybko obrzucił bystrem spojrzeniem siedzącą najspokojniej w swym krześle Wilhelminę.

— Ten list może dla pana? — zapytał po francusku, wyciągając rękę z listem, na którym był adres innego lokatora.

— Cóż znowu? — zapytał niecierpliwie Leon — adres wyraźnie napisany. Czego pan chcesz tutaj?

— Myślałem, że to list do pana! — powtórzył i kierując się ku drzwiom, dodał — proszę mi wybaczyć, że wam przeszkodził.

Gdy wyszedł, Leon zamknął drzwi na zasówkę.

— Przepraszam panią! — wyrzekł rozgorączkowany — nie rozumiem, co się stało? konsierz nigdy listów na górę nie nosi.

— Och! to bardzo proste — wyrzekła spokojnie Wilhelmina — ten człowiek albo szpieguje z ciekawości, albo, jak to najczęściej w Paryżu bywa, na rachunek policyi i ambasady.

— Pani przypuszcza?

— O! jestem tego nawet pewną. Pan jeszcze nie masz swego anioła stróża, ale za to mój szpieg mnie tu odprowadził i zdał mnie prawdopodobnie pańskiemu konsierzowi. Śnieg jest, zimno, nie miał ochoty czekać na mnie na dole.

— Ależ to okropne!...

— Nie; do tego można się przyzwyczaić.

Leon nie chciał usiąść już na krześle, które odepchnięte przez niego w chwili wejścia konsierza, upadło z hałasem na ziemię i teraz prezentowało się fatalnie z jedną nogą wiszącą i sprężynami, które wyłaziły u spodu. Przytem Leon od pewnej chwili był trapiiony myślą ofiarowania Wilhelmince szklanki herbaty, lecz nie wiedział, jak tę propozycję sformułować. Łyżeczki były cynowe, nie miał serwetek, cukier był w papierze. To paraliżowało jego zamiary. Gdyby to była Mazia, nie Wilhelmina, potrafiłby grać rolę gościnnego gospodarza. Lecz elegancja Wilhelminy onieśmiałą go szalenie. Tym-

czasem Wilhelmina wysuszywszy wualkę, zabrała się do spełnienia swej misji.

— Siadaj pan — wyrzekła — niechże nareszcie opowiem panu, o co chodzi.

Leon obejrzał się z rozpaczą. Na czymże miał usiąść, kiedy nie było na czym? Jedyne krzesło zajęła Wilhelmina, drugie rozbite leżało na ziemi.

— No... siadajże pan! — powtórzyła niecierpliwie piękna panna.

I rozpacz natchnęła Leona wcale ładną myślą. Nagle, nie namyślając się, osunął się na ziemię i usiadł na podłodze z niezgrabnym wdziękiem zażenowanego podrostka.

— Już siedzę! — wyrzekł, prawie dziewczęcym głosem.

Wilhelmina roześmiała się wesoło.

— Lubi pan siedzieć na ziemi?

Leon uczuł się dumnym ze swego pomysłu.

— Pasyami!

— Ja także często siadam u siebie przed kominkiem na dywanie!

To „na dywanie“ popsuło radość Leona. W tej chwili za najnudniejszy dywan przed kominkiem, oddałby pół pensji w kantorze.

— Jeszcze nie urządziłem mieszkania... — zaczął tłumaczyć nieśmiało.

— Sluchajże więc pan, z czym ja tu przyszam. Broszura, jako peryodyczne wydawnictwo, musi być podpisana przez jakiegoś Francuza, jako żeranta. To konieczne. Inaczej drukarnia nie będzie drukować...

— Skądże ja takiego Francuza wezmę?

— Podpisze Durozier.

— Któż to jest Durozier?

— To właściciel małej księgarni, socyalista. On zawsze nam swoje nazwisko pożycza.

— Trzeba mu za to będzie zapłacić?

— Broń Boże! On się obrazi. On nam oddaje ogromne usługi i bardzo nam jest pomocny w sprawie. Czyni to z zasady, z przekonania, nie dla interesu. Trzeba, ażeby pan z nim był bardzo grzeczny, bo on nas wszystkich, niestety, trzyma w ręku. Nie powiem, ażeby od czasu do czasu nie wypadło u niego coś w sklepie kupić... ale to wobec przysług, które nam oddaje, jest drobnostką. Pieniędzy jednak Durozier nigdy nie bierze.

— A czemu mu się za książki płaci? — zapytał naiwnie Leon.

— Czemu?... pieniędzmi. Ale to przy kupnie za towar, ale nie za... firmę.

— Gdzież on mieszka?

— Rue Monffetard, 58. Niech pan jutro rano do niego idzie.

Obejrzała się dokoła i jakby przez grzeczność wyrzekła:

— Bardzo tu przyjemnie!

— O, nie to, co u pani! — zawołał Leon z zapalem.

Wilhelminka uśmiechała się zadowolona.

— Nie umiałabym żyć bez konfortu — wyrzekła, — byłam do tego przyzwyczajona od dziecka. Muszę być zawsze ładnie ubrana i ładnie mieszkać. Bez tego żyć bym nie mogła!

I ładna socyalistka przybrała minę łakomej i tłustej kotki.

— I gdy pomyślę, że są kobiety, które prawie niedbają o to, co Moskale nazywają „obstanowka“, dochodzę do przekonania, że w takich kobietach niema artyzinu. Prawda?

— O tak! — z całym zapalem potwierdził Leon.

— Nie chcę źle mówić o moich koleżankach — ciągnęła dalej studentka — ale te panny, chodząc na wykłady w barankowych czapkach i kaloszach, dają fatalne wyobrażenie o naszym kraju. Powinnyby *pro honore domus* dbać więcej o siebie. Nie uwierzy pan, jak się francuscy studenci z nich śmieją.

I z rodzajem przechwałki dodała:

— Mnie nikt za Polkę nie bierze. Wszyscy mówią, że mam szyk paryski.

— Pani jesteś bogatą — wtrącił w formie uwagi Leon.

— Och! tu nie chodzi o bogactwo, ale o szyk, o sznit, o gust. A zresztą biedne panny nie powinny przyjeżdżać na medycynę.

Leon spojrział na mówiącą z wielkim zdziwieniem.

— Biedne nie — tylko bogate? — zapytał — a cóż bogatym po tym kawalku chleba i dyplomie? Wszak one tego nie potrzebują.

— Ach, Boże! mówisz pan jak dziecko. Skończyć medycynę w Paryżu, to rzecz bardzo kosztowna. Już jeżeli przejść całe kursa, to należy uczynić z rozgłosem, szykiem i reklamą. Na to trzeba po ludzku wyglądać, ubierać się dobrze i przyzwoicie mieszkać. Też trzeba bronić całą pompą — inaczej wszystko sensu nie ma. A przytem to jeszcze nie wszystko. Trzeba się bardzo elegancko zainstalować, zaimportować Francuskom urządzeniem poczekalni i gabinetu

i mieć na tyle pieniędzy, aby mógł spokojnie czekać na klientów. Przebierać klientelę, nie brać tak jak Mazia piekarek i rzeźniczek, ale znaleźć dystyngowane *quartier* i w niem się osiedlić.

Mówiła to wszystko spokojnie, trzeźwo, z chłodnym spokojem i Leon odczuwał straszne wrażenie zimna, jakie ze słów jej wiało. Nie chciał widzieć w niej zwyczajnej studentki, goniącej za karierą, a cały ton wreszcie, treść słów, utrzymywały go w tem mniemaniu.

— Jeżeli pani jest bogata, po cóż pani bogata klientela? — zapytał wreszcie.

Wilhelminka śmiać się zaczęła długim, zagadkowym śmiechem.

— Po co?... — wyrzekła, przeciągając się jak kotka — po co? och! od przybytku głowa nie boli.

Z jej ust to trywialne przysłowie szarpnęło całym Leonem.

— Chyba dla tego, aby mieć więcej na partyjne cele — rzucił pośpiesznie i rozpaczliwie, jakby broniąc się przed demonem zwątpienia, który ogarnął jego duszę.

Wilhelminka popatrzyła na niego z ukosa i sprytem kobiecym odczuła, co się w nim działo.

— Zgadłeś pan! — wyrzekła — chodzi mi o pomoc partyi, o rozszerzenie naszego działania, o... wszystko.

I zaraz zaczęła mówić o Grzegorzewskim z entuzjazmem trochę sztucznym i wracała ciągle, uparcie do jego wielkiej urody.

— Co za profil! — powtarzała — czy uważał pan jego profil. A oczy!... marzące, olbrzymie, cza-

sem znów płoną jak iskry. Ja jestem formalnie zakochana w piękności Grzegorzewskiego!

Gawędziła tak, widocznie nie mając ochoty oderwać się od ognia i wychodzić na zimne powietrze. Leon uszczęśliwiony rzucał na nią chwilkami ukradkowe spojrzenia. Prosto w jej oczy patrzeć nie śmiał.

Wreszcie Wilhelminka zaczęła upinać na twarzy woalkę, wkładać rękawiczki i powstała z miejsca z wielką gracyą. Zachowanie się jej w tem kawalerskiem mieszkaniu było ogromnie swobodne i widocznem było, że postępek swój uważała za rzecz zupełnie naturalną i właściwą. Leon z pośpiechem włożył palto.

— Odprowadzę panią do omnibusu Saint Jacques.

— O nie! — wyrzekła studentka — ja pojedę dziś dorózką. Ostatni omnibus Saint Jacques musiał już odejść. Zasiedziałam się u pana.

Gdy wyszli przed dom, zatrzymali się oboje olśnieni.

Śnieg padał wciąż dużymi płatami i pokrył zupełnie ulicę tak, że nawet zatarł zupełnie ślady tro-tuarów.

Cisza była zupełna.

Po ulicy Coulaïnssourt, pnącej się ku wyżynom Montmartru nie szedł nikt, nie jechała ani jedna dorózka.

Z wielką ostrożnością Leon i Wilhelminka iść zaczęli, brodząc w śniegu po kostki. Pod śniegiem flizy stały się szalenie śliskimi. Co chwila któreś z nich ślizgało się, chwytając się instynktownie ramienia swego towarzysza. W ten sposób przebrnęli

most zawieszony nad cmentarzem. Nigdy cmentarz nie był tak biały, tak cichy, jak w tej chwili.

— Bardzo szykownie pan mieszka — wyrzekła Wilhelmina — nad cmentarzem! To bardzo nastrojowe!

— Wolałbym w tej chwili mieszkać na Glacierre.

— Dlaczego?

— Byłaby pani prędzej w domu.

— Chce się pan mnie pozbyć?

Leon zaprotestował gorąco.

— O! jak pani może nawet to przypuszczać? Jeżeli to mówię, to tylko ze względu na panią. Zima, śnieg. Pani przemoczy nogi, a stąd na Glacierre w doróźnie nawet godzina drogi.

— E! dostaniemy na placu Clichy dorózkę i niedługo będę w domu.

Lecz na placu Clichy nie było ani jednej dorózki.

Omnibusy wskutek strasznej ślizgawicy, tem zdradniejszej, że konie w Paryżu bywają niekute, przestały kursować zupełnie. Tramwaje także zawiesiły swój ruch z powodu zupełnego i ciągłego zasypania szyn.

Wilhelminka i Leon zatrzymali się na środku pustego placu i widocznem było, że studentka drzeć zaczyna od chłodu i wysiłku, z jakim brodzić musiała wśród śniegu.

— Co my poczniemy? — zapytał Leon.

— Idźmy w dół ku Trinité, może spotkamy dorózkę.

Szli więc, ale coraz wolniej, gdyż Wilhelminka miała cieniutkie obuwie i to przemokło na wskrós i utrudniało jej brodzenie wśród śniegu.

Na ulicy Clichy spotkali kilku przechodniów, którzy klnąc, złoścąc się wymijali ich, padając co chwila w śnieg, to znów co chwila się podnosząc.

Mimowoli ogarnął ich śmiech na widok tych Francuzów, którzy zostali pokonani z taką łatwością przez miękki puch śniegowy.

— Pogromca Napoleona — śmiała się Wilhelminka.

Lecz nie dokończyła jeszcze zdania, a już potknąwszy się, upadła i z pomocą przerażonego Leona powstawszy, śmiać się nie przestawała.

— A co? Jak się rozciągnąwszy? — mówiła, przedrzeźniając siostrę Ignasia.

Lecz widocznem było, że cała drżała, odwaga ją opuszczała pomimo, iż pokazać nie chciała stanu przygnębienia, jaki ją ogarniał.

Leon jednak odczuł i zrozumiał wybornie, co się musiało dzieć z tą elegancką i lekko ubraną dziewczyną. Był w rozpacz. Miał ochotę porwać ją na ręce, nieść wśród śniegu, lecz nie śmiał. Szedł obok niej, cisnąc jej rękę swoim ramieniem. Wilhelminka powoli przestała się śmiać. I gdy oboje wydostali się na plac Trinité, pusty i cały biały od śniegu, Wilhelminka oparła się o balustradę kościoła i zmienionym głosem wyrzekła:

— Nie mogę iść dalej!

Stali tak naprzeciw siebie bezradni, z rękami zwieszonemi, a śnieg padał coraz gęściej, mocząc ich twarze, włosy, ręce, odzież.

— Co począć? — powtarzał Leon, podczas gdy Wilhelmina z nerwowem rozdrażnieniem powtarzała:

— Nie mogę iść dalej!

Nagle coś z ulicy Chateaudun zabłysło i powoli sunąć zaczęła ku nim dorożka. Woźnica szedł obok konia, prowadząc go za uzdę. Kierował się ku Montmartrowi przez ulicę Clichy. Koń potykał się co chwila. Woźnica kłął i podtrzymywał biedne zwierzę.

Leon podbiegł ku dorożce w nadziei, że woźnica zgodzi się odwieść Wilhelminkę na Glacière, lecz ten posłyszawszy propozycję Leona, obrzucił go stekiem obelg i wymysłów, mszcząc się w ten sposób chociaż za ów śnieg, który dla niego był klęską, katastrofą syberyjską, trudną do przeniesienia.

Napróżno Wilhelminka ofiarowywała woźnicy dziesięć franków za odwiezienie na ową Glacière, — woźnica nie raczył nawet odpowiedzieć na tę ofertę i zaczął powoli wspinać się na ulicę Clichy.

I znów pozostali oboje, sami na pustym placu, wśród wymarłego miasta, podobnego do owego zasypanego śniegiem cmentarza.

I znów on powtarzał bezradnie:

— Co począć?

A ona coraz ciszej skarżyła się, jak dziecko:

— Nie mogę iść dalej!

Wreszcie, w chwili, gdy już pogrążał się w ostatniej rozpacz, panna wybuchnęła dziecinnym, wesołym śmiechem.

— Jacy my jesteśmy nierozsądni. Stoimy tu i marzniemy, Bóg wie, czego. Wrócę się po prostu do pana i doczekam ranka.

— Prawda!

I porwawszy się pod rękę szybko iść ulicą Clichy zaczęli. Razem ze zmoczeniem grzywki i bućków, Wilhelminkę opuszczać zaczynała ciąga troska

o szyk i pozę. Weselość jej udzielała się Leonowi. Był tak szczęśliwy, iż zdawało mu się, że go niosą po śniegu anieli. Odważał się otulać Wilhelminkę, drżącą ręką nawet poprawił kołnierz jej żakietu i pod pozorem zdjęcia zmoczonej woalki, dotknął jej włosów.

Wreszcie po długiej i mozolnej drodze, dobili się do ulicy Damremont.

Wchodząc po wschodach, Leon stąpał cicho, zdjęty wrodzoną hipokryzyą męską. Natomiast Wilhelmina szła głośno, śmiejąc się i szeleszcząc suknią. Idąc, powtarzała ciągle.

— Ach, Boże! byle tylko ogień nie wygaś.

Gdy weszli do pokoju, światło lampy, ciepło, bijące z kominka, na którym płonął jeszcze koks, przejęło ich radością. Zaraz Wilhelmina zaczęła suszyć nogi, woalkę, rękawiczki, żakiecik. Śmiejąc się, powtarzała ciągle:

Niech pan na mnie nie patrzy, muszę być straszna z temi rozfryzowanemi włosami!

— Straszna?

Boże! Jemu zdawała się aniołem piękności. Gdy zdjęła żakiet, pozostała w białej, jedwabnej, cieniuchnej bluzce, spiętej na guziczki, ozdobione fałszywymi brylantami. Przez cieniuchny fular bluzki przebijał niziutki lila gorset, różowe ciało i białe koronki koszuli. W stanie bluzka była ściśnięta aksamitnym, fioletowym paskiem, zakończonym śliczną, oksydowaną klamrą, przedstawiającą pajaka na rozpiętej pajęczynie. Po raz pierwszy Leon ogarnął tak wzrokiem i zapamiętał szczegóły stroju Wilhelminki.

Prawda, że po raz pierwszy widział ją tak naturalną, wesołą i taką... sobą.

Zaądała lusterka i wyjętym z włosów grzebykiem przeczesała gładko na dwie strony zmoczone włosy, które trochę przesuszała przy kominkowym ogniu.

Natychmiast, w tem obramowaniu ciemnych pasem, twarz jej zmieniła się zupełnie i przybrała dziewczęcy, skromny, czarujący wyraz. Foremne rysy twarzy wyszlachetniały, twarzyczka zmniejszyła się w niezwykle sposób.

Resztę włosów związała w duży węzeł i upięła nisko na karku. Leon dostrzegł wówczas, jak doskonały, jak śliczny miała kształt głowy. I gdy usiadła na krześle, koło ognia, który staraniem Leona zapłonął jaśniej i goręcej i przymknawszy oczy, odpoczywała trochę błada i znużona, śladu w niej nie było tej bezmyślnej, trochę aroganckiej, kokieterii, jaka dawniej przebijała się w każdym jej kroku.

Leon zdobył się na wielką odwagę, na krok stanowczy i cichym, nieśmiałym głosem spytał.

— Napije się pani herbaty?

— Chętnie... zmarzłam strasznie. Niech pan mi zrobi herbaty.

I znów przymknęła oczy i pozostała tak nieruchoma w blaskach ognia i świetle lampy.

Leon wyszedł do drugiego pokoiku i tam drżącymi rękami zaczął przygotowywać herbatę. Ile wody wylał, jak strasznie się oparzył, on jeden wiedział tylko. Wreszcie spocony, zmęczony, jakby drwa rąbał, przyniósł Wilhelminie szklankę herbaty,

cukru w papierze i trochę ciastek, nazwanych magdalenkami.

Ona, ocknęła się ze swej zadumy i z wielką wdzięcznością przyjęła ciastka i herbatę. Zaczęła jeść i pić z wielkim wdziękiem, tak jak umie to czynić ładna kobieta. Leon ośmielił się ukłknąć przy niej i trzymał w swych dłoniach spodeczek, na którym Wilhelminka szklankę co chwila stawiała. Klęcząc tak naprzeciw niej, z wyrazem zachwytu na zgorączkowanej twarzy, był tak naiwnie ładny, że Wilhelminka patrzyła na niego z pewną przyjemnością.

— Pan wyglądasz w tej chwili jak paż średniowieczny — wyrzekła z uśmiechem.

A po chwili dodała.

— Ile pan ma lat?

— Dziewiętnaście!

— A!... jaki pan młody!

Była w jej głosie nuta żalu, jakby za ubiegłą dla niej dziewiętnastą wiosną, lecz Leon odczuł jej słowa inaczej. Sądził, że zdziwiła się, iż jest tak młody.

— Ale ja przeszedłem wiele w życiu — dodał pośpiesznie — i jestem o wiele starszym moralnie, niż pani przypuszcza.

— Każde z nas dużo przeszło w życiu! — wyrzekła twardo studentka — przeszło i przechodzi...

Gdyby Leon przyjrzał się uważniej jej twarzy, dostrzegłby, jak razem z temi słowami postarzała się na pozór młoda twarzyczka Wilhelminy, lecz on zaprzeczył gorąco.

— Pani przeszła co w życiu? Pani jest przecież dzieckiem szczęścia.

Ona powtórzyła z pewną goryczą w głosie:

— Dziecko szczęścia!

— Przecież pani bogata, młoda, piękna — do pani się życie śmieje i śmiało od kołyski...

— Co pan wie, co pan wiedzieć może!

— Tak sądzę...

— Sądzisz pan powierzchownie, jak wszyscy.

Wypiła resztę herbaty — i nagle zmieniając ton, dodała:

— Rozgrzałam się trochę.

— Ja pani jeszcze przyniosę herbaty — zawołał Leon.

Odchodząc, miał straszną pokusę pocałować rękę Wilhelminy, która bielą na ciemnym tle sukni. Lecz nie śmiał. Poszedł więc do drugiego pokoiku i tam znów zaczął walczyć z wodą i ogniem, aby przynieść studentce szklankę gorącego napoju.

Gdy powrócił, Wilhelmina czytała przy ogniu kominkowym jakiś list. Słyszając wchodzącego Leona, zwróciła się ku niemu, wyciągając rękę z owym listem.

— Przeczytaj pan — wyrzekła — i powiedz mi, co o tem sądzić należy!

I szybko dodała w formie usprawiedliwienia:

— To jedna z moich koleżanek otrzymuje niemal codziennie podobne listy... prosiła mnie, aby zapytać się kogokolwiek... obcego... nie znającego ani jej, ani osoby, która pisze, co można wywnioskować z podobnego listu.

Leon postawił herbatę na stole i dziwnie zmieszany, wziął list do ręki.

Zaczął czytać po cichu, przysunawszy się do lampy i zaraz pierwsze słowa dały mu do poznania, że jest to pismo zakochanego do szaleństwa człowieka.

„Vous êtes venu de bien loin pour me faire souffrir“...

Mówiły słowa listu.

„Przyszłaś z bardzo daleka, aby mi kazać cierpieć“!...

Leon nie mylił się. List ten był pisany do Wilhelminy, on to czuł, on tego był pewien.

Co więcej, tamten drugi pisał to samo, co on powiedziałby tej strojnej dziewczynie, gdyby mógł, gdyby śmiał.

Skończył czytanie listu i drżał cały jak liść. Zimno przebiegało jego ciało — głowę zdawały się trzymać w szponach jakieś straszne kleszcze.

Ocucił go głos Wilhelminy.

— Co pan sądzisz o autorze tego listu?...

A on — głosem sennym — dziwnym, który go przeraził — tak jakby pochodził od kogo innego, nie od niego samego.

— Sądzę, że i on panią bardzo kocha!

— Och!... i on! Mówi pan tak — jakby byli inni...

Czekała na odpowiedź, lecz na próżno. Leon już odwagi nie miał. Czując się odgadniętym — przeraził się, lękał się obrazić ją zbyt jasnym słowem.

Lecz ona się nie obraziła.

Owszem — jakiś złośliwy ogień zagrał w jej przygasłych oczach. Uśmiech okraszył wargi.

Wyciągnęła rękę po list i odbierając ową ćwiartkę papieru, pytała dalej.

— Czy pan sądzi, że to jest uczucie... seryo! Leon paznogciem stół krajał.

— Ja sądzę... — odparł powoli i cicho — że każde uczucie, które pani wzbudza, musi być... seryo — Och !...

Piękna panna zaczęła śmiać się przeciągle i tak dziwnie, że Leonowi śmiech ten szarpał serce na strzępy.

Zdawało mu się, że ona, odgadłszy jego uczucie, wyśmiewa się teraz z niego i traktuje tę miłość jak fraszkę, jak głupstwo, jak wynik studenckiej fantazyi.

I nie mogąc mówić otwarcie, wziął w obronę nieznanego autora listu.

— Nie wiem co do innych! — wyrzekł, nie patrząc na Wilhelminę — ale co do tego człowieka, który list ten pisał, zaręczyć mogę, że kocha panią gorąco, poważnie i na seryo. On gotówby całe swe życie złożyć u stóp pani, on gotówby...

— Dziękuję! — przerwała Wilhelmina — o to mi tylko chodziło. Chciałam wiedzieć, jakie wrażenie robi na niezsutem i młodem, jak pańskie serce, podobny list.

I zwijając ów liścik, zasunęła go za fałdy bluzki.

Ogrzana, syta — poprawiła się na krześle i odwróciła się teraz ku Leonowi, jak dziecko, które zabiera się do wbicia pojmanego motyla na szpilkę.

— A pan... byłbyś zdolny napisać list podobny?

— Do pani?

Ten naiwny wykrzyknik wprowadził Wilhelminę w doskonały humor.

— No, przypuśćmy, że do maie.

Leon milczał zmieszany, oglądając się rozpaczliwie za jakąś pomocą.

— Może pani wypije herbatę? stygnie — wykrztusił, podając jej szklankę z herbatą.

— Chętnie... ale pod warunkiem, że mi pan znów za pazia służyć będzie.

Leon ukląkł, ale ręce mu tak drżały, że herbata wylewać się zaczęła.

— Co panu jest? Czy panu zimno? — pytała studentka.

— Tak... tak... widocznie się przeziębilem.

— Niechże pan wypije tę herbatę... proszę... Ja pana będę poić łyżeczką, jak małe dziecko... Sza, ani słowa. Królowa każe — paż słuchać musi.

I bardzo delikatnie wlewała mu w usta łyżeczki herbaty jedną po drugiej, które on przelykał, choć herbata była bez cukru i parzyła mu gardło. Ona umyślnie przedłużała tę zabawę, którą zabijała po prostu czas, w chęci doczekania się świtu.

Wreszcie znudziła ją rola nianki — położyła łyżeczkę i ziewać zaczęła.

— Jestem senna! — wyrzekła, chyląc głowę jak kwiat o zachodzie słońca.

— Może się pani położyć? — zaproponował nieśmiało Leon — w tamtym pokoiku jest moje łóżko. Drzwi pozostawię otwarte, ciepło w ten sposób będzie jednakowe. Zresztą mam jeszcze węgle...

— A pan?

— Ja będę tutaj siedział i dokładał węgli do ognia.

— Dobrze!

Wstała nagle, zmorzona snem, jak małe dziecko. Przeszła przez pokój prawie z zamkniętymi oczami i stanęła na progu. Włosy jej się rozpuściły zupełnie i spływały czarną lawiną po białej bluzce. Tu i owdzie miała na nich i na sukni poczepiane fiolki, które wypadły jej widocznie z mufki. Stanęła na progu, otworzyła powoli swe ogromne, czarne oczy i rzuciła sennym, cichym głosem:

— Dobranoc!

Poczem znikła we drzwiach.

Leon długą chwilę wpatrywał się w te drzwi otwarte. Wreszcie wziął z pulki pierwszą lepszą książkę i dorzuciwszy węgla do ognia, usiadł na krześle przed kominkiem.

Chciał czytać, lecz czytać nie mógł.

Ogarnęło go jakieś wielkie, nieznane mu wzruszenie. Zdawało mu się, że ta śpiąca w drugim pokoju dziewczyna, jest na jego łasce i pod jego opieką — że on odpowiada, nie tylko za spokój jej snu, ale za jej istnienie.

Dokoła była wielka cisza i Leon, położywszy książkę, ukrył twarz w dłonie.

Och! chciałby, aby ta noc przedłużała się w nieskończoność. Chiałby tak wieki całe przesiedzieć na straży koło tej śpiącej królowej — on giermek, paź — rycerz, broniący do niej dostępu zimnej rzeczywistości. Jeśli śni w tej chwili o szczęściu, toć on jej sprowadził te błękitne sny pragnieniem swego serca. Jeśli zapomina o tem, co przeszła (jak sama mówiła), toć jego uczucie szczere i gorące, odpędza precz czarną marę niedobrych i dręczących wspomnień.

— Śpij!... — szepta egzaltowany marzyciel — śpij... ja czuwam nad tobą!

Czysta, jasna, promienna, młodzieńcza była ta noc.

I gdy świt wstał nad Paryżem zaśnieżonym i białym — Leon powitał go jak wroga. Ten świt zbudzi śpiącą królową i każe jej związać płaszcz włosów w modną fryzurę, a on paź, giermek, rycerz, uwolniony ze swego posterunku, pożegna ją i pozostanie znów sam ze wspomnieniem tej nocy, która po sobie w jego i jej życiu pozostawi wrażenie nieskalanie pięknego klejnotu.

We drzwiach pokoiku stanęła Wilhelmina, bardzo biała i bardzo znużona.

Leon oczekiwał na nią, lecz był tak jej pełen przez marzenie tych kilku godzin, że nie śmiał odezwać się do niej, nie śmiał zapytać, czy dobrze spała.

— Idę do domu... już omnibusy i dorożki kursują. Słyszę dzwonki tramwayów...

Zaczęła się pośpiesznie ubierać. Czemprowadzając zakryła woalką swoją twarz znużoną.

— Uciekam! niech pan nie zapomni być dziś u Durosiera.

Już będąc na progu, zatrzymała się i jakby do siebie — bezwiednie rzuciła:

— Jaka to była dziwna noc!

I wyszła.

XVI. Socyalista francuski i siedemdziesiąt trzy tomy Voltaire'a.

Nie upłynęło dziesięciu minut od wyjścia Wilhelminy, gdy zastukano do drzwi Leona.

— Proszę wejść! — zawołał Leon.

Wszedł Kręcki. Miał na sobie grube, zimowe, warszawskie palto. Był w doskonałym humorze.

— Śnieg! Śnieg! — wołał od progu — przypomniała mi się Warszawka i śnieżne barykady na Marszałkowskiej ulicy, pączki, które struś może strawić, kręciółki u państwa Wiercińskich, czyszczenie fraków benzyną i walka z krawatem, który gwałtem leci do ucha.

Obejrzał się dokoła i spostrzegając niedopitą herbatę, ciastka, ser, ogień na kominku:

— Ho! ho! ślady orgij! młodzieńcze zaczynasz się puszczać!

Lecz Leon, sądząc, iż uratuje sytuację, odparł naiwnie:

— Wcale nie. Był tu ktoś z kolonii... śnieg padał w nocy... nie było dorożki... więc przesiedzieliśmy do rana.

— A ja wiem, kto był ten ktoś! — zawołał Kręcki.

— !!!

— Panna Wilhelmina.

— Wcale nie.

— Wcale nie? Spotkałem ją na placu Clichy. Opowiedziała mi wszystko. O tem, jak mazgaju jakiś, stałeś na placu Trinité i powtarzałeś „co począć“... o tem, jak zrobiłeś jej herbaty, jak się potem porządnie przespala — słowem powiedziała mi wszystko.

Leon milczał.

Sądził, że ta bytność Wilhelminy będzie przede wszystkim partyjnym sekretem, a potem pragnął, aby wspomnienie tej dziwnej nocy, nie zostało zartarte drwinami i żartami ludzi obcych.

— Bardzo dobrze zrobiła Wilhelmina, że mi szczerze wszystko opowiedziała — ciągnął dalej Kręcki — ona jest bardzo rozumna, przebiegła — nie skompromituje się nigdy niczem, gdy potrzeba zagra szczerą i otwartą — słowem, robi wszystko to, co robi panna, chcąc wydać się za jakąkolwiek cenę za męża.

— Ona?

— Tak! tak — ona! — Czy pan sądzisz, że ona tu po co innego przyjechała do Paryża? W Warszawie nie wiem dla jakich przyczyn nie miała widoków — więc skorzystała z manii jeżdżenia na medycynę, i tu zadaje szyku jako studentka i... działaczka. Może być, że złapie coś w swe sieci. Mówiono mi już nawet o jakimś Francuzie, studencie medycyny, ale to gruba ryba, człowiek bogaty... tylko, Wilhelmina sprytna i potrafi sobie z Francuzem dać radę!

O! śpiąca królowo! śpiąca królowo.

Leon patrzył dokoła, jakby chcąc pozbierać szczątki czarnej minionej nocy i z nich wziąć mur

dość silny, który potrafiłby zasłonić go przed sarkazmem Kręckiego.

Lecz Kręcki był już na progu drugiego pokoju i zaczął śmiać się ironicznie.

— Chodź no pan tu — spojrż pan, jaka to mądra i dowcipna paniusia. Niby tak z niechcenia, a pozostawiła na poduszce, na kołdrze fiołki. Ona i pana kokietuje... najlepszy dowód.

Leon z bladego jak ściana, stał się purpurowy.

— Kto panu pozwolił obrażać pannę Wilhelminę? — krzyknął — fiołki miała panna Wilhelmina poczepiane na włosach i na całym ubraniu. Pozostały na pościeli wypadkiem, a nie pozostawiono ich z umysłu!

I rzucił się na te zgniecione kwiatki, pozbierał je i powrócił z niemi do pierwszego pokoju. Za nim poszedł Kręcki i ironicznie na niego patrzył.

— No!... dalej! — wyrzekł — wrzuc je pan do ognia, jeśli rzeczywiście intencji w pozostawieniu tych kwiatów nie było.

— Ale pan tego nie zrobisz — dodał po chwili — bo pan sam czujesz, iż popełniłbyś w swoim przekonaniu rodzaj świętokradztwa, niweczając to, co z myśłą o panu pozostawionem tu zostało!

Leona przejęła myśl dziecinno-bohaterskiego poświęcenia.

— Widzi pan, że się mylisz — wyrzekł, wrzucając zwiedle kwiaty do kominka, w którym tlały jeszcze resztki węgla.

Zdawało mu się, że w ten sposób ocala honor śpiącej królowej.

Kręcki wzruszył ramionami.

— E! to mnie nie przekona! — wyrzekł. — Pan pocieszasz się myślą, że znajdziesz jeszcze inne na pościeli lub na ziemi. A teraz — umyj się pan, ubierz i chodź za mną wprost na Faubourg Saint Antoine. Muszę tam pana zarekomendować firmie Durand jako mego reprezentanta. Będziesz tam dziś cały dzień obecny przy ładowaniu termometrów, potrzebnych do Władywostoka. Chodź pan!...

— Ja przyjdę do kantoru!

— Nie trzeba. Tam siedzi Kwiatkowski. Chodzi o pośpiech, dlatego po pana zaszedłem. No... jazda zakochany szaleńcze.

— Zakochany? w kim?

— W Wilhelmince!

— Pan oszalałeś. Pomiedzy mną a panną Wilhelminą zachodzi tylko przyjaźń partyjna — nie więcej.

Leon wymówił te słowa z pewnego rodzaju pompą i napuszeniem.

— Z jej strony — odparł Kręcki — wierzę, ale z pańskiej nie... nie!

Pojechali razem tramwajami na owo przedmieście św. Antoniego, oddalone bardzo od ulicy Dameront. Leon był ciągle zgorączkowany i egzaltowany. Zdawało się, że urok dziwnej nocy nie chciał go opuścić nawet wśród gwaru Paryża. Przytem przemysliwał, jakby się wymknąć Kręckiemu i wydostać na ową ulicę Mouffetard do sklepu p. Durosier, który miał mu pożyczyć swą firmę dla wydania broszury. Dopiero udało mu się skorzystać z dwóch godzin wolnych, pozostawionych robotnikom na śniadanie. Jak szalony pognął za omnibusami idącymi w stronę ulicy Saint Jacques.

Wreszcie po godzinnej jeździe wy dostał się na ową ulicę Mouffetard i odszukał sklep p. Durosier, socjalisty francuskiego, który tak bezinteresowne przysługi oddawał polskiej narodowej partyi.

Był to mały sklepik, ciemny i cały założony staremi książkami i gazetami.

Drzwi przejściowe przedzielone na pół, stanowiły rodzaj okna wystawowego. W oknie tem leżało kilka książek w starej różowej oprawie, a na szybie przyklepiono kartkę z francuskim napisem:

„Tu można kupić siedmdziesiąt trzy tomy Voltaire'a. (Stare, ilustrowane wydanie)“.

Nad drzwiami szyld z napisem: *Librairie Durosier fils*.

Gdy Leon wszedł do środka sklepu, zastał drzemiącego w fotelu małego, siwego człowieka, który spał tak mocno, że Leon musiał trącać go kilkakrotnie, zanim spiący się przebudził. Wreszcie właściciel sklepu i siedmdziesięciu trzech tomów Voltaire'a otworzył oczy i natychmiast przyszedł do równowagi, obrzucając Leona ciekawem, bystrem i chytrem spojrzeniem.

— Vous désirez?

Leon przyciszonym głosem — powołując się na Grzegorzewskiego, Mazię, Wilhelminkę, zaczął objaśniać rzecz całą. Lecz jakież było jego zdziwienie, gdy Francuz z chytrą miną oświadczył, że on nie zna wymienionych osób.

— Nie znam nikogo! — mówił dobitnie — pierwszy raz słyszę nazwiska tych pań i tego pana. Przynajmniej pierwszy raz powinienem je słyszeć,

Z ostatnich słów Leon zrozumiał, że popełnił błąd, wymieniając inne nazwiska i że powinien z Durosierem traktować wprost, w swem własnem imieniu.

Francuz porozumiał się z Leonem prędko. Był to handlowiec, mówiący szybko i wtrącający od czasu do czasu jakiś frazes, mający związek z kwestyą socyalną. Zgodził się na podpisanie swego nazwiska, jako żerant wydawnictwa i Leon zdumiony był tak szybkim załatwieniem całej sprawy. Mimo to jednak nie czuł najmniejszej sympatii do Durosiera. Jakiś chłód wiał z tej małej postaci, której wydłużona twarz przypominała ryj szczura.

Durosier wypytywał się Leona, czy dawno przyjechał, czy jest zadowolony z bytności w Paryżu, lecz widocznem było, iż odpowiedzi Leona mało go interesowały.

I nagle — sięgnął ręką do witryny i położył na kantorze jeden tom owego słynnego Voltaire'a.

— Jeśli pan lubi książki — wyrzekł — niech pan obejrzy... rzadkie niezmiernie wydanie „Siedmdziesiąt ilustrowanych tomów za bezcen... piędziesiąt franków“.

Leon przez grzeczność wziął książkę w rękę i przejrzawszy, położył na kantorze.

— Rzeczywiście... bardzo interesujące.

Po głowie przemknęła mu myśl kupienia tego Voltaire'a. Miałby czem zapełnić pulki.

Ale piędziesiąt franków, blisko całomiesięczna pensya!

Durosier — nalegał.

— Mogłbyś pan skorzystać z tej rzadkiej okazji i kupić. Taka sposobność się nie zdarzy. Mnie

to nie nie obchodzi... To nie moja własność. To jeden socyalista jest zmuszony z wielkim żalem pozbyć się tych książek. Kupując, zrobiłbyś pan nawet dobry uczynek.

Leon nie chciał się przyznać, że nie ma pieniędzy, przytem w głosie Durosiera czuł pomimo grzecznego tonu, jakiś rozkaz, rodzaj przymusu.

Bał się odmówić wręcz, lękał się, aby Durosier nie cofnął swego podpisu na broszurze.

— Ja nie wiem!... — wyrzekł nieśmiało — może później wezmę... teraz nie — ale później.

— A więc ja te książki dla pana odłożę! — nalegał księgarz.

— Ależ nie... jeśli kto inny się trafi i da panu więcej, niech pan sprzeda!

— Nie! nie!... ja wolę je dla pana zachować. Nie chcę, aby kto inny skorzystał z tak rzadkiej okazyi. Potem, gdy pan się ich zechce pozbyć, każdy da panu podwójną i potrójną cenę.

Leon posunął się ku drzwiom.

— Więc... — zaczął, biorąc za klamkę — liczę na pana z podpisem.

— A ja na pana z moim Voltairem! — odparł bezinteresowny socyalista.

— Powiedziałem już panu, że teraz wziąć go nie mogę!

— Dobrze! dobrze! to nie nie szkodzi. Nie jestem twardy, jak skała. Żegnam pana!

Leon wyszedł niespokojny i zirytowany. Zdawało mu się, że wyszedł z jakiejś złodziejskiej jaskini. Ciągle miał przed oczyma twarz o szczurzym pysku. Szedł szybko ulicą Mouffetard i patrzył po

brudnych kramach starzyzny, któremi ta ulica jest przepehciona, jakby chcąc zatrzeć wspomnienie swej bytności w sklepie Durosiera'a.

Wydostawszy się na ulicę Saint Jacques, natknął się na Mazię, która stojąc na chodniku, żywo rozmawiała z siostrą Ignasia.

— Dzień dobry paniom! — zawołał Leon — a zwracając się do Mazi, dodał:

— Wracam od Durosiera'a.

— Cóż, dobrze poszło?

— Dobrze, zgodził się.

Poczem zwrócił się ku siostrze Ignasia.

— Czy pani znów szuka brata?

Lecz dostrzegł, że dziewczyna miała oczy czerwone od płaczu i twarz pobladłą.

— Nie! — odparła — Ignas siedzi w domu namalowawszy nieubranego starca... on to nazywa akt. Niech będzie! Ale tu gorsze mankamenty z panną Kamillą...

— A! ta co się niechce uczyć robić kape-luszy?

— Ta sama! — podchwyciła Mazia — nie uwierzy pan, ile mam z nią kłopotu.

— Ta chodź do niej duszko! — błagała siostra Ignasia — ona siedzi, włosy rozpuściwszy, jak posąg boleści. Mówi, że to ze wzgardy nad sobą i nad resztą ludzi. Ona mówi takie rzeczy, że aż mróz przechodzi. Ona całkiem zwątpiwszy!

Mazia wzruszyła ramionami.

— Boże mój! ja nie mam czasu. Pan Grzegorzewski trochę chory, muszę iść do niego.

Leon się przeraził nie na żarty.

— Chory? co mu jest?

— Nie nadzwyczajnego. Trochę gorączki, katar silny, sędzę, to przejdzie. Ale muszę zajść do niego i zmusić go, aby leżał w łóżku.

— O tak! tak! koniecznie. Ja dziś wieczorem przyjdę. Może się wam na co przydam.

— Dziękuję panu. Męska pomoc w takich razach nie do odrzucenia.

— O tak! — wtrąciła siostra Ignasia — i ja pana chciawszy prosić, może z nami pójdzie do Kamilli. To ją trochę rozerwie, a przed nieznanym nie będzie roztaczać takich smętnych zachcianek. Pójdzie pan z nami?

— Nie mam wiele czasu!

— Chorego odwiedzić! tak każe pismo święte. Chodźmy... to dwa domy, tu, na Saint Żaku!

I nie zważając na błoto i na przechodniów, Litwinka puściła się, jak bomba naprzód, grożąc co chwila „rozciągnięciem się“ na ziemi.

Mazia obróciła się ku Leonowi.

— Chodź pan z nami! — wyrzekła — dodasz mi pan odwagi do zniesienia tej wizyty. Już teraz kręci mi się w głowie.

Po bardzo cuchnących schodach doszli wszyscy troje do drzwi prowadzących do pokoiku panny Kamili. Była to mała izdebka z malusieńkim okienkiem, wychodzącym na dachy.

W głębi stała sofka, stół — piecyk wygasły, na ścianie suknie — na krzesłach kapelusze, bielizna i trochę feiletonów z Kuryera i gazet powycinanych i poseszywanych nitką.

Panna Kamilla leżała na sofce z głową owiazaną chustką i czytała jakiś feileton.

Zobaczywszy wchodzących, zerwała się z sofki i przybrała melancholijny wyraz twarzy.

Leon zauważył, że panna Kamilla jeszcze utyla, zarumieniała się jeszcze więcej i zaokrągliła na twarzy, w biuście i wszędzie...

Siostra Ignasia przybrała ton żalobny i natychmiast rozmowę zagała.

— A to my duszko przychodzimy cię odwiedzić, dowiedziawszy się, żeś niezdrowa...

— Proszę, niech państwo siadają! — mówiła panna Kamilla, zrzucając suknie i gazety na ziemię — strasznie mnie głowa boli...

— Niech pani zażyje antypiryny! — rzekła Mazia.

Panna Kamilla uśmiechnęła się zagadkowo.

— Antypiryna! na chorobę?

— Cóż pani jest właściwie? — badała Mazia — może ja pani mogę dopomóc?

— Pani? — na moją chorobę nie ma lekarstwa!

— Ona zwątpiwszy — tłumaczyła siostra Ignasia — ona straciwszy wiarę w religię, w ludzi, w siebie... ona z tego chora i jeść nie chce.

— Ja sędzę, że to jest coś żołądkowego! — odparła spokojnie Mazia.

Panna Kamilla oblała się pąsem.

Z wyszukaną grzecznością i przesadzoną skromnością zwróciła się ku Leonowi.

— Przepraszam pana! — wyrzekła, pochylając głowę.

— Za co?

— Za słowa panny Mazi. Ale widzę teraz, że na medycynie wszystko traktują bar-

dzo materyalnie. Choroba moja nie tkwi w cie-le, ale w duszy.

Mazia przygryzła wargi tłumiąc w sobie ochotę do śmiechu.

— Jakiż powód? — zapytała.

Lecz Kamilla przybrała znów sfinkсовy wyraz twarzy.

— Powód?... mój Boże! — odparła powoli — pani zna go po części.

— Kapelusze?

— O nie! — przestałam już chodzić do ma-gazynu.

— A! więc pani się nudzi i nie wie co z cza-sem zrobić?

— Teraz już wiem! — odparła ponuro Ka-milla.

— Może pani i nam swoje projekta odkryje?

— Dowiedziecie się o nich! — zawołała Kamilla z egzaltacją.

Leon powstał.

— Ja tu jestem zbyt cenny — wyrzekł — pa-nie łatwiej się porozumieją, gdy mnie tu nie będzie. Do widzenia pani!

Lecz Kamilla wyciągnęła doń rękę z dziwnym, pospiesznym gięstem.

— Żegnam pana! — wyrzekła znacząco.

On się zatrzymał przy drzwiach.

— Czy pani gdzie wyjeżdża?

Kamilla roześmiała się gorzko.

— Być może... jadę... daleko...

— Ja pani trochę bromu zapiszę! — wyrzekła Mazia — bo pani naprawdę jest bardzo rozdrażniona.

— Bromu! — zawołała Kamilla — wy medyczki macie tylko do rozporządzenia medykamentu. I brom mi nie pomoże.

— No duszko, wszakże spróbowałś — wtrą-ciła Litwinka.

Leon wyszedł już na schody — za nim wy-padła siostra Ignasia.

— Ach panie! — zawołała, chwytając go za mankiety — ach panie, co to będzie?

— Co ma być? — spytał rozbawiony Leon.

— Ona coś strasznego zrobi. Albo się rozcho-ruje, albo zajączki dostawczy, albo...

— Ona zdaje mi się już ma owe zajączki.

Siostra Ignasia aż krzyknęła, zasłoniła oczy, tak bardzo się przestraszyła myśli, że panna Ka-milla naprawdę zwaryowała.

— Niechże mi pani powie, o co właściwie tej pani idzie. Skąd taka czarna rozpacz? — pytał Leon.

— Pan wie... — tłumaczyła przyciszonym głosem biedna Litwinka — ona rzuciwszy kapelusze, bo za-chciała na medycynę. Potem już nie na medycynę, ale na przyrodę albo na filozofię. Sama już nie wie-działa, na co się zdecydować. Tymczasem jej wuj czy stryj, co pieniądze dawał na naukę w Paryżu, odpisał, że ani grosza nie da ani na przyrodę, ani na filozofię, ani na żadną inną Sorbonę. Tak, ona — ot... włosy rozpuściwszy, siedzi i płacze i zło-rzeczy. Och! panie, co ona wygaduje. Szczęściem, że jej Ignas nie słyszy.

— Cóż to? takie bluźnierstwa?

— Och panie... aż strach słuchać. Mówi.... mówi... nie — ja tego nie śmiem powtórzyć.

Błada jej twarzyczka wyrażała taki przestrah i oburzenie, że Leona zdjęła ciekawość i zapragnął zmusić panienkę do wymówienia owych strasznych słów.

— Przecież... cóż takiego? Niech pani powie. To pani obowiązek. Można będzie jeszcze na czas uratować pannę Kamillę i jej duszę, jeśli ją tak przepaszcz.

Słowo obowiązek podziałało magicznie na siostrę Ignasia. Wszakże ona żyła cała obowiązkiem.

— Powiem panu! — wyrzekła z rezygnacją — ona mówi, że... że się... zabije!

Leon parsknął śmiechem.

— Pan się śmieje?

— Niech się pani nie boi — ona tego nie robi. Jest na to za tłusta, za czerwona i za dobrze utuczona.

Drzwi od mieszkania Kamilli się otwały i słyhać było, jak Mazia żegnała się z niedoszłą kapeluszniczką.

— Niech pani u siebie posprząta, ubierze się i przejdzie trochę... radziła Mazia.

— Pani mi dała słowo... — niech pani pamięta! — odezwał się z głębi pokoju głos panny Kamilli.

— Dobrze! dobrze!

Na schodach pojawiła się Mazia. Litwinka rzuciła się ku niej, pytając:

— Czego ona chce od pani?

— Chce, żebym koniecznie przyszła do niej rano o siódmej...

— Przyjdzie pani?

— Przyjdę, przyjdę — co mam począć? — A pani tu zostaje?

— Tak... napalę jej w piecyku.

Mazia ujęła za rękę siostrę Ignasia i pociągnęła dziewczynkę ku światłu.

— Błada pani jesteś, mizerna... lepiej pomyśl pani o sobie. Idź do domu, odpocznij — wyrzekła z troskliwością w głosie.

— Ach! nie! nie! ja nie mogłabym ją zostawić samą — gorąco zaprotestowała Litwinka — to byłby grzech z mej strony opuścić kogoś w nieszczęściu.

— Ależ panna Kamila nie jest nieszczęśliwa.

Lecz siostra Ignasia znalazła w swym czystym sercu pocziwej kobieciny argument, według niej silny — według świata, jak puch lekki.

— Ona płacze, panno Mazio, ona musi być nieszczęśliwa!

I weszła do izdebki Kamili, sama błada i wyczerpana — pociechę i opiekę innym niosąca.

Leon z Mazią zeszli na dół, śmiejąc się z Kamili i jej dziwacznych pretensyi. Leon zapowiedział ponownie wieczorem swoją bytność u Grzegorzewskiego i pożegnawszy Mazię, powrócił na Faubourg Saint Antoine, gdzie już rozpoczęto pracować bez jego dozoru.

Po obiedzie u Kwiatkowskich, podczas którego pani domu liczyła kęski, które Leon niósł do ust i zabierała mu talerz, zanim on zdołał zjeść połowę wydzielonej mu porcy, Leon poszedł do siebie, chcąc zabrać ze sobą niektóre gazety, nadesłane mu z Gali.

Na dole powitał go konsierż temi słowy:

— Winien mi pan już jesteście piętnaście franków.

— Za co?

— Dziesięć dawnych, a pięć, które dałem komisyonerowi.

— Za co?

— Jakto — za co? za książki, które przywiózł i które złożyłem na górze.

— Jakie książki?

— Z ulicy Mouffetard — z księgarni. Mówił, że księgarz kazał mu odebrać od pana 50 fr., ale, że pana nie było, więc kazałem mu przyjść jutro rano.

Leon jednym tchem przebiegł schody i wpadł do swego pokoju.

Całą podłogę zalegały stosy książek w starych różowych okładkach.

Były to... siedmdziesiąt trzy tomy Voltaire'a, które mu przesyłał Durosier — bezinteresowny francuski socyalista.

Leon z przestraczem i rozpaczą wpatrzył się w zalegające podłogę książki. Czuł, że jest ofiarą wyzysku, lecz postanowił walczyć i narazając się nawet na przykrość, książki oddać Durosierowi. Pięćdziesiąt franków była to zbyt poważna suma, a żeby mógł ją płacić. I tak zaangażował się w drukarni z wydawnictwem swej broszurki.

Zkąd - że mógł wziąć pieniądze na to wszystko?

Znalazłszy się w quartier Glaciery, wstąpił do sklepu Durosiera. Francuz jeszcze nie zamknął swojej księgarni i drzwi były tylko przymknięte. Odwaga jednak, z jaką Leon chciał zaprotestować przeciw

narzuceniu mu owych siedmdziesięciu trzech tomów Voltaire'a, ustąpiła z jego duszy i niemal drżący jak winowajca wszedł do sklepu wyzyskiwacza.

Durosier powitał go uśmiechem i uprzejmem zapytaniem, czy książki odstawiono w całości. Zapytywał troskliwie, czy Leon przeliczył dokładnie ilość tomów, bo posłańcom wierzyć nie można i parę tomów mogło po drodze zaginąć.

Lecz na pierwsze słowa Leona, które były protestem przeciw podobnemu narzucaniu towaru, którego on kupić nie miał zamiaru, wyraz twarzy Durosiera zmienił się bardzo.

— Co? jak? — zapytał hardo — pan nie miał zamiaru kupować? Pan ośmielasz się mówić coś podobnego... Ja jestem uczciwym kupcem i wiem, co znaczy kupienie towaru. Ja natychmiast po wyjściu pana właścicielowi książek wypłaciłem 50 franków, mając pewność, że pan te książki kupujesz.

I przechylając się przez kantor, dodał prawie syczącym głosem.

— Ja przywykłem Polakom wierzyć i szanować ich słowa. Dlatego i panu zawierzyłem. Spodziewam się, że się nie zawiodę.

I odwróciwszy się, zaczął coś na pulkach układać.

Leon stał jeszcze chwilę w sklepie, odurzony tą arogancją, pewnością siebie i umiejętnością w wyzyskiwaniu sytuacji. Widząc, że Durosier nie odzywa się do niego i nie zwraca na niego uwagi, przeraził się, sądząc, że księgarz cofnie swój podpis na broszurze i że wszystko przepadnie. Nieśmiało więc zapytał.

— A... w drukarni... czy pan byłeś?

Durosier nie odwracając się, odparł.

— Pójdę jutro... ja mam tylko jedno słowo! Co obiecuję, dotrzymuję. Spodziewam się, że i pan tak względem mnie postąpi!

Leon wyszedł i kierując się ku ulicy de la Glaciere, pytał się sam siebie.

— Z czego ja mu za tego Voltaire'a zapłacę?

Wszedłszy do mieszkania Grzegorzewskiego, zapomniał na chwilę o Voltairze i o swoich kłopotach. Grzegorzewski leżał ubrany na łóżku i widocznie gorączka trawiła go nie na żarty. Obok niego stał Władek i okładał mu głowę zimną wodą. Władek był zapłakany, niespokojny i drżący. Witając się z Leonem, wyszeptał z rozpaczą:

— Pan widzi? on chory!

Leon zbliżył się do łóżka. Grzegorzewski widocznie był rad z jego przyjścia. Pociągnął go ku sobie i natychmiast zapytał.

— I cóż? Durosier?

— Będzie jutro w drukarni. Zgodził się!

Blask radości rozjaśnił twarz Grzegorzewskiego.

— To dobrze!... doskonale!... za dwa tygodnie całe wydawnictwo rozrzucimy po kraju. Wszyscy się zdumieją... pytać będą: skąd? jakimi środkami? a to my, my biedaki wszystkiego dokonali, my... sami!...

— Panie! — pochylił się nad nim Władek — panna Mazia prosiła, żeby pan dużo nie mówił.

— Co? co? — rzucił urywanym głosem Grzegorzewski — dla czego wy wmawiacie we mnie chorobę?... jestem zupełnie zdrow, silny... Mam trochę

gorączki i kataru, ale to przejdzie... Dajcie mi kompres...

Władek starał się zaoponować:

— Panna Mazia będzie się za te kompresy gniewała. Któż widział w katarze?...

— Proszę się nie wtrącać. To moja metoda. Ja zawsze katar zimną wodą leczę...

Zwrócił się znów do Leona.

— Durosier pocziwy człowiek — prawda? Trochę „kupiec“, ale to trudno — on dużo robi dla idei, ale od Francuza bezwzględного poświęcenia wymagać niepodobna... Co... ha?...

— Tak! tak!

Leon tak czuł się szczęśliwy ożywieniem, jakie zabłysło na twarzy Grzegorzewskiego i serdecznem uściśnieniem dłoni, jakim go leader obdarzył, że najchętniej byłby w tej chwili zgodził się na przyjęcie stuśiedmdziesięciu tomów Voltaire'a z Roussem i Bossuetem w dodatku.

Drzwi się otworzyły — weszła Mazia i Wilhelminka. Grzegorzewski, widząc wchodzące panny, zerwał się z łóżka, lecz one ze śmiechem zaproteutowały.

— Studentki medycyny, przed niemi nie należy się krepować.

— Gdyby chorzy w szpitalach chcieli nas traktować w ten rycerski sposób, nie mogłybyśmy wejść do sal, gdzie leżą chorzy — mówiła Wilhelminka, witając się z Leonem.

Mazia natychmiast zaczęła gniewać się na owe zimne okłady i nie pozwoliła dalszej zimnej kuracji. Opukawszy i osłuchawszy Grzegorzewskiego, którego

widocznie ta konsultacja żenowała. Mazia zamyśliła się chwilkę — wreszcie wyrzekła:

— Ja... radziłabym postawić kilkanaście suchych baniek.

Władek już chwycił palto, aby biedz po felczera, lecz Grzegorzewski, śmiejąc się, zaprotestował energicznie.

— Otóż to... damy lekarze. Gwałtem chcą i ze mnie zrobić delikatną kobietą nuturę. Na katar stawiać bańki... ależ to śmieszne i szalone.

— Lękam się, czy to jest tylko katar! — wyrzekła pół głosem Mazia.

— Właśnie... suchoty! — śmiał się dalej ochryplym głosem Grzegorzewski — należy wysłać mnie jeszcze dziś wieczorem do Meranu.

Chciał podnieść się z łóżka, lecz widocznem było, iż przychodzi mu to trudnością.

— A widzi pan — wyrzekła Mazia.

— Jestem trochę osłabiony. Oto wszystko! Pracowałem dużo w ostatnich dniach... Ale jutro ani śladu nie będzie z mojej choroby. Zobaczycie! Powiódł wzrokiem dokoła i dodał, jakby wyczerpany i senny.

— To dobrze, żeście tu dziś przyszli. Chciałbym jeszcze widzieć Barumzwajga i Jaskulską... Zostańcie tutaj dziś długo... długo...

— Ja mam chorą w Maternité — wyrzekła Wilhelmina — muszę iść za pół godziny.

— Ja zostanę przy panu! — wyrzekł Leon, pochylając się nad chorym — jeśli pan pozwoli, ja tu noc przepędzę...

— Dobrze! dobrze!... zostańcie!... — wyszeptał Grzegorzewski jakimś dziwnym, zmienionym, dziecięcym głosem.

Przymknął powieki i zdawał się zasypiać.

Mazia cichym giestem wywołała Leona, Władka i Wilhelminę do kuchenki.

— Lękam się zapalenia płuc — wyrzekła — szczególnie lewy szczyt mnie niepokoi.

— Z jego wycieńczeniem byłoby to ciężkie do przeniesienia! — wyszeptała Wilhelmina.

Nagle szlochanie przerwało ich naradę.

Władek wpakowawszy pięście w usta, szlochał gwałtownie.

— O Boże! Boże!...

— Cicho! — krzyknęła prawie rozkazująco Wilhelmina — jak będziesz beczeć, to cię wyrzucimy za drzwi!

Władek spojrzał na nią z całą nienawiścią i wlażł w kąt, za piec, gdzie zaczął cicho jęczeć i szlochać.

— Może ja się mylę! — mówiła dalej Mazia — jutro rano, jeśli nie będzie lepiej, weźmiemy którego z profesorów.

— Naturalnie — przyświadczyła Wilhelmina.

— Co tam mówicie? — odezwał się nagle głos Grzegorzewskiego. — Chodźcie tutaj!

Wyszli z kuchenki, lecz Grzegorzewski natychmiast zamknął oczy i leżał nieruchomy, pogrążony w pół śnie.

Wilhelmina żegnać się z Mazią i Leonem zaczęła.

— Do widzenia. Jutro rano zajdę się dowiedzieć. Idę do Maternité... Mam nadzieję, że jutro będzie lepiej.

— I ja tak sędzę! — odparła Mazia.

— Do widzenia panu — wyrzekła Wilhelmina, zwracając się ku Leonowi.

Napróżno Leon w jej twarzy szukał śladu owej Wilhelminki, która ubiegłej nocy nazywała go swoim pazurem. Pragnął w błysku oczów dostrzedz rozwiązanie zagadki, czy fiołki rozsypałe na pościeli były pozostawione mu z myślą, z intencją jakąkolwiek...

Nie wyczytać nie mógł na tej gładkiej, cacej twarzyczce szykownej Warszawianki. Biała, różowa, u fryzowana Wilhelminka, zajęta była dość widocznie tylko troską o chorobę Grzegorzewskiego. Leon dla niej nie istniał zupełnie.

Gdy Mazia z Leonem pozostali sami, Mazia natychmiast zaczęła wypytywać Leona o Durosiera. On, nie mając dla Mazi sekretów i czując się bardzo usposobionym do szczerości w towarzystwie tej dziewczynki — opowiedział jej całe zajście z Voltaire'm i nie tał swego oburzenia nad postępowaniem Durosiera.

— Ale ja się tak wyzyskiwać nie dam — wyrzekł z oburzeniem — ja mu jutro odeślę owego Voltaire'a. Niech lepiej powie otwarcie, ile chce za swój podpis, a zapłacę mu — lecz niech nie pakuje mi książek, z którymi nie wiem co zrobić...

Mazia zakłopotana się widocznie. Gładka jej twarzyczka zmarszczyła się wielką troską.

— Ach mój Boże! — wyrzekła cichutko — to bardzo będzie dla całej partii przykre, jeśli Durosier się obrazi. On nas trzyma w ręku... może wydać nasze nazwiska ambasadzie...

— Przecież on jest także podobno socyalistą?

— Tak!... ale on się różni od nas barwą. Po-tem on jest Francuzem, a to olbrzymia różnica...

Bardzo — bardzo byłoby nam nie na rękę, gdyby Durosier się obraził.

— Więc coś mam zrobić, wziąć tego Voltaire'a?

— Nie... tego od pana wymagać trudno... Ale, niech pan nie odsyła tych książek Durosier'owi. Proszę pana o to. Niech pan je m n i e odeśle. Ja załatwię tę sprawę z Durosier'em. Właściwie nie ja sama, ale... partya, zapłacimy za te książki.

Leonowi zdawało się, że mu ktoś wymierzył bardzo delikatny i bardzo dyskretny policzek. Przez chwilę nie mógł przyjść do słowa, wreszcie oprzytomniał i odparł trochę sucho.

— Daruje pani! ale ja na to pozwolić nie mogę. Voltaire u mnie pozostanie i to ja Durosierowi zapłacę.

**XVII. Panna Kamilla dąży ku wyżynom. —
Zapalenie płuc.**

We troje, Mazia — Leon — Władek siedzieli długo w nocy u Grzegorzewskiego.

Ażeby nie drażnić chorego, który zapadając w pół sen, budził się znów co chwila i na widok czuwających dookoła jego łóżka ludzi, gniewał się i niecierpliwił — Mazia udawała że dyktuje jakieś wyciągi Leonowi, a Władek skrył się w kuchence.

— Dlaczego pani spać nie idzie? — pytał Mazię Grzegorzewski.

— Niech pan mi pozwoli jeszcze pozostać u siebie... tu cieplej, u mnie dziś bardzo chłodno... Szyba wybita... I rada z wynalezionego kłamstwa powtarza:

— Tak, wiatr mi szybę wybił

Na te słowa Grzegorzewski chce się zerwać z łóżka.

— Ja pójdę do kuchenki... Pani się tu prześpi..

— Ale co znowu, ja mam pracę. Pan Leon tak grzeczny, że mi dopomaga. Muszę tę książkę oddać jutro koleżance Falkenwajg a radabym mieć z niej niektóre wyciągi.

— Ale ja wstanę... — upiera się Grzegorzewski. Lecz i to trwa niedługo. Głowa mu opada na

poduszki i Grzegorzewski drzemie znowu pół snem gorączkowym.

I wtedy podchodzi do niego Mazia i Leon widzi, jak pochyla się nad nim, wsłuchuje się w jego oddech — delikatnie pot z czoła ociera. Jest taka młoda, taka miła, taka kochana w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu swych dużych czystych ocząt, taka jest „panienka“, „dziewczynka“, że Leon nigdy w życiu nie mógł już później zapomnieć wrażenia, jakie odniósł tej nocy. Mazia snuła się, jak widmo, jak cień, jak uosobienie cichej a silnej kobiety i Leon, jakkolwiek nie zbyt biegły jeszcze w rzeczach miłosnych znawca, odkrył w oczach Mazi wielkie, głębokie przywiązanie do Grzegorzewskiego. Wzrok jej, gdy patrzyła na śpiącego, różnił się zupełnie od spojrzenia, jakim Wilheminka obrzucała zwykle lidera partii. I tu i tam była bez wątpienia miłość, ale jakaż różna, jakaż inna i w różnicy tej mówiąca o dwóch różnych istotach obu młodych kobiet.

Na twarzyczce Mazi widoczna była wielka troska i niepokój. Nie ufała swej wiedzy i Leon dostrzegł, jak wyszedłszy do kuchenki, załamała rozpaczliwie kilkakrotnie ręce. Zrozumiawszy ten giest podszedł do studentki i zapytał szeptem:

— Czy grozi niebezpieczeństwo?

— Ach!... nie! — odparła Mazia — ale on jest tak wyczerpany, organizm jego jest tak podminowany, iż boję się dla niego jakiegokolwiek choroby...

I patrząc w okno, czarne od smutnej nocy, dodała:

— Ach! żeby ten dzień już nadszedł.

W kącie, na miejscu, gdzie dawniej stało łóżko, które sam Grzegorzewski przysunął za dnia do pierwszego pokoju — siedział skurczony Władek. I on nie spał. Podłożył obie pięści pod brodę, oparł łokcie o kolana i z oczu jego płynęły bezustannie łzy.

Mazia zbliżyła się ku niemu i pochyliła się, szepecząc:

— Cicho, nie płacz... przecież on jeszcze nawet nie jest seryo chory.

Lecz Władek nie odpowiedział nic i leż nawet nie ocierał, które płynęły swobodnie, mocząc mu ręce i rękawy palta.

W Mazi zbudziła się kobieta.

— Ja wam zrobię herbaty...

— Niepotrzeba! — zaprotestował Leon — ja lepiej napalę na kominku w tamtym pokoju, bo ogień wygasi.

I zajęli się oboje, ona herbatą, on paleniem w piecu i tylko kaszel Grzegorzewskiego krótki, urywany przerywał nocną ciszę.

Wreszcie Mazia zbliżyła się do Leona ze szklanką herbaty w ręku.

— Niech pan wypije... pan musi być zmęczony... Pan całą noc przesiedział na krześle... mówiła mi Wilhelmina.

— A!... Wilhelmina mówiła pani?

— Tak, opowiadała wszystko i mnie i Grzegorzewskiemu. On nawet się na nią trochę gniewał.

— Za co?

— Za to, że nie wróciła pomimo śniegu i niepogody. Ale Grzegorzewski mężczyzna, nie rozumie, że kobiecie może sił zabraknąć...

— Rzeczywiście — potwierdzał z zapalem Leon — panna Wilhelmina zachowywała się, jak bohaterka, brnęła w śniegu... robiła co mogła, ale była za elegancko ubrana. Przytem ona tak wytworna, tak delikatna, taka... nadzwyczajna, że ona, jak pierwsza lepsza nie może iść po śniegu w nocy tak daleko.

— Zapewne... — odparła Mazia z uśmiechem — ale Wilhelmina chce być doktorem, więc powinna się zahartować i umieć chodzić w nocy, po śniegu i daleko.

— O! — odrzucił Leon — panna Wilhelmina jest w tem szczęśliwem położeniu, że może wybierać klientów. Będzie miała klientelę w bogatym quartier i będzie...

— Jeździć kareta! — dokończyła z pewną ironią Mazia.

— Naturalnie! — zawołał prawie głośno Leon — tylko bogate panny powinny chodzić na medycynę.

— O!!!

Szare oczy Mazi wyrażały bezbrzeżne zdziwienie. Patrzyła chwilę na Leona i on czuł, że mu się dziwnie robi pod tem spojrzeniem. Wreszcie dziewczyna pokręciła głową i wyrzekła:

— Zdaje mi się, że pan jest bardzo... impulsywny!

Wstała i zbliżyła się znów do łóżka i ujęła Grzegorzewskiego za rękę. On z pewnym przestraszaniem patrzył już od kilku chwil na otaczających i nagle ochryplym głosem zapytał:

— Która to już godzina?

A potem nie czekając na odpowiedź, dodał:

— Dlaczego jej tu niema?

I zapadł znów w pół sen, w pół majaczenie.

Leon zbliżył się ku Mazi i zapytał:

— O kim on mówił? kto jest ta ona?

Mazia ze smutkiem odwróciła twarzą.

— Nie wiem!... — szepnęła — nie wiem nic.

I wyszła do kuchni, gdzie usiadłszy na ziemi przy Władku, usiłowała uprosić go, by wypił szklankę herbaty.

Powoli, zaczął wstawać świt szary i niepewny. Zdawało się, że jakaś zasłona co chwila rozdiera się i ginie. Na łóżku trupio blady leżał na wznak Grzegorzewski i spał otworzywszy usta. Czarne jak heban włosy rozsypały się dokoła twarzy. Leon spojrzawszy na niego, aż drgnął, tak mu się straszną wydała ta zmieniona i blada twarz z sinemi plamami powiek i z czarną ściągniętą linią brwi.

Mazia zziębnięta, blada także, przeszła cichutko przez pokój i szepnęła do Leona:

— Pilnuj pan ognia, ja idę do siebie, ubiorę się... potem pójde do tej waryatki Kamilli i wrócę tu z Barumzawajgiem, aby pana złuzował. Do tej chwili nie odchodź pan... proszę... bo Władek znudzony płaczem śpi jak zabity na podłodze.

Wyszła i Leon zaczął gospodarować sam, sprzątać, otulać Grzegorzewskiego i mimowoli przybierał ruchy i sposób bycia Mazi. Gdy ujął rękę Grzegorzewskiego, dostrzegł, iż na palcu Grzegorzewskiego miał pierścionek w formie złotego łańcucha. Coś nim szarpnęło. Wczoraj, na palcu Wilhelminy widział podobny pierścionek.

Co to miało znaczyć?

Siedział tak długą chwilę i nagle wstał przecuciem wiedziony. Odgadł instynktem, że po wschodach idzie Wilhelmina. Rzeczywiście, weszła, ufrizowana, wypoczęta i upudrowana. Przywitała się z Leonem dość uprzejmie i natychmiast zaczęła ustawiać na stole przyniesione drobiazgi. Była tam woda kolońska, refreszyser, koniak dobry, cytryny, elegancki termometr, duży pęk fiołków. Studentka, szeleszcząc jedwabiem spódnicek, wstawiła kwiaty do wody, spryskała pokój wodą kolońską, ustawiła koniak przy łóżku i zabrała się do robienia lemoniady. Branzoletki jej dzwoniły o szkło i Leon czuł, że każdy ruch Wilhelminy jest nieszczerzy i obliczony na efekt. Mimo to podziwiał jej gracyę i wdzięk, z jakim kręciła się po pokoju.

— Ach! ta Mazia!... — wyszeptała, wzruszając ramionami — o niczem nie myśli...

Grzegorzewski w tej chwili otworzył oczy i widocznem było, że z pewną radością powitał obecność Wilhelminy.

— Dobrze pani zrobiła, że przyszła... — powtarzał, trzymając jej rękę w swych dłoniach.

— Jakże się pan czuje?

— Och! o wiele lepiej... nic mi prawie nie jest... wstanę niedługo...

— Nie! nie!... nie wolno... przyniosłam panu fiołków, choć pan kwiatów nie lubi...

— Ja nie lubię? kto pani to powiedział?

Wziął fiołki i długo poił się ich wonią, topiąc w nich spalone gorączką usta.

Leon patrzył na niego z podziwem.

Nigdy go nie widział takim łagodnym, takim spokojnym, zajęтым drobiazgami życia i odczuwającym jego potrzeby.

— Psujecie mnie... — wyrzekł Grzegorzewski — tak tu ciepło, ogień na kominku...

I prawie dziecięcym głosem dodał.

— Napilbym się herbaty!

Wilhelminka zwróciła się ku Leonowi.

— Pan Leon herbatę robi — prawda? Ja przy panu posiedzę.

— Tak! tak! niech pani odemnie nie odchodzi!

Trzymali się za ręce i palce ich spłotły się tak, że Leon widział dokładnie dwa jednakowe pierścionki w formie łańcuszków. Zmieszany, wyszedł do kuchenki. Tam Władek rozczochrały i umurusały, krzątał się koło herbaty.

— Pawica! — mruczał chłopak — perfum przyniosła i teraz udaje, że się o niego troszczy... Narzeczona!...

— Co? jak?

— A no! zobaczy pan... ona sobie z niego narzeczonego robi.

— Oszalałeś!

— Wcale nie. U niej taka mania. Zaraz — co bądź... narzeczony. Ona ich miała całe tuziny. Teraz zakroila na Grzegorzewskiego, bo jej imponuje jego rozum i stanowisko w partyi.

— Ale on? on?

— To też właśnie, że to jest straszne i nie do pojęcia. Pan widział... jak on się uśmiechnął, kiedy ją zobaczył. Do nikogo się tak nie śmiał, ani do mnie, ani do Mazi...

Otarł znów łzy kuliakiem.

— A przecie my go więcej kochamy!

Otworzyły się drzwi i wszedł Barumzwajg i Mazia. Student poszedł do łóżka i przywitawszy się z Grzegorzewskim, zawołał.

— Proszę bab wyjść z pokoju, bo ja będę na seryo pacyenta askultował.

Wilhelminka broniła się.

— My... przecież... koledzy.

Barumzwajg, który żywił wspaniałą pogardę dla kobiet-doktorek machnął ręką.

— E... to tam... w szpitalu... na kursach... ale tu... gdzie ktoś chory — ktoś, co nas obchodzi, żadne flirty z nauką nie w miejscu. Proszę za drzwi...

W tej chwili Leon dostrzegł, że Mazia była bardzo pomieszana.

— Co pani? — zapytał po cicho.

— Proszę was, chodźcie do mnie — wyrzekła z wysiłkiem Mazia.

Gdy Leon, Władek, Wilhelminka i Mazia wyszli do sieni, zastali stojącą koło wschodów siostrę Ignasią. Litwinka była zaledwie ubrana i zanosila się z płaczu.

— Co się stało? — spytał Leon.

— Ach!... — wyjękła — panna Kamilla się za biwszy!

— Jaktó?

— A no... niech się pan spyta Mazi.

Wszyscy zwrócili się ku studentce, która urywanym głosem, sama widocznie przerażona, opowiedziała, że — przyszedłszy, według danego Kamilli słowa, rano do jej mieszkania, została zatrzymana na dole przez konsierżkę, która powiedziała jej, że „made moi-

selle“ wyszła z domu, skoro jeszcze było ciemno i przez drzwi podała jej klucz od swego pokoju, prosząc, aby go wręczyć Mazi. Tknięta złem przeczuciem Mazia, pobiegła na górę i tam w pokoju Kamilli znalazła na sofie przypięty arkusz papieru, na którym łaknąca wiedzy panna napisała co następuje:

„Do panny Mazi

studentki medycyny w Paryżu.

Skoro pani te słowa czytać będziesz, już mnie na świecie nie będzie. Zadałam sobie sama śmierć, bo doszłam do przekonania, że ludzie są źli i nie warto mieć rozum i serce i przerastać ludzi głową. Ja pragnęłam wiedzy i światła i nauki, a mnie starzano w kapeluszach i innych prozodyach życiowych. I choć kobiety ofiarowują mi przyjaźń a mężczyźni miłość i dyamenty mi ślą pod stopy — ja wolę umrzeć w młodości, bo mi zawiązano skrzydła i okrutnie udręczono we mnie człowieczeństwo kobiece i swobodę stworzenia. Proszę na grobie napisać tylko Kamilla i osadzić grób niezapominajkami.

A śmierć moja niech spadnie na tych, co we mnie zdręczyli jestestwo ludzkie! Ś. p. *Kamilla*.*)

Mimowoli Leon i Wilhelmina wybuchnęli śmiechem.

— Pan się śmieje? — krzyknęła siostra Ignasia — to źle, to bardzo niegrzecznie... ona tam umarła gdzie leży — a pan się cieszy.

— Ależ nie — usprawiedliwiał się Leon — tylko ten list tak dziwnie napisany.

*) Autentyczne. (*Przypisek autora*).

— Ona ma rację! — odparła wyniosłe Litwinka — świat jest zły, ludzie podli, a ona była wyższa kobieta i żyć nie mogła!...

— Z tem wszystkim trzeba jednak iść do policy — wyrzekła Mazia — i tak się to nieszczęśliwie wszystko składa. Grzegorzewski chory, ja mam dziś tyle zajęcia... możeby koleżanka pojechała na policję? — dodała, zwracając się do Wilhelminki.

Lecz piękna panna skrzywiła ładny nosek.

— *Merçi* — wyrzekła — ja mam także dziś zajęcie... przytem obowiązek każe mi czuwać nad Grzegorzewskim.

Mazia przygryzła usta, jakby chciała coś gorzkiego odpowiedzieć swej koleżance, lecz powstrzymała się i zwróciła się ku Leonowi.

— To my pojedziemy — co?

— Dobrze!

— I ja z wami! — zawołała siostra Ignasia.

— Nie trzeba — zaoponowała szybko Mazia — pani niech wraca do mieszkania Kamili i tam czeka na nią. Może ona powróci...

— Oho! z tamtego świata!...

Lecz Mazia ociągała się jeszcze, widocznie chciała doczekać się końca badania Barumzwajga.

Wreszcie student wyszedł i dość szybko i brutalnie wyrzekł:

— Zapalenie oskrzeli!

— A!...

— Nie wielkiego... ale niech leży i niech ciągle będzie ciepło w pokoju.

I zaraz dodał z chłopską szczerością:

— A macie na węgle?

— Nie — ale ja się wystaram — odparła żywo Mazia.

Wilhelminka sięgnęła po portmonetkę.

— Tu jest dziesięć franków... trzeba posłać po węgle...

Lecz Władek wmieszał się do rozmowy:

— Obejdzie się... ja z Mazią węgla dostaniemy!

Wilhelminka bez żadnej zmiany w wyrazie twarzy pieniądze do portmonetki schowała.

Gdy w kwadrans później Mazia z Leonem spieczyli w stronę prefektury policyjnej, Mazia była rozpromieniona i weselsza znacznie.

— Jestem teraz spokojniejsza... — mówiła — Barumzawajg jest bardzo zdolny... zadziwiająco zdolny... On się nie myli. Zapalenie oskrzeli przy troskliwej opiece przejdzie... Organizm słaby, ale to wytrzyma.

I po chwili dodała cichym głosem.

— Tak się bałam... zapalenia płuc!

I pozbywszy się tej głównej troski, zwróciła się teraz myślą ku owej Kamilli, za którą mieli rozpocząć poszukiwania w Paryżu.

— Gdzie ona jest? co ona ze sobą zrobiła? Jeżeli się naprawdę utopiła, to dopiero dowiemy się znacznie później, za dni kilka... A to waryatka!...

— Wczoraj pani ją widziała... czy nie nie dała poznać, że myśli o samobójstwie? — spytał Leon.

— Bóg ją wie... plotła trzy po trzy... kupowała sobie jakieś dziwaczne stroje. Naprzykład dwa dni temu widziałam, jak kupowała męską czapkę

jedwabną z daszkiem... Pytałam jej, na jaki użytek kupuje coś podobnego. Uśmiechnęła się tajemniczo.

W biurze policyjnym urzędnik chłodny i spokojny ściągnął ze słów Mazi protokół i zawołał dwóch agentów. Przy nich zaczął wypytywać Mazię o szczegóły powierzchowności i ubrania Kamilli.

— Czy przeglądała pani rzeczy? jakiej sukni brak?

Mazia odparła z zakłopotaniem.

— Otóż to, że nie brak żadnej sukni. Wszystko leży na ziemi. — Gorset nawet jest. — Jedyne kapelusz, jaki ta panna posiadała, także wisi na oknie...

W takim razie — odparł spokojnie urzędnik, ta panienka wyszła na miasto... przebrana.

— !!! —

— Ale jak? —

— Po męsku! zawołała nagle Mazia.

— Skąd pani wnosi?

— Kupowała męski kaszkiet jedwabny — Wczoraj, przypominam sobie, widziałam u niej na krześle męską różową perkalową koszulę.

— O! to nam wystarcza. A więc — mała, krępa, gruba — odziana po męsku — panna czerwona na twarzy — koszula różowa — kaszkiet jedwabny, jak u złodziei. Zrozumieliście!

Agenci wyszli. Urzędnik zwrócił się znów ku Mazi.

Państwu nie pozostaje nic, tylko iść do domu i czekać aż moi agenci tę panienkę żywą odprowadzą, albo damy znać, że trup został znaleziony.

A teraz żegnam państwa!

Gdy wyszli, popatrzyli na siebie z pewnem zdziwieniem.

Jak to wszystko zostało prędko załatwione.

Żywą odprowadzą lub znajdą trupa!

I Leon poszedł do swego zajęcia, do kantoru, przyrzekłszy Mazi, iż zajrzy wieczorem, skoro tylko uwolni się z lekeyi u Kwiatkowskich.

Szedł do kantoru znużony i wyczerpany. Drugą noc nie spał. Przejścia z Durosierem także go przygniotły. Pożegnawszy się z Mazią, natychmiast zaczął myśleć, skąd weźmie pieniędzy na drukarnię, na zapłacenie Durosiera, na zwrócenie długu Kręckiemu i konsierżowi. Myśli te wpiły mu się po prostu w mózg i dręczyły go bezustannie. Kręcki patrzył na niego i wzruszał ramionami.

— Pan wiesz... panu przez tę Glacière dzie sięć lat przybyło. Jak pan teraz wyglądasz? Ja przysięgnę, że się pan dziś nie mył.

I po chwili z ironią dodał:

— Cóż to — dziś była ekspedycja czy co, że pan całą noc znów nie spał?

Leon był tak znużony, że za jakąbądź cenę zapragnął spokoju.

— Grzegorzewski chory, — więc przy nim siedziałem!

Lecz Kręcki szydził dalej.

— Zapewne... w towarzystwie... Wilhelminci? co?

Lecz Leon już nie odpowiedział. Pochylił głowę na stół i siedzący zasnął.

Kręcki popatrzył na niego przez chwilę — ramionami ruszył wreszcie, zdjął ze ściany palto i delikatnie okrył nim plecy Leona.

— Głupiec... on jeszcze zachoruje! wyszeptał sam do siebie.

Potem z pokoju wyszedł — gaz zagasił i zamykając drzwi, wyrzekł do Kwiatkowskiego:

— Proszę tam nie wchodzić. Ja tam szkiełka do lornetek na ziemi poskładałem i nie chcę, żebyście mi je poniszczyli.

Gdy Leon przyszedł znów na Glacière, zapukał najprzód do pokoiku Mazi. Otworzyła mu drzwi siostra Ignasia zapłakana, w kapeluszu na bakier.

— Nie ma Kamilli! — jęknęła — ona się gdzieś pod szyny rzuciwszy...

Od stołu wstała Mazia.

— Jakże Grzegorzewski?

Mazia pokręciła głową.

— Nie jestem zadowolona. Prosiłam naszego profesora, aby przyszedł. Obiecał być koło dziewiątej.

— Za chwilę dziewiąta.

— Pójdźmy do Grzegorzewskiego.

Lecz siostra Ignasia zastąpiła im drogę.

— Na imię Jezus, nie zostawiajcie mnie... — jęknęła — a jeśli agenty przyniosą jej trupa...

— No to chodź pani z nami!

Siostra Ignasia zarumieniła się jak wiśnia.

— Przecież... ja nie studentka, a on do łóżka się położywszy...

Mazia wzruszyła ramionami.

— Ach! prawda! nie widzę sposobu. Niech pani do domu wraca... my pani znać damy.

— Na nic. Nie odejdę, póki się nie dowiem, co się z nią dzieje.

— A Ignas? a ryży piecyk? — wołała już rozpaczliwie Mazia.

Lecz siostra Ignasia machnęła ręką.

— Piecyk dawno wygaś, a Ignas... on już trzeci dzień do domu nie wraca... on prawie się wyprowadziwszy.

— Gdzie?...

Litwinka spuściła oczy i twarzyczka jej przybrała wyraz ślicznego zakłopotania.

— Ja wiem — ale — ja nikomu nie powiem!

Nagle zastukano do drzwi.

Mazia poskoczyła żywo i otworzyła.

W sieni zaczerniło się. Stało tam kilka osób ciemno ubranych.

— Czy tu mieliśmy odprowadzić przebraną pannę — zapytał po francusku jakiś mężczyzna.

— Tu! tu!

— Niech panna wejdzie!

I wepchnięto raczej niż wprowadzono... Kamillę! Mazia porwała ze stołu lampę, podniosła ją i światło jasne oblało postać dziewczyny skulonej, drżącej, strasznej w przebraniu męskim, jakie miała na sobie.

— Panno Kamillo! Jezu! co to? — wykrzykiwała Litwinka.

Lecz panna Kamilla tak była zziębnięta, zawstydzona, zmęczona, że nie mogła na razie wymówić słowa.

— Spotkaliśmy pannę w lasu Bulońskim, daleko het za torem, za Longchamps. Siedziała na zmarzniętej ziemi i płakała.

— Powinna Bogu dziękować, że ją tam nie zabili — dodał drugi agent — tam sami zbrodniarze się włóczą o tej porze...

I poprawiwszy swoje pelerynki, dodali:

— Dobranoc całej kompanii.

I wyszli, z hałasem zamykając drzwi za sobą. W pokoju zapanowała chwilowa cisza.

Wreszcie Mazia podsunęła Kamilli krzesło i wyrzekła:

— Niech pani siada!

Leon ze zdumieniem patrzył na Kamillę i porывał go śmiech, tak, że musiał czynić nad sobą wysiłki, ażeby nie parsknąć głośno.

Kamilla bowiem, ciesząc się dobrą tuszą, w ubraniu młodego chłopca, w kruciuchnej kurtce w obcisłych spodenkach, wyglądała jak karykatura. Włosy obcięte nierówno, w schodki sterczały tu i ówdzie, twarz miała spuchniętą i siną.

Mazia wzięła z łóżka pled i narzuciła go na plecy niedoszłej samobójczyni.

— Pani zimno, niech się pani ogrzeje.

Lecz siostra Ignasia już pochwyciła Kamillę za rękę.

— Panno Kamillo! — wołała — jakże można było!!! a toż grzech, obraza Boga i ludzi. My tu mało nie umarli z trwogi o panią, a pani, ot Boże odpuść, ubrała się w spodenki ta i chodzi po lesie w takie zimno! Ta gdzie pani była? po co pani pisała, że się chce zabić?

— Bo chciałam się zabić! — odparła ponuro Kamilla.

— Dlaczego? — spytała Mazia.

— Ja napisałam zdaje się dość wyraźnie — mówiła dalej Kamilla, a głos jej nabierał coraz ostrzejszych i twardszych tonów — chciałam się zabić, ale mi się nie udało... Zresztą, ja powzięłam

inny plan i byłabym go doprowadziła do skutku, gdybyście byli za mną nie wysłali w tropy... policy!

Oczy jej płonęły teraz gniewem. Otulona w szal odzyskiwała swą śmiałość i wymowę.

— Jakiż to plan? — spytała Mazia, widocznie powstrzymując się całą siłą woli od powiedzenia słów prawdy tej zuchwalej dziewczynie.

— Plan... — ciągnęła Kamilla — który byłby wam może nie na rękę... ale przekonałby was, że i ja potrafię być kimś i dojść do imponowania światu. Chciałam iść, aż znajdę jakiś wielki zakład naukowy męski. I tam chciałam wejść i już zostać. Skończyłabym nauki jako mężczyzna, zostałabym sławnym profesorem i dopiero wtedy odkryłabym, że jestem kobietą.

Szalony wybuch śmiechu przerwał jej mowę.

Śmiała się Mazia — śmiał się i Leon. Kamilla porwała się z krzesła. Pled spadł na ziemię. Z pod pół kurteczki wydobywały się okrągłości, nie pozwalające ani na sekundę wątpić o płci tej osóbk.

— Tak!... dopiero wtedy, bo umiałabym dochować sekretu i nikt by się nie domyślił we mnie kobiety! — wołała ze złością Kamilla — i przekonałabym wuja, całą Warszawę — panią, panno Mazia, że skoro się ma zamiłowanie, to można dojść do wyżn!!! A jakże!

Lecz siostra Ignasia załamała ręce.

— Duszko! Kamileciu! ta tłusta jesteś jak gęś tuczona... ta jakże nie poznać, żeś kobieta... ta popatrz na siebie...

Lecz Kamilla już słuchać nie chciała.

Owinąwszy się w pled Mazi postąpiła ku drzwiom.

— Idę do siebie. Pled pani odeślę! Mam nadzieję, że państwo policyi za mną wysyłać więcej nie będą! — wyrzekła wyniośle i skinąwszy głową, na którą włożyła złodziejski kaszkiet, wyszła, wlokąc za sobą róg pledu.

— Ona zwarzjowawszy! — rzuciła siostra Ignasia i jak kula wybiegła za swoją przyjaciółką.

Leon i Mazia pozostali sami.

Przez chwilę spoglądali na siebie ze zdziwieniem wreszcie Mazia wyrzekła z uśmiechem.

— Narobiła mi kłopotu — ale na chwilę pozwoliła mi zapomnieć o moim niepokoju. Chodźmy teraz do Grzegorzewskiego*).

Właśnie po wschodach szedł na górę profesor Francuz, miły człowiek lat średnich o siwiejących cokolwiek włosach. Przywitał Mazię z wielką życzliwością i szacunkiem. Wszedłszy do pokoju Grzegorzewskiego. Leon dostrzegł natychmiast Wilhelminkę, która bardzo swobodnie i kokieteryjnie powitała profesora. Ten natychmiast przystąpił do badania chorego, którego tylko twarz silnie zgorączkowana i błyszczące oczy dostrzegł Leon w półcieniu.

I znów cała garstka wyszła na wschody — oczekując rezultatu.

Koło chorego pozostał profesor i Barumzwajg.

Leona uderzyło to usuwanie kobiet lekarek w chwilach poważniejszych od łóża chorego.

Długą chwilę stali tak wszyscy w tej sieni oświetlonej syczącym płomieniem gazu. Z po za drzwi

*) Całe to zdarzenie z Kamillą jest autentyczne, jak wszystkie niemal szczegóły w tej powieści zawarte. (Przyp. Autor.).

słyszeć było tylko kaszel Grzegorzewskiego i gruby głos Barumzwajga. Nawet Wilhelmina przestała szeleścić suknią i dzwonić bransoletami.

I nagle otworzyły się drzwi i wyszedł z nich profesor.

Miał brwi ściągnięte i uśmiechał się, jakby obowiązkowo.

— To zapalenie płuc... — wyrzekł cicho, jakby wahając się — radziłbym chorego przenieść do szpitalu... na mój oddział... damy osobny pokój... będziecie go mogli dozorować...

I widząc pomieszenie i przerażenie na twarzach obecnych, dodał:

— Na razie... niby nic... ale wyczerpanie sił duże... Tymczasem wydałem rozporządzenie panu Barumzwajgowi... on wam powie, co robić... Dobranoc!

Zeszedł cicho ze schodów, a oni jeszcze stali, nie mogąc znaleźć słowa, tak ich to widmo groźnej choroby, walącej się na to wynędzniałe ciało, przegniotło i przeraziło.

XVIII. Śmierć fanatyka.

Duża sala szpitalna. Widna — biała — czysto utrzymana. Tak czysto, że aż nagle w sercu zakłuje, bo mimowoli widać obojętność i wypełnienie płatnego obowiązk.

W sali jest dwanaście łóżek, zasłanych białymi kocami, lecz łóżka te są puste.

Jedynaście pustych — na dwunastem widać plamę czarnych włosów, jakieś zapadłe policzki, słyszeć z kąta oddech przyspieszony, widać od czasu do czasu migające gorączkowo ręce wychudłe, które zdają się coś chwycić w powietrzu.

Jest teraz południe. Dzień wyjątkowo jasny w Paryżu — aż złoty od słońca, które już wiosną ma jasność i ciepło.

W sali okna duże — na wpół zaciągnięte białymi storami. Lecz te story nie przyciemniają. Owszem — światło przez nie wpadając, jest jeszcze bielsze, dziwniejsze — prawie olśniewające.

W kącie sali, rodzaj małej klatki oddzielonej oszkloną ścianką. Wewnątrz widać dozoreczynię w białym czepku, która rozmawia z doktorem i co chwila ma charakterystyczny ruch ramion.

Leon siedzi u stóp łóżka — siedzi i patrzy w te szyby, po za którymi jest prawdopodobnie już

wyrok śmierci, a on go nie słyszy, pomimo, że jest on już konieczny i nieubłagany pomimo słońca, blasku światła — wszystkiego.

Leon nie żywi już nadziei, aby uratowano Grzegorzewskiego. Przeniesiono go do szpitala na żądanie doktorów, którzy bardzo gorliwie zająć się chorym obiecali. Nie można jednak było wymagać, aby ci „sławni“ drapali się na Głaciereń kilka razy dziennie i należało zrobić ustępstwo.

I wtedy Leon przekonał się, jak głęboki i silnie zakorzeniony tkwi w każdym człowieku wstręt przed szpitalem. Mazia — Wilhelminka — inni — ci studenci, studentki medycyny z całą siłą woli tłumili w sobie żal i smutek na widok wchodzących z lektyką ludzi. Ta czarna buda, obciążona ceratą, robiła wrażenie próbnej trumny...

Sam Grzegorzewski uśmiechnął się smutnie.

— Do szpitala? — powtórzył smutnym głosem — mam iść do szpitala?

Leonowi zdawało się, że słyszy służącą, która u nich w domu zachorowała ciężko i także wobec szpitalnej lektyki, mówiła ze smutną rezygnacją.

— Do szpitala — mam iść do szpitala!

W szpitalu dano Grzegorzewskiemu całą, niewielką salę, która wypadkowo znajdowała się opróżnioną. Złożono go w kącie, aby mu było trochę przytulniej i zastawiono ten kąt parawanem, aby zasłonić widok pustych łóżek i ścian za czystych, za pustych, za smutnych mimo jasnej barwy, jaką pościągane zostały.

Lecz Grzegorzewski prosił, aby odsłonięto skrzydła parawanu.

— Chcę widzieć, co się tam dzieje — naokoło mnie — gdy tak mam blisko przed sobą ścianę, umysł mój sili się zgadnąć, co po za nią... Weźcie parawan.

Choroba postępowała bardzo szybko i wkrótce zajęła oba płuca. Szła od szczytów i wkrótce wszyscy skonstatowali zupełny brak nadziei. Leon długo wierzyć nie chciał, nie mógł. Najdłużej ludziła się Mazia, czuwając noce i dni nad umierającym. I ona wreszcie opuściła ręce. Teraz jest — tam — za drzwiami, w drugiej sali zajęta trzeźwieniem Wilhelminki, która dostała ataku nerwowego płaczu. Leon mimo wszystkiego zauważył, że Mazia znosi z większą godnością swój ból i smutek, niż Wilhelminka.

Drzwi się otwierają cicho, wchodzi Barumzweig — olbrzymi — rosły i stara się stapać jak najciszej, pomimo, że chodnik tłumi odgłos jego kroków.

Zbliża się do łóżka, dotyka ręką zamyszonego Leona.

— Jak się macie?

— I nie czekając na odpowiedź, pochyła się nad chorym.

Ten jest pogrążony w pół śnie, i straszny jest teraz bladeścią swej twarzy, sinemi pręgami oczodołów — otwarciem ust zezerniałych i zwężonych dziwnie.

Lecz natychmiast podnosi z ciężkością powieki i zwraca wzrok szklany, straszny na Barumzweiga.

— I cóż? i cóż? pyta, otwierając przedtem kilkakrotnie szczęki, jakby zmartwiało i chcące się zawrzeć na wieczne milczenie.

— W tej chwili Władek przyniesie korektę... Błysk radości rozjaśnia szklane oczy, rodzaj uśmiechu wykrzywia zczerniałe usta.

— Dobrze! dobrze!...

I głowa Grzegorzewskiego kilkakrotnie porusza się, jakby chory próbował podnieść się na poduszkach.

Leon porywa się i poprawia, podsuwa poduszki — Grzegorzewski chwyta rękę Barumzwajga i szepece bardzo szybko.

— Korektę zrobicie przy mnie... trzeba, ażeby natychmiast zabrano się do roboty... wyjść musi na przyszły tydzień... jeśli nie znajdziemy emisariusza, ja sam pojedę... co?

Dobrze! odpowiada Barumzwajg — pojedziemy sami, to będzie najlepiej.

— O!... fundusze się znajdują, muszą się znaleźć... majaczy dalej Grzegorzewski — nie mamy wiele, ale brat przyśle... miesięczną pensję... potem... ja pojedę trzecią klasą... jeść nie wiele będę... ja mało jem...

Zamyka oczy i teraz wśród ciągłego kaszlu, który mu literalnie rozdziera co chwilę piersi — mówi:

— Mało jem... tak! tak!.. przeniosę przez granicę — dużo — och nie! tysiąc, dwa tysiące... znam, wiem — jak, co — potem po kraju... chodzę, chodzę... och! głupstwo — za żyda — krawca, za co bądź... Widzę kraj, widzę — chłopów... widzę moich... widzę... nareszcie!

Cichutko jak duch weszła teraz Mazia, stanęła u stóp łóżka i oczy swe, pełne rozpacz, utkwiała w twarz Grzegorzewskiego.

— A potem — mówi znów Grzegorzewski — potem mówię do nich, budzę, do działania zagrzewam... rozdaję broszury... oni czytają — i pragną. chcą, drżą cali na wspomnienie wolności, zrzucenia kajdan... Kraj się odradza... Polska powstaje... och!

Szalonym wysiłkiem usiadł na łóżku, podobny do widma, wspaniały.

— Rewolucya!...

I z tem słowem osuwa się znów na poduszki, a wzrok jego znów gaśnie, staje się szklany — trupi.

— Nie męczcie się! — prosi Barumzwajg.

Lecz on cicho odpowiada:

— Zostawcie mnie... pozwólcie mówić... milczenie mnie dławi!

Lecz mimo to milknie już i leży wyczerpany a z twarzy jego znikają powoli błyski życia, nadziei, pragnienia.

Mazia usuwa się w kącik sali wraz z Barumzwajgiem. Naradzają się tam gorąco.

Widocznie studentka chciałaby zmienić jeszcze lekarstwa, spróbować heroicznych środków, choć wie, że to na próżno.

Lekarz w niej — ma pewnoś — lecz kobieta zwalczyć śmierć pragnie.

— Gdzie Wilhelmina? — pyta Barumzwajg.

— Jest na kurytarzu. Boi się swoich nerwów. Lepiej niech tam czeka na...

Mazia nie może wymówić tego słowa, które przecież tyle razy wymawiała w tym samym szpitalu, może i w tej samej sali.

Grzegorzewski porusza się niecierpliwie.

— Korekta! korekta!

— Zaraz przyniesie, — uspokaja go Leon — Władek przyniesie...

— Żeby po drodze nie zgubił — szepcze Grzegorzewski.

Leon zbliża się do Barumzwaiga.

— On chce widzieć korektę! — mówi, dławiąc się łzami.

— Spieszyłem, jak mogłem. Wy tłumaczyłem drukarzowi, że chodzi tu o...

Olbrzymi student zawahał się. On był zawsze szorstki i brutalny pozornie. Sentymenty nie miały przystępu do jego serca.

— Chodzi tu o... zadowolenie kaprysu chodzącego!

— Och!... kaprysu! — mówi Mazia.

I Leonowi to słowo wydaje się nie na miejscu. Grzegorzewski, umierając, życzy sobie widzieć swe pragnienie, swą myśl, swój trud, wszystko, dlaczego żył, czemu poświęcił swą młodość, zdrowie, zamienione w czyn! Chce widzieć, czuć w swych rękach te broszury, to wydawnictwo dla wszystkich ras, dla wszystkich klas — które ma, jak dzwon na trwogę, zajęcie w całej Polsce i znaleźć echo w sercach stuletnich niewolników.

Jarzmo wrosło w kark, ale zerwać je trzeba choćby z krwią, choćby z ciałem własnym! Ranę zagoi słońce wolności, a blizna, choć zostanie, toć i lepiej, przypomni nam, dlaczego sto lat gięto nam kark, lecz — złamać nie zdołano.

Och! jeszcze nie zginęła!

I wszystkie te nadzieje, pragnienia — kto wie może... miraż — wirują teraz w promieniu sło-

necznym, który się przedarł przez szyby i ścieli się złotą strugą po piersiach i rękach umierającego.

Twarz wychudłego fanatyka pozostaje w cieńnię. A pierś jego, w której mieściła się tak olbrzymia, tak potężna, tak wielka i święta miłość dla kraju, cała się kapie w złocie i blasku. Ręce jego drżą z niecierpliwości, aby pochwycić te zadrukowane świstki, w których żyć będzie dalej jego dusza i te ręce także całuje i pieści słońce, jakby na ostatnie pożegnanie, dając mu to, co najwspanialszego natura dać może: Blask — ciepło!

Nie zaznał on — ani jednego, ani drugiego.

I na tem śmiertelnem łożu zapomniał o Wilhelmince, o kokieteryi jej czarnych oczów, które chwilami (o jak rzadko) niepokoiły jego czyste serce. Umierający jest tylko uosobieniem swej idei — i jej oddaje ostatnie swe technienie.

Zniszczył, strawił, zgniótł swe ciało, rzucił je, jak zwiędnięty kwiat w święte dzieło odrodzenia kraju. Dziś to ciało gaśnie, a duch wyzwolony czepia się dzieła, sprawy, idei — silnie przekonany, że on żyć będzie.

I dlatego Grzegorzewski, który już od wczoraj, według obliczeń lekarzy, umrzeć był powinien, żyje jeszcze i czeka.

— Korekta! — szepcze — korekta!

Mazia to czuje, wie, rozumie.

I gdy Barumzwaig chce biegnąć znów do drukarni po ową korektę, dziewczyna wstrzymuje go ze łzami.

— Och! nie... jeszcze nie!...

— Ależ... on prosi!... on się męczy!

Mazia wstydzi się swego egoizmu. Jednak szepece.

— Skoro on te broszury zobaczy — umrze!

Barumzwajg wzrusza ramionami.

— Szaleństwo, uspokoi się, zaśnie!

— Nie! nie! — przeczy Mazia — on tylko na nie czeka, a żeby umrzeć!

Leona przeszedł dreszcz.

Jakto? więc człowiek może chcieć, pozwolić zamrzeć swej istocie?

I ta głośna, czysta sala szpitalna wydaje mu się straszną i tajemnie pełną.

Długą chwilę stoją tak milczący, nieporuszeni, wpatrzeni we drzwi, przez które wniesić mają ową „korektę“, mającą położyć kres jednemu życiu — położyć kres, jak nóż mordercy.

I powoli, cicho, bez hałasu otwierają się drzwi i Leon widzi, jak w nich pojawia się zgarbiony, postarzały Wladek, który po chodniku, jak cień z paczką zadrukowanego papieru, idzie ku łóżku Grzegorzewskiego w milczeniu, podobny raczej do nieżyjącej istoty, do owego przeznaczenia, które ziścić się musi na każdym żyjącym, czy martwym i któremu przeszkodzić nikt nie ma siły i prawa.

I zapewne dlatego oni stoją także bezczynnie, nie robiąc ani jednego giestu, ani jednego słowa nie wymawiając, które mogłoby wstrzymać pochód tego zwiastuna śmierci i tylko szeroko otwartymi oczyma patrzą, jak Grzegorzewski podnosi się nagle na łóżku i na zbliżenie się Władka czeka.

Czarujący uśmiech rozjaśnia nagle twarz fanatyka, cała dawna piękność jego wraca mu z podwójną siłą, oczy na chwilę odzyskują blask i siłę.

Przyzywa niemi idącego ku sobie, wyzywa go z przestrzeni. Wladek nie idzie, lecz sunie, jak automat pchany niewidzialną siłą.

I doszedłszy do łóżka, z cichym jękiem rzuca na pierś, na rękę Grzegorzewskiego stos zadrukowanych karteczek o szerokich, białych marginesach. Grzegorzewski przymyka na chwilę oczy, jakby wciągał w siebie woń kwiatów, promienie słoneczne.

Tymczasem — Wladek wyczerpany usuwa się na kłęczkach na ziemię.

Pierwsza Mazia odnajduje w niewyczerpanym skarbcu kobiecego serca odwagę i męstwo.

— Chodźmy do niego! — mówi — teraz mu będziemy potrzebni.

Lecz Grzegorzewski upadł już na poduszki i tylko ręce jego nerwowo cisną ku piersiom ćwiarteczki papieru.

— Nareszcie!... — szepece — nareszcie!...

Lecz głową kilkakrotnie robi ruch dziwny, nieokreślony. Cofa ją w tył, jakby przed uderzeniami jakiejś niewidzialnej pięści. Twarz, błąda przed chwilą, sinieje, piersi zaczynają z ciężkością chwytać powietrze. Trochę piany pojawia się w kącikach ust.

Śmierć nadchodzi.

Widocznem jest, że Grzegorzewski chce coś mówić, belkoce, lecz tchu złapać nie jest w stanie.

— O... o!... te... dalej... dalej...

Mazia podtrzymuje mu głowę. Drży cała i męstwo jej precz poszło wobec grozy chwili.

Leon pochyla się nad łóżkiem, pragnąc podnieść wyżej umierającego.

Sądzą, że choć w ten sposób powstrzymają agonię.

Lecz Grzegorzewski przez mgłę szklaną, która mu wzrok zasłania, dostrzegł Leona. I Leon drgnął, gdy nagle poczuł, jak ręka umierającego koścista, straszna szarpie jego odzież i ręce.

— Wy... wy... — charcze Grzegorzewski.

— Co panie? co każecie? — pyta Leon, cały zamieniony w słuch, tak ciche, tak strasznie ciche są słowa, które idą z ust konającego.

— Wy... dalej...

I ostatnim wysiłkiem Grzegorzewski wciska w dłoń Leona owe korekty, które, jak stada sępów, opadło na jego półtrupie ciało.

Leon jest tak oszalały z bólu, że w pierwszej chwili nie rozumie o co chodzi i szepece:

— Tak!... tak!...

— Wy!

— Tak!

Jeszcze jeden kurcz, jeszcze jedna chęć oddechu, potem — cisza, wśród której coś rzeży strasznie, okropnie, jakby wicher wył w rozsypujących się w gruzy ruinach.

I nagle — i to rzeżenie milknie i Grzegorzewski leży blady, siny, wychudły z szeroko otwartymi żrenicami, zaszklonemi łzami.

I podczas gdy trup stygnie w swej nieruchomości, te łzy powoli staczają się po policzkach czyste, jasne — o statnie.

I trup zdaje się płakać sam nad sobą, nad swoją dolą — a może... nad tymi, którzy pozostali.

Gdy Barumzwajg pozbierał z łóżka korektę, zwrócił się z nią ku Mazi.

— Proszę... weźcie to do siebie! — wyrzekł — ja nie będę mógł się tem zajmować. Mam egzamin.

I z wielką wprawą, choć drżącymi rękami, naciągnął na trupa Grzegorzewskiego prześcieradło, zakrywając ręce i głowę zmarłego.

Lecz Mazia wskazała ręką Leona.

— Oddajcie to panu! — wyrzekła — czyście nie widzieli i nie słyszeli, że on zamianował pan swym następcą!...

W Leonie na sekundę serce bić przestało.

Teraz zrozumiał, co znaczyło;

— Wy... dalej!...

Koniec tomu I.

SPIS RZECZY TOMU I.

CZEŚĆ PIERWSZA.

W prywiślańskim kraju.

I. Matwiej Iwanowicz Tagiejew	1
II. Propaganda i buntownicy	14
III. Pan policmajster poluje	41
IV. Kto u dragonów pije szampanskoje	49
V. Chwila zwątpienia	59

CZEŚĆ DRUGA.

O n i.

I. Uroczystość narodowa	82
II. Banda Grzegorzewskidgo	94
III. Jeden z „wielkich“	110
IV. Jeden z „małych“	123
V. Leon pracuje	142
VI. Wilhelmina	159
VII. Leon się buntuje. — Władek.	170
VIII. Jan Grzegorzewski	184
IX. Fanatyczka	201
X. W kraju swobody	218
XI. U Wilhelminy	232
XII. Zwatpiecie	252
XIII. Anioł stróż paryski	271
XIV. W czym odrodzenie	283
XV. Dziwna noc	293
XVI. Socyalista francuski i siedemdziesiąt trzy tomy Voltaire'a	334
XVII. Panna Kamilla dąży ku wyżynom. — Zapalenie płuc	356
XVIII. Śmierć fanatyka	375